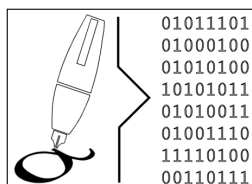


FREDERIK POHL

KRONIKI HEECHÓW

Tom czwarty sagi o Heechach

Przełożyła: Paulina Braiter



Tytuł oryginału:

The annals of Heechee

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1984 r.

Rozdział 1

We wnętrzu Pomarszczonej Skały

Niełatwo jest zacząć. Próbowałem wymyślać całe mnóstwo różnych początków, jak ten milutki:

„Nie usłyszelibyście o mnie nigdy, gdybyście nie przeczytali paru książek napisanych przez pana Freda Pohla. Przeważnie napisał tam prawdę. Niektóre rzeczy trochę ponaciągał, ale przeważnie pisał prawdę.”

Niestety, zaprzyjaźniony ze mną program do wyszukiwania danych, Albert Einstein, mówi że mam za duże ciągoty do niejasnych aluzji literackich, więc gambit Przygód Hucka odpadł. Pomyślałem, żeby zacząć zatem od mocnego, przenikającego duszę na wylot, wyrażenia kosmicznego niepokoju, który wciąż (o czym także przypomina mi Albert) jest obecny w moich codziennych rozmowach:

„Być nieśmiertelnym a jednak martwym; być prawie wszechwiedzącym i prawie wszechmocnym, nie będąc wszak bardziej realnym niż fosforyzująca iskierka na ekranie — właśnie tak istnieję. Kiedy ludzie pytają mnie, co robię z moim czasem (z taką ilością czasu wtłoczonego w każdą sekundę, a tych sekund jest cała wieczność), udzielam im uczciwej odpowiedzi. Mówię im, że uczę się, bawię, planuję i pracuję. To wszystko oczywiście prawda, robię te wszystkie rzeczy. Ale równocześnie i między nimi, robię coś jeszcze. Cierpię.”

Mógłbym też zacząć od opisu typowego dnia. Jak w wywiadach piezowizyjnych. Uczciwe spojrzenie na jeden moment z życia znanej osobistości, Robinette Broadheada, nababa finansowego, potęgi politycznej, szarej eminencji ukrywającej się za ważnymi wydarzeniami na miriadach światów. Może krótki rzut na mnie samego, jak gdzieś jeżdżę, coś załatwiam — na przykład na strasznie ważnej konferencji z ważniakami z Wspólnej Obserwacji Asasynów, albo, jeszcze lepiej, na sesji Instytutu Broadheada do Badań Pozastłonecznych:

„Wspiąłem się na podium w burzy żarliwych oklasków. Uśmiechnąłem się i uniosłem ręce, by je uciszyć. — Panie i panowie — rzekłem — dziękuję wam wszystkim za to, że w nawale zajęć znaleźliście czas, by do nas dołączyć. Witam

was w instytucie, witam grupę znakomitych astrofizyków i kosmologów, słynnych teoretyków i laureatów Nagrody Nobla. Warsztaty na temat struktury subtelnej wczesnych stadiów wszechświata uważam za otwarte.”

Rzeczywiście mówię takie rzeczy, a przynajmniej wysyłam dublera, żeby to zrobił, i wtedy on mówi to za mnie. Muszę tak robić. Tego ode mnie oczekują. Nie jestem naukowcem, ale za pośrednictwem instytutu pompuję gotówkę, która pozwoli innym robić naukę. Zatem oni chcą, żebym się pojawiał i przemawiał do nich na otwarciach sesji. A potem chcą, żebym sobie poszedł, bo oni muszą pracować. I tak właśnie robię.

Tak czy inaczej, nie potrafię podjąć decyzji, od której z tych ścieżek mam zacząć, więc z żadnej z nich nie skorzystam. Choć wszystkie są dość charakterystyczne. Przyznaję. Czasem jestem zbyt milusi. A czasem, może nawet częściej, jestem tak nieatrakcyjnie pogrążony w moim wewnętrznym bólu, który nigdy nie odchodzi. Często bywam nieco napuszony; ale równocześnie, mówię uczciwie, jestem skuteczny w robieniu rzeczy, które są ważne.

Miejscem, od którego rzeczywiście mam zamiar zacząć, jest impreza na Pomarszczonej Skale. Proszę, zostańcie ze mną. Musicie trochę pocierpieć z powodu mojej obecności, ja muszę to znosić cały czas. Na dobrą imprezę polecałbym prawie wszędzie. Czemu nie? Dla mnie jest to dość łatwe, a niektóre imprezy odbywają się tylko raz. Polecałem tam nawet moim statkiem kosmicznym; to też było łatwe, bo nie zabierało mi to czasu na jakieś osiemnaście czy dwadzieścia rzeczy, które w tym samym czasie robiłem.

Zanim się tam dostaliśmy, czułem ten przyjemny imprezowy dreszczyk, gdyż zobaczyłem, że stary asteroid został na tę okazję przystrojony. Pozostawiona samej sobie Pomarszczona Skała nie była szczególnie atrakcyjnym widokiem. Była łaciato czarna, błękitno nakrapiana, długa na dziesięć kilometrów. Miała kształt źle uformowanej gruszki, którą podziobały ptaki. Rzecz jasna, te ślady nie pochodziły od ptasich dziobów. Były to doki cumownicze dla statków przypominających nasz. A specjalnie na imprezę, Skałę ozdobiono wielkimi, mrugającymi, rozblaskującymi literami:

„Nasza Galaktyka”

„Najtrudniejsze jest pierwsze 100 lat”

Krażyły wokół skały jak eskadra tresowanych świetlików. Pierwsza część ha-sła nie była specjalnie dyplomatyczna. Druga nie była prawdziwa. Ale i tak ładnie wyglądały.

Powiedziałem to do mojej kochanej przenośnej żony, a ona zamruczała z zadowoleniem, sadowiąc się na moim ramieniu.

— Kiczowate. Prawdziwe światła! Mogli użyć hologramów.

— Essie — powiedziałem, odwracając się do niej by ugryźć ją w ucho — masz duszę cybernetyka.

— Ha! — odparła i wykręciła się, żeby mi oddać, tyle że ona gryzła znacznie mocniej. — Nie jestem niczym innym, tylko duszą cybernetyka, podobnie jak ty, drogi Robinie i bądź uprzejmy pilnować sterów statku zamiast się wydurniać.

Oczywiście był to tylko żart. Znajdowaliśmy się dokładnie na kursie, wślizgując się do doku z porażającą powolnością wszystkich materialnych przedmiotów; miałem w zapasie setki milisekund, kiedy zaaplikowałem „Prawdziwej Miłości” ostatni impuls silników korekcyjnych. Pocałowałem więc Essie. . .

Hm, to niezupełnie tak było, że ją pocałowałem, ale zostawmy to na razie, dobrze?

. . . a ona dodała:

— Robią wokół tego dużo szumu, prawda?

— Bo to zasługuje na duży szum — odparłem i pocałowałem ją trochę mocniej, a ponieważ mieliśmy mnóstwo czasu, oddała mi pocałunek.

Zostaliśmy tak długie ćwierć sekundy albo coś koło tego, a w tym czasie „Prawdziwa Miłość” dryfowała przez bezcielesne lśnienie neonu dekoracyjnego w tak przyjemny i leniwy sposób, jak tylko można sobie tego życzyć. To znaczy chcę przez to powiedzieć, że się kochaliśmy.

Ponieważ nie jestem już „prawdziwy” (ale to samo dotyczy mojej Essie) — ponieważ żadne z nas nie jest już cielesną istotą — ktoś mógłby zapytać: „A jak wy to robicie?” Na to pytanie mogę udzielić odpowiedzi. Brzmi ona: „pięknie.” A także „często”, „z czułością”, a przede wszystkim „błyskawicznie”. Nie chcę przez to powiedzieć, że unikamy roboty. Mam na myśli tylko to, że nie zabierało nam to dużo czasu; a potem, kiedy już sprawiliśmy sobie dużo przyjemności i posnuliśmy się trochę bez celu, a nawet wzięliśmy wspólny prysznic (całkowicie zbędny rytuał, który, podobnie jak większość rytuałów, wykonujemy po prostu dla zabawy), z tej ćwiartki sekundy nadal zostało nam mnóstwo czasu na obejrzenie innych doków cumowniczych na Skale.

Przed nami mieliśmy jakieś ciekawe towarzystwo. Zauważyłem, że jeden ze statków, który zadokował przed nami, był olbrzymim, starym, oryginalnym statkiem Heechów, z gatunku, jaki pewnie zwałibyśmy „Dwudziestką”, gdybyśmy za dawnych czasów wiedzieli, że taki wielki statek istnieje. Nie spędziliśmy tego czasu wyłącznie na gapieniu się. Jesteśmy programami korzystającymi z podziału czasu. Możemy z łatwością robić tuzin rzeczy jednocześnie. Pozostawałem w kontakcie z Albertem, by sprawdzać, czy nie ma jakichś nowych wiadomości z jądra galaktyki oraz by upewnić się, że nic nie przyszło z Kręgu, robiłem jeszcze z tuzin ciekawych rzeczy, tego bądź innego rodzaju; tymczasem Essie uruchomiła swoje programy skanujące i wyszukujące. Więc do momentu, gdy nasz pierścień mocujący połączył się z jedną z tych dziur wyglądających jak wydziobane przez ptaki, będących w rzeczywistości dokami cumowniczymi asteroidu, oboje byliśmy w świetnym nastroju i gotowi do balangi.

Jedną z (wielu) zalet bycia tym, czym droga Przenośna Essie i ja jesteśmy, jest fakt, że nie musimy rozpinąć pasów, sprawdzać szczelności i otwierać śluz. W ogóle nie musimy dużo robić. Nie musimy nosić za sobą naszych wachlarzy z danymi — pozostają na swoich miejscach, a my przepływamy sobie gdzie chcemy wszelkiego rodzaju obwodami elektrycznymi z miejsca, do którego się podłączyliśmy. (Zazwyczaj podróżujemy na „Prawdziwej Miłości”). Jeśli chcemy przemieścić się gdzieś dalej, możemy zrobić to drogą radiową, ale wtedy musimy zmagać się z tym denerwującym opóźnieniem towarzyszącym transmisjom tam i z powrotem.

Zacumowaliśmy więc. Włączyliśmy się do systemów Pomarszczonej Skąły. Byliśmy tam.

A konkretnie, byliśmy na Poziomie Tango, Przedział Czterdzieści coś tam starego, zniszczonego asteroidu i w żadnym razie nie byliśmy sami. Impreza już się zaczęła. Towarzystwo podskakiwało. Zebrało się około tuzina ludzi, którzy przyszli nas powitać — mam na myśli takich ludzi jak my — w karnawałowych kapeluszach, z drinkami w dłoniach, śpiewający, roześmiani. (W polu widzenia było też paru cielesnych ludzi, ale wiedziałem, że nie zauważą naszego przybycia jeszcze przez wiele milisekund).

— Janie! — krzyknąłem do jednej z kobiet, obejmując ją; zaś Essie zawołała: — Siergiej, golubka!, obejmując kogoś; a zaraz potem, kiedy przebrnęliśmy przez pierwszy moment witania, padania sobie w objęcia i poczucia szczęścia, rozległ się nowy, warczący, nieprzyjemny głos.

— Hej, Broadhead.

Znałem ten głos.

Wiedziałem nawet, co się później stanie. Co za brak dobrych manier! Mrugnięcie, błysk, huk, i oto ujrzałem generała Julio Cassatę, gapiącego się na mnie z (prawie) opanowanym uśmiezkiem, jakim zwykle obdarzają cywili wojskowi, siedzącego za szerokim, pustym biurkiem, którego jeszcze chwilę wcześniej tam nie było.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedział.

— O, cholera — mruknąłem.

* * *

Nie przepadałem za generałem Julio Cassatą. Nigdy go nie lubiłem, choć czasem wpadaliśmy na siebie tu i ówdzie.

Nie działało się tak dlatego, że ja tak chciałem. Cassata zawsze oznaczał złe wieści. Nie znosił, jak cywile (do których mnie zaliczał) mieszają się do tego, co

określał jako „sprawy wojskowe” i nie przepadał za ludźmi zapisanymi w formie maszynowej. Cassata był nie tylko żołnierzem — nadal miał formę cielesną.

Ale tym razem nie wystąpił osobiście. Zastępował go dubler.

Był to fakt interesujący sam w sobie, gdyż rzeczywiści ludzie niechętnie wytwarzali swoich dublerów.

Mógłbym jeszcze przez chwilę analizować ten niezwykle fakt, lecz byłem zbyt zajęty myśleniem o wszystkich powodach, dla których nie lubiłem Julio Cassaty. Jego manieri były fatalne. Właśnie nam to zademonstrował. W gigabitowej przestrzeni istnieje pewna etykieta, której my — zapisani maszynowo ludzie — przestrzegamy. Uprzejmi maszynowo zapisani ludzie nie wpadają jedni na drugich bez ostrzeżenia. Jeśli chcą z kimś pogadać, grzecznie się zbliżają. Nawet „pukają” do „drzwi” i czekają uprzejmie na zewnątrz, aż im się powie „Proszę wejść.” I oczywiście nie narzucają innym swojego prywatnego otoczenia. Essie określa ten rodzaj zachowania jako „niekulturny”, co oznacza, że jest to obrzydliwe. Właśnie tego można się spodziewać po Julio Cassacie: przedarł się do fizycznego przedziału, gdzie przebywaliśmy i do jego symulacji w przestrzeni gigabitowej, którą wspólnie zajmowaliśmy. Pojawił się w niej

ze swoim biurkiem, medalami i cygarem, i wszystkim innym — to było po prostu nieuprzejme.

Oczywiście, mógłbym to odrzucić i wrócić do naszego własnego otoczenia. Niektórzy uparci ludzie właśnie tak robią. To zupełnie tak, jak z dwoma sekretarkami, które się kłóca, z czym szefem połączyć najpierw. Nie chciałem tego robić. Nie dlatego, żebym miał jakieś opory przed zachowywaniem się nieuprzejmie wobec nieuprzejmych ludzi. Chodziło o coś innego.

Wreszcie udało mi się rozwiązać problem rozmyślenia, dlaczego prawdziwy, czyli cielesny Cassata utworzył sobie maszynowego dublera.

Przed nami znajdowała się symulacja komputerowa w gigabitowej przestrzeni, stworzona w taki sam sposób, jak moja własna ukochana Przenośna Essie, która była dublerką mojej równie ukochanej (ale w tych czasach już tylko pośrednio) prawdziwej Essie. Oryginalny, cielesny Cassata niewątpliwie obgryzał prawdziwe cygaro kilkaset tysięcy kilometrów stąd, na satelicie WOA.

Kiedy przyszły mi do głowy implikacje tego zdarzenia, prawie zrobiło mi się żal dublera. Stłumiłem więc w sobie wszystkie słowa, które instynktownie cisnęły mi się na usta. Powiedziałem tylko:

— Czego, do cholery, ode mnie chcesz?

Osobnicy lubiący tłamsić innych doskonale reagują na proces odwrotny. Pozwolił swemu stalowemu spojrzeniu zajarzyć się ogniem. Nawet się uśmiechnął — chyba chciał, żeby wyglądało to sympatycznie. Jego wzrok prześlizgiwał się z mojej twarzy na Essie, która pojawiła się w otoczeniu Cassaty by zobaczyć, co się dzieje i powiedział, tonem, który miał uchodzić za lekki:

— Co ja słyszę? Pani Broadhead, czy tak ze sobą rozmawiają starzy przyjaciele?

— To dość kiepski styl rozmowy jak na starych przyjaciół — odparła obojętnie.

— Co pan tu robi, Cassata? — nie popuszczałem.

— Przyszedłem na zabawę. — Uśmiechnął się: gładki, nieprawdziwy uśmiech; biorąc pod uwagę, że nie miał zbyt wielu powodów do uśmiechania się. — Kiedy zakończyły się manewry, wielu byłych poszukiwaczy odjechało, by wziąć udział w tym przyjęciu. Załapałem się okazją. To znaczy — wyjaśnił, jakbyśmy potrzebowali takich wyjaśnień — zdublowałem się i umieściłem w pamięci statku, który tutaj leciał.

— Manewry! — parsknęła Essie. — Manewry przeciwko czemu? Kiedy Wróg się pojawi, wyciągniecie swoje sześciopistołowce i podziurawicie drani jak ser szwajcarski, bam — bam — bam?

— Dziś mamy na pokładach naszych krążowników coś lepszego niż sześciopistołowce, pani Broadhead — oświadczył rozradowany Cassata; ale ja miałem już dość gadania o niczym.

Spytałem ponownie:

— Czego pan chce?

Cassata schował uśmiech i powrócił do swego normalnego, wrednego wyrazu twarzy.

— Niczego — odparł. — I rzeczywiście mam to na myśli: niczego, Broadhead. Chcę, żeby pan przestał się wtrącać. Nic nie rób. — Już nawet nie próbował wyglądać radośnie.

— Nie wtrącam się. — Utrzymałem nerwy na wodzy.

— Bzdura! Wtrąca się pan, za pośrednictwem tego swojego pochrzanionego instytutu. Tylko teraz trwają warsztaty. Jedne w New Jersey, drugie w Des Moines. Dotyczą sygnatur Asasynów oraz wczesnej kosmologii.

Ponieważ te twierdzenia były absolutnie prawdziwe, powiedziałem tylko:

— Zadaniem Instytutu Broadheada jest prowadzenie takich działań. Tak głosi statut. Po to go założyliśmy i dlatego też WOA dała mi oficjalne prawo uczestniczenia w ich sesjach planowania.

— Cóż, stary przyjacielu — rzekł radośnie Cassata — tu też się pan myli. Nie ma pan prawa. Ma pan przywilej. Czasami. Przywilej to nie prawo i ostrzegam, żeby mi pan z tym nie wyjeżdżał. Nie chcemy, żeby się pan do tego mieszał.

Czasem naprawdę nienawidzę tych gości.

— Niech pan posłucha Cassata — zacząłem, ale Essie mnie powstrzymała, zanim zacząłem nabierać tempa.

— Chłopcy! Czy nie możemy załatwić tego kiedy indziej? Przyjechaliśmy tu na przyjęcie, a nie po to, żeby się kłócić.

Cassata zawahał się, wyglądał na nastawionego bojowo. Potem skinął powoli głową w zamyśleniu.

— Cóż, pani Broadhead — rzekł — to nie jest taki zły pomysł. To może chwilę poczekać; raport muszę złożyć dopiero za jakieś pięć do sześciu cielesnych godzin. — Po czym zwrócił się do mnie: — Proszę nie opuszczać Skały — zarządził. I znikł.

Essie i ja spojrzeliśmy po sobie.

— Niekulturny — oświadczyła Essie marszcząc nos, jakby wyczuła dym z cygara. Ja zaś powiedziałem coś znacznie gorszego i Essie otoczyła mnie ramieniem. — Robin, ten facet to świnia. Zapomnij o nim, dobrze? Nie pozwól, żebyś przez niego miał się stać ponury i zgorzkniały, dobrze?

— Nie ma szans! — odparłem dzielnie. — Imprezka! Pogonię cię aż do Błękitnego Piekielka!

Rzeczywiście, zrobiła się niezła imprezka.

Nie wziąłem na serio pytania Essie, która spytała, czy moim zdaniem nie zrobiono zbyt wiele szumu wokół tego przyjęcia. Wiedziałem, że nie to ma na myśli. Essie nigdy sama nie była poszukiwaczką, ale każdy człowiek wiedział, czym było to spotkanie.

Miało ono uczcić nie mniej, tylko setną rocznicę odkrycia asteroidu Gateway, a gdyby miała się trafić jakaś ważniejsza okazja w historii ludzkości, to sam już nie wiem, co by to mogło być.

Były dwa powody, dla których wybrano Pomarszczoną Skałę na przyjęcie z okazji setnej rocznicy. Jeden z nich był taki, że asteroid przerobiono na dom starców. Doskonale się nadawał dla przypadków geriatrycznych. Kiedy kuracja przeciwko arteriosklerozie spowodowała rozwój osteoporozy, zaś fagi przeciwnowotworowe zaczęły wywoływać syndrom Menicre'a i chorobę Alzheimerera, Pomarszczona Skała okazała się idealnym miejscem. Wysłuzone serca nie musiały tak bardzo pompować. Stare kończyny nie musiały już walczyć, by utrzymać w pozycji wyprostowanej setki kilogramów mięśni i kości. Maksymalna grawitacja w dowolnym miejscu asteroidu wynosiła około jednego procentu ziemskiej. Starcy mogli skakać i truchtać, a jeśli chcieli, mogli nawet robić przewroty. Nie groziło im wpadnięcie pod pędzący samochód z powodu osłabionego refleksu — nie było tam żadnych samochodów. Och, pewnie, mogli umrzeć. Ale nawet to nie musiało oznaczać końca, gdyż Pomarszczona Skała miała najlepsze (i najbardziej intensywnie wykorzystywane) wyposażenie do zapisywania osobowości w całym kosmosie. Kiedy stara cielesna powłoka osiągnęła stadium, w którym nie było warto jej naprawiać, staruszkowie oddawali się w ręce pracowników firmy Życie Po Życiu i za chwilę mogli doświadczyć sokolego wzroku, słyszenia najcichszego dźwięku, pamiętania o wszystkim, szybkiego uczenia się. Najnormalniej w świecie się odradzali! Tylko bez tego całego zamieszania i obrzydliwości, jakie towarzyszyły ich pierwszym narodzinom. Życie — czy może powinienem powiedzieć

„życie” — w charakterze zapisanej maszynowo inteligencji było czymś innym niż bytowanie we własnym ciele. Ale nie było złe. Pod pewnymi względami nawet lepsze.

Mówię to ja, a znam się na tym.

Rzadko dało się widzieć szczęśliwszych zapisanych maszynowo ludzi, niż goście, którzy żyli na Pomarszczonej Skale. Był to niezgrabny stary asteroid, o długości paru kilometrów, przypominający miliony innych krążących wokół Słońca między Jowiszem i Marsem albo gdzieś indziej. No dobrze — nie tak całkiem przypominający. Ten akurat asteroid wydrążono i poprzebijano tunelami na wylot. Nie dokonały tego istoty ludzkie. W tej postaci go znaleźliśmy; i to był drugi powód, dla którego było to najlepsze miejsce do świętowania setnej rocznicy pierwszego ludzkiego lotu międzygwiazdowego.

Widzicie, Pomarszczona Skała była dość niezwykłym, unikalnym asteroidem. Pierwotnie krążyła ona wokół Słońca po orbicie prostopadłej do płaszczyzny ekliptyki. To była właśnie ta niezwykła cecha. Zaś cecha unikalna to fakt, że w chwili odnalezienia asteroid był wypełniony starożytnymi statkami Heechów. Nie znaleziono tam jednego czy dwóch statków, ale całe mnóstwo — było ich aż dziewięćset dwadzieścia cztery! Statki, które nadal działały! Cóż, przeważnie działały, zwłaszcza jeśli człowiekowi było wszystko jedno, dokąd leci. Na początku nigdy nie wiedzieliśmy, dokąd trafimy. Wsiadaliśmy do statku, odpaliliśmy go, kładliśmy się na plecach i modliliśmy się.

Czasem mieliśmy szczęście.

A jeszcze częściej umieraliśmy. Większość z tych, którzy byli na przyjęciu, to ci, którzy mieli szczęście.

Jednak każda uwieńczona sukcesem podróż statkiem Heechów czegoś nas uczyła i z biegiem czasu nauczyliśmy się latać po całej galaktyce, z dużą dozą pewności, że pozostaniemy przy życiu. Nawet ulepszyliśmy na parę sposobów technikę Heechów. Oni korzystali z rakiet, żeby dostać się z powierzchni planety na orbitę — my używaliśmy pętli Lofstroma. W pewnym momencie już nie potrzebowaliśmy asteroidu, żeby prowadzić program kosmicznej eksploracji. Więc przesunęliśmy go na orbitę okołoziemską./P>

Najpierw pojawiła się propozycja, żeby zrobić z niego muzeum. Potem zdecydowano przekształcić go w dom opieki dla tych, którzy przeżyli podróże statkami Heechów. Wtedy zaczęliśmy go nazywać Pomarszczoną Skałą. Dawniej zwaliśmy go Gateway.

Tu napotykam na kolejny poważny problem w porozumieniu, gdyż jak mam określić to, co Essie i ja zrobiliśmy później?

Najprościej powiedzieć, że się rozdzieliliśmy.

Cóż, no dobrze, tak faktycznie zrobiliśmy. Tak się robi na przyjęciach. Krążyliśmy tu i tam w nasz bezcielesny sposób, by przywitać, wziąć w ramiona i wymienić się historyjkami z naszymi bezcielesnymi przyjaciółmi — nie wszyscy na-

si przyjaciele w Pomarszczonej Skale byli bezcielesni, ale na tym etapie jeszcze nie przejmowaliśmy się tymi cielesnymi. (Nie chcę tu sprawiać wrażenia, że nie kochamy naszych cielesnych przyjaciół. Są nam równie drodzy, co nasi zapisani maszynowo przyjaciele, ale, na Boga, są tak denerwująco powolni).

Więc przez następne dziesiątki tysięcznych milisekund rozbrzmiewało nieustannie „Marty! Kopę lat!” oraz „Robin, zobacz jak Janie Yee-xing teraz młodo wygląda!” i „Pamiętasz, jak to miejsce dawniej cuchnęło?”. Przez jakiś czas to trwało, bo w końcu to była wielka impreza. No dobrze, podam parę liczb. Po jakichś pierwszych pięćdziesięciu skokach w czyjeś objęcia i uprzejmych kłamstwach przerwałem na chwilę i wywołałem mój wierny program do wyszukiwania danych, Alberta Einsteina.

— Albercie — spytałem, kiedy się pojawił, mrugając do mnie z sympatią — ilu ich jest?

Posałał fajkę przez chwilę, po czym wycelował we mnie ustnikiem.

— Sporo. W sumie było trzynaście tysięcy osiemset czterdziestu dwóch poszukiwaczy z Gateway, od pierwszego do ostatniego. Niektórzy z nich, rzecz jasna, zmarli w sposób nieodwracalny. Pewna liczba nie zdecydowała się przyjechać, albo nie mogła, albo jeszcze nie dotarła. Z moich aktualnych wyliczeń wynika wszakże, iż mamy obecnych trzy tysiące siedemset dwudziestu sześciu, z których około połowa to osoby zapisane maszynowo. Mamy także niewątpliwie pewną liczbę gości byłych poszukiwaczy, jak na przykład pani Broadhead, że nie wspomnę o pewnej liczbie pacjentów przebywających tu z powodów medycznych, nie związanych z eksploracją.

— Dzięki — powiedziałem, a kiedy ruszył do wyjścia, dodałem — Albercie, jeszcze jedno. Julio Cassata. Męczyło mnie przez chwilę wymyślanie, czemu tak na mnie napadł w związku z warsztatami instytutu, a zwłaszcza — po co się tu pojawił. Byłbym wdzięczny, gdybyś się temu przyjrzał.

— Przecież już to robię, Robinie — uśmiechnął się Albert. — Zgłoszę się, jak tylko znajdę jakieś informacje. A tymczasem, baw się dobrze.

— Już się bawię — odparłem zadowolony. Albert Einstein to przydatny gadżet i dobrze go mieć pod ręką; zajmuje się wszystkim, kiedy ja się bawię. Powróciłem więc na balangę z lekkim sercem.

Nie znałem wszystkich 3 726 weteranów, którzy przybyli na zjazd. Ale wielu tak, i tu znowu będę miał problem z dokładnym opowiedzeniem, co robiliśmy, gdyż kto chciałby wysłuchiwać, ile razy krzyknęliśmy do kogoś z nich:

— Co za niespodzianka! Jak świetnie wyglądasz!

Przelatywaliśmy przez gigabitową przestrzeń w górę i w dół, przez poplątane kwadranty, poziomy i tunele starej kupy skał, pozdrawiając naszych kolegów i zapisanych maszynowo kumpli. Wypiliśmy parę drinków z Siergiejem Borbosnojem we Wrzecionie — Siergiej był szkolnym kolegą Essie w Leningradzie zanim odleciał na Gateway i ostatecznie spotkała go powolna śmierć z powodu napro-

mieniowania. Spędziliśmy dłuższą chwilę na przyjęciu koktajlowym w muzeum Gateway, snując się ze szklankami w dłoniach między eksponatami: artefaktami z Wenus i planety Peggy, fragmentami i kawałkami narzędzi, ognistymi perłami i wachlarzami modlitewnymi z całej Galaktyki. Wpadliśmy na Janie Yee-xing, która chodziła z naszym przyjacielem Audee Walthersem przed jego odlotem do jądra Galaktyki w celu złożenia wizyty Heechom. Chyba chciała za niego wyjść, tak sędzę, ale ta kwestia przestała już być aktualna, bo Janie poniosła śmierć próbując wylądować helikopterem w środku zimowego huraganu na planecie zwanej Persefoną.

— Ze wszystkich głupich rzeczy — rzekłem, uśmiechając się do niej złośliwie — trafił ci się wypadek lotniczy. — I wtedy musiałem przeprosić, bo nikt nie lubi słuchać, że głupio zginął.

To właśnie były zapisane maszynowo dusze, jak my, i z nimi mogliśmy pogadać łatwo i bez pośredników. Oczywiście, było tam też mnóstwo cielesnych ludzi, z którymi chcieliśmy się przywitać.

A to już był zupełnie inny problem.

Bycie bezcielesnym umysłem w gigabitowej przestrzeni to nie jest coś, co daje się łatwo opisać.

W pewien sposób przypomina to seks.

To znaczy, jest to coś, czego nie da się łatwo opisać osobie, która tego jeszcze nie spróbowała. Wiem, jak to jest z seksem, bo próbowałem opisać radość uprawiania miłości ludziom — hm, tak właściwie to nie ludziom, ale inteligencjom — w tym momencie nie jest ważne, kim one były — i to jest ciężka praca. Po wielu milisekundach słuchania moich prób opisu, porównań i metafor, mówili mniej więcej coś takiego:

— No tak, teraz łapię! To przypomina tę inną rzecz, która wy robicie — kichanie? Kiedy wiesz, że musisz coś zrobić i nie możesz, ale musisz? I odczuwasz coraz większy dyskomfort, aż wydaje ci się, że zwariujesz, jeśli nie kichniesz i wtedy się udaje, a to takie miłe uczucie? Dobrze myślę?

Powiedziałem wtedy:

— Nie, źle myślisz — i poddałem się.

Równie trudno jest wytłumaczyć komuś, jakie to uczucie przebywać w gigabitowej przestrzeni. Choć mogę opisać parę rzeczy, które tam robię. Na przykład, kiedy piliśmy z Siergiejem Borbosnojem we Wrzecionie, tak „naprawdę” nie znajdowaliśmy się we Wrzecionie. Samo wrzeciono oczywiście istnieje — jest to centralna pusta przestrzeń w asteroidzie Gateway. Dawno temu, bar, który się tam znajdował — nazywał się Błękitne Piekiełko — był ulubionym miejscem poszukiwaczy, gdzie gromadzili się żeby pić, grać i próbować znaleźć w sobie dość odwagi, by załapać się na jedną z tych przerażających przejażdżek statkiem Heechów, często śmiertelnych i w jedną stronę. Ale „prawdziwe” Wrzeciono nie było już używane w charakterze baru. Zamieniono je w wyposażone w specjalne

lampy solarium dla najcięższych geriatrycznych przypadków pośród mieszkańców Pomarszczonej Skały.

Czy to powodowało jakieś problemy? Ależ skąd! Stworzyliśmy własną symulację Wrzeciona, kompletną, łącznie z kasynem w Błękitnym Piekiełku i siedzieliśmy tam sobie z Siergiejem, pijąc lodowatą wódkę i żując precle z wędzoną rybą. Symulacja była wyposażona w stoliki, barmanów, piękne kelnerki i trio grające przeboje sprzed półwiecza. Był też hałaśliwy, rozbawiony tłum.

W istocie było tam wszystko, czego można oczekiwać od sympatycznego, niewielkiego baru, z wyjątkiem jednej rzeczy: realności. Nic z tego nie było „rzeczywiste”.

Cała scena, także niektórzy z rozbawionych ludzi, była tylko zbiorem symulacji pobranych z pamięci maszyny. Tak samo jak ja, Essie w jej przenośnej formie, oraz Siergiej.

Widzicie, nie musieliśmy przebywać we Wrzecionie, prawdziwym czy nie. Kiedy usiedliśmy, żeby wysączyć nasze drinki, mogliśmy stworzyć dowolne otoczenie, na jakie tylko mieliśmy ochotę. Często to robiliśmy, Essie i ja.

— Gdzie chcesz jeść? — pytała Essie, a ja odpowiadałem: — Czy ja wiem, może Paryż? La Tour d’Argent? Och nie, wiem, mam ochotę na smażonego kurczaka. Może piknik koło Tadż Mahal?

I wtedy nasze systemy obsługi posłusznie wczytywały pliki oznaczone „Tadż Mahal” i „Kurczak smażony” i oto tam byliśmy.

Oczywiście, ani otoczenie ani jedzenie czy picie nie były „rzeczywiste” — ale my też nie. Essie była zapisanym maszynowo analogiem mojej ukochanej żony, która gdzieś tam ciągle żyła — i nadal była moją żoną. Ja byłem zapisem tego, co po mnie zostało, kiedy umarłem przy dość ekscytującej okazji naszego pierwszego spotkania z Heechami. Siergiej był zapisanym Siergiejem, bo on także umarł. Zaś Albert Einstein. . .

Cóż, Albert był czymś zupełnie innym — ale trzymaliśmy go przy sobie, bo strasznie zabawnie zachowywał się na imprezach.

I żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia! Drinki uderzały nam do głowy równie mocno, wędzona ryba była równie tłusta i słona, małe kawałki marynowanych warzyw były równie chrupiące i smaczne. I nigdy nie tyliśmy i nie mieliśmy kaca.

A tymczasem cielesni ludzie. . .

Hm, rzeczywiści ludzie byli czymś zupełnie innym.

Pośród 3 726 weteranów z Gateway, którzy zgromadzili się, by obchodzić setną, rocznicę odkrycia Skały, było mnóstwo cielesnych ludzi. Wielu z nich zaliczałem do dobrych przyjaciół. Wielu innych chętnie bym widział pośród moich przyjaciół, gdyż wszyscy starzy poszukiwacze mają ze sobą coś wspólnego.

Problem z cielesnymi ludźmi polega głównie na próbie prowadzenia z nimi rozmowy. Jestem szybki — działam w czasie gigabitowym. Oni są powolni.

Na szczęście istnieje pewna metoda rozwiązania tego problemu, bo w przeciwnym razie próba rozmowy z tymi powolnymi, mułowatymi ludźmi z krwi i kości, doprowadziłaby mnie do szaleństwa.

Kiedy byłem dzieciakiem w Wyoming, podziwiałem mistrzów szachowych, którzy włóczyli się po parkach i rozkładali swoje wytłuszczone figury na wysmarowanych olejem szachownicach. Niektórzy z nich potrafili rozgrywać symultanicznie dwadzieścia partii, przechodząc od szachownicy do szachownicy. Byłem zachwycony. Jak oni umieli spamiętać za jednym razem dwadzieścia układów, pamiętając każdy ruch, kiedy ja z trudem pamiętałem jeden?

Aż wreszcie załapałem. Oni wcale niczego nie zapamiętywali.

Po prostu przechodzili od jednej szachownicy do drugiej, zajmowali pozycję, patrzyli, jaka jest strategia, robili ruch i przechodzili do następnej. Nie musieli nic zapamiętywać. Ich szachowe umysły pracowały tak szybko, że każdy z nich ogarniał wzrokiem całą sytuację, jeszcze zanim przeciwnik podrapał się w ucho.

Widzicie, tak samo jest ze mną i cielesnymi ludźmi. Nie potrafiłbym znieść rozmawiania z żywą osobą, gdybym w tym samym czasie nie robił jeszcze przynajmniej trzech albo czterech innych rzeczy. Oni tkwili nieruchomo jak pomniki! Kiedy zobaczyłem mojego starego kumpla Frankie Hereirę, oblizywał wargi patrząc, jak jakiś podstarzały dziwak zмага się z butelką szampana. Sam Stuthers właśnie wychodził z toalety i otwierał usta, żeby wykrzyczeć powitanie do jakiejś innej żyjącej osoby w hallu. Nie rozmawiałem z żadnym z nich. Nawet nie próbowałem. Ustawiałem swój obraz i wprawiałem go w ruch, dla każdego po jednym. Potem „odchodziłem”.

Nie chcę przez to powiedzieć, że naprawdę gdzieś się oddalałem — po prostu zajmowałem się czymś innym. Nie musiałem tam być, ponieważ podprogramy doskonale dawały sobie radę z takim pokierowaniem moimi dublerami, żeby jeden podszedł do Sama a drugi do Frankiego, oraz uśmiechaniem się, otwieraniem „moich” ust by przemówiły, kiedy „mnie” zauważyli. Do chwili, aż będę musiał podjąć decyzję w kwestii tego, co chcę powiedzieć i tak zdążę wrócić.

Ale tak już było z cielesnymi ludźmi. Na szczęście dla mojego proggu wytrzymałości na znudzenie, wśród obecnych na przyjęciu było wielu zapisanych maszynowo ludzi (przy czym nie wszyscy z nich byli rzeczywiście ludźmi). Niektórzy z nich byli starymi przyjaciółmi. Inni to ludzie, których znałem, bo byli osobami publicznymi. Wśród nich był Detweiler, który odkrył Świnie Voodoo i Liao Xiechen, który był terrorystą zanim pojawili się Heechowie — wtedy zmienił barwy klubowe. Wydał całą szajkę morderców i zamachowców, zakamuflowaną w amerykańskim programie kosmicznym. Był Harriman, który widział eksplodującą supernową i dał się unieść czołu fali wystarczająco daleko, by zgarnąć premię naukową w wysokości pięciu milionów dolarów, za starych dobrych czasów. Był Mangrove, który wylądował na stacji Heechów orbitującej wokół gwiazdy neutronowej i odkrył, że dziwaczne, malutkie, sterowalne kulki unoszące się wokół

stacji to manipulatory do pobierania próbek, które można posłać na powierzchnię gwiazdy i przynieść stamtąd jakieś jedenaście ton — kawałek wielkości paznokcia — neutronium. Mangrove w końcu umarł z powodu dawki promieniowania, jaką wchłonał transportując ten kawałek, ale to nie przeszkodziło mu w dołączeniu do nas na Pomarszczonej Skale.

Przemieszczałem się więc tunelami na Gateway, szybki jak błyskawica na zachmurzonym niebie i witałem się z setkami starych i nowych przyjaciół. Czasem była ze mną Przenośna Essie. Czasem oddalała się we własnych sprawach. Wierny Albert zawsze pozostawał w pobliżu, ale nie dołączał się do uścisków i powitań. W istocie nie pokazywał się nikomu poza mną, chyba że został zaproszony. Nikt w tej rozchichotanej i rozbuchanej atmosferze, przypominającej imprezę z okazji rocznicy matury albo bal sylwestrowy, nie przejmował się zwykłym programem do wyszukiwania danych, choć był to najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem.

Kiedy więc wróciliśmy do Wrzeciona, do picia z Siergiejem Borbosnojem i zaczęło mnie to wszystko trochę nużyć, wyszeptalem:

— Albert?

Essie rzuciła mi spojrzenie. Wiedziała, co robię. (W końcu to ona napisała ten program, że nie wspomnę o moim własnym). Nie miała nic przeciwko temu; po prostu plotkowała sobie dalej z Siergiejem po rosyjsku. Nie było w tym nic złego, bo rzecz jasna rozumiem po rosyjsku — biegle mówię tym językiem, jak również całym mnóstwem innych, bo w końcu miałem mnóstwo czasu, żeby się ich nauczyć. Denerwowało mnie tylko, że gadają o ludziach, których nie znałem i którzy mnie nic nie obchodzili.

— Wzywałeś mnie, o panie? — zamruczał mi do ucha Albert.

— Nie przymilaj się — odparłem. — Wymyśliłeś już, o co chodzi z Cassatą?

— Nie całkiem, Robinie — rzekł — bo gdybym coś wymyślił, to bez wątpienia szukałbym cię, żeby o tym zameldować. Ale wykryłem kilka ciekawych procesów wynikania.

— No to wynikajmy — szepnąłem, uśmiechając się do Siergieja, gdy ten nalewał mi kolejny kieliszek lodowatej wódki nawet na mnie nie patrząc.

— Postrzegam tu trzy, teoretycznie oddzielne problemy — rzekł Albert, sadowiąc się wygodnie z zamiarem wygłoszenia długiego, zgrabnego wykładu. — Problem związku seminariów prowadzonych przez instytut z WOA, problem manewrów i problem obecności samego generała Cassaty. Możemy dokonać dalszego ich podziału na...

— Nie — szepnąłem — nie możemy. Krótko i zwięźle, Albercie.

— Doskonale. SeminaRIA oczywiście wiążą się bezpośrednio z podstawowym problemem Wroga: w jaki sposób można go rozpoznać poprzez jego sygnatury, oraz w jaki sposób ma on zamiar wpływać na ewolucję wszechświata. Jedyną prawdziwą zagadką jest to, po co WOA wyraża swoją troskę o seminaRIA instytutu,

skoro odbyło się już wiele takich konferencji bez żadnego sprzeciwu ze strony WOA. Wydaje mi się, że to się wiąże z problemem manewrów. Przemawia za tym jeden fakt: od chwili rozpoczęcia manewrów nałożono embargo na wszystkie transmisje z satelity WOA i Kręgu Obserwacyjnego.

— Em... co?

— Embargo, tak, Robinie. Odcięto je. Ocenzurowano. Wydano zakaz. Nie wolno prowadzić żadnych transmisji. Wnioskuje na tej podstawie, że po pierwsze te wydarzenia wiążą się jakoś ze sobą i oba są związane z manewrami. Jak zapewne wiesz, parę tygodni temu na Kręgu miał miejsce fałszywy alarm. Być może nie był to fałszywy alarm... .

— Albercie! Co ty mówisz! — Nie mówiłem zbyt głośno, ale Essie posłała mi zdumione spojrzenie. Uśmiechnąłem się uspokajająco, czy może raczej próbowałem, bo w myśli tej nie było niczego uspokajającego.

— Nie, Robinie — rzekł kojącym głosem Albert — nie mam podstaw do przypuszczeń, że ten alarm nie był fałszywy. Ale może WOA przejmuje się tym bardziej niż ja; to wyjaśniałoby te nagłe manewry, które prawdopodobnie wiążą się z testowaniem jakichś nowych broni... .

— Broni!

Kolejne zdumione spojrzenie Essie. Rzuciłem głośno radosne „Na zdrowie!” i uniosłem kieliszek.

— Właśnie, Robinie — rzekł ponuro Albert. — Zostaje nam więc do wyjaśnienia tylko obecność generała Cassaty. Wydaje mi się, że to dość łatwo wyjaśnić. On cię po prostu pilnuje.

— Nie idzie mu to za dobrze.

— To nie jest do końca prawda, Robinie. Owszem, wydaje się, że w tej chwili generał jest dość zajęty własnymi sprawami. Bierze udział w intymnym spotkaniu z pewną młodą damą i robi to od pewnego czasu. Zanim jednak ukrył się z tą panią, zarządził, by przez najbliższe trzydzieści minut czasu organicznego nie mógł wystartować żaden statek. Sądzę, że najprawdopodobniej skontroluje cię przed upływem tego czasu, a tymczasem nie możesz opuścić asteroidu.

— Cudownie — rzekłem.

— Nie sądzę — poprawił mnie z szacunkiem Albert.

— Nie może tego zrobić!

Albert ściągnął usta.

— Na dłuższą metę to nie — zgodził się ze mną. — Oczywiście w końcu byłbyś w stanie dotrzeć do kogoś postawionego wyżej od niego, kto odwołałby jego rozkazy, gdyż ciągle — w pewnym stopniu — istnieje cywilna kontrola nad Służbą Wspólnej Obserwacji Asasynów. Obawiam się jednak, że póki co asteroid jest odcięty.

— Drań!

— Zapewne tak jest w istocie — uśmiechnął się Albert. — Pozwoliłem sobie powiadomić instytut o tej sytuacji i niewątpliwie zareagują — obawiam się jednak, że z organiczną prędkością. — Zamilkł. — Coś jeszcze? Czy mam kontynuować śledztwo?

— Kontynuuj, szlag by to!

Pokręciłem się przez chwilę w gigabitowej przestrzeni, próbując się uspokoić. Kiedy doszedłem do wniosku, że przynajmniej z grubsza jestem w stanie rozmawiać, dołączyłem do Essie i Siergieja Borbosnoja w ich symulacji baru Błękitne Piekiełko. Essie rzuciła mi przyjazne spojrzenie w środku długiej opowieści, po czym utkwiała we mnie wzrok.

— Hej — rzekła — znów coś cię zmartwiło, Robinie?

Opowiedziałem jej, czego się dowiedziałem od Alberta.

— Drań — odparła, utwierdzając mnie w mojej własnej diagnozie, a Siergiej jej zawtórował — Niekulturny, ten tam.

Essie z uczuciem ujęła moją dłoń.

— Mimo wszystko, Robinie — rzekła — w tym momencie to nie jest takie ważne, zgadzasz się ze mną? I tak nie mieliśmy zamiaru wychodzić z imprezy przez jakiś czas.

— Tak, ale żeby go pokręciło...

— On już jest wystarczająco pokręcony, kochany Robinie. Napij się. Dobrze ci to zrobi.

Spróbowałem więc.

Nie zadziało. Nie bawiło mnie też słuchanie gadania Essie i Siergieja.

Zrozumcie, lubiłem Siergieja. Nie dlatego, że był przystojny. Bo nie był. Siergiej Borbosnoj był wysoki, trupioblady, łysiejący. Miał pełne uczucia oczy Rosjanina i w solidny, systematyczny, rosyjski sposób pochłaniał olbrzymie ilości zmrożonej wódki, za każdym razem w objętości mniej więcej betoniarki. Ponieważ on też już nie żył, mógł to robić dowolnie długo i nie upijał się bardziej, niż sam tego chciał. A jednak, zdaniem Essie, miał tę samą właściwość, kiedy oboje studiowali w Leningradzie i byli jeszcze cielesnymi ludźmi. Coś takiego może zapewnić świetną zabawę, no pewnie, jeśli jesteś studentem — zwłaszcza jeśli jesteś Rosjaninem. Mnie to nie bawiło.

— Jak wam leci? — spytałem radośnie i wtedy zauważyłem, że przestali gadać i wpatrywali się we mnie. Essie wyciągnęła dłoń i z uczuciem pogładziła mnie po głowie.

— Hej, Robin, staruszku. Te wszystkie wspomnienia z dawnych lat nie są dla ciebie szczególnie ciekawe, co? Czemu się trochę nie rozejrzysz?

— Wszystko w porządku — odparłem kłamliwie, ale ona tylko westchnęła i powiedziała: — Idź.

Więc poszedłem. Musiałem sobie coś spokojnie przemyśleć.

Niełatwo mi opowiedzieć, o czym takim miałem pomyśleć gdyż — bez urazy — rzeczywiście ludzie nie są w stanie przyjąć takiej liczby rozmaitych problemów jakie my, zapisane maszynowo osobowości, korzystające z podziału czasu, mogą przepuścić przez głowę — to jest, „głowę” — za jednym razem.

Co doprowadziło mnie do tego, że uświadomiłem sobie pewien błąd.

Cieleśniacy nie są zbyt dobrzy w żonglowaniu zbyt wieloma myślami. Nie radzą sobie zbyt dobrze z przetwarzaniem równoległym, są liniowi. I powinienem pamiętać o tym, że kiedy rozmawiam z cielesnymi ludźmi muszę brać na to poprawkę.

A zatem próbując już trzy razy wymyślić, od czego zacząć, doszedłem do wniosku, że powinienem od opowiedzenia wam o dzieciach mieszkających na Kręgu Obserwacyjnym.

Rozdział 2

Krąg Obserwacyjny

Musimy odrobinę cofnąć się w czasie. W rzeczywistości, niezbyt daleko. A przynajmniej niezbyt daleko w pojęciu cielesnych ludzi; obawiam się, że ani trochę nie tak daleko, jak musielibyśmy się cofnąć przy innych rzeczach. Zaledwie parę miesięcy.

Muszę opowiedzieć wam o Apsiku.

Apsik miał osiem lat — licząc wedle jego osobistej miary czasu, która jest inna od wszystkich pozostałych miar czasu, o których wspomnieliśmy. Jego prawdziwe imię brzmiało Sternutator. Było to imię Heechów, w czym nie ma nic dziwnego, bo był on małym Heechem. Miał pecha (albo szczęście) urodzić się jako dziecko pary Heechów będących specjalistami w różnych użytecznych dziedzinach, którzy akurat pełnili służbę gdy okazało się, że Heechowie nie mogą już dalej ukrywać się przed całym światem. Cały tłum personelu Heechów trwał w pogotowiu na tę właśnie okazję. Zbiorowe umysły Czcigodnych Przodków Heechów uznały, że zaistniała właśnie potrzeba, by natychmiast rozesłano dyżurne załogi Heechów po całą galaktyce. Mały Sternutator poleciał z nimi.

„Sternutator” nie było może najlepszym imieniem dla dziecka w wieku szkolnym, przynajmniej nie w przypadku, gdy większość jego kolegów z klasy była ludźmi. W języku Heechów słowo to oznaczało coś w rodzaju akceleratora cząstek, z grubsza zbliżonego do lasera, w którym cząstki były „łaskotane” (czy, dokładniej rzecz ujmując, stymulowane), aż następowała ich emisja w postaci jednego, wielkiego, potężnego wybuchu. Chłopiec popełnił błąd, tłumacząc kolegom swoje imię dosłownie i oczywiście wskutek tego nazwali go Apsikiem.

Czy raczej — robiła to większość z nich. Harold, dziewięcioletni ludzki cwaniaczek, który siedział obok niego na lekcji Koncepcji, powiedział, że owszem, tak miał na imię jeden z siedmiu krasnoludków, ale rodzice wybrali sobie niewłaściwego krasnoludka, żeby nazwać chłopca jego imieniem.

— Jesteś za głupi, żeby być Apsikiem — rzekł Harold podczas przerwy w grze, kiedy to mały Sternutator pokonał go w grze z pszczołą rozpoznawania

wzorców. — Tak naprawdę, to jesteś Gapciem. Po czym odbił się od trampoliny i popchnął Apsika tak, że ten przeleciał w stronę robota instruktora tai-chi. Na szczęście dla nich obu. Zabawobot zareagował natychmiast, łapiąc bezpiecznie małego Heecha swoimi miękkimi ramionami. Apsikowi nie stała się krzywda, a Harold nie stracił przerwy w grze.

Zabawobot na drugim końcu boiska nawet nie zauważył, co się stało. Robot do tai-chi doprowadził Apsika do stanu używalności i uprzejmie poprawił zasobnik wiszący między jego nogami i zaszeptał mu do ucha w języku Heechów:

— On jest tylko dzieckiem, Sternutatorze. Kiedy będzie starszy, będzie tego żałował.

— Ale ja nie chcę, żeby oni nazywali mnie Głupkiem! — zaszlochał chłopiec.

— Nie będą cię tak nazywać. Nikt nie będzie. Z wyjątkiem Harolda, ale on też kiedyś za to przeprosi. — I ściśle rzecz biorąc, ta część wypowiedzi zabawobota była prawdziwa. Czy prawie prawdziwa. Z jedenaściorga dzieci w klasie niewielu lubiło Harolda. Nikt go nie naśladował, z wyjątkiem pięciolatki imieniem Giętka Gałąż, i tylko przez chwilę. Giętka Gałąż była Heechem, i to bardzo małym. Zwykle robiła co mogła, żeby zdobyć akceptację ludzkich dzieci. Kiedy jednak odkryła, że dzieci nie naśladowują Harolda, zmieniła postępowanie.

Małemu Apsikowi nic się więc nie stało, z jednym wyjątkiem — kiedy tego wieczora powiedział o wszystkim rodzicom, zareagowali oni odpowiednio: złością i rozbawieniem.

Rozzłoszczonym rodzicem był jego ojciec, Bremsstrahlung, który wziął swojego szkieletowatego syna na kościste kolano i wyszczał:

— Mam już tego dość! Mam zamiar ukarać szkolbota za to, że dopuścił do tego, by ten otłuszczony sadysta znęcał się nad naszym synem!

Rozbawionym rodzicem była matka, Femtofala.

— Gorsze rzeczy przytrafiały mi się w szkole, Bremmy — rzekła — a to było przecież jeszcze w Domu. Pozwólmy małym chłopcom toczyć własne wojny.

— Heechowie nie toczą wojen, Femtofalo.

— Ale ludzie to robią, Bremmy i przypuszczam, że będziemy musieli się od nich tego nauczyć — och, w niedestruktywny sposób, oczywiście. — Odłożyła lśniący, emitujący światło instrument, który badała, gdyż przyniosła robotę do domu z biura. Zaczęła iść — przypominało to raczej ślizganie się niż chodzenie, z powodu niskiej grawitacji, jaka panowała na Kręgu — przez pokój by podnieść Apsika z kolan ojca. — Nakarm chłopca, mój drogi — rzekła z rozbawieniem — a zapomni o całej aferze. Bierzesz to bardziej poważnie niż on.

Femtofala zyskała więc pięćdziesiąt procent na tej wymianie. Miała rację mówiąc, że jej partner przejmował się tym o wiele bardziej niż ich syn. (Rzeczywiście, następnego dnia Bremsstrahlung otrzymał nagane, kiedy siedział w Fotelu Snów, gdyż nadal był poirytowany. To sprawiło, że jego umysł poszybował w kierunku małego ludzkiego cwaniaczka, kiedy powinien był pozostać pusty. To było

zakazane. Oznaczało, że Bremsstrahlung nadawał więcej pozostałości po zdenerwowaniu niż sam mógł poczuć — w końcu zadaniem specjalistów siedzących na Fotelach Snów było nieodczuwanie niczego przy jednoczesnym maksymalnym nastawieniu się na odbiór wszelkich uczuć, jakie mogły napłynąć za pośrednictwem Fotela).

Femtofala pomyliła się jednak w drugiej ocenie. Apsik nigdy o tym nie zapomniał.

Być może nie zapamiętał tego właściwie. Uderzyło go bynajmniej nie to, że ludzie czasem ze sobą walczyli, ale fakt, że walka nie zawsze odbywała się za pomocą tych olbrzymich bulwiastych pięści albo wielgaśnych napuchniętych stóp. Potrafili zranić kogoś przy użyciu słów.

* * *

Znowu zrobiłem coś nie tak? Czy nie powinienem był wyjaśnić najpierw, jaki jest cel powstania Kręgu? Cóż, lepiej późno niż wcale. Cofnijmy się znów odrobinę i rozplączmy ten kłębek.

Kiedy pierwszy Heech, który nie był w stanie zapanować nad swoim przeznaczeniem (nazywał się Kapitan) spotkał pierwszą istotę ludzką (która nazywała się Robinette Broadhead, bo byłem to ja), dziecko imieniem Sternutator znajdowało się na dyżurnym statku w jądrze galaktyki wraz z rodzicami. Tęskniło za domem. „Dom” oznaczał przytulne niewielkie miasteczko zamieszkałe przez osiem do dziesięciu milionów Heechów na planecie krążącej wokół pomarańczowo-żółtej malutkiej gwiazdy w czarnej dziurze, która była jądrem galaktyki. Apsik wiedział co to oznacza, już w wieku trzech lat. Wiedział, że jego rodzina przebywa na tym statku dlatego, że może nadejść taki dzień, kiedy będą musieli rzucić wszystko, przebić się przez granicę Schwarzschilda i ponownie ujrzeć zewnętrzne gwiazdy.

Oczywiście miał nadzieję, że akurat jemu się to nie przytrafi. Każdy tak myśli. Kiedy jego rodzina została oddelegowana na Krąg Obserwacyjny, Apsik dopiero wtedy poznał, czym jest prawdziwa tęsknota za domem.

Cel istnienia Kręgu był prosty.

Było to miejsce, gdzie zamontowano Fotele Snów.

Fotele były wynalazkiem Heechów, na który natknęliśmy się jeszcze zanim spotkaliśmy żywego Heecha. Heechowie używali ich (między innymi) do obserwowania planet, na których mogło kiedyś rozwinąć się inteligentne życie, ale jeszcze się to nie stało — jak nasza własna planeta paręset tysięcy lat temu, kiedy Heechowie przybyli na Ziemię po raz ostatni.

Sygnaly „snów” nie były wcale snami. Zasadniczo były to emocje. Heech (albo człowiek), zamknięty w Fotelu Snów stanowiącym pajęczynową antenę z lśniącego metalu, odczuwał to, co czuli inni — nawet kiedy nadawcy byli daleko od niego. Przynajmniej „daleko” na odległości międzyplanetarne. W przypadku odległości galaktycznych już nie były użyteczne. Działo się tak, gdyż Fotele Snów wykorzystywały siłę elektromotoryczną. Były ograniczone prędkością światła i podlegały prawu odwrotności kwadratów, więc efektywny zasięg Foteli Snów wynosił zaledwie miliardy kilometrów, a nie biliony bilionów, które oddzielały jedną gwiazdę od drugiej.

Praca Bremsstrahlunga i innych operatorów Foteli Snów, zarówno ludzi, jak i Heechów, polegała na tym, by być oczami i uszami Kręgu. Ich zadanie polegało na monitorowaniu najważniejszego obiektu w kosmologii ludzkiej i Heechów, a mianowicie kugelblitzu, który rozpościerał się poza galaktyczną aureolą. W samej galaktyce nie było punktu, który byłby dość blisko, żeby go użyć do tego celu. Zbudowano więc Krąg i przetransportowano go na pozycję odległą jedynie o sześć jednostek astronomicznych od kugelblitzu, na samotny punkt w międzygalaktycznej pustce.

Był to, jak wszyscy zgodnie orzekli, rozsądny sposób. Prawdą było, że jeśli coś w końcu zacznie się dziać wokół kugelblitzu, a obserwatorzy odbiorą sygnały, których tak się obawiali, stanie się to jakieś czterdzieści minut po samym zdarzeniu, gdyż właśnie tyle zajmie sygnałowi poruszającemu się z prędkością światła pokonanie odległości równej sześciokrotnemu dystansowi między Ziemią a Słońcem (a właśnie to oznacza określenie „jednostka astronomiczna”, tępaki).

Istniał również mały cień niepewności w kwestii tego, czy w takim wypadku Fotele Snów w ogóle cokolwiek wyłapią.

Koniec końców, uzgodniono, że model Foteli Snów, jaki pierwotnie stosowali Heechowie, nie będzie wykazywał żadnej wrażliwości na, powiedzmy, maszynowo zapisane inteligencje, jak mój własny Albert Einstein; wykonanie tego zadania było możliwe dopiero po tym, jak trochę pogrzebali w problemie tacy fachowcy, jak Essie. Czy był zatem powód by wierzyć, że będą one w stanie wykryć całkowicie nieznane sygnatury istniejące w teorii Asasynów?

Nie istniało nic, co pozwoliłoby rozwiązać ten problem.

Z kolei, z dużą pewnością można było stwierdzić, że nic nie działo się wokół kugelblitzu przez ostatnich parę milionów lat, więc trzy kwadransy w tę czy w tę, nie będą sprawiały żadnej różnicy.

Następnego dnia rano Apsika obudził głos dombota na ścianie, mówiącego w języku Heechów:

— Dzień Alarmu, Sternutorze, Dzień Alarmu. Obudź się, mamy Dzień Alarmu! — Dombot powtarzał ten komunikat, aż Apsik wysunął się z ciepłych objęć workowatego hamaka i wtedy jego głos odrobinę złagodniał: — Dzień Alarmu, Sternutorze, ale to zaledwie Alarm Drugiej Klasy. Szkołę dziś odwołano.

Tak dla Apsika złe wieści zmieniały się w dobre! Zawiesił pojemnik między kościstymi nogami, wciągnął na siebie resztę ubrań i zadzwonił do Harolda — gdyż chłopcy nie zawsze się kłócili — kiedy oliwił zęby.

— Pójdziemy popatrzeć, jak przylatuje statek? — zaproponował Apsik, zaś Harold, trąc rozspane oczy, ziewnął i odparł.

— Pewnie, rusz swój mały tyłek, Gapciu. Bądź za dziesięć minut na rogu sali szkolnej.

Ponieważ był to Dzień Alarmu, rodzice Apsika udali się już na swoje stanowiska, ale ich obowiązki przejął dombot. Błagał Apsika, by ten zjadł śniadanie (tylko nie dziś! ale zmusił go do wzięcia kanapki i zjedzenia jej po drodze) i nalegał, by wziął kąpiel powietrzną (ale poprzedniego dnia wieczorem przecież się wykapał, a nawet ojciec nie był aż tak surowy, gdy szło o higienę). Apsik zamknął mieszkanie na wyraźne żądanie dombota i pobiegł przez korytarze Kręgu, ciche z powodu Alarmu, w kierunku sali szkolnej.

Kiedy Harold nie próbował rządzić, a Apsik nie był ostentacyjnie rozdrażniony, chłopcy bywali przyjaciółmi.

Nie stało się to od razu. Harold był pierwszą ludzką istotą, jaką zobaczył Apsik, zaś Apsik był pierwszym Heechem, którego ujrzał Harold. Wygląd każdego z nich był odpychający dla drugiego. Dla Apsika Harold był tłusty, nadęty, potężnie opuchnięty — trochę jak zwłoki, które leżały w wodzie przez tydzień. Dla Harolda Apsik wyglądał jeszcze gorzej.

Heechowie przypominają ludziom człowieka, który umarł na pustyni i wyschł na wiór. Apsik miał ramiona i nogi jak człowiek, ale prawie nie miał na nich ciała. No i, rzecz jasna, miał ten śmieszny zasobnik. Że nie wspomnę o lekkim zapachu amoniaku, jaki Heechowie przez cały czas roztaczali wokół siebie.

Przyjaźń na początku nie była niczym intuicyjnym. Z drugiej strony, wielkiego wyboru nie mieli. Na całym Kręgu było mniej niż pięćdziesięcioro dzieci, a dwie trzecie z tego przebywało w innych szkołach rozmieszczonych po całym pierścieniu. Więc ich wybór przyjaciół był dość ograniczony. Niemowlęta, sześciolatki i młodsze oczywiście się nie liczyły. Prawie dorosłe nastolatki liczyły się jak najbardziej, tego możemy być pewni — i Apsik oraz Harold daliby się pociąć, żeby pozwolono im się powłóczyć z którymś z nich — ale oczywiście oni również nie mieli ochoty na zadawanie się z dziećmi.

Mogli udać się do jednego z pozostałych sektorów. Już w wieku ośmiu lat Apsik robił to wielokrotnie, sam albo z kolegami z klasy. Ale w innych sektorach nie było nic, czego nie można by znaleźć w jego własnym sektorze, a tamtejsze dzieci były nieznanymi.

Nie istniały żadne zakazy, które uniemożliwiłyby Apsikowi chodzenie, gdzie mu się podobało, z towarzyszami lub bez nich — jeśli nie liczyć zakazanych kabin na zewnętrznym obwodzie Kręgu, gdzie znajdowały się nieustannie obsadzone załogą Fotele Snów. Apsikowi nie zabraniano bawić się w niebezpiecznych miej-

scach, bo takowych nie było. Na olbrzymim Kręgu Obserwacyjnym były oczywiście miejsca, gdzie bez uprzedzenia uwalniano olbrzymie ilości niebezpiecznej energii — emisje sygnałów, regulacja obrotów, przemieszczanie masy — ale na Kręgu nie zdarzały się wydatki energetyczne, które nie byłyby w stały sposób monitorowane przez niezamordowane maszynowe inteligencje, a dość często przez zapisane osobowości zmarłych Heechów i ludzi. No i rzecz jasna nie było żadnych niebezpieczeństw związanych z ludźmi. Na Kręgu nie było kidnaperów ani gwałcicieli. Nie było niezabezpieczonych studni, do których można wpaść ani lasów, w których można się zgubić. Tu i ówdzie były niewielkie zagajniki, ale nawet ośmiolatek potrafił bez problemu wydostać się choćby z samego środka każdego z nich. Gdyby któreś dziecko zgubiło się choćby na chwilę, wystarczyło, że spytało o kierunek najbliższego pracobota, a ten udzielał wskazówek albo odprowadzał je na miejsce. To znaczy, coś takiego zrobiłoby ludzkie dziecko. Heech, jak Ap-sik, nie musiał nawet szukać pracobota, bo mógł po prostu spytać Czcigodnych Przodków w swoim zasobniku.

Krąg obserwacyjny był w rzeczywistości tak bezpieczny, że większość dzieci, a czasem nawet niektórzy dorośli, którzy tam pracowali, zapomniała o głównym niebezpieczeństwie, którego wypatrywali.

Należało im więc o tym przypominać. Nawet dla dzieci organizowano często alarmy — szczególnie dla dzieci, gdyż jeśli obserwatorzy w Fotelach Snów mieli znaleźć to, czego wypatrywali, a pewnego dnia pewnie tak miało się stać, dzieci musiałyby zatroszczyć się o siebie. Nikt z dorosłych nie byłby w stanie zająć się nimi. Nawet pracoboty byłyby zajęte, gdyż ich programy zostałyby natychmiast przestawione na analizę, transmisję i przechowanie danych. Dzieci musiałyby znaleźć odpowiednie miejsce, żeby się ukryć — tak naprawdę, żeby nikomu nie przeszkadzać — i pozostać tam, aż ktoś im powie, że niebezpieczeństwo minęło.

Podobne rzeczy już się kiedyś zdarzały. W połowie dwudziestego wieku dzieci w wieku szkolnym w Ameryce i Związku Radzieckim musiały nauczyć się chować pod ławkami, leżeć spokojnie i założyć ręce na tył głowy oraz pocić się ze strachu — jeśli nie umiały zrobić którejś z tych rzeczy, a nauczyciele tłumaczyli im, że bomby atomowe usmażają je na skwarki. W przypadku dzieci na Kręgu Obserwacyjnym stawka była wyższa. Mogły nie tylko stracić własne życie. Gdyby sprawiały problemy, wszystko mogło zostać stracone.

Kiedy więc ogłaszano alarm, one też pociły się ze strachu.

A przynajmniej tak było w większości wypadków. Ale od czasu do czasu ogłaszano Alarm Drugiej Klasy.

„Klasa Druga” oznaczała, że należy zachować jedynie rutynowe środki ostrożności, gdyż nadlatywał statek z zaopatrzeniem. Alarm Drugiej Klasy wcale nie był przerażający — przynajmniej jeśli nie przemyślało się wszystkiego dokładnie. (Jeśli się to zrobiło, można było przestraszyć się myśli, że Krąg Obserwacyjny musiał zawiesić wszystkie swoje normalne działania, a na Fotelach Snów

sadzano dodatkowych obserwatorów, aby upewnić się, że nic nie chcianego nie pojawi się zamaskowane jako najbardziej upragniony przybysz, czyli statek z zapatrzaniem).

Zajęcia szkolne nie odbywały się w dni, kiedy nadlatywał statek. Na Kręgu nie wykonywano też innych prac (z wyjątkiem dyżurów w Fotelach Snów), bo wszyscy byli zbyt zajęci dokowaniem statku. Rodziny, które już zakończyły służbę i miały zostać zluzowane, pakowały się i zbierały w dokach, żeby jak najszybciej zobaczyć statek, który zabierze je z powrotem do przyjemnie nęcącego zbiorowiska gwiazd zwanego Galaktyką. Wszyscy pozostali nie mogli się zaś doczekać, żeby obejrzyć wyładowanie zapasów ze statku i nowy personel.

Apsik zdążył już zjeść kanapkę, zanim dotarł do rogu sali szkolnej i Harold już na niego czekał.

— Spóźniłeś się, Gapciu! — warknęło ludzkie dziecko.

— Jeszcze nie było komunikatu, że statek jest widoczny — przypomniał Apsik — więc na nic się nie spóźniliśmy.

— Nie kłóć się ze mną! Tylko dzieci tak robią. Chodź.

Harold szedł pierwszy. Uważał, że ma do tego prawo. Był nie tylko starszy od Apsika (przynajmniej licząc jego czas osobisty, bo jeśli wziąć pod uwagę wielki, nieustannie się poszerzający zegar wszechświata, Apsik urodził się kilka tygodni przed pra-pra-pradziadkiem Harolda), ale też przewyższał go masą w proporcji trzy do jednego, czterdzieści kilogramów Harolda w porównaniu z piętnastoma w przypadku małego, chudego jak szkielet chłopca z rasy Heechów. Harold Wroczek był wysokim chłopcem o jasnych włosach i oczach koloru jagód. Ale nie był o wiele wyższy od Apsika, którego pobratymcy według ludzkich pojęć byli nienormalnie wychudzeni i wysocy.

Harolda złościło jeszcze jedno — to mianowicie, że w jeszcze jednym punkcie mylił się co do Apsika. Pod wysuszoną, skórzastą powłoką Heechów kryły się potężne mięśnie i ścięgna. Choć Harold próbował wspinać się po uchwytych na poziom doków możliwie najszybciej, Apsik bez problemu za nim nadążał. Znalazł się na szczycie drabiny przed Haroldem, więc Harold wydyszał do niego:

— Uważaj, Gapciu! Nie włącz w drogę pracobotom!

Apsik nie zadał sobie trudu by odpowiedzieć. Nawet dwulatek na Kręgu nie byłby na tyle głupi, żeby przy takiej okazji wejść komuś w drogę. Statki przylatywały tylko cztery lub pięć razy w roku standardowym. Nie zostawały dłużej niż to konieczne. Nie mogły i nikt nie ośmieliłby się ich zatrzymać.

Kiedy tylko chłopcy znaleźli się w olbrzymiej, przypominającej kształtem wrzeciono przestrzeni Doku 2, cofnęli się pod ścianę tak daleko, jak się dało, wystarczająco daleko od biegnących nosibotów i dorosłych, którzy przyszli popatrzeć na przylot statku.

Wszystkie doki cumownicze, w tym Dok 2, znajdowały się w środku Kręgu. Jego zewnętrzny pancierz był w tym miejscu przezroczysty, ale jeszcze nie było

przez niego nic widać z wyjątkiem wewnętrznej krzywizny samego Kręgu, z dwoma innymi dokami cumowniczymi, takimi samymi jak ten, gdzie się znajdowali, pojawiającymi się w ich polu widzenia.

— Nie widzę statku — poskarżył się Harold.

Apsik nie odpowiedział. Harold nie mógł zobaczyć statku, gdyż ten zbliżał się ciągle z prędkością większą od prędkości światła, ale Harold już wielokrotnie wyjaśniał Apsikowi, że nie znosi durnego zwyczaju Heechów polegającego na udzielaniu wszystkim odpowiedzi na pytania, które odpowiedzi wcale nie wymagały.

Dostawy na Krąg odbywały się praktycznie w jedną stronę — nie dotyczyło to tylko ludzi. Załogi złożone z ludzi i Heechów były odsyłane, kiedy zakończyła się ich służba. Zwykle trwało to trzy standardowe ziemskie lata. Wtedy wracali do Galaktyki i do swoich domów, gdziekolwiek by one były. Przeważnie udawali się na Ziemię, niektórzy na planetę Peggy, inni do któregoś z habitatów. (Nawet Heechowie przeważnie udawali się na jakąś planetę czy miejsce zamieszkałe przez ludzi, a nie do swoich prawdziwych domów w jądrze Galaktyki, częściowo z powodu wydłużenia czasu, a częściowo dlatego, że na zewnątrz istniało duże zapotrzebowanie na Heechów, o takiej czy innej specjalności). Zaopatrzenie zaś nigdy nie wracało. Maszyny, przyrządy, części, materiały rekreacyjne, wyposażenie medyczne, pożywienie — to wszystko zostawało. Kiedy jakieś pozycje zostawały zużyte, zepsute lub niemodne, były powtórnie przetwarzane lub po prostu składowane jako dodatkowa masa Kręgu. Dodatkowa masa była bardzo przydatna. Im większą masę miał Krąg, w tym mniejszym stopniu oddziaływały na niego ruchy mające miejsce wewnątrz i mniejsza energia była potrzebna do utrzymania jego ruchu wirowego w stanie nie zakłóconym.

Nosiboty przenoszące ładunki miały niewiele do roboty kiedy statek dopiero nadlatywał, poza przyniesieniem rzeczy osobistych załogi opuszczającej Krąg. Nie było tego zbyt wiele — wymieniano zaledwie osiem rodzin.

Rozległ się łagodny dźwięk; statek znajdował się już w normalnej przestrzeni.

Dowodzący dokami stał przy swoich ekranach i pulpitych; sprawdził odczyty i zawołał:

— Światła!

To nie był rozkaz. Był to uprzejmy gest wobec publiczności, żeby wiedziała, co się dzieje; faktycznie wygaszenie świateł, jak zresztą wszystko inne co się działo, było sterowane czujnikami i programami cumowniczymi.

Światła w Doku 2 zgasty. W tej samej chwili dało się zobaczyć przez pancerz światła na pozostałej części Kręgu.

I wtedy Apsik zobaczył niebo.

Nie było zbyt wiele do oglądania. Nie było tam żadnych gwiazd. Jedyne gwiazdy, które były wystarczająco jasne, by zobaczyć je z Kręgu, to były gwiazdy naszej własnej Galaktyki, a oczy naszych bohaterów nie były tam skierowane.

W polu widzenia były inne galaktyki w liczbie setek milionów, ale tylko parędziesiąt z nich było obiektami, które można oglądać nie uzbrojonym okiem, a nawet te były jedynie bladymi, malutkimi smugami światła przypominającymi świetliki.

Kiedy Krąg obrócił się powoli w swym nieskończonym kręceniu, najbardziej wysunięte na zachód smugi znikły z pola widzenia, a wśród obserwatorów rozległ się pomruk.

Błada bezbarwna iskierka światła, którą trudno było dojrzeć, ale oczy bolały, kiedy się już zobaczyło... i nagle, jakby ktoś bez ostrzeżenia wrzucił na ekran inny slajd, pojawił się statek.

Statek zaopatrzenia był olbrzymi, przypominał wrzeciono o długości 800 metrów. Jego kształt informował, że tym razem był to prawdziwy statek Heechów, a nie nowy statek zbudowany przez ludzi. Apsik poczuł przypyły dumy. Nie miał nic przeciwko ludzkim statkom, które zwykle miały kształt torpedy albo prostego cylindra. Jak wszyscy wiedzieli, kształt przy podróżach międzygwiazdnych nie miał żadnego znaczenia. Równie dobrze mogły przybrać kształt kuli, sześcianu czy chryzantemy; kształt był jedynie zachcianką projektanta. Większość statków zaopatrzenia, które odwiedzały Krąg Obserwacyjny, była wykonana przez ludzi i obsadzona ludzką załogą — zwykle wypełnione były także ludzkimi rekrutami, więc ten niewielki ułamek załogi Kręgu, jaki stanowili Heechowie, pozostawał nadal w mniejszości.

Statek Heechów może oznaczać przyjazd Heechów, żeby trochę poprawić ten bilans! Coś takiego przyszło do głowy Apsikowi...

Niestety, nie tym razem.

Wielkie wrzeciono zatrzymało się w objęciach Kręgu. Jego kurs na zbliżeniu przypominał spiralę. Zaczął się obracać, by dostosować się do powolnych obrotów Kręgu, zanim więc jego cuma zetknęła się ze śluzą Doku 2, oba obiekty były zsynchronizowane.

Pierścienie zaskoczyły. Śluzy zostały zahermetyzowane. Z rufowej części statku wysunęły się liny i sięgnęły do kabestanów Doków 1 i 3, tam zostały zamocowane i usztywniły statek, czyniąc zeń integralny element struktury Kręgu. Przenośniki masy w tunelach serwisowych zadrżały i sapnęły, dokonując niezbędnych regulacji, by utrzymać równowagę Kręgu po dodaniu nowej masy. Harold potknął się, stracił równowagę, kiedy podłoga zaczęła przesuwac się pod nimi. Apsik złapał go, ale Harold go odepchnął.

— Martw się o siebie, Gapciu — polecił mu.

Wtedy jednak statek był już bezpiecznie zacumowany i zaczęły się z niego wysypywać cuda.

Nosiboty wkroczyły do akcji jako pierwsze, biegnąc do śluz towarowych i wyrzając się z nich ze skrzyniami, belami, różnymi artykułami wyposażenia i maszynami. Większości z nich nie dało się zidentyfikować na pierwszy rzut oka, ale

w doku ładunkowym rozeszły się nagle cudowne zapachy, kiedy roboty zaczęły wyładowywać skrzynie świeżych owoców, brzoskwini, pomarańczy i jagód.

— O rany! Niesamowite! Popatrzcie na te banany! — wrzasnął Harold, gdy tragarz zszedł z rampy z uniesionymi czterema kończynami górnymi, w każdej trzymając kiść niedojrzałych owoców. — Ale bym chciał zjeść takiego od razu!

— Nie należy ich jeść dopóki nie zrobią się żółte — oświadczył Apsik, dumny ze swojej wiedzy na temat dziwnego ludzkiego jedzenia. Harold rzucił mu mordercze spojrzenie.

— Wiem o tym. Chciałem tylko powiedzieć, że mam ochotę zjeść go teraz. Albo trochę tych, jak one się tam nazywają, takich jagód.

Apsik pochylił się, żeby chwilę poszeptać do swojego zasobnika, po czym wyprostował się.

— To są truskawki — oświadczył. — Też bym chętnie kilka zjadł.

— Truskawki — wyszeptał Harold. Już dużo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz jadł truskawki. Na Kręgu hodowano lub wytwarzano większość potrzebnej żywności, ale nigdzie nie natknął się na grządkę z truskawkami. Łatwo było wyprodukować jedzenie o smaku truskawkowym — albo o dowolnym innym smaku, jaki można było sobie wyobrazić — pożywienie CHON można było dowolnie modyfikować. Ale chrupkość, konsystencja, zapach — nie, zawsze była jakaś różnica między pożywieniem CHON a prawdziwym żarciem, a polegała głównie na tym, że prawdziwe żarcie było cudowne. Chłopcy ostrożnie prześliznęli się bliżej skrzynek z owocami i zaczęli głęboko oddychać. Między skrzynkami a ścianą doku była pewna przestrzeń, z daleka od szlaku nosibotów, gdzie chłopcy mogli łatwo się zmieścić, a nie było to możliwe w przypadku jakiegokolwiek dorosłego. — To są chyba maliny — powiedział Harold gapiąc się przez sterty sałaty, marchewki i dojrzałych, szkarłatnych pomidorów. — I patrz, czereśnie!

— Najbardziej chciałbym zjeść trochę truskawek — rzekł tęsknie Apsik, a nosibot, delikatnie odstawiając skrzynkę oznakowaną naklejką „Instrumenty, ostrożnie!” zatrzymał się, jakby nasłuchując. Tak było w istocie. Usłyszał. Dwa z jego długich, wysuwanych ramion wyciągnęły się w stronę skrzynek z truskawkami, otworzyły jedną z nich, wyciągnęły mały koszyk z owocami, zamknęły skrzynkę i zawisły, podając koszyk Apsikowi.

— Ojej, dziękuję! — powiedział Apsik, zaskoczony, lecz uprzejmy.

— Proszę bardzo, Sternutatorze — rzekł nosibot w języku Heechów. Apsik podskoczył.

— O! Czy ja cię znam?

— Byłem twoim nauczycielem tai-chi — oświadczył nosibot. — Daj trochę Haroldowi. — Po czym odwrócił się i popędził po następny ładunek.

Harold przez chwilę wyglądał na obrażonego, ale odrzucił to uczucie jako niegodne — któż miałby być zazdrosny o awanse niskopoziomowej inteligencji

mechanicznej? Dwaj chłopcy podzielili owoce między siebie, chwytając każdy owoc palcami za krótki zielony ogonek i żując je powoli. Truskawki były wspaniałe. Całkowicie dojrzałe, słodkie, smak spełniający wszelkie obietnice zawarte w wyglądzie i zapachu.

— Za minutkę wyjdą ludzie — ogłosił Harold, żując z zadowoleniem — i z zaskoczeniem zauważył, że Apsik przestał jeść. Oczy małego Heecha były utkwione w statku.

Podążając za wzrokiem Apsika, Harold zobaczył, jak w końcu wynurzają się pierwsi pasażerowie. Było ich gdzieś piętnastu albo dwudziestu, dorośli i dzieci.

Jasne, to było zawsze ciekawe. To był najważniejszy powód ich pobytu w tym miejscu — zobaczyć, jakich to nowych rywali czy kolegów przywiózł im statek. Ale mina na twarzy Apsika wyrażała coś więcej niż ciekawość. Był to gniew albo strach — a przynajmniej zdziwienie, uznał Harold, zły jak zawsze, bo ludziom trudno było rozpoznać wyraz twarzy Heecha. Nowo przybyli wyglądali dla Harolda na dość ludzkich, ale było coś dziwnego w ich sposobie chodzenia, trudno było to dostrzec z tej odległości, ale był jakiś dziwny.

Harold spojrział ponownie i zobaczył coś jeszcze.

Krąg obrócił się o kilka stopni. I nagle, za bryłą statku, z międzygalaktycznej pustki wyłoniło się skupisko plam brudnożółtego światła, które miano obserwować z Kręgu.

Przede wszystkim, światło nie było naprawdę żółte. Spektroskopia wykazała, że ponad dziewięćdziesiąt procent promieniowania wydzielanego przez kugelblitz znajdowało się na zbliżonym do fioleto końca spektrum i jeszcze dalej; ale te częstotliwości były szkodliwe dla oczu ludzi i Heechów. Przezroczysty pancerz został wyposażony w filtr, który je eliminował. Przedostawało się tylko żółte światło.

Harold wyszczerzył się z zadowoleniem.

— Co się dzieje, Gapiu? — spytał z wyższością. — Nagle się wystraszyłeś kugelblitzu?

Apsik zamrugał swoimi wielkimi, różowymi, dziwacznymi oczami.

— Wystraszyłem się kugelblitzu? Nie. O czym tym mówisz?

— Wyglądałeś tak śmiesznie — wyjaśnił Harold.

— To nie jest śmieszne. Jestem wściekły. Spójrz tylko na to! — Apsik pomauchał kościstym ramieniem w kierunku doku. — To jest statek Heechów! A wszyscy pasażerowie noszą zasobniki z Przodkami! Tylko że wszyscy są ludźmi!

Gdyby Harold był dzieckiem Heechów, a nie ludzkim, nie śmiałyby się z kugelblitzu.

Kugelblitz nie był powodem do śmiechu. Kugelblitz był miejscem, gdzie mieszkał Wróg — istoty zwane przez Heechów Asasynami. Heechowie nie nadali im tej nazwy dla żartu. Dla Heechów Wróg nie wiązał się z niczym śmiesznym. Heechowie nie śmiali się z niebezpiecznych rzeczy. Uciekali przed nimi.

Była to jeszcze jedna znacząca różnica między Apsikiem a Haroldem. A potem nagle pojawiła się Oniko, która była jeszcze inna.

Oniko Bakin była jedną z nowo przybyłych. Załoga zmienników, z którą przybyła, liczyła sobie dwudziestu dwóch ludzi i ani jednego Heecha. Czworo z nich było dziećmi, a jednym, które trafiło do szkoły Apsika, była Oniko. Kiedy zjawiła się na lekcji po raz pierwszy, otoczyły ją inne dzieci.

— Ale ty jesteś człowiekiem — zdziwiło się jedno. — Po co nosisz zasobnik Heechów?

— Zawsze tak robiliśmy — wyjaśniła. Potem uprzejmie ich uciszyła, żeby słuchali tego, co mówi szkolbot.

Oniko rzeczywiście była człowiekiem. Ponadto była istotą rodzaju żeńskiego, w wieku Apsika. Jej skóra miała oliwkowy odcień, a oczy były czarne i skośne. Włosy miała proste i czarne, zaś Apsik był dumny z tego, że potrafi ją zidentyfikować jako osobnika przynależącego do podgrupy istot ludzkich zwanej „orientalną”. Mimo to mówiła uniwersalnym angielskim. Ku zdumieniu Apsika, mówiła także językiem Heechów. Mnóstwo ludzi mówiło językiem Heechów, lepiej lub gorzej, ale Oniko była pierwszą napotkaną przez Apsika osobą, która równie dobrze sobie radziła z Językiem Czynów, jak i Językiem Uczuć.

To jednak nie zmniejszyło jego zdziwienia, jakiego doznał na widok istoty ludzkiej noszącej zasobnik.

Na rytmice, pierwszej lekcji, na której Oniko była z nim w szkole, przydzielono ją do Apsika jako partnerkę przy ćwiczeniach na rozciąganie i zginanie. Apsik przyjrzał jej się bliżej. Choć nadal uważał, że jej ciało jest niepokojąco wiotkie, a jej masa zaskakująco duża, spodobał mu się słodki zapach jej oddechu i sposób, w jaki łagodnie wymawiała jego imię — nie „Gapcio”, nie „Apsik”, ale „Sternutator” w języku Heechów. Był rozczarowany, kiedy dombot wywołał ją wcześniej, by udała się dopełnić jakichś formalności związanych z rodzicami, gdyż chciał ją lepiej poznać.

Wieczorem w domu próbował spytać ojca, po co człowiek miałby nosić zasobnik.

— To bardzo proste, Sternny — odparł Bremsstrahlung ze znużeniem. — To była zaginiona ekipa.

Powodem zmęczenia Bremsstrahlunga był fakt, że tego dnia odbył podwójną wachtę. Obowiązywało to wszystkich obserwatorów. Moment przybycia statku na Krąg był uważany za szczególnie niebezpieczny, gdyż w takiej sytuacji pewne zamieszanie było nieuniknione. W takich przypadkach obsadzano wszystkie Fotele Snów i wszyscy obserwatorzy byli na służbie dopóki statek nie odleciał i Krąg był znów bezpieczny. Dla Bremsstrahlunga to była bardzo długa wachta.

— Zaginiona ekipa — wyjaśnił — to grupa ludzkich istot, które kiedyś udały się jakimś naszym statkiem w podróż w jedną stronę. Jeśli chodzi akurat o tych, zapytaj matkę; ona rozmawiała z załogą statku.

— Tylko przez chwilę — zaprotestowała Femtofala. — Myślałam, że będą jakieś wiadomości z domu.

Bremsstrahlung poklepał ją z uczuciem po ramieniu.

— Jakież mogą być wiadomości, skoro oni odlecieli zaledwie... ile to będzie... trzy albo cztery godziny po nas?

Femtofala potwierdziła słuszność tej uwagi ruchem mięśni szyi. Rzekła z rozbawieniem:

— Biedna załoga była ciągle w szoku. Wszyscy byli Heechami. Odlecieli z jądra galaktyki zabierając specjalistów i materiały, które miały być dostarczone na Ziemię, wylądowali tam, zabrali zapasy dla nas, po drodze zatrzymali się, żeby zabrać nowych ludzi z zaginionej ekipy — och, jakie to wszystko musi być dla nich męczące!

— Właśnie — rzekł Bremsstrahlung. — Tak czy inaczej, kiedy ci ludzie dotarli do celu podróży, nie mogli stamtąd odlecieć. Utknęli tam za zawsze.

— Gdyby rzeczywiście utknęli na zawsze — uśmiechnęła się Femtofala — nie byliby tu dziś z nami, Bremmy. — Nie uśmiechała się tak samo, jak ludzie, bo Heechowie mają inną muskulaturę. W rzeczywistości poniżej jej kości policzkowych zawiązał się węzeł mięśni. Naprężone ciało nawet nie drgnęło.

— Wiesz, co mam na myśli — odparł jej mąż. — Tak czy inaczej, Sternutatorze, okazało się, że ta mała grupka, licząca sobie mniej niż stu ludzi, ma bardzo wysoko rozwinięte cechy wrażliwości. — Wypowiedział tę słowa ostrożnie. Oznaczało to, że są szczególnie dobrzy w używaniu Foteli Snów do prowadzenia „nasłuchu” poszukującego oznak zewnętrznej inteligencji, a przecież sam Bremsstrahlung był jedną z najbardziej wrażliwych istot, jakie kiedykolwiek znaleziono. Dlatego właśnie przebywał na Kręgu.

— Czy Oniko będzie pracować na Fotelu Snów? — zapytał Apsik.

— Oczywiście, że nie! Przynajmniej póki nie dorośnie. Wiesz, jak ważne jest, żeby nie tylko odbierać napływające wrażenia. Szczególnie utalentowane dziecko może być w stanie to robić, ale równie ważna jest umiejętność powstrzymania się od nadawania własnych uczuć.

— Ważniejsza — poprawiła go Femtofala. Na jej policzku nie pojawił się węzeł uśmiechu. Nie było się z czego śmiać.

— Ważniejsza, zgoda — rzekł jej mąż. — Jeśli chodzi o to, czy dziecko jest wrażliwe czy nie, w tej chwili nie ma sposobu, żebym mógł się o tym dowiedzieć. Zrobią jej testy. Może już zrobiono, podobnie jak w twoim przypadku, bo na pewno jedno z jej rodziców jest wrażliwe, a tę cechę się dziedziczy.

— Czy to znaczy, że będę pracował na Fotelu Snów, kiedy dorosnę? — zapytał Apsik z zapalem.

— Jeszcze nie wiadomo — odparł jego ojciec. Zastanowił się przez chwilę i dodał ponuro: — Jeżeli o to chodzi, nie wiemy nawet, czy Krąg jeszcze wtedy tu będzie...

— Bremsstrahlungu! — krzyknęła jego żona. — To nie jest temat do żartów! Bremsstrahlung skinął głową, ale nic nie powiedział. Był naprawdę zmęczony. Być może, powiedział sobie w duchu, dlatego wcale nie żartował.

Dla Apsika Oniko stała się wzorcowym przykładem ludzkiej dziewczynki. Przydzielono ją do jego klasy, a szkolbot od razu przedstawił ją innym uczniom.

— Oniko — powiedział — urodziła się w Fabryce Pożywienia, więc nie miała wielu okazji do poznania świata. Proszę więc, żebyście jej pomagali, jak tylko możecie.

Apsik uczynił to z chęcią. Niestety, nie miał zbyt wielu okazji. Nie był jedynym dzieckiem wykazującym silne zainteresowanie nowo przybyłą, a większość pozostałych uczniów, będących ludźmi, radziła z tym sobie znacznie lepiej.

Szkoła Apsika przypominała parterowy, jednopokojowy budynek szkolny z zamierzchłej historii Ameryki. Składała się z jednego pomieszczenia, ale różniła się od tej staroświeckiej szkoły w taki sposób, że nie miała tylko jednego nauczyciela, czy raczej — niezupełnie. Każdy uczeń był nauczany osobno, za pomocą zindywidualizowanego zestawu programów uczących. Szkolbot był jednostką ruchomą. Krążył po całym pomieszczeniu w zależności od potrzeby, głównie w celu utrzymywania dyscypliny i pilnowania, żeby żaden z uczniów nie jadł kanapek w czasie, gdy miał się zajmować rozbiorem zdania. Nie zajmował się nauczaniem. Do tego celu każdy uczeń miał własny kącik.

Kiedy szkolbot skończył liczyć obecnych i sprawdzać przyczyny nieobecności, miotał się po klasie sprawdzając, czy uczniowie mają czyste ręce oraz czy nie wykazują objawów jakiejś choroby — zaś w przypadku najmłodszych uczniów sprawdzał także zapięcia pasów, które zabezpieczały je za pulpitemi do nauki. Nie wspominając już o odprowadzaniu ich do toalety w razie potrzeby i tych wszystkich innych funkcjach niezbędnych w przypadku malutkich dzieci.

Szkolbot był przystosowany do takich zadań. Miał nawet wzbudzący zaufanie wygląd. Miał twarz. W podstawowym ekwipunku szkolbot wyglądał jak niewielka starsza pani w bezkształtnej koszuli. Koszula miała oczywiście funkcję wyłącznie dekoracyjną. Podobnie jak uśmiechnięta twarz. Takie były jego atrybuty fizyczne, gdyż jeśli szkoła akurat nie działała, szkolbot robił inne rzeczy, do których go przeznaczono. Jeśli potrzebna była dalsza pomoc, kiedy na przykład dzieci wymagały zwiększonego nadzoru w porze wykonywania ćwiczeń lub kiedy pojawił się jakiś specjalny problem — szkolbot w miarę potrzeb przydzielał do tego zadania inne sztuczne inteligencje dostępne w zasobach Kręgu.

Apsik odnotował podświadomie, że szkolbot przez większość czasu kręci się koło Oniko, ale był zbyt zajęty wykazywaniem, ku zadowoleniu programu do teorii liczb, że 53 przystaje do 1421 przy podstawie 6, żeby zwrócić na to uwagę. Nie chodziło o to, że teoria liczb jest trudna dla Apsika. Nic z tych rzeczy. Jak wszystkie dzieci Heechów, opanował większość z jej zasad mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nauczył się czytać. Matematyka była jednak dla Apsika wyzwaniem

z powodu głupiego ludzkiego systemu liczenia — z 10 jako podstawą. Z zapisem pozycyjnym, jeśli więc dostało się dwie cyfry w niewłaściwej kolejności, liczba była całkiem niepoprawna!

Kiedy rozbrzmiało radosne ćwierknięcie szkolbota „Czas na ćwiczenia!”, Apsik odkrył, czemu szkolbot zwraca szczególną uwagę na Oniko Bakin.

Wszystkie indywidualne programy uczące wylogowały się. Pasy bezpieczeństwa u najmłodszych uczniów rozpięły się. Dzieci wstały, zaczęły się przeciągać, śmiejąc się i rozpychając, aż zostały zgarnięte do bezpiecznego obszaru poza salą szkolną. Z wyjątkiem Oniko. Ona została w tyle.

Apsik nie od razu to zauważył, bo był zajęty energicznym napinaniem mięśni, rozciąganiem oraz skłonami i pompkami, jakie każdy z nich musiał wykonywać dwadzieścia razy dziennie. Było to obowiązkowe dla wszystkich przebywających na Kręgu, nie tylko dla dzieci. Słaba grawitacja na Kręgu powodowała osłabienie organizmu. U dzieci nie rozwijały się silne mięśnie, a u rodziców zanikały. Dopóki przebywali na Kręgu, nie miało to większego znaczenia, bo po cóż tam były mięśnie człowiekowi czy Heechowi?

Nikt jednak nie miał pozostać na Kręgu na zawsze, a po powrocie do normalnej grawitacji ciężko by pożałowali tego osłabienia nabytego na Kręgu.

Apsik, będąc Heechem, był bardziej metodyczny i celowy w ćwiczeniach niż większość uczniów ludzkiej rasy. Skończył wcześniej i rozejrzał się dookoła. Zauważywszy, że Oniko nie ma w sali ćwiczeń, zajrzał do sali szkolnej. Była tam. Przywiązano ją do skomplikowanej metalowej konstrukcji naśladującej kształt jej ciała. Egzoszkielet! Cały mechanizm wyginał się, przekręcał i obracał z zamkniętą w środku dziewczynką.

— Och — rzekł Apsik nagle zrozumiawszy — przyzwyczajasz się do grawitacji.

Oniko otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego, nie odpowiadając. Dyszała ciężko. Heechowie nie radzą sobie z interpretowaniem ludzkiego wyrazu twarzy lepiej, niż ludzie z Heechami, ale Apsik dostrzegł na jej twarzy napięte mięśnie i pot na czole.

— To dobrze, że to robisz — powiedział. Nagle przyszło mu do głowy, że powinien zachować się taktownie. — Nie masz nic przeciwko temu, żebym tu postać? — spytał, a tymczasem dziewczynka była wykręcana i układana w dość niezwykle pozycje.

— Nie — wydyszała.

Apsik niezdecydowanie stał w miejscu. Kiedy przyjrzał się jej bliżej, ujrzał, że zaaplikowano jej nie tylko ćwiczenia. W żyłę na jej ramieniu tkwiła igła kroplówki, delikatnie pompująca do jej krwiobiegu jakiś płyn. Podchwyciła jego spojrzenie i zdołała powiedzieć:

— To ma wzmocnić moje kości.

— Tak, oczywiście — rzekł zachęcająco Apsik. — Chyba w twoim habitacie grawitacja nie była szczególnie wysoka? Ale to ci pomoże, jestem tego pewien. — Zastanowił się przez chwilę i powiedział ze współczuciem: — Chyba jeszcze nie jesteś w stanie robić prawdziwych ćwiczeń, Oniko.

Wzięła głęboki oddech.

— Jeszcze nie — powiedziała. — Ale kiedyś będę!

Kiedy nadeszły następne półwakacje, Apsik i Harold zaplanowali odwiedzić gaj palm kokosowych. Oniko stała tuż przed salą szkolną kiedy wyszli i pod wpływem impulsu Apsik zwrócił się do niej:

— Idziemy nazrywać trochę kokosów. Chcesz się z nami zabrać?

Harold mruknął coś z niezadowoleniem za jego plecami, ale Apsik nie zwrócił na to uwagi. Oniko ściągnęła usta, zastanawiając się nad zaproszeniem. Jej postawa i maniery były prawie dorosłe, gdy powiedziała:

— Chętnie, dziękuję bardzo. Z przyjemnością się z wami wybiorę.

— Jasne — wtrącił się Harold — ale co z lunchem? Przyniosłem tylko dla siebie.

— Ja też mam coś na lunch — powiedziała dziewczynka, poklepując swoją szkolną torbę — bo tak czy inaczej miałam dziś zamiar trochę pozwiedzać Krąg. Wydaje mi się, że to dość ciekawe.

Harold nie był w zbyt miłym nastroju.

— Ciekawe! Słuchaj, mała, to nie jest tak sobie tylko ciekawe. To jest najważniejszy obiekt w całym wszechświecie. To jedyna rzecz, pozwalająca zapewnić bezpieczeństwo ludzkiej rasie! I rasie Heechów — dodał po chwili. — To znaczy, gdybyśmy nie czuwali bez przerwy, kto wie, co by się stało?

— Oczywiście — odparła uprzejmie Oniko. — Wiem, że naszym zadaniem jest monitorowanie kugelblitzu. Po to tu wszyscy jesteśmy, to jasne. — Spojrzanie, jakie rzuciła Haroldowi, było prawie macierzyńskie. — Oboje moi rodzice są obserwatorami — rzekła tonem skrywającym wielką dumę — i mój wujek Tashi też. Tam, skąd pochodzę, prawie wszyscy świetnie się nadają do takich zadań. Pewnie też będę to robić, gdy dorosnę.

Gdyby istniała jedyna rzecz, której nie był w stanie znieść Heech, kiedy kogoś potraktował protekcyjnie, to zostać potraktowanym w podobny sposób. W Apsiku zawrzało.

— To w końcu idziemy na kokosy, czy będziemy tu stali i gadali przez cały dzień? Ruszmy się wreszcie!

Odwrócił się i poszedł przodem. Wyraz jego twarzy głosił, że osobiście nie miał żadnego udziału w zapraszaniu tej śmiesznej nowej istoty ludzkiej z zasobnikiem i nie spodziewał się, żeby cokolwiek dobrego z tego wynikło.

Przez chwilę wydawało się, że miał rację.

Gaj kokosowy nie był położony daleko od szkoły, jeśli wziąć pod uwagę zakrzywioną geometrię Kręgu. W rzeczywistości mieścił się bezpośrednio „nad”

szkołą. Była tam winda łańcuchowa, parędziesiąt metrów od szkoły, przy skrzyżowaniu dwóch korytarzy, ale z powodu niskiej grawitacji na Kręgu ruchliwe dzieci rzadko zawracały sobie głowę takimi rzeczami. Harold otworzył drzwi odsłaniając pionowy szyb z uchwytnymi dla rąk, biegnący tuż obok sali szkolnej. Zaczął się szybko wspinać i zniknął z pola widzenia. Apsik skinął zachęcająco na dziewczynkę; zawahała się.

— Chyba jeszcze nie potrafisz poradzić sobie z czymś takim — powiedziała.

— No jasne — wyszczerzył się złośliwie Harold nad nimi.

— Nie ma problemu — powiedział od razu Apsik, zawstydzony brakiem swojej domyślności. — Pojedziemy windą — zawołał w głąb szybu i ruszył, nie czekając na odpowiedź Harolda.

Ale i tak ją usłyszeli, gdy zeszli ostrożnie z windy łańcuchowej i natknęli się na czekającego Harolda.

— O Boże — rzekł — jak ona wejdzie na drzewo, skoro nie umie nawet wspinać się po drabinie?

— Ja jej nazrywam — powiedział Apsik. — No, ruszaj.

Harold odwrócił się i bez cienia wdzięczności wybrał najlepsze drzewo dla siebie.

Zaczął się wspinać za pomocą rąk i stóp, jak małpa. Korona palmy kokosowej znajdowała się na wysokości jakichś dwunastu metrów, ale przy niskiej grawitacji Kręgu zręczne dziecko nie miało żadnego problemu ze wspięciem się na nią. Harold, dumny ze swoich mięśni, które pielęgnował z prawie religijnym zapamię, oczywiście wybrał najwyższe i najbardziej obciążone drzewo, zaś Oniko spojrzała na niego ze strachem.

— Odsuń się — poleciał Apsik — bo zaraz jakiś spadnie.

— Żeby tylko jeden! — warknął nad nimi Harold, odpiłowując jeden z ogonków.

— Pewnie nic by ci się nie stało, gdybyś takim oberwała — rzekł Apsik — ale mimo to. . .

— Ale mimo to i tak myślisz, że zaraz się rozsypię — rzekła Oniko z godnością. — Nie martw się o mnie. Wchodź na drzewo. Ja popatrzę.

Apsik rozejrzał się dookoła i wybrał niższą palmę. Miała mniej owoców, za to wyglądały na dorodniejsze.

— Możemy zerwać tylko po dwa — wyjaśnił — bo inaczej strażobot o tym zamelduje. Zaraz wracam.

Wspiął się na drzewo szybciej od Harolda i dokonał wyboru spośród trójkątnych okrągłych owoców. Ostrożnie zrzucił trzy z nich na ziemię parę metrów od Oniko, a kiedy znalazł się z powrotem na dole, dziewczynka oglądała je ze zdumieniem.

— To nie są kokosy! — wykrzyknęła. — Widziałam kokosy na obrazkach. Są brązowe, włochate i twarde.

— Są ukryte w środku tego zielonego — wyjaśnił Apsik. — Postukaj w ten duży kostkami palców i zobacz, czy jest dojrzały.

Tego też nie umiała zrobić. Apsik uczynił to za nią i podał jej kokos z powrotem. Oniko wzięła go do ręki i z namysłem zważyła w dłoni. Choć na Kręgu nie ważył on dużo, jego masa była taka sama, jak w każdym innym punkcie wszechświata i wyglądał na takiego, do którego strasznie trudno się dostać.

— Jak go obierzemy? — spytała.

— Powiedz jej, żeby mi go podała, Gapciu — zarządził Harold za nimi, a jego własne kokosy już leżały na ziemi. Złapał je i dwoma szybkimi cięciami noża otworzył górną część kokosu i podał dziewczynce. — Wypij — polecił. — To smaczne.

Dziewczynka spojrzała na niego podejrzliwie, potem przeniosła wzrok na Apsika. Skinął głową zachęcająco. Z wahaniem uniosła owoc do ust. Spróbowała. Skrzywiła się. Wykonała parę ruchów językiem w ustach badając smak mleka kokosowego. Wzięła większy łyk i oświadczyła ze zdumieniem.

— Wiecie, to jest dobre!

— Otworzymy je i zjemy kanapki — powiedział Apsik, pracując nad własnym kokosem. — Chyba powinniśmy teraz zjeść lunch; sok fajnie smakuje z kanapkami.

Choć rodzina Apsika przejęła ludzki zwyczaj jedzenia kanapek, nie stało się to w przypadku Oniko. Ze swojej torebki wyjęła kilka grudkowatych małych przedmiotów zawiniętych w kolorowy papier. W czerwonym była marynowana śliwka. W złotym twardy, brązowy kawałek czegoś co — jak powiedziała — było rybą, choć ani Apsik ani Harold nie mieli ochoty próbować i przekonać się o tym. Oniko zresztą też nie była zainteresowana przyprawionym na ostro jajkiem Harolda ani kanapkami z szynką, które wmusił Apsikowi jego ojciec. Już sama szynka była dla Apsika wystarczającą przygodą — zaczął jeść ludzkie jedzenie dopiero w zeszłym roku, choć raczej były to zbliżone do ludzkiego jedzenia produkty, jakie oferowały syntezatory na Kręgu.

— Powinieneś tego spróbować — zgaśniła go Oniko.

— Dzięki, ale nie — odparł Apsik. Harold zachował się mniej dyplomatycznie; wydawał z siebie odgłosy imitujące wymioty.

— Przecież ja spróbowałam waszego jedzenia — podkreśliła Oniko. — Na przykład te kokosy były całkiem dobre. — Pociągnęła następny łyk i spostrzegła, że owoc jest pusty. Nie odzywając się, Apsik otworzył kolejny i podał jej. — Myślę — oświadczyła stanowczo — że kiedy dorosnę i wrócę na Ziemię, to kupię sobie wyspę, gdzie rosną takie palmy, a wtedy też będę mogła wspinać się na drzewa.

Obaj chłopcy spojrzeli na nią. Byli równie mocno zaskoczeni, choć każdy z innego powodu. Harold dlatego, że beztraska uwaga dziewczynki o takim bogactwie zrobiła na nim olbrzymie wrażenie — kupić sobie wyspę? Powrócić na

Ziemię? Trzeba być strasznie bogatym, żeby o czymś takim myśleć! Apsika zaś zaskoczył sam pomysł posiadania ziemi na własność.

— Słyszałam, że są takie wyspy — mówiła dalej Oniko. — Jest taka, która nazywa się Tahiti, podobno bardzo ładna. Albo jakaś bliżej wysp japońskich, to będę mogła odwiedzać krewnych, których nigdy nie widziałam.

— Masz krewnych w Japonii, na Ziemi? — spytał Harold głosem pełnym szacunku. Na jego własną rodzinę składali się potomkowie wczesnych osadników z planety Peggy. Ziemia była dla niego czymś nie bardziej realnym od mitu. — Myślałem, że urodziłaś się na artefakcie Heechów.

— Tak, i moi rodzice też — odparła Oniko, pociągając kolejny łyk mleka kokosowego i rozsiadając się wygodnie, by znów powtórzyć tak często opowiadaną historię. — Ale ojciec mojego ojca, Aritsune Bakin brał ślub w wielkiej świątyni w Nara. Potem zabrał swoją świeżo poślubioną żonę na Gateway i tam szukał szczęścia. Ojciec jego ojca sam był poszukiwaczem na Gateway, ale został ciężko ranny i nie opuszczał asteroidu. Miał trochę pieniędzy. Kiedy umarł, te pieniądze zostały wydane na przelot ojca mojego ojca i jego żony. Odbyli tylko jedną podróż. Za pierwszym razem trafili na ten artefakt. Było tam osiemnaście dużych statków Heechów i żadnego z nich nie udało im się zmusić do lotu, a ich własne statki też nie reagowały na stery.

— Było tak dlatego, że informacje z tego artefaktu miały pozostać ukryte jeszcze przez pewien czas — wtrącił Apsik z pewnym zawstydzeniem. Słyszał już sporo głosów krytycznych o praktykach Heechów związanych z porzuconymi statkami i stacjami.

— Tak, oczywiście — odparła Oniko wybaczącym tonem. — W to samo miejsce przybyło jeszcze sześć innych statków z Gateway i oczywiście wszystkie już tam pozostały. Były tam cztery trójki, jedyńka, kolejna piątka, taka jak mojego dziadka, więc w końcu znalazło się tam dwudziestu trzech poszukiwaczy, założycieli kolonii. Na szczęście było wśród nich osiem kobiet w wieku rozrodczym, więc kolonia przetrwała. Kiedy w końcu nas... — w tym miejscu zawahała się po raz pierwszy.

— Uratowano? — podpowiedział Harold.

— Nie uratowano nas. Nie zgubiliśmy się, tylko nas tam zatrzymano. Kiedy wreszcie nas znów odwiedziono, dopiero cztery lata temu, populacja artefaktu liczyła sobie osiemdziesiąt pięć osób. Oczywiście byłam wtedy małym dzieckiem. Niektórzy z nas polecili prosto na Ziemię czy w inne miejsca, ale ponieważ ja byłam jeszcze mała, moi rodzice zostali, żebyśmy mogła przygotować się do tego okropnego wysokiego ciążenia.

— Myślisz, że tu jest wysokie ciążenie! — roześmiał się Harold. — No, no. Poczekaj, aż się znajdziesz na planecie Peggy! Albo na Ziemi!

— Z pewnością tam pojedę — rzekła Oniko stanowczo.

— No jasne — rzekł Harold sceptycznie. — Tylko za co?

— Rzecz jasna, określają to pierwotne przepisy z Gateway — wyjaśniła Oniko. — Poszukiwaczom i ich potomkom przyznano premie i tantiemy. Zgodnie z tymi zasadami wartość artefaktu, wraz z zawartością wyceniono na jakieś dwa miliardy osiem milionów dolarów z groszami, podzielone przez liczbę poszukiwaczy, którzy dotarli tam żywi, czyli dwadzieścia trzy.

— No, no! — rzekł Harold, któremu oczy prawie wyskoczyły ze zdumienia, kiedy wykonał te obliczenia w pamięci.

— Oczywiście — rzekła Oniko przepraszającym tonem — moi rodzice byli jedynymi spadkobiercami czwórki z dwudziestu trzech założycieli kolonii, więc dziedziczą wszystkie cztery udziały — jakąś jedną szóstą całości, jeśli umrą nie mając innych dzieci, ale mam nadzieję, że tak się nie stanie — zakończyła.

— No, no! — Harold nie wiedział, co powiedzieć. Nawet Apsik był pod wrażeniem, choć to nie posiadany przez dziewczynkę majątek zrobił na nim takie wrażenie — chciwość nie była cechą Heechów. Ale spodobał mu się zwięzły, prosty sposób, w jaki przekazała swoją opowieść.

— Wiecie — rzekła — to było fajne uczucie, kiedy przylecieli inni ludzie. Tyle nowych doświadczeń! Tyle rzeczy, o których można porozmawiać! Nie, żeby przedtem też nie było przyjemnie... o, co się dzieje? — zakończyła z przestraszeniem, rozglądając się wokół.

Ściemniało się. Światła nad nimi szybko przygasły, zastąpione przez czerwonaświatłą poświatę. Po chwili było tak ciemno, jak tylko może być w gaju palmowym — wystarczająco ciemno, by palmy, przyzwyczajone do 24-godzinnej rytmu światła i ciemności na tropikalnych obszarach Ziemi, mogły trochę odpocząć zanim światła znów się zapalą i rośliny na nowo podejmą fotosyntezę.

— To po to, żeby drzewa się nie rozchorowały — wyjaśnił Apsik. — Ale zostanie czerwone światło, żebyśmy mogli coś zobaczyć; drzewom to nie przeszkadza.

Apsikowi też nie przeszkadzało, o czym Harold doskonale wiedział. Starszy chłopiec zarechotał.

— Wiesz, Gapcio boi się ciemności.

Apsik odwrócił głowę. Nie była to prawda, choć może nie do końca. W gęstym od gwiazd jądrze Galaktyki, gdzie mieszkali Heechowie, na powierzchni planety rzadko zdarzało się, żeby nie było choć odrobiny światła z któregoś ze słońc. Ciemność niekoniecznie była przerażająca, ale można było poczuć się nieswojo.

— Opowiadałaś nam o tym miejscu, z którego pochodzisz — odezwał się, chcąc przerwać dyskusję na ten temat.

— Tak, Sternutatorze. To było takie miłe miejsce! Nawet poszukiwacze, założyciele kolonii, chyba w końcu je polubili, jak mi się wydaje, choć z pewnością bardzo chcieli powrócić do swoich rodzin. Ale było tam mnóstwo wody i jedzenia oraz masa rzeczy do roboty. Mieliśmy sporo książek Heechów i ponad stu zapisanych Czcigodnych Przodków Heechów, z którymi mogliśmy rozmawiać.

Nauczyli nas, jak korzystać z zasobników — oświadczyła z dumą, poklepując swój.

Apsik wyciągnął palec i dotknął jej zasobnika. Poczuł ciepłe wibracje obecności w środku.

— Twój przodek jest chyba bardzo sympatyczny — oświadczył.

— Dziękuję — odpowiedziała z powagą.

— Ale twój zasobnik jest znacznie mniejszy niż mój — rzekł.

— Widzisz, my nie potrzebujemy mikrofal. Trzymamy tam tylko przodków. Ojciec mówi, że musieliśmy się dużo od Heechów nauczyć — jak już opanowaliśmy wasz język.

— Dzięki — odparł Apsik. Nie był pewien, za co takiego dziękuje, ale wydało mu się to uprzejme.

Harold nie był w zbyt dobrym nastroju.

— Od Heechów to musieliśmy przede wszystkim nauczyć się, jak być tchórzami — oświadczył. — A tego nie powinniśmy się uczyć!

Apsik poczuł, jak nabrzmiewają węzły mięśni na jego ramieniu. Emocje Heechów nie są podobne do ludzkich, ale nawet Heechowie potrafią odczuwać zderowanie.

— Nie życzę sobie, żebyś nazywał mnie tchórzem, Haroldzie — rzekł niepewnie.

— Och, nie mówię o tobie, Gapciu, ale chyba wiesz, co zrobili Heechowie — brnął z uporem Harold. — Uciekli i schowali się.

— Nie życzę sobie także, żebyś nazywał mnie Gapciem.

Harold zerwał się na równe nogi.

— I co mi zrobisz? — wyszczerzył się złośliwie.

Apsik uniósł się powoli, myśląc gorączkowo. Już samo przebywanie w zaciemnionym gaju palmowym sprawiało, że czuł się nieswojo, ale zaczął dygotać także z innych powodów.

— Powiem ci, że nazywanie mnie tak jest niewłaściwe. Nikt tego nie robi.

— Nikt cię nie zna tak dobrze jak ja — upierał się Harold. Apsik zauważył, że uczucia chłopca zostały w jakiś sposób zranione — Apsikowi nie przychodziło do głowy użycie słowa „zazdrość”. Dłonie Harolda uniosły się, a pięści miał zaciśnięte. Czemu, zastanawiał się Apsik, wygląda, jakby miał zamiar się bić. Heechowie zwykle nie walczą między sobą, ale Apsik był młodym Heechem, nie tak cywilizowanym.

Od bójki powstrzymała ich Oniko. Wydała z siebie bulgoczący odgłos, spojrzęła ze wstrętem na trzymany w dłoni kokos i nagle cisnęła nim jak najdalej.

— O mój Boże — rzekła zdławionym tonem i zaczęła obficie wymiotować.

Kiedy chłopcy zaprowadzili ją do klasy, szkolbot, który poza innymi umiejętnościami posiadał też wiedzę paramedyczną, solidnie skarcił ich za to, że pozwo-

lili biednej dziewczynce pić takie ilości nie znanego jej wcześniej soku. Za karę mieli ją odprowadzić do mieszkania i poczekać tam na powrót jej rodziców.

Harold i Apsik spóźnili się więc na obiad.

— Nie możesz się pośpieszyć? — narzekał Harold, znajdujący się tuż pod Apsikiem w szybie. — Oberwie mi się za to!

Apsik śpieszył się najbardziej jak potrafił, przerzucając się z jednego uchwytu na drugi za pomocą zwieszającej się w szybie liny. Nie bał się lania. Żadne z jego rodziców nie uderzyłoby dziecka, ale chciał ich już zobaczyć. Chciał zadać parę pytań. Kiedy biegli długim korytarzem do skrzyżowania, przy którym mieszkali, Apsik układał sobie w myśli pytania.

I nagle się zatrzymali. Apsik zasyczał z zaskoczeniem. Harold wymruczał.

— Och, diabli nadali.

Obaj usłyszeli przeszywający metaliczno-elektroniczny pisk, który prawie wwiercał się w ich mózgi. Dla pewności, że wszyscy to zauważą, światła na suficie trzykrotnie zgasły i ponownie się zapaliły. Głosy wszystkich pracobotów zabrzmiały równocześnie:

— Alarm! — zawołał do chłopców najbliżej stojący. — Natychmiast położyć się! Nie myśleć o niczym! Leżeć spokojnie! To alarm!

* * *

Szkoda, że nie potrafię lepiej rozmawiać z cielesnymi ludźmi.

Nie umiem wam opowiedzieć o Apsiku i Oniko oraz Kręgu w taki sposób, jak ja tego doświadczałem. Nie chcę tu powiedzieć, że doświadczałem tego bezpośrednio, bo tak nie było; nie byłem tam. Równie dobrze jednak mógłbym tam być, gdyż wszystko, co wydarzało się na Kręgu, jak wszystko, co się działo gdziekolwiek w Galaktyce, było zapisywane w gigabitowej przestrzeni, czyli dostępne dla tych, których rozszerzono. Na przykład dla mnie.

W pewnym sensie więc tam byłem. Jednak kiedy dobrałem się do tego konkretnego archiwum, robiłem też dziesiątki innych rzeczy. Niektóre z nich ciekawe lub ważne, inne znów przypominające takie sobie grzebanie tu i tam, pośród wszystkich trosk i tęsknot, które kłębiły się w mojej głowie, żeby wyglądało na to, że cały czas coś robię. Nie wiem, jak o tym wszystkim opowiedzieć.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie poświęcałem wiele uwagi temu, co działo się z dziećmi. Bo poświęcałem. Zrobiło to na mnie wrażenie. W tej dziecięcej odwadze jest coś, co skruszy każde serce, a przynajmniej moje.

Nie mam tu na myśli odwagi fizycznej, gotowości do walki na pięści i rzućcia obelg, kiedy Apsik wystąpił przeciwko Haroldowi, choć rzeczywiście takie

zachowanie było jak na Heecha bardzo odważne (jeśli nie socjopatyczne). Mam tu na myśli to, w jaki sposób dziecko potrafi stawić czoło prawdziwemu niebezpieczeństwu, nawet takiemu, któremu nie można się przeciwstawić i którego nie można pokonać. Jest to beznadziejne, bezsensowne i sprawia, że serce mi pęka. To jak obserwowanie dwutygodniowych kociąt walczących ze zbiegłym pitbullem. Zupełnie mnie rozkłada.

Albert nie zawsze toleruje moje odczucia wobec dzieci. Czasem mówi, że Essie i ja powinniśmy byli mieć własne dzieci, wtedy pewnie bym ich tak nie idealizował. Może ma rację. Bez względu jednak na to, co powinienem był zrobić, albo co mogłoby się stać lub nie, czuję takie dziwne zmiękczenie w okolicy serca (no, przynajmniej w okolicy jego odpowiednika, bo fizycznego serca przecież nie posiadam), kiedy widzę dzieciaki, które robią to, co powinny, w obliczu wszechogarniającego strachu.

* * *

W rzeczywistości ani Harold ani Apsik nie byli na początku tacy przestraszeni. Alarm to alarm. Brali już udział w wielu alarmach. Padali na podłogę, gdzie stali. Zamykali oczy. Czekali.

To nie był Alarm Ćwiczebny Drugiej Klasy, jak przy lądowaniu statku. To był prawdziwy alarm, z gatunku takich, które ogłaszano bez uprzedzenia i należało je wykonać doskonale. Kiedy tylko ustał ostrzegawczy świst, cała reszta Kręgu także ucichła. Pracoboty, które akurat nie miały żadnych zadań, przeszły w tryb czuwania i zamarły w bezruchu. Światła przygasły, w półmroku ledwo dało się coś zobaczyć. Czujniki inercyjne, które monitorowały obroty Kręgu, nadały przenośnikom masy ostatnie pchnięcie i umieściły je w pozycjach spoczynkowych; to samo stało się z linami pionowych dźwigów oraz innymi, mniej ważnymi, nieorganicznymi (albo już nieorganicznymi) maszynami i inteligencjami na Kręgu.

Apsik i Harold również pozostali w pozycjach leżących, czy też tak dobrym ich przybliżeniu, jak tylko mogą to zrobić ruchliwe dzieci. Pośród kursów obowiązkowych dla wszystkich dzieci w salach szkolnych Kręgu były ćwiczenia, które niektórzy ludzie określali jako „satori”, oczyszczenie umysłu. Chłopcy byli w tym bardzo dobrzy. Umysł Apsika, zwiniętego na podłodze w pozycji płodu obok identycznie zwiniętego Harolda, nie zawierał niczego poza szarozłotą, ni to ciepłą, ni to zimną mgiełką porzucenia ego.

No, prawie.

Rzecz jasna, nigdy nie dało się osiągnąć doskonałości w satori. Próba osiągnięcia doskonałości sama w sobie była niedoskonałością. W mgiełce Apsika po-

ruszały się jakieś myśli. Pytania związane z Oniko, które Apsik bardzo chciał zadać swoim rodzicom. Pytania, czy — jakimś strasznym zrządzeniem losu — ten Alarm Ćwiczebny może okazać się Prawdziwym Alarmem.

Miał wrażenie, że pokład Kręgu, jaki czuł pod policzkiem, jest martwy. Żadnego brzęczenia pomp powietrza ani szumu silników napędzających liny. Żadnych głosów. Żadnego zamieszania ani odgłosów kroków. Żadnego nieregularnego, zadowolonego posapywania i rumoru przenośników masy, które dbały o właściwy ruch Kręgu.

Apsik czekał. Kiedy pytania załęgały się w jego umyśle, oddzielał się od nich, pozwalał im swobodnie odlecieć zanim się uformowały. Jedno z pytań zaczęło uporczywie powracać:

Dlaczego akurat ten Alarm trwa tak długo?

Rzeczywiście, minęła ponad godzina zanim najbliższy czystobot nagle przybrał wyprostowaną pozycję. Wycelował w chłopców czujnik i rzekł:

— Koniec Alarmu. Możecie wstać.

Oczywiście nie trzeba im było tego mówić. Krąg zaczął powracać do życia jeszcze zanim zabrzmiały słowa czystobota. Światła zabłyśły. Docierające z daleka stuki oznajmiły, że cała maszyna budzi się do życia. Harold podskoczył, uśmiechając się złośliwie.

— Tata chyba musiał iść na dyżur — wykrzyknął z radością, co oznaczało „nie będzie pamiętał, że się spóźniłem”.

— Mój też — odparł Apsik, uderzony nagłą myślą — to samo dotyczy rodziców Oniko, więc pewnie...

— Więc pewnie i tak musieli zostawić ją samą. — Skinął głową Harold. — Po co tu jeszcze sterczymy? Durne roboty! — rzekł i kopnął czystobota przechodząc. — Do zobaczenia jutro.

— Jasne — rzekł uprzejmie Apsik i pośpieszył do domu.

Tak jak tego oczekiwał, żadnego z jego rodziców jeszcze tam nie było. Dombot powiedział mu, że ojca wezwano do działu Foteli Snów, a matkę Alarm zastał gdzieś daleko, w trzecim sektorze Kręgu. Oboje już szli do domu.

Ojciec dotarł pierwszy, wyglądał na zmęczonego.

— Gdzie mama? — spytał. Pracobot odpowiedział za Apsika.

— Femtofałę zatrzymał mały problem; jeden z obwodów podtrzymujących nie chciał podjąć pracy po Alarmie. Czy mam przygotować obiad?

— Oczywiście — mruknął Bremsstrahlung, zmęczony i rozdrażniony. — Co się dzieje, Sternutatorze? Czemu jeszcze nie powiedziałeś kukbotowi, żeby zaczynał? A poza tym — spytał, nagle sobie o czymś przypomniawszy — dlaczego cię tu nie było dwie godziny temu?

— Oniko zachorowała — wyjaśnił Apsik.

Bremsstrahlung znieruchomiał z częściowo zdjętym zasobnikiem, już w drodze do kąpieli powietrznej.

— I to jest dla ciebie powód do zmartwienia? Jesteś medbotem, czy co?
Apsik opowiedział historię z mlekiem kokosowym.
— Musieliśmy odprowadzić ją do domu. Chciałem wyjść, tato — tłumaczył
— ale jej domboty powiedziały, żebym został, a jej Przodek się zgodził.
— Jej przodek? — ironicznie podchwycił Bremsstrahlung.
— No, rany, tato, nie mam na myśli, że rzeczywiście jej, ale ona nosi przy sobie Przodka w zasobniku. Ma na imię Ophiolite, to znaczy Przodek.
— Jak na człowieka — rzeki Bremsstrahlung z aprobatą — to ta Oniko wykazuje znaczną inteligencję. Zastanawiam się czasem, czemu ludzie nie noszą zasobników pamięci. Pewnie, nie potrzebują promieniowania jak my, ale zasobniki przydają się do wielu innych rzeczy.
— Tak, ale ona ma w swoim przodka.
Choć znużony, Bremsstrahlung był jednak dobrym ojcem. Opadł na widlaste siedzisko z opuszczonym zasobnikiem i zaczął wyjaśniać wszystko synowi.
— Musisz pamiętać, Sternutatorze, że jeśli przez przypadek podczas Ucieczki porzucono jakąś grupę Przodków, musieli oni czuć się bardzo samotni. Nic dziwnego, że przywiązali się do pierwszych inteligentnych istot, jakie się tam pojawiły, nawet jeśli byli to ludzie.
— Tak — przyznał Apsik — ale ja nie noszę w moim zasobniku Przodka.
— Dzieci nie noszą w zasobnikach przodków — wyjaśnił Bremsstrahlung. — Nawet wielu dorosłych tego nie robi, bo Przodkowie są zajęci ważnymi rzeczami, ale kiedy dorośniesz. . .
— Tak — rzekł Apsik — ale ona nosi.
Bremsstrahlung jęknął i wstał. Ostrożnie powiesił zasobnik koło drzwi od łazienki i poprosił:
— Później, synu, błagam. Jestem naprawdę zmęczony.
Reakcja Apsika nie była jedynie rozumową ciekawością. To nie była nawet zazdrość dziecka o to, że inne ma lepszą zabawkę. Mamy tu do czynienia z kwestiami moralnymi, może nawet religijnymi.
Zarówno ludzie, jak i Heechowie nauczyli się, jak pomagać własnym mózgom za pomocą zapisanych maszynowo inteligencji, ale obie rasy robiły to na swój sposób. Ludzie przeszli drogę kalkulatorów, komputerów i serwomechanizmów, aż do bogatej i olbrzymiej przestrzeni gigabitowej, w której istniały takie Sztuczne Inteligencje jak Albert Einstein. (A także ja). Heechowie nigdy nie skonstruowali SI. Wcześniej nauczyli się, jak zapisywać umysły swoich zmarłych w postaci maszynowej. Niewielu Heechów umarło naprawdę w sposób ostateczny. Stali się Czcigodnymi Przodkami.
Ludzki astronom, pragnący obliczyć elementy orbity planet w systemie podwójnej gwiazdy, przekazałby oczywiście problem jakiemuś ośrodkowi obliczeniowemu. Heechowie zatrudniliby cały pułk zmarłych Przodków. Pod względem praktycznym ten system działał równie skutecznie.

Ale nie chodziło wyłącznie o kwestie praktyczne. Ludzie nie czcili swoich komputerów. Czcigodni Przodkowie Heechów zasługiwali zaś na pewien szacunek — i wręcz domagali się go.

Matka Apsika pojawiła się, gdy ojciec nadal się kąpał. Wysłuchiła jego pytań i rzekła, masując mu kark:

— Po obiedzie, dobrze, Sternutatorze? Te dodatkowe dyżury w Fotelu Snów są dla ojca bardzo męczące. I martwi się tym.

Apsik zapatrzył się na matkę. Martwi? Zmęczenie, owszem — tego się Apsik spodziewał. Obserwator płacił pewną cenę, spędzając czas w Fotelu Snów przez nie kończące się godziny, próbując wyczuć jakąś obcą obecność, w ciągłym strachu, że pewnego dnia może się udać — bo pewnego dnia pewnie to nastąpi, a konsekwencji takiego zdarzenia nie da się przewidzieć.

Ale martwić się?

Kiedy w końcu kukbot podał obiad, a rodzice trochę się uspokoili i prawie zrelaksowali, Bremsstrahlung rzekł z trudem:

— To nie był planowany Alarm Ćwiczebny, Sternutatorze. Dwóch obserwatorów ze zmiany odniosło wrażenie, że coś wykryli, więc ogłoszono alarm. — Poruszył rękami w geście przypominającym wzruszenie ramion. — Nie wiadomo, co tak naprawdę wykryli. Nie było to ani wyraźne, ani mocne — ale to są dobrzy obserwatorzy. Oczywiście musieliśmy zarządzić przestój. — Apsik zamarł z nożem w połowie drogi do ust. Jego ojciec rzekł szybko: — Ale kiedy ja tam poszedłem, nic nie czułem. Jestem tego pewien. Nikt inny zresztą też nic nie poczuł.

— Fałszywe alarmy już się zdarzały — powiedziała Femtofala z nadzieją.

— Oczywiście. Dlatego jest nas tak wielu: aby się upewnić, że alarmy są fałszywe. Zanim Asasyni się pojawią, może minąć milion lat, wiesz przecież. Któż to wie? — Bremsstrahlung szybko skończył posiłek i usiadł z powrotem na swoim zasobniku. — Dobrze, Sternutatorze, o co chciałeś zapytać w związku ze swoją ludzką przyjaciółką, Oniko?

Apsik powoli przewrócił oczami. Och, tak, miał miliony pytań, ale sama myśl, że to mógł być prawdziwy sygnał pojawienia się Asasynów sprawił, że wyleciały mu wszystkie z głowy. Fałszywy alarm, no dobrze, ale skąd obserwator może wiedzieć, że dany alarm był fałszywy?

To jednak były pytania, których z oczywistych powodów jego ojciec nie chciał z nim omawiać. Apsik poszukał w pamięci i znalazł jedną z rzeczy, którą go tak zaciekała.

— Tato? To nie chodzi o sam zasobnik. Oniko ma dużo „pieniędzy”. Dlaczego oni są „bogaci”? — Używał angielskich słów, choć mówił w języku Heechów, gdyż jego własny język nie zawierał takich pojęć.

Bremsstrahlung wzruszył swymi szerokimi, poskręcanyimi ramionami — u Heechów był to odpowiednik zmarszczenia brwi.

— To ludzie — odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale tak nie było.

— Tak, tato — rzekł Apsik — ale nie wszyscy ludzie są tak „bogaci”.

— Oczywiście, że nie — odparł ojciec. — Ci akurat ludzie mieli szczęście pozyskać pewne urzędnia wytworzone przez Heechów. Naszą „własność”, Sterni. Nawet nie musieli jej szukać. Po prostu trafili na nią przez przypadek i ludzki zwyczaj stanowi, że to zapewnia im „własność”, którą oni wymienili na „pieniądze”.

Femtofala wtrąciła się uspokajającym tonem:

— O ile mi wiadomo, te urzędnia zostały porzucone. — Wystawiła język w stronę kukbota, który sprzątał ze stołu naczynia i podawał „deser”. Była to pewna odmiana zjadanych przez Heechów lepkich pńczy, które po posiłku czyściły ich podniebienia i pokrywały zęby antyseptyczną substancją. — Pojęcie „pieniędzy” nie jest tak całkiem bezwartościowe — dodała Femtofala — gdyż sprawdza się jako coś w rodzaju przygotowania serwomechanizmu do ustalania priorytetów społecznych.

Bremsstrahlung wyjął z zębów włókno i rzekł z niechęcią:

— Sugerujesz, że Heechowie powinni przejąć ten system?

— Nie, nie, Bremmy! Ale tak czy inaczej jest ciekawy.

— Ciekawy! — warknął. — Powiedziałbym, że głupi. Jaki jest pożytek z pieniędzy? Czy nie mamy wszystkiego i bez nich?

— Ale nie tyle, ile ma Oniko — wtrącił tęsknie Apsik.

Bremsstrahlung odłożył nóż i spojrzał na chłopca z rozpaczą. A kiedy się odezwał — zwrócił się nie do syna, lecz do żony.

— No i widzisz? — podkreślił. — Widzisz, co się tu dzieje z naszym synem? Zaraz poprosi o „zasiłek”. A tak w ogóle, to „potworny wstyd” — rzekł, nieświadomie używając angielskiego wyrażenia, bo Heechowie nie ujmowali tego w ten sposób — że my jesteśmy od nich starsi i mądrzejsi! Jak my to zrobiliśmy, że znaleźliśmy się w sytuacji, w której przejmujemy od nich takie zachowania?!

Femtofala przeniosła spojrzenie z męża na syna. Obaj byli zmieszani — w przypadku chłopca niewątpliwie dlatego, że zmieszany był Bremsstrahlung; w przypadku ojca powody były znacznie poważniejsze.

— Bremmy, kochanie — rzekła cierpliwie — i jaki jest sens martwić się czymś takim? Wiedzieliśmy, co oznacza narażenie naszego syna na kontakt z ludzkimi wartościami; omówiliśmy to, zanim odlecieliśmy z jądra Galaktyki.

— Tak, rozmawialiśmy o tym całe pięć minut — rzekł ponuro jej mąż.

— Bo mieliśmy na to tylko pięć minut. — Femtofala pochyliła się, by wyszpełnić coś do swojego zasobnika. Dombot posłusznie zmienił obrazy wyświetlane na ścianach pokoju. Urocze monochromatyczne wzory znikły i otoczyły ich nostalgiczne freski przedstawiające Dom, z jego pawilonami i tarasami z widokiem na zatoki i wzgórze. — Apsik nie zapomni — rzekła uspokajająco.

— Naprawdę nie zapomnę, tato — powiedział chłopiec drżącym głosem.

Skończyli jeść swoje deserowe pnącze w milczeniu. Potem, kiedy dombot uprzątnął już wszystko ze stołu, połączyli się na chwilę z Przodkami, pozwalając starym, zmęczonym inteligencjom zmarłych pogadać, ponarzekać, poradzić. To było coś bardzo typowego dla Heechów. Bremsstrahlung zaczął się uspokajać. Kiedy przyszła pora na położenie Apsika do snu, był już w pełni opanowany.

— Śpij już, synu — rzekł z czułością.

— Tak, tato — odparł Apsik. Po czym zapytał: — Tato?

— Co się dzieje?

— Czy ja muszę spać w kokonie? Czy nie mogę mieć prawdziwego łóżka z kocami i poduszkami?

Ojciec spojrział na niego z zaskoczeniem, po czym w jego spojrzeniu pojawiła się wściekłość.

— Łóżka? — zaczął, zaś Femtofala podeszła bliżej by stłumić eksplozję w zarodku.

— Dość już, Sternutatorze — rzekła. — Ani słowa. Do spania!

Apsik, obrażony, odszedł do swego pokoju i spojrział z niechęcią na kokon i jego miękką, gęstą wyściółkę. To wstyd spać w czymś takim, kiedy wszyscy inni chłopcy mieli łóżka. Wspiął się do środka, zaciągnął kokon nad sobą, przekręcił się jakieś dziesięć czy dwanaście razy, ubijając wyściółkę tak, by mu było wygodnie i zasnął.

Jego rodzice rozwieszali hamaki w drugim pokoju, przygotowując się do snu. Bremsstrahlung milczał, ścięgni na jego brzuchu pulsowały z niezadowolenia. Widząc to, Femtofala ponownie zmieniła obrazy na ścianach. Urocze pastele znikły. Na wszystkich ścianach widać było czarną, pustkę z widocznymi na jej tle kilkoma obiektami. Z jednej strony pojawił się wielki rozpryskany przestwór Galaktyki. Z drugiej — kłębowisko mglistych, żółtych obiektów, które były przyczyną ich pobytu w tym miejscu.

— Nie widzisz, kochanie, że żadna z tych spraw nie liczy się w porównaniu z wielkim zadaniem, dla którego tu jesteśmy? — spytała. — Nie wolno nam zapominać, dlaczego nasz lud ukrył się w jądrze Galaktyki i dlaczego stamtąd wyszedł.

Bremsstrahlung zapatrzył się ponuro w mglistą, kłębiącą się masę.

— Ale pewne rzeczy zawsze się liczą! — upierał się. — Należy do nich uczciwość!

— Tak, Bremmy — rzekła jego żona łagodnie — uczciwość zawsze się liczy. Ale przy Asasynach nie liczy się ani trochę.

Niewiele więcej można teraz powiedzieć o dzieciach. Ich życie na Kręgu było ciekawe i szczęśliwe — przez jakiś czas.

Będąc w podobnym wieku nasza trójka spędzała razem sporo czasu. Robili wiele ciekawych rzeczy. Badali płuca Kręgu, gdzie splecione liściaste pnącza rosły

na odpadach kanalizacyjnych i pochłaniały dwutlenek węgla, który wydychali ludzie i Heechowie. Zwiedzili warsztaty, gdzie można było naprawić wszystko, od zabawki do małej floty statków kosmicznych — pracowała tam Femtofala i chętnie chłopców oprowadziła. Zaglądali do samych statków, uczepionych zaczepów dokujących jak ssące matkę szczenięta. Wpadli do biblioteki, gdzie znajdowały się dziesiątki milionów wachlarzy umieszczonych w gniazdach i spisanych: na tych półkach były wszystkie opowieści, jakie kiedykolwiek stworzyli ludzie oraz cała pamięć Czcigodnych Przodków Heechów, wszystkie słowniki i kompilacje obu ras — no, może nie wszystkie, ale wystarczająca ich liczba, by wprawić w zdumienie Apsika, Harolda i Oniko. Zwiedzili zoo, gdzie umieszczono kilka tuzinów okazów fauny ziemskiej i egzotycznej, z planet Heechów.

Zwiedzili nawet Fotele Snów.

Dzieci nieczęsto tam wpuszczano, ale ojciec Apsika ręczył za ich zachowanie. Pewnego dnia, kiedy Bremsstrahlung miał wolne, pozwolono im przyjrzeć się tym stanowiskom z bezpiecznej odległości.

Było to przyprawiające o dreszcze przeżycie. Fotele były rozmieszczone w grupach po cztery, co trzysta metrów zewnętrznego obwodu Kręgu. Każde skupisko było zamknięte w kryształowej bańce wykonanej z substancji przepuszczającej nie tylko światło, ale też wszelkie inne formy promieniowania elektromagnetycznego. Nikt nie wiedział na pewno, czy było to konieczne, ale wszystko, co mogło ułatwić obserwatorom zadanie, było warte zrobienia. Nawet jeśli była niewielka szansa na to, że miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Kiedy nie było Alarmu, w każdej grupie zajęty był tylko jeden fotel.

— Trzymajcie się za ręce — polecił Bremsstrahlung — i podejdźcie trochę bliżej.

Dzieci ostrożnie przytupały bliżej i stanęły o metr od dyżurującego obserwatora, kobiety z innego sektora, która siedziała z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami. Kiedy jej się tak przyglądali przez szpary w błyszczącej pajęczynie anteny, która ją otaczała, wyglądała jakby spała. Poprzez kryształ ujrzeli poniżej — „poniżej” biorąc pod uwagę geometrię powoli obracającego się Kręgu — mglisty kleks kugelblitzu. Ręka Apsika zacisnęła się ostrożnie na dłoni Oniko. Nie reagował już ze wstrętem na dotyk ludzkiego ciała — pulchnego, elastycznego, tłustego. Tak naprawdę trzymanie jej za rękę sprawiało mu przyjemność. Zaskoczyło go, że jej najwyraźniej ten kontakt też sprawił przyjemność, choć Harold nie omieszkał go poinformować już dawno temu, że dla ludzi dotyk gorącego, twardego, wijącego się ciała Heechów był równie obrzydliwy. Być może Oniko tego tak nie odczuwała. Lub była zbyt uprzejma, by to okazywać.

Bremsstrahlung odprowadził ich do publicznie dostępnej części Kręgu, kiedy już napatrzili się do syta. Następnie wrócił, by przygotować się do własnego dyżuru. W drodze do domu podekscytowane dzieci rozmawiały o tym, co zobaczyły,

przerywając tylko na chwilę, kiedy ich uwagę odciągnęła grupa maluchów po raz pierwszy prowadzona do akwarium.

Akwarium nie służyło tylko za muzeum. Podstawę diety Heechów stanowiły owoce morza, podobnie było w przypadku niektórych ludzi. Wiele ze zwierząt w zbiornikach prędej czy później kończyło na czyimś talerzu. Apsik, Harold i Oniko udali się w ślad za maluchami, tolerując ich paplaninę i niezłe bawiąc się ich reakcjami na widok dziwacznych węży morskich o szerokich paszczach, bardzo lubianych przez Heechów, czy też kalmarów przeznaczonych na ludzkie stoły. Jeden z kalmarów znalazł się blisko ściany zbiornika, a kiedy trzylatek zbliżył się do niego, zmienił barwę ciała z białej na cętkowaną i uciekając wypuścił chmurę atramentowej cieczy. Dzieciak podskoczył i wrzasnął. Harold roześmiał się. Oniko też. Po chwili zaczął się śmiać także Apsik, choć u Heechów śmiech nie był związany z wydawaniem podobnych dźwięków czy otwieraniem ust jak u ludzi.

— Mały głuptasek — rzekła Oniko z macierzyńskim zachwytem. — Pamiętam, jak pierwszy raz. . .

Nie dokończyła.

Nagle zabrzmiał sygnał alarmowy i światła zaczęły migać.

— Alarm! Alarm! — rozkrzyczały się szkolboty.

Zanim wszyscy padli na podłogę, Harold zdołał zadać szybkie pytanie:

— Skąd ten alarm? — zapytał najbliższego szkolbota.

— Leżeć nieruchomo! Nie myśleć o niczym! — zarządził szkolbot, ale na chwilę złagodniał. — To tylko Alarm Drugiej Klasy — wyjaśnił. — Zbliża się niezapowiedziany statek. A teraz zajmij pozycję!

Tak też zrobili, wszyscy, nawet ci najmniejsi. Ale Apsik miał problemy z tym, żeby nie myśleć o niczym, gdyż ciągle dręczyły go wątpliwości. Tak, oczywiście, kiedy przylatywał statek, zawsze zarządzano Alarm Drugiej Klasy, nie było w tym nic groźnego. . . ale nigdy dotąd jeszcze nie miał do czynienia z niezapowiedzianym statkiem.

A był to statek WOA.

Zanim odwołano Alarm i Apsik znalazł się w kwaterze rodziców, niezapowiedziany statek został zabezpieczony i wisiał w doku, lecz czuło się jego obecność. A plotki rozchodziły się jak burza.

Bremsstrahlung potwierdził je.

— Tak, Sternutatorze — rzekł ze smutkiem — musisz stąd odlecieć. Dotyczy to wszystkich dzieci. Ewakuujemy z Kręgu wszystkie dzieci, gdyż nie możemy ryzykować, że jakieś dziecko nada myśl w niewłaściwym momencie.

— Ale ja jestem drugi w mojej klasie z satori, tato!

— Oczywiście, że jesteś! Ale Wspólna Obserwacja Asasynów zarządziła, że musisz odejść wraz z innymi. Proszę, synu. Nic nie możemy zrobić.

— Będziesz miał bardzo dobrą opiekę — wtrąciła się Femtofala, ale jej głos pobrzmiwał smutkiem większym niż u męża.

— Ale dokąd nas zabrają?

Rodzice spojrzeli na siebie.

— Do jakiegoś dobrego miejsca — powiedziała w końcu matka. — Nie wiemy jeszcze gdzie. Wśród dzieci są przybysze z różnych miejsc i nie sądzę, żeby zabrali was od razu na ojczyste planety. Ale naprawdę, Sterni, będą się o was troszczyć. I zabrają was tylko na trochę, dopóki nie wyjaśni się sprawa tego fałszywego alarmu. Niedługo będziesz znowu z nami.

— Mam nadzieję, że tak będzie — rzekł ojciec.

I nie było już na nic czasu — żadnych ostatnich wizyt w zoo, czy gaju kokosowym, czy w innych miejscach, tylko krótka wizyta w sali szkolnej, żeby każdy mógł zabrać swoje rzeczy i pożegnać się ze szkolbotem.

Szkolbot nie mógł utrzymać porządku tego dnia. Nawet nie próbował. Rozmawiał z każdym uczniem osobno, żegnając się, sprawdzając, czy zabrano wszystko z szafek, a wtedy pozostałe dzieci z przejęciem paplały ze strachem i niepokojem. Żadne z nich nie wiedziało dokąd je zabierają. Harold, oczywiście, marzył o ojczystej planecie.

Apsik słuchał tego z melancholią. Zastanawiał się, czy zazdrości Haroldowi. Czy planeta Peggy rzeczywiście była taka, jak ją odmalował chłopiec? Nieustające lato? Nie ma szkoły? Miliony hektarów dzikich owoców i jagód, które można zbierać, kiedy się chce?

— Ale to daleko stąd — mówił Harold. — Założę się, że będę musiał przesiąść się na inny statek. To znaczy, że miną miesiące zanim dotrę do domu.

— Mnie to zajmie prawie trzy miesiące — rzekł Apsik z tęsknotą.

— Och, ale to z powodu tej waszej durnej granicy Schwarzschilda — wyjaśnił Harold, co było zupełnie zbędne w przypadku chłopca, który już raz ją pokonał. — Chyba nie myślisz, że rzeczywiście tam polecisz, Gapciu? Wielkie nieba, przecież nie wyślą tam całego statku dla kilku dzieciaków Heechów. To byłoby nieopłacalne. Nie zrobiliby czegoś takiego!

Pod tym względem Harold miał rację. Nie było zbyt wielu dzieci jego rasy na Kręgu, więc wielki, zbudowany na Ziemi statek, na pokład którego mieli wsiąść, mógł lecieć tylko w jedno miejsce. Na Ziemię.

Harold był załamany. Oniko — wystraszona. Apsik zaś — już sam nie wiedział, jak się czuje, gdyż w jego umyśle walczyły ze sobą o pierwszeństwo: przejęcie i nagły strach z powodu rozstania z rodzicami, paląca troska o to, co może oznaczać taka nagła i niespotykana akcja. Ostatecznym efektem była dezorientacja.

Pozostało im mniej niż dwanaście godzin do wejścia na pokład. To nie było złe. Im mniej czasu na to, by podniecenie zostało wyparte przez strach i zmartwienie, tym lepiej.

Wreszcie zaprowadzono ich, jedno za drugim, do wielkiego międzygwiazdowego statku, kiedy tylko wyładowano zeń setkę nowych obserwatorów i ich rzeczy. Byli tam rodzice Oniko, bez słów przytulający córkę. Byli państwo Wroczkowie, i Apsik taktownie odwrócił wzrok, gdy Harold zaczął płakać przy pożegnaniu.

— Do widzenia, tato. Do widzenia, mamó — rzekł Apsik.

— Do widzenia, drogi Sternutatorze — powiedział ojciec, próbując nie ujawniać emocji w głosie. Matka Apsika nawet nie próbowała.

— To będzie jakieś ładne miejsce, Sternny, kochanie — obiecywała, przytulając go. — Nie będziemy dostawać od ciebie wiadomości, bo zakazano wszelkich transmisji dla Kręgu, ale... Och, Sternny! — objęła go mocno. Heechowie nie potrafią płakać, ale w ich fizjologii ani w ich umyśle nie ma nic takiego, co powstrzymałoby ich przed odczuwaniem straty równie żywo, jak dzieje się to u ludzi.

Apsik odwrócił się.

Heechowie nie mieli zwyczaju całować się przy pożegnaniu, ale wchodząc do statku Apsik żałował, że tym razem nie uczynił wyjątku.

Rozdział 3

Tu mówi Albert

Nazywam się Albert Einstein, a przynajmniej tak nazywa mnie Robinette Broadhead, i chyba powinienem wyjaśnić parę rzeczy.

Dzięki swemu roztargnieniu i zajmowaniu się wszystkim naraz, Robinowi nie udało się omówić znacznej części danych, która moim zdaniem ma znaczenie podstawowe. Między innymi: kim jest wróg. Udzielę tu pomocy. Po to jestem: żeby pomagać Robinette'owi Broadheadowi.

Na wstępie powinienem jednak objaśnić własną sytuację.

Zacznijmy może od tego, że nie jestem „prawdziwym” Albertem Einsteinem. On zmarł wiele lat temu, zanim jeszcze było możliwe — przynajmniej dla istot ludzkich — zapisanie osobowości w bazie danych, kiedy ciało przestało już funkcjonować. Dlatego też nie mieliśmy do dyspozycji prawdziwej kopii tamtego Alberta. Ja zaś jestem ledwie przybliżeniem tego, czym on mógłby być, gdyby był mną.

To, czym naprawdę jestem, jest dość odmienne od wszelkich rodzajów rekonstrukcji ludzkiej istoty. Zasadniczo jestem prostym programem do wyszukiwania danych, któremu dorobiono trochę zabawnych cech, żeby się ładnie prezentował. (To coś podobnego do chowania trzymanego przy łóżku telefonu w pluszowym misiu). Aby stał się bardziej przyjazny dla użytkownika, czyli dla Robinette'a, zażądał on, bym wyglądał i zachowywał się jak żywy człowiek. Moja programistka dała mu więc mnie. Zrobiła to z przyjemnością. Lubiła zabawiać Robinette'a, gdyż była nie tylko jego programistką, ale także jego żoną, S. Ja. Laworową-Broadhead.

To, jak wyglądam i jak się zachowuję, wynika jedynie z zachcianki Robina.

Chyba nie będzie za bardzo fair, gdy stwierdzę, że Robin jest człowiekiem wielu zachcianek i wielu nastrojów. Nie chcę go w ten sposób dyskredytować. Nic na to nie poradzi. Robin zaczynał jako istota organiczna.

Z tego też powodu wykazuje wszelkie niedoskonałości istot cielesnych. Jego poziom inteligencji był ograniczony możliwościami mułowatej organicznej mate-

rii. Jego umysł nie był precyzyjny i na pewno nie był matematyczny. Był produktem cielesnego mózgu, skąpany w nieprzerwanej powodzi hormonów, zakłócany takimi impulsami wejściowymi, jak ból i przyjemność. W niemałym stopniu zdolny jest do zapętlania się nad takimi elementami programowania, znacznie przekraczającymi moje osobiste doświadczenie, jak „wątpliwość”, „poczucie winy”, „zazdrość” i „strach”. Wyobraźcie sobie takie życie! Tak naprawdę to chyba cud, że on funkcjonuje bez większych usterek. Nie wyobrażam sobie, jak mnie mogłoby się to udać. Z drugiej strony jednak nie mogę powiedzieć, że naprawdę znam się na tych rzeczach, bo nigdy ich nie odczuwałem, no chyba, że w sensie analogowym.

Nie znaczy to, że nie potrafię sobie z tym radzić. Programy Essie Broadhead potrafią prawie wszystko. „Rozumienie” nie jest tak całkiem konieczne — nie musisz rozumieć jak działa statek kosmiczny, żeby do niego wejść i nacisnąć parę przycisków. Mogę sobie wyobrazić, jak dane bodźce wpływają na zachowanie Robina prawie równie dobrze, jak on sam, a żeby tego dokonać, wcale nie muszę „rozumieć”.

W końcu nie pojmuję też pierwiastka kwadratowego z minus jeden, co jednak nie przeszkadza mi wyszukiwać pożytecznych sposobów wykorzystania go w równaniach. To działa; e do potęgi i razy pi równa się minus jeden. I w najmniejszym stopniu nie ma tu znaczenia, że wszystkie występujące tu wielkości są irracjonalne, transcendentne, zespolone czy ujemne.

Nie ma również znaczenia, że sam Robin także wykazuje takie cechy. I to wszystkie. W szczególności jego nastrój jest przez sporą część czasu na minusie, co jakoś tam nie pozwala mu wykazywać innego irracjonalnego, żeby nie powiedzieć transcendentnego stanu, a mianowicie „szczęścia”.

To głupie z jego strony. Według wszelkich obiektywnych standardów, Robinette’owi Broadheadowi się udało. Ma wszystko, czego ludzka istota może zapragnąć. Ma niezmiernie bogactwa — cóż, to prawda, że nie posiada ich osobiście, gdyż w tej chwili jest utrwaloną maszynowo osobowością, a wokół własności ludzi zmarłych narosło wiele mętnych zagadnień prawnych; jednakże prawdziwym bogactwem zarządza jego żyjąca żona (czyli „wdowa po nim”), a jest tego tyle, że jeśli Robin chce wydać tu czy tam parę milionów, wystarczy, że powie słowo. Korzysta z tego bogactwa nawet rozsądnie. Większość idzie na Instytut Broadheada do Badań Pozasłonecznych, który ma placówki w takich miejscach, jak Londyn, Brasilia, Johore, planeta Peggy oraz kilkanaście lokalizacji w starych Stanach Zjednoczonych, że nie wspomnę o flotylli statków badawczych, bez przerwy zajętych szperaniem po całej Galaktyce. Z tego powodu jego życie ma „sens”, a on ma dużą „władzę”. Co jeszcze? „Zdrowie”? Oczywiście, że jest zdrowy; gdyby coś się popsuło, natychmiast to poprawią. „Miłość”? Jasne! Ma najlepszą z żon, jaka może istnieć, w osobie S. Ja. Laworownej-Broadhead — a przynajmniej ma

jej utrwaloną maszynowo symulację, a symulacja ta jest, rzecz jasna, doskonała, gdyż S. Ja. napisała swoją dublerkę osobiście.

Krótko mówiąc, jeśli którakolwiek cielesna osoba, lub ekscielesna osoba, miała powody, żeby być szczęśliwa, to jest nią Robin.

Dzięki temu można stwierdzić, że „rozsądek” nie jest dominującą cechą jego psyche. Bardzo często nie jest wcale szczęśliwy. Wśród typowych przykładów można wymienić jego nie kończące się zamartwianie i niepewność związaną z osobami, które kochał, z tym, co rozumiał przez „miłość”, oraz z tym, czy postąpił „słusznie” i czy był „wierny” swoim partnerkom.

Na przykład:

Robin kochał Gelle-Klarę Moynlin; wtedy oboje byli cielesnymi ludźmi. Pokłócili się. Pogodzili. Potem, wskutek wypadku, któremu żadne z nich nie mogło zapobiec, zostawił ją w czarnej dziurze na trzydzieści lat.

Cóż, na pewno nie było w tym nic dobrego. Ale to nie była jego wina. Mimo to musiał spędzić wiele godzin na kozetce u mojego kolegi, programu psychoanalitycznego Sigfrida von Psychy, aby „uwolnić” swój umysł z „poczucia winy”, które sprawiało mu tyle „bólów”.

Irracjonalne? No pewnie. Ale to jeszcze nie koniec.

Kiedy Klara pozostawała poza jego zasięgiem — według ówczesnego stanu jego wiedzy, już na zawsze spotkał i „pokochał” oraz poślubił moją twórczynię, S. Ja. Laworowną. Na tyle, na ile mogę ocenić ten czyn — było to coś dobrego. Ale potem znów pojawiła się Klara. Wówczas Robin musiał stanąć w obliczu faktu, że „kochał” je obie — i wtedy popadł w katatonię.

Sprawa wyglądała jeszcze gorzej przez to, że jakoś w tym samym czasie mu się zmarło. (A przynajmniej jego cielesna powłoka uległa zużyciu i musiano go zapisać w gigabitowej przestrzeni). Można by pomyśleć, że to wiele upraszcza. Jest oczywiste, że kwestie biologiczne powinny przestać już przysparzać mu zmartwień. Nie był już istotą biologiczną. Ale skąd, to niepodobne do Robina Broadheada!

Robin nie jest wszakże beznadziejnie głupi. (To znaczy, jak na byłego osobnika cielesnego). Wie równie dobrze jak ja, że z antropologicznego punktu widzenia takie pojęcia jak „wierność”, „zazdrość”, „seksualne poczucie winy” wynikają wyłącznie z biologicznego faktu, że „miłość” implikuje „stosunek”, który z kolei implikuje „reprodukcję” — zazdrość bierze się wyłącznie z chęci upewnienia się, że dzieci, które wychowujemy, są genetycznie nasze własne. On wie o tym. Niestety, nie potrafi tego odczuć. Nawet fakt, że biologicznie nigdy nie spłodził dziecka, niczego tu nie zmienia.

Jakimi to dziwnymi rzeczami zamartwiają się cielesni ludzie! A potem martwią się dalej, nawet wówczas, gdy przeszli na wyższy etap bezcielesnej egzystencji, jak ja.

Robin martwił się więc dalej, a kiedy Robin się martwił, ja martwiłem się również. O niego. Ponieważ była to jedna z rzeczy, dla których zostałem zaprogramowany.

Zauważyłem, że zaczynam przeskakiwać z tematu na temat, zupełnie tak samo, jak Robin.

Cóż, nic na to nie poradzę. „Jaki pan, taki kram”, jak mawia stare przysłowie rzeczywistych ludzi — nawet jeśli „pan” jest wyłącznie syntetycznym artefaktem złożonym z podprogramów i baz danych, co dotyczy też mnie.

Przejdźmy teraz do Wroga.

Była to rasa inteligentnych istot, bezcielesnych (w istocie niematerialnych), o istnieniu której dowiedzieli się Heechowie. Wróg (Heechowie nazywali ich Asasynami i podobnie czyniło wielu ludzi, lecz nigdy nie spodobało mi się to określenie) unicestwił przynajmniej cztery cywilizacje i zadał poważne ciosy kilku innym.

Było oczywiste, że nie przepadają za żadnymi cielesnymi istotami.

Nie można było wykluczyć, że w ogóle nie lubią materii jako takiej. W jakiś sposób — nikt nie wie jak — dołożyli do wszechświata tyle masy, że zmalała prędkość jego rozszerzania się. Kiedyś, w przyszłości, wszechświat miał z powrotem zacząć się kurczyć, po czym ponownie rozszerzyć; jedyny logiczny wniosek był taki, że Wróg musiał dokonać jakiejś manipulacji w taki sposób, by kolejny wszechświat był dla niego bardziej przyjazny.

Z obiektywnego punktu widzenia było to imponujące i eleganckie przedsięwzięcie. Nigdy nie udało mi się jednak skłonić Robina do tego, by to zauważył; jego nieszczęsne pochodzenie sprawiło, że był nadal przywiązany do materii.

A Wróg czaił się blisko, zamknięty we własnej czarnej dziurze — nietypowej czarnej dziurze, która nie zawierała żadnej materii, lecz była upustem energii. (Energia, która składała się na tę masę, był oczywiście sam Wróg). Taka czarna dziura miała własną nazwę. Określano ją jako „kugelblitz”.

Kiedy Robin i ja po raz pierwszy spotkaliśmy Heecha imieniem Kapitan i jego załogę, było to dla Heechów traumatyczne przeżycie.

Ich metodą postępowania z Asasynami była ucieczka i ukrycie się. Nie mogli uwierzyć, że ludzkie istoty są aż tak beztroskie, by wybrać inną ścieżkę. Powiedzieli nam, co się dzieje i byli zszokowani, że nie chcemy iść za ich przykładem.

Kiedy Kapitan w końcu przekonał się, że ludzkość (włączywszy, póki co, do tej kategorii istoty takie jak ja) ma zamiar pozostać w naszej Galaktyce, pogodził się z nieuniknionym. Nie podobało mu się to. Ale to zaakceptował. Pośpiesznie zaniósł tę wiadomość do miejsca, gdzie ukryli się Heechowie, kiedy zrozumieli, jakimi zagrożeniem jest Wróg: w wielkiej czarnej dziurze w jądrze Galaktyki. Jego misja polegała na tym, by poinformować resztę Heechów, że ich plany leżały w gruzach przez bezczelną rasę istot ludzkich oraz przekonać ich, by nam pomogli.

Było to dość ważne zagadnienie. Heechowie dysponowali niezwykleymi środkami. Choć strawiliśmy dziesięciolecia na uczeniu się ich technologii i łączeniu jej z naszą własną, jeszcze zanim ludzka istota ujrzała na oczy żywego Heecha, było wciąż wiele rzeczy, o których nic nie wiedzieliśmy. Kapitan obiecał więc przekonać Heechów, by nam pomogli — bezzwłocznie — aby wspólnie przygotować się na dzień, w którym Wróg wynurzy się z kryjówki, by zniszczyć jeszcze parę ras cielesnych istot.

Niestety, dla Heechów „bezzwłocznie” oznaczało coś zupełnie innego niż dla nas — nawet jeśli do „nas” zaliczymy żałośnie powolne cielesne istoty ludzkie. Zegary w czarnych dziurach chodzą powoli. Współczynnik spowolnienia czasu w jądrze Galaktyki sprawił, że Heechowie działali jeszcze wolniej niż ludzie, w stosunku mniej więcej czterdzieści tysięcy do jednego.

Na szczęście, „bezzwłocznie” oznaczało przynajmniej „najszybciej jak się da”, i faktycznie zareagowali zadziwiająco szybko — jeśli wziąć pod uwagę wszystkie czynniki. Pierwszy statek Heechów wynurzył się z ich ergosfery praktycznie natychmiast — to znaczy zaledwie po osiemnastu latach! Drugi pojawił się zaledwie dziewięć lat po nim.

Przyczyną, dla której zareagowali tak szybko, był fakt, że utrzymywali pewną liczbę statków Heechów w stanie stałej gotowości. A pierwsi Heechowie, którzy do nas dotarli, byli bezcenni. To oni pomogli nam zbudować Krąg Obserwacyjny, trwać na posterunku obserwującym kugelblitz oraz namierzyć nisze i zakątki w całej Galaktyce, gdzie ukryto zachomikowaną maszynierię Heechów... a także często zachomikowanych ludzkich poszukiwaczy z Gateway, którzy dotarli tam i nie mogli już wrócić.

Wydaje mi się, że powinienem opowiedzieć wam coś o Kronikach Heechów i wyjaśnić, dlaczego były tak przerażające.

W ramach rutynowej procedury setki statków Heechów wyruszały w podróże w celach badawczych. Heechowie byli równie ciekawscy jak istoty ludzkie i równie zawzięci, by poznać wszystko, co tylko jest do poznania.

W nauce można było znaleźć wiele ciekawych problemów teoretycznych, które nie dawały im spokoju. Tak naprawdę chcieli poznać parę rzeczy poza rozwiązaniem zagadki zaginionej masy — czyli faktu, że cała zaobserwowana we wszechświecie materia nie waży aż tyle, by uzasadnić zaobserwowaną ucieczkę galaktyk. Czy protony naprawdę się rozpadają? Czy przed Wielkim Wybuchem było coś jeszcze, a jeśli tak, to co?

Ludscy naukowcy martwili się tymi problemami jeszcze zanim spotkaliśmy Heechów. Heechowie mieli wielką przewagę nad tymi ludzkimi istotami z wcześniejszych etapów (wliczając w to mojego cielesnego przodka). Mogli wyjść i popatrzeć.

Tak też robili. Wysyłali ekspedycje, by badały gwiazdy neutronowe, nowe i supernowe, białe karły i pulsary. Mierzyli prędkość przepływu materii między

parami gwiazd podwójnych oraz strumień promieniowania z gazów pochłanianych przez czarne dziury. Nauczyli się także przekraczać granicę Schwarzschilda dookoła czarnej dziury, która to sztuczka pozwoliła im potem rozwinąć ciekawą technologię; nie będą nawet wspominał o ich równie wielkiej ciekawości związanej ze sposobami, w jakie cząstki łączą się by utworzyć atomy, atomy łączą się w cząsteczki, a cząsteczki stają się żywymi istotami, jak oni sami.

Mogę łatwo podsumować, co chcieli Heechowie osiągnąć w sferze nauki. Otóż chcieli wszystkiego.

Żaden jednak cel ich podróży nie był ważniejszy, ani z żadnym nie wiązały się większe wysiłki, niż z poszukiwaniem we wszechświecie inteligentnego życia.

Przez cały ten czas Heechowie znaleźli parę przykładów — czy może raczej byli bliscy znalezienia.

Pierwsze było przypadkowe odkrycie, które przyniosło nagłą radość i prawie natychmiastowe rozczarowanie. Mała, lodowa planeta, w normalnych warunkach prawie niewarta uwagi, zaskoczyła ich intrygującymi anomaliami pola magnetycznego. Nikt z nich na początku nie był specjalnie zainteresowany tym obiektem. Potem, w czasie rutynowego przeszukiwania, obsadzony Heechami statek badawczy sprawdził raporty uzyskane od bezzałogowych sond. Planeta znajdowała się ponad 200 j.a. od macierzystego, niezbyt jasnego słońca typu K-3 i niewątpliwie nie było to miejsce, gdzie można by spodziewać się pojawienia się życia. Temperatura jej powierzchni wynosiła zaledwie 200 K, a na jej lodowej powierzchni nic się nie poruszało. Kiedy jednak badacze Heechów zaczęli sondować lód, odkryli zagrzebane pod nim znaczne masy metalu. Echosondy wykazały, że metal ma regularny kształt. Kiedy podekscytowana załoga sprowadziła świdry termiczne i posłała je na dół w celu dokonania badań, znaleziono budynki!

I ani żywej duszy.

Heechowie stanęli w obliczu zasmucającego faktu, że na planecie istniało kiedyś inteligentne życie; na podstawie znalezisk można było ocenić, że osiągnęło wczesną epokę przemysłową, i wtedy przestało istnieć.

Datowanie pokrywy lodowej pozwoliło ustalić, że przybyli tam pół miliona lat za późno na znalezienie czegokolwiek żywego, ale nie to było najgorsze. Najgorsza była opinia geologów i geochemików, że ta planeta nie mogła znaleźć się na tej orbicie w sposób naturalny; jej skład przypominał Wenus, Ziemię i Marsa; był to rodzaj planety znajdowany blisko gwiazdy macierzystej.

Coś odsunęło ją tak daleko od jej słońca, że zamarzła.

Oczywiście mogła to być jakaś katastrofa na skalę astronomiczną, na przykład (statystycznie mało prawdopodobne) przejście w pobliżu jakiejś gwiazdy. Żaden z Heechów jednak w to nie wierzył (choć bardzo chcieli).

Potem znaleźli coś, co złamało im serca po raz drugi.

Nie od razu spotkało ich to przykre wydarzenie. Była to nadzieja, którą podtrzymywano przez długi czas — ponad stulecie! Zaczęło się to, gdy statek He-

echów przechwycił słabą transmisję radiową, namierzył ją i dotarł do prawdziwego, bezdyskusyjnego artefaktu pozostawionego przez cywilizację stojącą na wysokim poziomie rozwoju technologicznego, podróżującą w przestrzeni międzygwiazdnej.

Nie było tam żywej załogi. Nie było to możliwe — może z wyjątkiem mikroorganizmów. Obiekt ten był wielką, przypominającą babie lato, metalową pajęczyną, rozległą na tysiące kilometrów, ale tak filigranową i delikatną, że całość nie ważyła więcej od paznokcia.

Heechowie nie potrzebowali dużo czasu, by uzmysłwić sobie, co znaleźli. W miejscach połączeń drutów znajdowały się przedmioty przypominające tranzystory i paski piezoelektrycznego materiału. Cały obiekt był kalkulatorem. Był także komputerem, kamerą, nadajnikiem radiowym, wszystko w cudowny sposób ujęte w delikatną jak muślin pajęczynę, którą można było zmiąć w dłoni.

Był to zautomatyzowany żaglowiec, napędzany światłem.

Dowód był oczywisty: we wszechświecie istnieje inteligentne życie podobne do samych Heechów! I to życie, które nie tylko jest inteligentne; ale życie zaawansowane technologicznie, życie, które sięgnęło gwiazd. Pojęli od razu, że to nadzwyczaj lekka sonda międzygwiazdna, kosmiczna wiązka siana, dryfująca w przestrzeni, by badać Galaktykę, za pomocą ciśnienia światła, badając inne gwiazdy i odsyłając raporty swoim twórcom drogą radiową, na ich ojczystą planetę.

Ale gdzie była ich ojczysta planeta?

Niestety, statek Heechów nie zmierzył dokładnie położenia pajęczyny w chwili jej przejścia. Choć wiedzieli z dokładnością do kilku stopni, jak była ustawiona, te kilka stopni obejmowało jakieś sto milionów gwiazd, dalekich i bliskich.

Przez następne stulecie każdy wyruszający w podróż statek Heechów, bez względu na to, gdzie się udawał, zabierał dedykowany odbiornik radiowy. Był on zawsze włączony i nasłuchiwał tylko pieśni innych kosmicznych wiązek siana.

I w końcu je znaleźli.

Pierwsza z nich była uszkodzona i jej położenie nie było już doskonałe — ale nawet to pozwalało na ograniczenie wyboru zaledwie do jakiegoś miliona gwiazd, co stanowiło poprawę o dwa rzędy wielkości. A następnie odkryli jeszcze jedną, nowiuteńką, w doskonałym stanie, co zaowocowało znacznym ograniczeniem ich liczby.

Rój sond badawczych Heechów wyruszył do tego rejonu Galaktyki. Nadal należało przeszukać mnóstwo gwiazd, ale zamiast milionów były ich teraz tylko setki. Przeszukali je wszystkie. Ta nie miała planet. Te znów tworzyły układ podwójny, gdzie na planetach nie mogło rozwinąć się życie, nawet gdyby istniały tam jakieś planety. Te znów były zbyt nowe i zbyt jasne, za młode, by dać szansę na wykształcenie się życia. . .

I nagle odnaleziono właściwą gwiazdę.

Nie była specjalnie imponująca. Była spopieliała, zbyt mała i niepozorna, by być choćby gwiazdą neutronową. Owszem, znajdowała się na właściwym miejscu. Miała też planety. . . ale setki tysięcy lat temu zamieniła się w nową. Wszystkie planety zostały wyżarzone na popiół. Nie zostało na nich nic żywego.

Ale na czwartej planecie. . . dolinę przecinało zwałowisko gruzu, które kiedyś było tamą, tunel pogrzebany w zapadniętym zboczach góry — tak, właśnie z tego miejsca pochodziły kosmiczne wiązki siana.

I po raz kolejny Heechowie przybyli za późno.

Wyglądało to, pomyśleli sobie Heechowie, jakby ktoś latał po całej Galaktyce i unicestwiał jedną cywilizację za drugą, zanim Heechowie do nich dotarli. Albo zanim te cywilizacje były w stanie wysłać w przestrzeń międzygwiazdową żywych przedstawicieli własnego gatunku.

I wtedy Heechowie dokonali ostatecznego, przerażającego odkrycia. Wysłali w kosmos ekspedycję pod wodzą uroczej samicy imieniem Tangens i cały potworny obraz pojawił się przed nimi.

Nie opowiem wam o Tangens.

Nie zrobię tego dlatego, iż prędzej czy później opowie o niej Robin. On jeszcze o tym nie wie. Sam jeszcze nie wie, że zaraz o tym usłyszy od kogoś, kto zna ją z pierwszej ręki. Już by o tym wiedział, gdyby pozwolił mi opowiedzieć sobie o tym kimś — czy, w istocie, o paru innych osobach, których obecność na Gateway okaże się dla niego bardzo ważna. Ale Robin bywa strasznie uparty, kiedy próbuję mu powiedzieć coś, co naprawdę powinien wiedzieć.

Oto cała historia. Przepraszam za dygresję. Niech wolno mi będzie dodać jeszcze jedno. Nie jest to rzecz bez związku.

Jakiś czas temu wydedukowałem, że choć „wiem”, iż e do potęgi i razy π jest równe minus 1, nie rozumiałem „dlaczego”. Chcę przez to powiedzieć, że nie ma żadnego intuicyjnego powodu, dla którego e (podstawa logarytmu naturalnego) podniesiona do potęgi i (pierwiastek kwadratowy z minus jeden) razy π (stosunek obwodu koła do jego średnicy) powinien w ogóle przyjmować jakąś szczególną wartość, a co dopiero prostą ujemną liczbę całkowitą, jak minus jeden.

Nie podchodziłem do tego zbyt otwarcie.

Nie wiem dokładnie dlaczego tak jest, ale mam pewne podejrzenia. Niestety, wiążą się one z takimi zjawiskami, jak „brakująca masa” oraz zastanawiającym pytaniem dotyczącym tego, czemu w przestrzeni postrzegamy tylko trzy wymiary a nie dziewięć, a Robin po prostu nie będzie mnie słuchał, kiedy o tym mówię.

Rozdział 4

Kto przybył na imprezę

Na Gateway było jedno miejsce, które bezwzględnie musiałem odwiedzić.

Kiedy już znudziło mi się dumanie nad tym wszystkim, nad czym musiałem dumać i słuchanie ludzi wołających: — Hej, Robinette, wyglądasz wspaniale! — poszedłem tam. To był Poziom Laleczka, Ćwiartka Wschodnia, Tunel 8, Pokój 51. Przez kilka koszmarnych i przerażających miesięcy był to mój dom.

Poszedłem tam zupełnie sam. Nie chciałem odrywać Essie od jej leningradzkiego kumpla, a poza tym ta część mojego życia, która rozegrała się w tej brudnej, ciasnej dziupli, nie była częścią, którą z nią dzieliłem. Stałem, gapiąc się, chłonąc to wszystko. Uaktywniłem nawet receptory, których zwykle nie używam, bo sam widok mi nie wystarczył. Chciałem poczuć smak i dotyk.

Wyglądało to, pachniało i robiło wrażenie dość zaniedbanego, a ja prawie utonąłem w wielkiej, cieplej fali nostalgii, która mnie zalała.

Pokój 51 był sypialnią, którą dostałem, kiedy po raz pierwszy przybyłem na Gateway — Jezu! To było całe dziesiątki lat temu!

Pokój trochę wysprzątno i w znacznym stopniu odremontowano. To już nie była dziura, w której przerażony poszukiwacz z Gateway ukrywał siebie i swój strach. Teraz należał do jakiegoś ledwo trzymającego się na nogach geriatrycznego przypadku, który przybył na Pomarszczoną Skałę, gdyż właśnie tu miał największe szanse na utrzymanie swojego zużytego ciała o chwilę dłużej. Pokój wyglądał inaczej. Zamiast mojego starego hamaka wstawiono prawdziwe łóżko — może trochę za wąskie. Na jednej ze ścian zamocowano lśniący nowością komunikacyjny zestaw piezowizyjny, chowaną w ścianie umywalkę z prawdziwą bieżącą wodą i jakiś milion luksusów, których ja nie miałem. Przypadek geriatryczny odkuśtykał stąd gdzieś, niewątpliwie na imprezę. Tak czy inaczej — nie było go tutaj. Miałem cały pokój dla siebie, z całym jego klaustrofobicznym luksusem rozmiarów szafy.

Wziąłem głęboki „oddech”.

To była kolejna wielka różnica. Zapach znikł. Jakoś udało im się pozbyć tego starego smrodu Gateway, który osiadał na ubraniach i skórze, mocno zużytego powietrza, którym oddychali już wszyscy inni, w którym się pocili i pierdzili, i tak przez całe lata. Teraz pachniało tylko odrobinę tym zielonym, rosnącym czymś, pewnie jakimiś roślinami, które wspomagały system dostarczania tlenu. Ściany nadal błyszcząły metalem Heechów — czystym błękitem; Gateway nigdy nie znała innych kolorów.

Zmiany? Oczywiście, zmian było mnóstwo. Ale to był ten sam pokój. I cały świat rozpaczy i zmartwień, które w nim upchałem.

Żyłem w taki sposób, jak wszyscy poszukiwacze na Gateway — odliczając minuty do chwili, gdy będę musiał wybrać jakiś lot, jakikolwiek lot, albo wykopią mnie z asteroidu, bo skończyła mi się forsa. Przekopując się przez listy wypraw, które poszukiwały członków załogi, próbując zgadnąć, która z nich może uczynić mnie bogatym — a tak naprawdę, która przynajmniej mnie nie zabije. Sypiałem z Gelle-Klarą Moynlin w tym pokoju — no chyba, że robiliśmy to u niej. W tym pokoju płakałem jak wariat, kiedy wróciłem z ostatniej wyprawy, na jaką z nią poleciałem. . . bez niej.

Wydawało mi się, że przeżyłem tu znacznie większy kawałek życia przez te przekłete parę miesięcy spędzone na Gateway, niż wszystkie inne dziesięciolecia, jakie minęły od tego czasu.

Nie wiem, ile milisekund tu spędziłem, przez chwilę wypełnioną czułościową nostalgią, zanim usłyszałem za sobą głos:

— No patrzcie, Robin! Wiesz, tak mi przyszło do głowy, że pewnie gdzieś tu się szwendasz.

To była Sheri Loffat.

Muszę wyznać, że choć ucieszyłem się z widoku Sheri, cieszył mnie też fakt, że Essie jest zajęta popijaniem ze starym kumplem od kieliszka. Essie nie jest zazdrosna, kobietą. Ale w przypadku Sheri Loffat mogłaby uczynić wyjątek.

Sheri przyglądała mi się, stojąc w wąskich drzwiach. Nie wyglądała na ani minutę starszą niż wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni, czyli ponad pół wieku temu. Ba, wyglądała o niebo lepiej, bo wtedy właśnie wyszła ze szpitala po wyprawie, która skończyła się źle pod każdym względem z wyjątkiem finansowego. Teraz można by określić jej wygląd wszystkimi cechami w okolicach przymiotnika „dobrze”. Wyglądała dość apetycznie, bo poza szerokim uśmiechem miała na sobie tylko dzierganą na drutach przezroczystą spódnice.

Natychmiast rozpoznałem ten strój.

— Podoba ci się? — spytała, pochylając się, by mnie pocałować. — Włożyłam to specjalnie dla ciebie. Pamiętasz?

Odpowiedziałem wykrętnie:

— Jestem teraz żonaty. — Miało to wyjaśnić sprawę raz na zawsze, ale nie powstrzymało mnie przed oddaniem jej pocałunku, gdy wypowiadałem te słowa.

— Cóż, a kto nie jest? — spytała rozsądnie. — Mam czwórkę dzieci, wiesz. Że nie wspomnę o trzech wnukach i jednym prawnuku.

— Mój Boże — rzekłem.

Pochyliłem się, by się jej przyjrzeć. Przepłynęła z wdziękiem przez drzwi i zawiesiła się na haczyku w ścianie. W dawnych czasach zdarzało nam się tak robić, kiedy jeszcze byliśmy cielesnymi ludźmi, a Gateway była bramą do gwiazd, gdyż obrotowa „grawitacja” asteroidu była tak słaba, że wiszenie było wygodniejsze od siedzenia. Podobał mi się ten strój. Mało prawdopodobne, bym miał o nim zapomnieć. Było to dokładnie to samo ubranie, które Sheri miała na sobie, kiedy po raz pierwszy przysłała do mojego łóżka.

— Nawet nie wiedziałem, że umarłaś — powiedziałem, żeby ją przywitać.

Zmieszała się trochę na samą wzmiankę, jakby jeszcze nie oswoiła się z tą myślą.

— To się stało dopiero w zeszłym roku. Oczywiście wtedy tak młodo nie wyglądałam. Bycie martwym nie jest więc takie złe. — Dotknęła palcami policzka i lustrowała mnie z góry na dół. — Ciągle widziałam cię w wiadomościach, Robin. Powiodło ci się w życiu.

— Tobie też — rzekłem, przypomniawszy sobie. — Poleciałaś do domu z pięcioma czy sześcioma milionami dolarów, prawda? Za tę skrzynkę z narzędziami Heechów, którą znaleźliście?

— Ponad dziesięć milionów dolarów, jeśli liczyć tantiemy — uśmiechnęła się.

— Nadziana babka!

Wzruszyła ramionami.

— Miałam z tym niezły ubaw. Kupiłam sobie parę okręgów na planecie Peggy, wyszłam za męża, wychowałam dzieci, umarłam... to wszystko było dość przyjemne, jeśli nie liczyć ostatniej części. Ale nie mówię tu o pieniądzech, bo przecież tobie też niczego nie brakuje. Jak o tobie mówią? Najbogatszy człowiek wszechświata? Powinnam była się ciebie trzymać, kiedy jeszcze były na to jakieś szanse.

Uświadomiłem sobie, że odczepiła się od haczyka i znalazła się przy mnie. Po chwili odkryłem, że trzymam ją za rękę.

— Przepraszam — powiedziałem, puszczając jej dłoń.

— Za co?

Odpowiedź na to pytanie brzmiała: skoro musiała zadać pytanie, to i tak nie zrozumiałaby odpowiedzi, ale nie musiałem jej tego mówić. Westchnęła.

— Chyba nie ja zajmuję dziś twoje myśli.

— Cóż...

— Och, w porządku, Robinie. Naprawdę. To była tylko taka chwila tęsknoty za dawnymi, dobrymi czasami. Tylko że — mówiła dalej — serio, jestem trochę zaskoczona, że nie jesteś z nią i tym facetem, jak mu tam...

— Siergiejem Borbosnojem?

Potrząsnęła głową z niecierpliwością.

— Nie, to nie o niego chodzi. To jest... czekaj chwilę... tak, Eskladar. Harbin Eskladar.

Zamrugałem oczami, zaskoczony, gdyż wiedziałem, kim jest Eskladar. Kiedyś był dość sławny. Nie, żebym go kiedyś spotkał. Oczywiście nigdy nie miałem na to ochoty, przynajmniej nie z początku, gdyż Harbin Eskladar był kiedyś terrorystą, a co takiego moja kochana Przenośna Essie robiłaby z byłym terrorystą?

Ale Sheri mówiła dalej:

— No jasne, teraz pewnie obracasz się w eleganckim towarzystwie. Wiem, że znałeś Audee Walthersa. I chyba jesteś zaprzyjaźniony z Blask i nimi wszystkimi...

— Blask? — Miałem problem z nadażeniem za Sheri, ale to imię poderwało mnie na równe nogi. Choć użyła angielskiego słowa, było to imię Heecha.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Nie wiedziałeś? O rany, Robi, może choć raz cię wyprzedziłam! Nie wiedziałeś, jak cumuje statek Heechów?

I nagle znów odniosłem wrażenie, że ta impreza może być bardzo przyjemna. Widziałem statek Heechów, zgadza się, ale nie przyszło mi do głowy, że mogli przylecieć nim Heechowie.

Nie wydaje mi się, żeby zmiecie się w ten sposób było specjalnie uprzejme. Sądząc z wyrazu twarzy Sheri, ona też nie uważała tego za zbyt grzeczne, ale cieszyłem się, że mam jakąś wymówkę. Nie lubię wystawiać na próbę braku zazdrości u Essie i choć powiedziałem Sheri „Do zobaczenia wkrótce”, kiedy ją całowałem na pożegnanie, wcale nie miałem zamiaru z tego skorzystać.

W gigabitowej przestrzeni, znów sam, wywołałem Alberta. Pojawił się w gnieniu oka.

— Tak?

— Nie powiedziałeś mi, że na Skale są Heechowie — rzekłem z irytacją. — Co oni tu robią?

Uśmiechnął się promiennie drapiąc się w kostkę.

— Jeśli chodzi o drugie pytanie, to mają pełne prawo, żeby tu być, Robinie. Dzisiejsza impreza to w końcu spotkanie wszystkich, którzy kiedyś byli na Gateway. A ci trzej Heechowie tu byli. Bardzo dawno temu. Jeśli zaś chodzi o pierwszą część — przybrał taką minę, jakby go źle potraktowano — próbowałem już od jakiegoś czasu ci powiedzieć o osobach, którymi na pewno byłbyś zainteresowany, Robinie. Przerwanie ci nie byłoby taktowne. Pozwól mi więc...

— Pozwalam ci więc opowiedzieć mi o tych Heechach! O Eskladarze już wiem.

— Och? — Przez chwilę Albert wyglądał na mocno zaskoczonego. Nie jest to wyraz twarzy, który często u niego widuję. Potem rzekł posłusznie: — Statek Heechów przybył bezpośrednio z jądra Galaktyki, a ci trzej Heechowie, którzy,

jak sędzę, zainteresują cię, nazywają się Mion, Kopiec i Blask. Szczególnie zainteresuje nas zapewne Blask, która była towarzyszką Tangens podczas wyprawy na planetę Leniwców.

To natychmiast wytrąciło mnie z letargu.

— Tangens!

— Dokładnie tak, Robinie. — Rozpromienił się. — Poza tym. . .

— Muszę ich zobaczyć — rzekłem, machając, by się zamknął. — Gdzie oni są?

— Na Poziomie Jane, Robinie, w starej sali gimnastycznej; teraz jest to pomieszczenie rekreacyjne. Czy mógłbym jednak opowiedzieć o pozostałych? O Eskladarze już wiesz, więc pewnie wiesz także o Danie Miecznikowie i. . .

— Po kolei, Albercie — zarządziłem. — Teraz chcę zobaczyć kogoś, kto naprawdę znał Tangens!

Wyglądał na zdruzgotanego.

— Proszę! Może chociaż wiadomość od pani Broadhead?

Nic przedtem nie wspominał o wiadomości.

— No, dobrze — rzekłem. — Na co jeszcze czekasz?

Wyglądał na oburzonego, ale zaczął mówić — używając dokładnie tonu Essie, w sposób, w jaki modulowała głos:

— Powiedz temu sentymentalnemu durniowi Robinowi, że może sobie poglądać ukochaną z dawnych lat, ale tylko pooglądać, żadnego dotykania.

Chyba zacząłem się czerwienić. Nie sędzę, żeby Albert to zauważył, bo odprawiłem go ruchem ręki, kiedy tylko skończył mówić i już byłem w drodze na Poziom Jane.

Sumienie czyni więc nas wszystkich tchórzami. . . oraz głuchymi, nawet wtedy, gdy powinniśmy coś usłyszeć.

Jeśli mam taką ochotę, potrafię okrążyć Ziemię w czterdzieści milisekund, więc przedostanie się z Poziomu Laleczka na Poziom Jane nie zabrało w zasadzie w ogóle czasu. Zwłaszcza dlatego, że (cały czas wam o tym przypominam), tak naprawdę najpierw wcale nie byłem na Poziomie Laleczka, a kiedy dotarłem na miejsce, wcale nie byłem na poziomie Jane.

Jednak czas, który dla osoby cielesnej może być ułamkiem sekundy, dla mnie może trwać całkiem długo. Miałem czas, żeby się zastanowić nad paroma rzeczami.

Czy ja dobrze usłyszałem? Czy moja żona rzeczywiście rozmawiała z Harbinem Eskladarem? To prawda, terroryzm nie istniał już od dawna. Wszyscy ci potworni ludzie, którzy palili, podkładali bomby i niszczyli, od dawna nieodwracalnie nie żyją, są w więzieniach lub nawrócili się. A ci nawróceni, jak Harbin Eskladar, wrócili na łono społeczności. Spłacili już dług wobec społeczeństwa.

Problem polegał na tym, że nie całkiem potrafiłem uwierzyć w to, że Essie sądziła, jakoby spłacili już swój dług wobec niej. Nie szkodzi, że ich brudne sprawy

dwukrotnie prawie ją zabiły, a przy trzecim razie chłopcy mieli zamiar zabić nas oboje, ale chybili. W przypadku Essie nie chodziło o nic osobistego. Podobnie było (a przynajmniej tak myślałem) w moim przypadku. Dawno temu terroryści gnębili targaną problemami Ziemię, kiedy niczego nie było pod dostatkiem dla wszystkich, a pokręceni ludzie, którzy próbowali zmienić tę sytuację tak, by wszystkiego było jeszcze mniej, nie byli zwykłymi zbrodniarzami. Byli chwastami. To prawda, że Eskladar (jak słabo pamiętałem) w końcu przeszedł na stronę dobrych facetów. Nawet wydał kilku najgorszych przywódców, dzięki czemu ocalał więcej istnień ludzkich i własności, niż sam zniszczył.

Ale mimo to...

Zapomniałem o Eskladarze, kiedy zobaczyłem trzech Heechów. Na szczęście nie byli cielesni (jeśli ci szkieletowaci Heechowie w ogóle mieli jakieś ciało). To byli Czcigodni Przodkowie, co było pozytywne, bo oznaczało, że mogę z nimi pogadać.

Nie rozpoznałbym tego miejsca, w którym się znajdowali, gdyby Albert nie wspomniał, że kiedyś była tam sala gimnastyczna Gateway. Nie wyglądała już jak sala gimnastyczna. Było to małe, słoneczne pomieszczenie (światło słoneczne było oczywiście wytwarzane przez świetlówki), ze stołami i krzesłami, a wszędzie siedzieli goście. Ludzcy goście trzymali w dłoniach drinki. Heechowie nie piją. Zamiast tego przeżuwają różne rzeczy; gustują w grzybiastych naroślach o wysokiej zawartości substancji odurzających, i ci Heechowie mieli przy sobie płaskie miseczki z tym czymś do żucia.

— Cześć — rzuciłem lekko, podpływając bliżej. — Nazywam się Robinette Broadhead.

Zwykle okazuje mi się pewien szacunek. Otaczający mnie ludzie żwawo zrobili mi miejsce, a samica zgięła nadgarstki w uprzejmym powitaniu.

— Oczywiście mieliśmy nadzieję, że się z panem zobaczymy — rzekła. — Znamy pana nazwisko, jak zresztą wszyscy Heechowie.

Opanowali już zwyczaj ściskania dłoni i wykonaliśmy tę czynność. Czcigodni Przodkowie przybyli prosto z jądra Galaktyki — wyruszyli prawie jedenaście lat temu, według naszych zegarów, ale według ich czasu trwało to tylko parę tygodni. Wraziłem ostrożnie moje zaskoczenie z obecności Heechów w miejscu, które zawsze uważałem za prywatną własność ludzkiej rasy i jeden z maszynowo zapisanych ludzi powiedział:

— Och, ale oni mają pełne prawo, żeby tu przebywać, panie Broadhead. Każdy, kto kiedykolwiek służył na Gateway, dostał zaproszenie na to przyjęcie, a przecież każdy z nich kiedyś tu służył.

Aż ciarki przeszły mi po grzbiecie, gdyż ostatni raz,

kiedy jakiś żywy (albo zapisany maszynowo) Heech był na Gateway, miał miejsce jakieś 400 000 lat temu.

— A więc to wy zostawiliście nam statki — rzekłem, uśmiechając się, kiedy uniosłem szklankę w geście toastu. Odpowiedzieli trzymając w palcach kawałki grzybów i wskazując nimi w moją stronę, a samica powiedziała:

— Mion zostawił to, co nazywacie Fabryką Pożywienia w miejscu, które nazywacie Obłokiem Oorta. Kopiec zaś zostawił statek na waszej planecie Wenus, gdzie odkrył go Sylwester Macklen. Ja nic nie zostawiłam; odwiedziłam ten system tylko raz.

— Ale byłaś z Tangens — zacząłem, ale poczułem, że ktoś stuka mnie w ramię. Odwróciłem się, to była moja kochana Przenośna Essie.

— Robin, kochanie? — zaczęła.

— Oderwałaś się od Harbina Eskladara, prawda? — rzekłem radośnie. — Dobrze, że tu jesteś. To jest Blask. . .

Potrząsnęła głową w zdumieniu.

— Nie byłam z Harbinem Eskladarem. To bez znaczenia. Chciałam się upewnić, czy zdajesz sobie sprawę. . .

— Nic nie rozumiesz — rzekłem podekscytowany. — Mówimy o tej Tangens. Czy mogłabyś opowiedzieć nam o tej podróży, Blask?

— Jeśli chcecie. . .

Zaś Essie powiedziała:

— Proszę, Robinie, musimy coś ustalić w pewnej kwestii. Dane Miecznikow zażądał adwokata.

To powstrzymało mnie na chwilę, gdyż wypchnąłem Dane'a Miecznikowa tak daleko z moich myśli, że nie pomyślałem o powodach, dla których miałby chcieć porozmawiać z adwokatem. O mnie. To mnie trochę dobiło, ale wzruszyłem ramionami.

— Proszę, kochanie, później.

Essie westchnęła, a ja przygotowałem się na wysłuchanie tej opowieści.

Nie możecie mnie za to winić, naprawdę. Opowieść Tangens była ważna. Gdyby nie jej wyprawa, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. To nie była tylko historia Heechów, dotyczyła nas wszystkich. Historia ludzkiej rasy mogła być tak całkowicie odmienna, że równie dobrze mogłoby jej w ogóle nie być. Odłożyłem więc wszystko na bok, by wysłuchać opowieści Blask o tej słynnej wyprawie i nie poświęciłem ani chwili na zastanawianie się, czyją obecność na Gateway implikuje przybycie Dane'a Miecznikowa.

Rozdział 5

Przyptyw w najwyższym punkcie

Heechowie byli wielkimi odkrywcami, a we wszystkich kronikach Heechów najślynniejszą z podróży, jaką opisano, była wyprawa Tangens.

Była to dobrze zaplanowana wyprawa i miała doskonałego dowódcę. Tangens była niezmiernie inteligentna. To jej mądrość tak naprawdę była przyczyną ucieczki Heechów z asteroidu i wszystkich innych miejsc w całej Galaktyce.

Bycie mądrą nie było dla Tangens zbyt trudne. Posiadała niemałą własną wiedzę oraz doświadczenie i umiejętności członków załogi, jak Blask. Ale najlepsze było to, że miała do dyspozycji dwunastu lub trzynastu zapisanych maszynowo zmarłych, którzy mogli połączyć swoje doświadczenie z jej wiedzą. Do tego wszystkiego dodała dużo odwagi, przebojowości i współczucia. Spodobałaby się wam — jeśli nie liczyć tego, że jak na ludzki gust wyglądała dość dziwnie. Nie mogła nic poradzić na to, że jest Heechem.

Mówiąc, że Tangens była odkrywczynią, nie mam na myśli tego, że sporządzała mapy nowych rejonów, jak Magellan czy kapitan Cook. Odkrycia Tangens nie miały w sobie wymiaru geograficznego. Na długo przed narodzinami Tangens olbrzymie, umieszczone w przestrzeni kosmicznej teleskopy Heechów dokonały wszelkich potrzebnych Heechom pomiarów. Przeczesały gwiazdy i prawie wszystkie planety w całej Galaktyce — w sumie kilkaset miliardów ciał niebieskich, każde sfotografowano, dokonano pomiarów spektroskopowych i skatalogowano w centralnej bazie danych.

Tangens nie musiała więc zawracać sobie głowy mapami i pomiarami. Mogła myśleć o wielu ciekawszych rzeczach.

Tangens odkrywała życie organiczne. Żywe istoty. Zadaniem wyprawy Tangens było badanie żywych istot, które zamieszkiwały te ciała niebieskie.

Kolejna rzecz, o jakiej powinniśmy pamiętać to fakt, że wedle standardów Heechów Tangens była oszałamiająco piękna.

Osobiście korzystam z tych samych standardów. Dla mnie Heechowie wyglądają jak Heechowie i idę o zakład, że z żadną samicą Heechów nigdy bym się nie

ożeń. Dla mnie Tangens wyglądałaby jak wspomnienie z dzieciństwa spędzonego w kopalniach żywności w Wyoming. Za moich młodych lat obchodziliśmy Halloween, wystawiając dynie i gobliny; a jedną z najpopularniejszych postaci, którą wyciągał z szafy każdy nauczyciel w podstawówce, był tekturowy szkielet, z doczepianymi rękami i nogami, czaszka zamiast twarzy, każda kość osobno.

Tangens przypominała trochę jedną z takich postaci, z jednym wyjątkiem: była prawdziwa. Naprawdę żyła. Tylko nie dało się niczego dostrzec między jej kośćmi. Jak wszyscy Heechowie miała kości pokryte twardą, zwartą, umięśnioną skórą, równie zmysłową w dotyku jak skóra kabaczka. Ponieważ była samicą, była łysa — samce czasem miały trochę włosów na czaszce, samice praktycznie nigdy. Miała oczy, dla których nigdy żaden popularny pieśniarz nie znalazłby odpowiednich rymów, bo zasadniczo wyglądały okropnie; źrenice wyglądały jak błękitne kleksy, a całe oko było mniej więcej różowe. Jej ręce i nogi wyglądały jak u zagłodzonego sześciolatka, a seksowne w jeszcze mniejszym stopniu — przynajmniej dla ludzi. Miała szeroką miednicę. Z jej końców wyrastały nogi, a między tymi patykowatymi nogami nosiła typowy dla Heechów zestaw pierwszej pomocy. Był to gruszkowaty zasobnik emitujący strumień mikrofal, które były dla Heechów niezbędne do zachowania zdrowia, podobnie jak ziemskim roślinom potrzebne jest promieniowanie słoneczne. Poza tym zawierał wszelkie rodzaje użytecznych narzędzi i bibelotów. Także utrwalone umysły zmarłych przodków, których Heechowie używali zamiast komputerów.

Brzmi sympatycznie, prawda?

Nie, nieprawda. Ale piękno wiąże się z normą kulturową. W oczach Heechów (w tych lśniących, różowych, gadzich organach!), szczególnie w przypadku samców Heechów, Tangens była superlaską.

Dla uszu Heechów nawet jej imię brzmiało seksownie. Przyjęła imię „Tangens”, jak wszyscy Heechowie, którzy przybierają dorosłe imiona, kiedy tylko była dość dorosła, by wykazywać zainteresowanie czymś abstrakcyjnym. W jej przypadku była to geometria. Ale język Heechów umożliwiał wiele gier słownych, więc szybko nadano jej przezwisko, słowo, które brzmiało dość podobnie do „tangens”, ale które można było z grubsza (i w formie złagodzonej) przetłumaczyć jako „ta, dzięki której opadające rzeczy się prostują”.

Żadne z powyższych nie miało nic wspólnego z jej kwalifikacjami dowódcy wypraw badawczych, a były one równie imponujące. Tangens była chlubą rasy Heechów.

Przez to fakt, że odegrała znaczną rolę w jej upadku, był jeszcze bardziej traumatyczny.

Podczas swej historycznej podróży Tangens dowodziła olbrzymim statkiem Heechów. Miał on na pokładzie tysiące instrumentów i sprzętów oraz załogę liczącą sobie dziewięćdziesięciu jeden osobników. Wśród nich była Blask, która była pilotem penetracyjnym. To nie był jedynie bardzo duży statek — on był czymś

szczególным. Statek Tangens został specjalnie zaprojektowany do pewnego celu, dostosowany do specjalnych zadań.

Mógł lądować na planetach.

Mało który z międzygwiazdnych statków Heechów był do tego przystosowany. Zostały tak zaprojektowane, że mogły wchodzić na orbitę okołoplanetarną i pozostawiać problemy wejścia w atmosferę, a potem startu, wyspecjalizowanym lądownikom. Statek Tangens był wyjątkiem. To, co miał zrobić, nie było tak całkiem „lądowaniem”, gdyż planeta, którą miała zbadać, praktycznie nie miała stałej skorupy, na której można by wylądować, poza grudką jądra planetarnego z metalicznego wodoru o średnicy 2000 kilometrów, pogrążonego w zamrażającej, miazdzącej, brejowatej atmosferze. Ale planeta miała coś bardzo dla Heechów ważnego: było tam życie.

Na statku Tangens oczywiście też było życie. Każdy członek załogi z tych dziewięćdziesięciu jeden załogantów był specjalistą w jednej z wielu dziedzin. Moja nowa przyjaciółka Blask, na przykład, była pilotem penetracyjnym, czyli kimś, kto miał poprowadzić statek przez mroźną, brejowatą, gęstą „atmosferę” planety. Była to umiejętność, którą posiadało niewielu Heechów, a jej szkolenie było bardzo obszerne. Statek kipiał życiem — kwitającym, bujnym życiem. Heechowie nie byli pozbawionymi emocji maszynami. Na swój własny, heechowy sposób, byli równie jurni i pełni temperamentu jak istoty ludzkie. Czasem sprawiało im to problemy, podobnie jak w przypadku ludzi.

Trzej Heechowie płci męskiej, którzy stanowili problem dla Tangens w tym temacie, nazywali się Kwark, Angstrem 3754 oraz Szukaj i Mów.

Nie mam zamiaru was przekonywać, że dokładnie tak brzmiały ich imiona, nawet gdybyście mieli je dokładnie przetłumaczyć z języka Heechów. To są najbliższe odpowiedniki, jakie potrafię znaleźć. Kwark otrzymał imię od nazwy cząstki subatomowej; Angstrem 3754 od koloru tej długości fali; zaś Szukaj i Mów było to polecenie wydawane utworzonym z utrwalonych przodków bazom danych, kiedy chciało się sprawdzić dostępność pewnych danych.

Tangens uważała ich za bardzo przyjemnych facetów. Ta trójka była wcieleństwem wszystkich najważniejszych cnót Heechów. Kwark był odważny, Angstrem silny, zaś Szukaj i Mów delikatny. Każdy z nich byłby doskonałym partnerem. Ponieważ zbliżał się okres godowy Tangens, dobrze było, że pod ręką miała osobnika męskiego, który stałby się doskonałym partnerem.

Rasa Heechów znajdowała się w najwyższym punkcie przyływu. Ludzka historia nie zna niczego, co przypominałoby ogrom i potęgę epiki Heechów. Holenderscy kupcy, hiszpańscy szlachcice i królowe angielskie całe wieki temu wysyłały łowców przygód, by chwywali niewolników, zbierali korzenie, kopali złoto — by odkrywali i plądrowali niezbadany świat. Ale tu chodziło tylko o jeden świat.

Heechowie podbili miliardy światów.

To słowo brzmi nieco okrutnie. Heechowie nie byli okrutni. Nie pozbawiali tubylców niczego wartościowego, nawet glinianych tabliczek czy muszelek kauri.

Przede wszystkim to nie było konieczne. Heechowie nigdy nie musieli podbić tubylczych ludów, by wydobywać cenne surowce. Znacznie łatwiej było znaleźć asteroid o odpowiednim składzie, a potem doholować go do fabryki, która połykała go w całości i wypluwała gotowe wyroby. Nie musieli też zdobywać egzotycznego pożywienia, rzadkich przypraw czy lekarstw. Chemia Heechów pozwalała na pobranie dowolnej materii organicznej i powielenie jej z pierwiastków.

Innym powodem, dla którego nie byli okrutni wobec tubylców był fakt, że tubylcy trafiali się bardzo rzadko.

W całej Galaktyce Heechowie znaleźli mniej niż 80 000 światów, na których wykryto życie na etapie wyższym od prokariotycznego. A jeśli chodzi o planety zamieszkałe przez inteligentne istoty porównywalne z nimi samymi — takich nie było w ogóle.

Parę razy prawie im się udało.

Jednym z tych przypadków była nasza stara planeta Ziemia. Nie udało im się, bo nie wstrzelili się w odpowiedni punkt czasowy; przybyli jakieś pół miliona lat za wcześnie. Na Ziemi aktywność najbliższa inteligencji została zaobserwowana we włochatych, szpiczastych czaszkach pogarbionych i cuchnących małych naczelnych, które teraz nazywamy australopitekami. Za wcześnie, zadumali się z żalem Heechowie, gdy ich znaleźli; pobrali więc kilka próbek i odlecieli. Kolejnym nie trafionym przedsięwzięciem były bezrękie, pękate stworzenia żyjące w pomyjach na planecie krążącej wokół słońca typu F-9 niedaleko gwiazdy Kanopus. Choć nie do końca można nazwać je inteligentnymi, wyewoluowały na tyle, że jakieś wierzenia wykształciły. (I na tym etapie się zatrzymały; kiedy ludzie je odkryli, nazwali je „świniami voodoo”). Tu i tam natrafiano na ślady wymarłych cywilizacji, niektóre z nich zastanawiająco fragmentaryczne. Było kilka potencjalnie interesujących, które mogły osiągnąć poziom organizacji społecznych gdzieś za jakiś milion lat. . .

I była cywilizacja, którą badała Tangens. Nazwano ich „mieszkańcami brei”.

Mieszkańcy brei byli inteligentni. Mieli maszyny! Mieli system społeczny, język, a nawet poezję. Mieszkańcy brei byli pod każdym względem bardzo obiecujący.

Gdyby tylko dało się z nimi porozmawiać!

Statek Tangens ustawił się więc na orbicie, a badacze zaczęli obserwację burzliwej planety pod nimi. Angstrem rzekł do Tangens:

— Co za brzydka planeta. Przypomina mi świat, gdzie żyły świnie voodoo, pamiętasz?

— Pamiętam — rzekła Tangens z uczuciem. W istocie pamiętała też doskonale, jak to poddała się eksplorującej dłoni Angstrema, która delikatnie poskubywała gruzłowate ścięgna na jej szyi, w doskonale jej znany sposób.

Szukaj-i-Mów przemówił zazdrośnie:

— Ależ jest do niej niepodobna! Tamta była gorąca; tutaj zamarzają nawet gazy. Na tej nie moglibyśmy oddychać, nawet jeśli byłoby dość ciepło, bo zatruilibyśmy się metanem, zaś między świniami voodoo mogliśmy przynajmniej oddychać — gdyby zapomnieć o zapachu.

Tangens dotknęła Angstrema z uczuciem.

— Ale nie przeszkadzał nam ten zapach, prawda? — spytała. Potem, zastanowiwszy się, pogłaskała też Szukaj-i-Mów. Choć nie przegapiła niczego z widoku planety i była całkiem świadoma stuknięć i piknięć czujników statku, które z zapalem spijały dane z instrumentów, pozostawionych na planecie wiele lat temu, nie przegapiła też żadnych seksualnych insynuacji.

Tangens rzekła łagodnie:

— Obaj macie coś do zrobienia. Kwark i ja także. Bierzmy się do roboty.

Tak naprawdę (opowiadała Blask, pocierając swój brzuch nostalgicznie), osiemdziesięciu siedmiu członków załogi, który nie byli bezpośrednio zaangażowani w romans Tangens, było nim dość poruszonych. Lubili ją. Życzyli jej jak najlepiej. Poza tym, świat Heechów kochał kochanków, tak samo jak nasz.

Przed końcem drugiego dnia podróży Szukaj i Mów poinformował zirytowany, że Przodkowie są nie tylko gotowi, ale wykazują duży zapał, żeby porozmawiać z Tangens. Westchnęła i zajęła swoje miejsce w sterowni. Siedziała głównie na swoim zasobniku; jej fotel był tak skonstruowany, że zasobnik podłączał się bezpośrednio do zasobników przodków statku. To było przydatne rozwiązanie. Ale nie zawsze wygodne.

Czczigodni Przodkowie nie byli obdarzeni wzrokiem ani słuchem, gdyż byli jedynie inteligencjami zapisanymi w bazie danych, tak jak ja. Ale najbardziej inteligentni i najbardziej doświadczeni z nich nauczyli się odbierać przepływ elektronów w przyrządach optycznych i instrumentach prawie równie dobrze, jakby dysponowali oczami i uszami. Najstarszym Przodkiem na statku był od dawna nieżyjący osobnik męski, imieniem Kosmaty. Kosmaty był VIP-em. Był najcenniejszą osobą na pokładzie — być może nawet cenniejszą niż sama Tangens — gdyż przed swoją śmiercią naprawdę odwiedził tę planetę.

Tangens otworzyła uszy na Przodków. Rozległa się natychmiast kakofonia głosów. Każdy przechowywany na statku Przodek chciał coś powiedzieć. Ale jedynym, który miał prawo z nią rozmawiać w tym momencie, był Kosmaty. Szybko uciszył pozostałych.

— Prześledziłem nagrania — powiedział od razu. — Dziewięć z kanałów nagrywających, jakie zostawiliśmy w tym miejscu, nie dostarczyło żadnych danych. Nie wiemy, czy uległy awarii, czy też mieszkańcy brei po prostu nigdy nie odwiedzili tych miejsc. Pozostałe pięćdziesiąt jeden jest pełnych; każdy zawiera średnio trzysta tysięcy morfemów.

— To bardzo dużo! — zakrzyknęła Tangens z zachwytem. — To prawie cały odpowiednik książkowy dla każdego kanału!

— Więcej — poprawił ją Kosmaty. — Gdyż język mieszkańców brei jest niezmiernie złożony. Posłuchaj. Odtworzę teraz część jednego z nagrań. . .

Zabrzmiął słaby, niski, huczący odgłos. Tangens nie tyle słyszała go, co odbierała gdzieś w kościach.

A teraz to samo nagranie, przyspieszone i z przesuniętą częstotliwością o normalnej dla nas prędkości przesyłania. . .

Huczenie przeszło w szybkie, przesywające ćwierkanie. Tangens słuchała niecierpliwie. Dźwięki sprawiały ból jej uszom.

— Czy przetłumaczyliście już coś z tego? — spytała, nie tyle dla uzyskania informacji — wiedziała, że gdyby poczyniono jakieś znaczące postępy, natychmiast by ją o tym powiadomiono — ale raczej po to, by uciszyć ten hałas.

Ku jej zdumieniu Czcigodny Przodek zakrzyknął:

— Och, tak! Sporo! Na Placówce Nasłuchu Numer Siedemnaście odbyło się coś, co określiłabyś pewnie jako spotkanie polityczne. Ma ono jakiś związek z naturą samego tego miejsca; jest albo teologicznie uświęcone, albo niebezpiecznie zanieczyszczone i mieszkańcy brei dyskutowali, co z tym zrobić. Debata nadal trwa. . .

— Po sześćdziesięciu jeden latach?

— Cóż, to jest zaledwie jakieś siedem godzin ich czasu, Tangens.

— Dobrze, dobrze — odparła z zadowoleniem Tangens. To było znaczące zwycięstwo; niewiele było metod na lepsze zapoznanie się z kulturą, niż badanie sposobów rozstrzygnięcia kwestii publicznych. — I jesteście pewni, że to właśnie coś takiego? Czy wasze przekłady są wiarygodne?

— Och — rzekł Kosmaty powątpiewająco — dość wiarygodne. Szkoda, że Siła Wiązania nie ma z nami. — Siła Wiązania był partnerem Kosmatego w wielu jego badaniach. Razem stanowili doskonały zespół. Pewnego dnia, niewątpliwie, znów się tak stanie. Ale póki co Siła Wiązania był zbyt wiekowy, by udać się w kosmos i zbyt zdrowy, by umrzeć.

— Jak wiarygodne jest to „dość wiarygodne”?

— Cóż, przynajmniej w przypadku połowy słów języka mieszkańców brei znaczenie odgadujemy z kontekstu. I ta dedukcja może być błędna.

— Więc jeśli jest, to macie pecha — warknęła Tangens, ale zaraz zreflektowała się. — Jestem pewna, że sobie świetnie radzicie — złagodziła. I miała nadzieję, że to prawda.

Blask nie brała udziału w pierwszej podróży Kosmatego, zanim jednak wyruszyła z Tangens, nauczyła się wielu rzeczy o Przymulonych. Jeśli już o tym mówimy — wszyscy to zrobili. Przymuleni byli w końcu dość ważni dla Heechów. Powiedzmy, że równie ważni, co diagnoza potwierdzająca raka u człowieka przed wprowadzeniem Pełnego Serwisu Medycznego.

Przymuleni byli starożytną cywilizacją. Gdyby mierzyć latami, byli nawet starsi od Heechów, ale w rzeczywistości to nie miało znaczenia, bo niewiele się u nich działo. A to, co się działo, odbywało się bardzo powoli. Planeta Przymulonych była bardzo zimna. Sami Przymuleni również byli zimni i powolni — stąd wzięła się ich nazwa. Pływali powoli w gazowej brei, chemia ich organizmów była równie ospała jak ich ruchy, to samo dotyczyło mowy.

Podobnie rozchodziły się impulsy w ich systemie nerwowym — czyli ich myśli.

Kiedy, więc pierwsza ekspedycja Heechów była już absolutnie pewna, że te pływające w brei, powolne istoty są obdarzone inteligencją, byli w równym stopniu zachwyceni, co rozżłoszceni. Jakież był pożytek z odkrycia kolejnej inteligentnej rasy, skoro tak prosta wymiana myśli, jak...

— Zaprowadźcie mnie do swojego przywódcy.

— Którego przywódcy?

... trwała sześć miesięcy?

Pierwszy statek badawczy Heechów przebywał na orbicie wokół planety Przymulonych przez rok. Kosmaty i Siła Wiązania zrzucili w brejową atmosferę sondy i z trudem zabrali się za powolne rozpoznawanie dźwięków, które było pierwszym krokiem do stworzenia słownika. To nie było łatwe. Na pewno nie było też proste. Sondy zrzucano mniej więcej losowo, celując jedynie w miejsca, gdzie radarzy głębokościowe i sonary wykryły skupiska obiektów. Skupiska często znikwały, zanim sondy tam dotarły. Te, które trafiły w cel, nagrywały powolne, głębokie pohukiwania. Przekazniki transmitowały dźwięki na orbitę, eksperci od nagrywania przyspieszali je i przynosili do pasma słyszalnego, a po wielu tygodniach każda, taśma mogła zawierać jedno słowo.

Ale semantycy Heechów mieli wiele źródeł. Po roku spędzonym na orbicie zidentyfikowali już wystarczającą liczbę słów, by przygotować prostą taśmę. Następnie przygotowali rzeźbioną plakietkę z obrazkami przedstawiającymi Heecha, Przymulonego, urządzenie do odtwarzania dźwięków i samą plakietkę. Wszystkie obrazy wyrzeźbiono w płaskich kryształowych powierzchniach, żeby mieszkańcy brei mogli poznać je dotykiem — w końcu byli ślepi.

Następnie Heechowie wykonali sześćdziesiąt takich tabliczek i zrzucili je w sześćdziesiąt skupisk populacji Przymulonych.

Taśmy odtwarzały następujący tekst:

Witajcie.

Jesteśmy przyjaciółmi.

Mówcie do tego, to was usłyszymy.

Odpowiemy wkrótce.

„Wkrótce” w tym kontekście oznaczało całkiem długi okres. Dokonawszy tego, Heechowie odlecieli. Załoga była w nieco ponurym nastroju. Czekanie na odpowiedź nie miało sensu. Najlepszym rozwiązaniem był powrót po jakimś czasie,

przez który mieszkańcy brei musieli odkryć przekazy, wyjść z pierwszego szoku i udzielić odpowiedzi. Nawet wówczas nastąpiłby nieunikniony długi okres głupich pytań i zajmujących czas odpowiedzi; ale do tego nie był potrzebny żywy Heech. Wybrali najmniej cennego Czcigodnego Przodka, wyjaśnili jej, jakich pytań może się spodziewać i jakich odpowiedzi należy udzielić i jakie dalsze pytania należy zadać. Potem zostawili ją na orbicie, by spędziła kilka ponurych dziesięcioleci w samotności. Każdy Heech z załogi żałował, że nie może być obecny przy uzyskiwaniu tych odpowiedzi, ale niewielu było przekonanych, że to się uda — w wersji optymistycznej uzyskanie jakichś konkretnych informacji od Przymulonych miało zająć ponad pół wieku.

Tak się też stało.

Dwadzieścia dni po przybyciu na orbitę wokół planety Przymulonych, Tangens była w pełnej gotowości do pracy.

Czcigodna Przodkini, którą zostawili na orbicie, niestety już nie działała, ale wywiązała się ze swojego zadania. Zadawano jej pytania i odpowiadano na nie, zaś dane zapisywano. Radar, czy też urządzenie wykorzystywane przez Heechów w podobnym celu, jak u ludzi, zlokalizował obecne pozycje skupisk oznaczających społeczności Przymulonych, jak również inne obiekty, dość duże i solidne, by mogły stanowić zagrożenia w nawigacji. Nawiązano kontakt z rodzimymi planetami za pomocą nadświetlnego radia i przesłano tam dane, zaś niemłody już i słaby Siła Wiązania przesłał im radosną wiadomość, potwierdzając ich tłumaczenia i zachęcając do dalszej pracy. Sprawdzono, przetestowano i uznano za sprawne specjalne urządzenia na statku Tangens, które miały pozwolić na wykonanie głównej misji.

Było jeszcze jedno urządzenie, z wykorzystaniem którego Heechowie wiązali pewne nadzieje, ale przyniosło im rozczarowanie. Był to rodzaj urządzenia komunikacyjnego. Wysyłał i odbierał szczególny rodzaj danych — hm, możemy określić je jako „uczucia”. Nie wysyłał i nie odbierał „informacji” w podstawowym znaczeniu tego słowa — nie dało się go użyć do zamówienia kolejnego tysiąca kiloton metalu strukturalnego albo do wydania rozkazu zmiany kursu statku. Ale Heechowie mający na głowach specjalny hełm mogli „słyszeć” emocje innych, nawet na kosmiczne odległości.

Było to coś, co nazwaliśmy zminiaturyzowanym „Fotelem Snów”.

W przypadku Heechów głównym zastosowaniem tego urządzenia była praca w czymś, co wzięlibyśmy za policję. Heechowie nie wykrywali zbrodni. Oni im zapobiegali. Emanacje z umysłów tak zaburzonych, że mogły popełnić jakiś społeczny czyn, w szczególności czyn gwałtowny, mogły zostać wykryte na wczesnych etapach. Następnie do akcji wkraczała ekipa zajmująca się poradnictwem i interwencją oraz stosowała odpowiednią terapię naprawczą.

Fotele Snów były też bardzo przydatne przy określaniu, na przykład, czy „świnie voodoo” znajdują się wystarczająco blisko poziomemu istot inteligentnych, by

warto było je obserwować, gdyż ich „uczucia” były o wiele bardziej złożone niż uczucia zwierząt. Było to więc standardowe urządzenie wykorzystywane przez Heechów w ich poszukiwaniach braci w rozumie. Mieli nadzieję, że orbitujący wokół planety statek kosmiczny Tangens będzie w stanie odbierać Przymulonych i „podслуchać” ich nastroje, niepokoje i radości.

W istocie Fotel Snów działał. Tylko nie działał w szczególnie przydatny sposób. Jak we wszystkich innych sprawach związanych z Przymulonymi, ich emocje rozgrywały się beznadziejnie powoli. Jak stwierdził ponuro Kwark, zdejmując z głowy hełm:

— Równie dobrze można by odbierać uczucia skały osadowej związane z jej przeobrażeniem.

— Próbuje dalej — poleciła Tangens. — Kiedy wreszcie uda nam się zrozumieć Przymulonych, wszystko się na coś przyda.

Później przypominała sobie, że to powiedziała i zaczęła się zastanawiać, jak mogła się tak pomylić.

Opowiedziałem wam już bardzo dużo o Tangens i jej załodze, ale jeszcze wam nie mówiłem, dlaczego to wszystko jest takie ważne. Uwierzcie mi. To naprawdę jest ważne. Nie tylko dla Tangens i dla całej rasy Heechów, ale dla ludzkości w ogóle, a dla mnie — w szczególności.

Ale, jak mówi mi stary poczciwy Albert, za dużo gadam, więc spróbuję trzymać się najważniejszych faktów. Podstawowe fakty są zaś takie, że Tangens i jej załoga dokonali czegoś, czego jeszcze nie zrobił prawie żaden statek Heechów. Skierowali swój specjalnie opancerzony statek w gęste, mroźne, szkodliwe gazy planety Przymulonych, aby odwiedzić mieszkańców brei na ich własnej ziemi.

„Ziemia” nie jest tu może najlepszym słowem, ale mam duży problem ze znalezieniem właściwych słów, gdyż słownictwo, jakie opanowałem jako cieleśna osoba na Ziemi nie daje się tu zastosować. Mieszkańcy brei nie mieli ziemi, w sensie powierzchni lądu, na której się buduje. W ogóle nie mieli żadnego lądu. Ich gęstość względna była tak zbliżona do gęstości względnej gazów, w których żyli, że unosili się w nich, wraz z całym swoim wyposażeniem domu, swoimi domami, oraz swoimi odpowiednikami fabryk, farm, biur i szkół. Rzecz jasna, żaden Heech ani człowiek nie przeżyłby w tym środowisku nie chroniony. Choć Heechowie byli ostrożnymi inżynierami (znam ludzi, którzy określiliby ich jako tchórzy), martwili się trochę, że nawet ich statek może zawieść przy miazdzącym ciśnieniu, w jakim żyli mieszkańcy brei.

Zanim więc weszli w atmosferę planety, sprawdzili wszystko, raz, drugi i kolejny, wszystko, co tylko było do sprawdzenia. Kosmaty i inni Czcigodni Przodkowie musieli wykonywać podwójne obowiązki, nie tylko kontynuując prace nad tłumaczeniami, ale też zachowując i analizując wszystkie dane systemów statku.

— Czy jesteśmy gotowi? — spytała w końcu Tangens, sadowiac się na fotelu kapitana w sterowni, zapinając się w urzędzenia ochronne podobnie jak pozostali. Kolejne sekcje meldowały o swojej gotowości, a Tangens wzięła głęboki oddech.

— Rozpoczniemy teraz schodzenie na planetę — rzekła do pilota penetracyjnego, Blask.

— Rozpocząć lądowanie — rzekła Blask do Heecha za sterami.

Statek zmniejszył prędkość orbitalną i zanurzył się w gęstych, wirujących, trujących gazach, w których pływali Przymuleni.

Statek zadrżał przy wejściu w atmosferę, ale był odpowiednio skonstruowany. Nawigację prowadzono na ślepo, przynajmniej pod względem optycznym; ale statek był wyposażony w sonar i elektroniczne oczy, zaś zbliżając się widzieli na ekranach sterowni kształty skupisk „domów” mieszkańców brei i inne obiekty. Wszystkie samice i większość samców poruszali się tak wolno, że żadne oko Heecha nie było w stanie dostrzec zmiany; tylko kilku samców, wchodząc w coś, co określali jako „tryb wysoki”, od czasu do czasu przejawiało jakieś ruchy. Robiła tak coraz większa liczba samców w miarę zbliżania się statku, gdyż ich uśpione zmysły informowały ich, że coś się chyba dzieje.

Wtedy Tangens popełniła pierwszy błąd.

Założyła, że ruch samców spowodowany jest zaskoczeniem, wynikającym z nagłego pojawienia się Heechów. Nie ma wątpliwości, musiało ich to zaskoczyć — coś jak poruszający się z olbrzymią prędkością lądownik, nagle przelatujący nad wioską prymitywnych ludzi, którzy nigdy dotąd nie widzieli statku kosmicznego, a nawet samolotu. Ale to nie zaskoczenie sprawiło, że samce zaczęły tak szybko i szkodliwie się poruszać. Powodem był ból. Wydawane przez statek Heechów dźwięki o wysokiej częstotliwości były dla Przymulonych zabójcze. Doprowadzały ich do szaleństwa — a słabsi z nich nawet ginęli.

Czy Heechom kiedykolwiek udało się odnaleźć zadowolenie z kontaktów z Przymulonymi w roli międzygwiazdnych przyjaciół?

Nie widzę takiej możliwości. Moje własne doświadczenie podpowiada mi, że to niemożliwe; porozumiewanie się z mieszkańcami brei było dla Heechów równie trudne, co dla nas, zapisanych osobowości, działających w czasie rzeczywistym, nawiązanie jakichś poważniejszych kontaktów z cielesnymi ludźmi. To nie jest niemożliwe. Zwykle oznacza tylko więcej kłopotów, niż jest tego warte. No i kiedy rozmawiam z cielesnymi ludźmi z bliska, jakoś od tego nie umierają.

Po tym zdarzeniu na statku zapanował smutek (mówiła Blask, ponuro poruszając mięśniami na brzuchu). Oczekiwania były bardzo wygórowane; rozczarowanie bardzo bolesne.

A potem było jeszcze gorzej.

Ekspedycja stanęła na progu porażki. Choć sondy nadal sączyły słowa do urządzeń rejestrujących, próby zbliżenia się do Przymulonych w ich domach były za-

wsze katastrofalne i rozczarowujące — rozczarowujące dla Heechów, katastrofalne dla ich nowych „przyjaciół”.

A potem, na orbicie, nadeszły wieści z domu.

Była to wiadomość od Siły Wiązania, a to, co powiedział, z charakterystycznym dla jego wieku rozdrażnieniem i rozżaleniem kogoś, kto chciałby tam być, brzmiało w wolnym przekładzie tak:

— Spieprzyliście sprawę. Znaczącą częścią danych nie były zwyczaje czy system rządów Przymulonych. Ważne były ich poezje.

Obecni na statku Czcigodni Przodkowie uznali poezję za poezję — coś w rodzaju skandynawskich sag. Podobnie jak sagi, opiewały one wielkie bitwy przeszłości, a bitwy były ważne.

Pieśni mówiły o istotach, które pojawiły się, a nie miały ciał i spowodowały wielkie zniszczenia. Mieszkańcy brei nazywali je odpowiednikiem słowa „Asasyni” i zdaniem Siły Wiązania rzeczywiście były bezcielesne — były to istoty zbudowane z energii; naprawdę się pojawiły i spowodowały wielkie zniszczenia.

— To, co uważaliście za legendy — karmił ich Siła Wiązania w swojej wiadomości — nie opowiadało o bogach i demonach. To są bezpośrednie relacje z rzeczywistej wizyty istot, które są całkowicie wrogo nastawione do wszelkiego organicznego życia. I mamy wszelkie przesłanki, by przypuszczać, że nadal tu gdzieś są.

Wówczas Heechowie po raz pierwszy usłyszeli o Wrogu.

Rozdział 6

Miłości

Gdy Blask skończyła swoją opowieść, zebrał się wokół niej spory tłum. Wszyscy mieli jakieś pytania, ale uporządkowanie ich zajęło im chwilę. Blask siedziała w milczeniu, pocierając swoją klatkę piersiową. Wydawała wówczas odgłosy przypominające przesuwanie palcem po tarce do prania.

Niski, czarny facet, którego nie znałem, zapytał:

— Przepraszam, ale czegoś nie rozumiem. Skąd Tangens wiedziała, że to Wróg? — Mówił po angielsku i wtedy sobie uświadomiłem, że ktoś przez cały czas tłumaczył opowieść Tangens. Tym kimś był Albert.

Kiedy tłumaczył pytanie niskiego faceta na język Heechów, rzuciłem w jego stronę spojrzenie. W odpowiedzi wzruszył ramionami, co oznaczało (jak sądzę), cóż, ja też chciałem usłyszeć tę historię.

Blask także zareagowała gestem będącym u Heechów odpowiednikiem wzruszenia ramion czyli szybkim ściągnięciem mięśni brzucha.

— Nie wiedzieliśmy — odparła. — To przyszło później, kiedy Siła Wiązania przeprowadził głęboką analizę struktury sag mieszkańców brei. Wtedy stało się jasne, że ci najeźdźcy, Asasyni, nie pochodzą z tej planety. Oczywiście, było jeszcze mnóstwo innych danych.

— Jasne — wtrącił się Albert. — Po pierwsze, brakująca masa.

— Tak — potwierdziła Blask. — Brakująca masa. Od pewnego czasu była to wielka zagadka dla naszych astrofizyków i dla waszych pewnie też. — Sięgnęła z namysłem po kolejny z tych malutkich kapeluszy grzybków, zaś Albert objaśniał pozostałym, jak to „brakująca masa” okazała się nie kolejnym naturalnym zjawiskiem kosmicznym, lecz artefaktem Wroga. W tej chwili przestałem słuchać. Albert wystarczająco często robił coś takiego. Wtedy też przeważnie przestawałem słuchać. Słuchanie Blask opowiadającej historię straszliwej podróży Tangens to jedno. Była to opowieść, której byłem w stanie słuchać z pełną uwagą. Kiedy jednak Albert zaczyna opowiadać o tym, skąd się to wszystko wzięło, mój

umysł odplywa. Zwłaszcza, że Albert zaraz przejdzie do dziewięciowymiarowej przestrzeni i hipotezy Macha.

Tak też zrobił. Blask wyglądała na dość zainteresowaną. Ja nie. Odchyliłem się, machnąłem na kelnerkę zamawiając jeszcze jedną szklankę „raketówki” — cholernej, prawie trującej białej whisky, w której poszukiwacze z Gateway topili swoje smutki za dawnych, dobrych czasów — i pozwoliłem mu gadać.

Nie słuchałem. Myślałem o biednej, napalonej Tangens, sprzed tych całych setek tysięcy lat, i jej pechowej podróży.

Zawsze robi mi się miękko na sercu, gdy myślę o Tangens — choć nie jest to do końca prawda. Och, znów te słowa. Jakże niedokładnie one przekazują znaczenie! Nie mam serca, więc oczywiście nie może się ono robić miękkie. (Essie mówi, że w ogóle nie mam żadnych miękkich części, z wyjątkiem „miękości” w słowie „software” — ale to taki cybernetyczny żart). „Zawsze” też nie jest specjalnie precyzyjnym określeniem, bo znam Tangens od jakichś trzydziestu — czy raczej powinienem powiedzieć trzydziestu milionów — lat. Ale często o niej myślę, zawsze ze współczuciem, bo kiedyś też mnie niemile potraktowano i wiem, jakie to uczucie.

Pociągnąłem łyk raketówki, gapiąc się z sympatią na grupę skupioną wokół stołu. Reszta zebranych była znacznie bardziej niż ja zafascynowana tym, jak Albert i Blask wymieniali zręczne uwagi na kosmologiczne tematy, ale oni nie nosili Alberta w kieszeni przez ostatnie pięćdziesiąt (albo pięćdziesiąt milionów) lat. Po tak długim czasie znasz już każdy program doskonale. Zadumałem się nad faktem, że — ogólnie rzecz biorąc — wiedziałem, co Albert powie, jeszcze zanim to wypowiedział. Wiedziałem nawet, co oznaczają rzucane w moją stronę z ukośsa spojrzenia — a robił coś takiego od czasu do czasu, nie przerywając gadania. W ten sposób karciał mnie, podprogowo, za to, że mu nie pozwalałem powiedzieć czegoś, co bardzo chciał mi przekazać.

Posłałem mu pełen tolerancji uśmiešek, aby dać do zrozumienia, że wiem, o co mu chodzi. . . oraz, żeby mu dyskretnie przypomnieć, że to ja decyduję o tym, kto, co i kiedy mi mówi.

Nagle poczułem delikatne dotknięcie dłoni na karku. To była ręka Essie. Poddałem się tej pieśczości z przyjemnością, kiedy Albert znów spojrzał na mnie w ten sposób i powiedział do Blask:

— Pewnie spotkałaś Audee Walthersa III, kiedy tu leciałaś?

To mnie otrzeźwiło. Odwróciłem się do Essie i wyszeptałem:

— Nie wiedziałem, że Audee tu jest.

Essie szepnęła mi do ucha:

— Chyba jest mnóstwo rzeczy, których nie chciałbyś wiedzieć o obecnych tutaj cielesnych ludziach. — Ton jej głosu sprawił, że poczułem ciarki wzdłuż kręgosłupa; była to mieszanina ostrego tonu i uczucia. Essie mówi takim tonem,

kiedy uważa, że zachowałem się niezwykle sentymentalnie, głupio lub jak uparciuch.

— Och, mój Boże — rzekłem, nagle sobie przypominając. — Dane Miecznikow.

— Dane Miecznikow — przytaknęła. — Jest tu, na Skale, w cielesnej postaci. Razem z osobą, która go uratowała.

— Och, mój Boże — powtórzyłem. — Dane Miecznikow! — Brał udział w wyprawie do czarnej dziury, która wpakowała mnie w poczucie winy na pół wieku. Zostawiłem tam jego i parę innych osób, wśród nich była. . .

— Gelle-Klara Moynlin — szepnęła Essie. — Są teraz w Parku Centralnym.

Park Centralny nie za bardzo przypomina park. Kiedy Klara i ja byliśmy poszukiwaczami, rósł tam może tuzin drzewek morwowych i pomarańczowych oraz niewiele więcej krzaczków.

Teraz nie wyglądał jakoś specjalnie inaczej. Mały stawek, który nazywaliśmy Jeziorem Głównym, nadal zakrzywiał się zgodnie z kształtem asteroidu. Obecnie park miał znacznie gęstszą roślinność, ale nie miałem żadnego problemu z wypatrzeniem kilkunastu istot ludzkich ukrytych w krzakach. Osiem czy dziesięć z nich było niemłodymi weteranami mieszkającymi na Pomarszczonej Skale, wszyscy cielesni, sterczący pod drzewami jak rzeźby. Kilku imprezowiczów, takich jak ja, tylko cielesnych i nie miałem najmniejszych problemów z ustaleniem, która nieruchoma rzeźba jest Gelle-Klarą Moynlin.

Ani trochę się nie zmieniła, przynajmniej fizycznie.

Pod innym względem zmieniła się całkowicie. Nie była sama. Stała między dwoma facetami; co gorsza, z jednym z nich trzymała się za rękę, drugi obejmował ją ramieniem.

Już to samo w sobie było przykrym ciosem, gdyż kiedy widziałem ją po raz ostatni, jedyną osobą, z którą mogła trzymać się za rękę, byłem ja.

Po chwili zorientowałem się, że facet trzymający jej rękę to Dane Miecznikow — w końcu minęło już wiele lat od chwili, gdy po raz; ostatni go widziałem. Drugiego nie znałem. Był wysoki, szczupły i przystojny, a gdyby to nie wystarczało, żeby go zniechęcić, opierał dłoń na ramieniu Klary w pełnym uczucia i dobrze znajomym geście.

Czasami, kiedy jeszcze byłem młody i zakochany w tej czy innej osobie, odczuwałem palące pożądanie, by poznać ją w sposób doskonały. Całkowicie. Na wszelkie sposoby; jeden z nich był czystą fantazją. Fantazja ta sprowadzała się do tego, że chciałem ją znaleźć (bez względu na to, kto to akurat był) tak głęboko uśpioną, że nic nie mogło jej obudzić, a ja mógłbym ją podglądać, cały czas we śnie, odkrywając wszystkie jej sekrety tak, by się o tym nie dowiedziała. Zobaczyć, czy ma znamie pod pachą. Sprawdzić, czy ostatnio czyściła paznokcie. Zaglądać jej do nozdrzy, do uszu — a wszystko to, widzicie, kiedy nie wie, że to robię, bo choć już wiele razy wspólnie badaliśmy swoje ciała, było to coś zupełnie

innego. Jak z większością moich fantazji, ta była z gatunku rzeczy, którym mój były program psychoanalityczny, Sigfrid von Psych, przyglądał się z tolerancją i odrobiną dezaprobaty; dopatrywał się tam znaczeń, które niespecjalnie mi się podobały. I podobnie jak z większością fantazji, wcale nie było to takie zabawne, kiedy rzeczywiście miało się okazję to zrobić.

Mogłem to teraz zrobić. Była tam Klara, jak wyrzeźbiona z wiecznotrwałego kamienia.

Koło mnie była także Essie, co nieco osłabiało moją chęć eksploracji, lecz Essie zostawiłaby mnie samego gdybym tylko o to poprosił. Nie powiedziała ani słowa. Tylko unosiła się za mną w milczeniu, gdy tak stałem, niewidzialny w gigabitowej przestrzeni, patrząc na kobietę, którą opłakiwałem przez większość życia.

Klara wyglądała bardzo dobrze. Trudno było uwierzyć, że w rzeczywistości była starsza ode mnie — czyli jakieś pół roku starsza od Pana Boga. Moje urodziny prawie pokrywały się z odkryciem Gateway, którego setną rocznicę właśnie obchodziliśmy. Klara urodziła się jakieś piętnaście lat wcześniej.

Nie wyglądała na tyle. Nie wyglądała ani o dzień starzej.

Częściowo zawdzięczała to oczywiście Pełnemu Serwisowi Medycznemu. Klara była dość bogatą kobietą i mogła sobie pozwolić na wymianę tkanek, jeszcze zanim te zabiegi stały się właściwie bezpłatne dla wszystkich. Poza tym spędziła trzydzieści lat w pułapce czasu w czarnej dziurze, gdzie ją zostawiłem — pozbycie się tego poczucia winy zajęło mi trzydzieści lat — i przez te wszystkie długie lata postarzała się tylko o parę minut, dzięki rozciągnięciu czasu. Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od jej urodzin, miała dobrze ponad setkę. Pod względem biologicznym miała pewnie ze sześćdziesiąt lat. Pod względem wyglądu. . .

Pod względem wyglądu prezentowała się tak, jak zawsze w moich oczach. Wyglądała naprawdę dobrze.

Stała tam, z palcami splecionymi w dłoni Dane'a Miecznikowa. Głowę zwróciła w kierunku mężczyzny, który obejmował ją ramieniem. Brwi miała tak ciemne i grube jak zawsze, a jej twarz była twarzą Klary, tej, którą opłakiwałem przez trzydzieści lat.

— Nie przestrasz jej, Robin, do diabła — zarządziła Essie zza moich pleców. W samą porę. Już miałem pojawić się tuż przed nimi, nawet się nie zastanowiwszy nad tym, że to spotkanie wcale nie będzie łatwiejsze dla niej niż dla mnie, i że ona będzie potrzebowała trochę czasu — znacznie więcej czasu — żeby sobie z tym poradzić.

— No to jak? — spytałem nie spuszczać oczu z Klary.

— Zachowuj się jak normalna przyzwoita istota ludzka, dobrze? — rzekła Essie marszcząc groźnie brwi — Daj kobiecie szansę! Uaktywnij się na obrzeżach zagajnika i podejdź do niej. Daj jej szansę, żeby zauważyła jak nadchodzisz, niech się przygotowuje na traumatyczne spotkanie, zanim się do niej odezwiesz.

— Ale to zajmie całą wieczność!

— Sam to rób całą wieczność, głupku — rzekła twardo Essie. — W końcu mamy jeszcze inne rzeczy do roboty. Oczywiście nie zwracasz na to uwagi, co? Nie widzisz, że dubler Cassaty na ciebie patrzy?

— Do diabła z nim — odparłem z roztargnieniem. Byłem tak zajęty badaniem twarzy i figury mojej dawno utraconej miłości, że nie miałem cierpliwości do niczego innego — ani głowy, żeby się tym zajmować; zajęło mi dobre parę mikrosekund przypomnienie sobie, że im później zacznę tę rozmowę, tym później usłyszę jej głos.

— Masz rację — rzekłem w końcu niechętnie. — To może zobaczę się z tym palantem. Tylko pozwól mi zacząć tu rozmowę.

Utworzyłem swojego dublera pod opadającymi gałęziami drzewa cytrynowego, ciężkimi od złocistych owoców i wysłałem go, by zaczął iść w ich stronę. A potem pokornie udałem się za Essie do Wrzeciona, gdzie — jak powiedziała — czekał Cassata.

Mojemu dublerowi zajęło dużo czasu dojście do Klary, przemówienie do niej, oczekiwanie na odpowiedź — wiele, wiele milisekund. Tak bardzo chciałem, żeby jakoś skrócić ten czas, bo jak mogłem czekać?

Bardzo chciałem też, żeby trwało to jak najdłużej. Bo cóż mogłem powiedzieć?

Julio Cassata zdjął mi z głowy — jak to Essie nazywa? — to całe sentymentalne chrzanie. W tym to on jest dobry. Jest jak ukąszenie komara, które na chwilę pomaga człowiekowi zapomnieć o bólu zęba. To nigdy nie jest mile widziane odwrócenie uwagi — ale przynajmniej jakieś jest.

Znaleźliśmy go w Błękitnym Piekiełku. Essie ścisnęła moją rękę i uśmiechnęła się złośliwie. Cassata siedział przy jednym z tych małych stolików z drinkiem przed nosem i obmacywał jakąś panienkę, której nigdy dotąd nie widziałem.

Wtedy też się jej za bardzo nie przyjrzałem, bo kiedy tylko Cassata nas zauważył, zmienił wszystko. Imprezowicze, dziewczyna i Błękitne Piekiełko znikły; znajdowaliśmy się w jego biurze na satelicie WOA. Włosy miał nagle uczesane, kołnierz munduru zapięty; patrzył na nas chłodnym wzrokiem znad stalowego biurka. Wskazał dwa metalowe krzesła.

— Siadajcie — zakomenderował.

— Daruj sobie, Julio — rzekła beznamiętnie Essie. — Chciałeś z nami gadać, świetnie, pogadamy. Ale nie tutaj. Za brzydkie miejsce.

Rzucił na nią spojrzenie, jakim generał major zwykle obdarza podporucznika. Następnie zdecydował jednak, że będzie sympatycznym facetem.

— Czego tylko zażadasz, złotko. Ty wybierasz.

Essie prychnęła. Spojrzała na mnie, zawahała się, po czym opuściliśmy wojskowe biuro. Znaleźliśmy się na podkładzie dobrze znajomej „Prawdziwej Miłości”, gdzie były kanapy i barek, a z głośników syczała się łagodna muzyka.

— Tak. — Cassata skinął pojednawczo głową i rozejrzał się z aprobatą. — Tak jest znacznie lepiej. Ładnie tu macie. Mogę się sam obsłużyć? — Nie czekając na pozwolenie ruszył w stronę baru.

— Daj sobie spokój — rzekła Essie. — Wyrzuć to z siebie, Julio. Nałożyłeś embargo na nasz statek, tak? Czemu?

— To tylko chwilowa niedogodność, moja droga. — Cassata zamrugnął, kiedy zapodał sobie Chivas Regal. — Chciałem się tylko upewnić, że będę mógł z wami porozmawiać.

Nawet sposób odwracania uwagi od denerwującej rzeczy może być równie denerwujący.

— Więc rozmawiaj — rzekłem. Essie rzuciła mi krótkie, ostrzegawcze spojrzenie, bo usłyszała ton mojego głosu. Ciagle jeszcze panowałem nad sobą. Po prostu nie byłem w nastroju do rozmowy z Juliem Cassatą.

Niektórzy myślą, że maszynowo zapisani ludzie nigdy się nie irytują, czy denerwują. To nieprawda. A przynajmniej nieprawda w moim przypadku, szczególnie nie w tym momencie. Przeżyłem trochę emocjonalnych wzlotów i upadków — najpierw podekscytowała mnie impreza; potem odczułem egzaltację i żal, słuchając opowieści o nieudanej wyprawie Tangens; rozdzierały mnie setki emocji, kiedy zobaczyłem Klarę. Nic dziwnego, że rozmowa z Cassatą nie sprawiała mi przyjemności.

Rzecz jasna, gadanie z nim rzadko sprawia mi przyjemność. Nie widzę powodu, dla którego miałyby się to zmienić. Jego główna strategia konwersacyjna polega na wydawaniu rozkazów i obrażaniu rozmówcy; on nie rozmawia, lecz wydaje oświadczenia. Nie zmienił się. Pociągnął długi łyk swojej szkockiej, spojrzał mi w oczy i rzekł:

— Jesteś szkodnikiem, Broadhead.

To nie była obiecująca uwaga. Essie, w trakcie przyrządzania mi Mai Tai, drgnęła i o mało go nie rozlała. Spojrzała na mnie zmartwiona. Strategia Essie polega na tym, że odwala całą kłótnię sama, kiedy sytuacja tego wymaga.

Ale tym razem udało mi się wywieść ją w pole. Odezwałem się uprzejmie:

— Bardzo mi przykro, jeśli sprawiliśmy ci jakieś kłopoty, Julio. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, czemu to powiedziałeś?

Ależ ja wykazywałem opanowanie! Znacznie większe, niż ten cham na to zasługiwał. Znacznie większe, niż gdybym sobie w porę nie przypomniał, w ostatniej chwili, że powinno mi być go żal.

A przypomniałem sobie, że ciąży na nim wyrok śmierci.

Generał major Julio Cassata i ja znamy się od bardzo dawna — nie ma już sensu liczyć lat; arytmetyka nie przydaje się, kiedy wszystko dzieje się w gigabitowej przestrzeni. Spotkaliśmy się wiele razy, a żadne z tych spotkań nie było dla mnie przyjemnością.

On sam nie był zapisaną osobowością. To znaczy, zazwyczaj nie był. Jak wielu cielesnych ludzi, którzy muszą pilnie załatwić coś z zapisanymi osobowościami, wytwarza dublera i wysyła go, żeby z nami gadał. Przypomina to rozmowę twarzą, w twarz w rzeczywistości niewirtualnej, różnica jest jedynie psychologiczna. Cóż, boleśnie psychologiczna. Wchodzi do systemu jako zapisana osobowość i szuka nas — tego, z kim chce rozmawiać, czasem mnie. Potem mówi, co chce powiedzieć, słucha, co mu odpowiadamy, prowadzi rozmowę, w formie bezcieleśnej chmury bitów w gigabitowej przestrzeni, równie dobrze, jakbyśmy my i on byli cielesnymi ludźmi siedzącymi przy jednym stole — nie, nie równie dobrze, znacznie lepiej, przynajmniej pod tym względem, że jesteśmy znacznie szybsi. Następnie cielesny Julio wywołuje Julio dublera i słucha, a ten opowiada mu, co się zdarzyło.

Wszystko to jest bardzo bezpośrednio, a na pewno całkowicie bezbolesne. Jest także bardzo skuteczne. Ból pojawia się później.

Dubler pyta o to, o co zapytałby cielesny Cassata, sprzeciwia się rzeczom, którym on by się sprzeciwił, mówi to, co on by powiedział — oczywiście tak być musi, bo on jest nim. To wcale nie przypomina wysyłania ambasadora i czekania na odpowiedź, bo nawet najlepszy ambasador, zakładając, że jakiś ambasador wykonałby tę robotę równie dobrze jak dubler, musiałby mieć na to trochę czasu. Tymczasem dublerzy załatwiają sprawę w parę sekund, gdy konferencja rozgrywa się na odległości międzyplanetarnej, nieco dłużej, gdy osoba, z którą cielesny osobnik chce rozmawiać, znajduje się na drugim końcu Galaktyki. Zanim cielesna osoba pomyśli, jak poszła rozmowa, dubler jest z powrotem i o wszystkim opowiada.

To jest pozytywny aspekt tego wszystkiego.

Teraz doszliśmy do aspektu, który nie jest już tak pozytywny, gdyż co zrobić z dublerem, kiedy już wykonał zadanie?

Można, oczywiście, zostawić go w gigabitowej przestrzeni. Jest ona bardzo pojemna i jedna więcej zapisana osobowość nie ma większego znaczenia. Ale niektórzy ludzie nieswojo się czują, gdy mają gdzieś zapisane kopie samych siebie. Szczególnie nieswojo czują się ludzie w typie Cassaty. Jako wojskowy, ma wojskowy umysł. Zapisana gdzieś kopia jego samego, wiedząca wszystko to, co on wie, to nie tylko taki sobie denerwujący luźny ogon. TO zagrożenie dla bezpieczeństwa. Ktoś mógłby go odnaleźć i zadać mu jakieś pytania! Zagrozić mu! (Ciekawe, czym?) Torturować go! (Jak?) Przypiekać mu stopy nad ogniem (gdyby miał stopy) — cóż, nie wiem dokładnie, co się kłębi w głowie Julia Cassaty i dziękuję Bogu, że nie myślę o tym codziennie.

To wszystko jest oczywiście dość głupie, ale dublerzy są kopiami samego Cassaty i jeśli on uważa, że jakiś urojony wróg mógłby wyciągnąć z nich tajemnice dotyczące jego służby, nikt mu w tym nie przeszkodzi. Jest dowódcą brygady w WOA — Wspólnej Obserwacji Asasynów. Oznacza to, że jest odpowiedzial-

ny za znaczną część programów obronnych związanych z możliwym wyjściem Asasynów z kugelblitzu. Jeśli więc chce z kimś urządzać konferencje na duże odległości, a często coś takiego robi, to musi to robić prawie codziennie, więc gdyby zostawiał swoich dublerów w zapasie, mielibyśmy pod ręką setki i tysiące generałów majorów Juliów Cassatów.

On więc ich nie zachowuje. Zabija ich.

Przynajmniej tak odbiera to sam Cassata. Kiedy wykańcza swojego dublera, czuje się tak, jakby zabił swojego bliźniaka.

A kolejny ponury aspekt wiąże się z tym, że sam dubler doskonale wie, co się stanie.

Czasem to sprawia, że nasze rozmowy są ponure.

I dlatego właśnie nie rozszarpałem Julia Cassatę na kupę symulowanych krwawych strzępów za jego impertynencję. Był równie zaskoczony jak Essie. Rozwinął nowe cygaro, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Dobrze się czujesz? — dopytywał się.

„Doskonale” nie było pojęciem specjalnie zbliżonym do poprawnej diagnozy, gdyż zastanawiałem się, jak blisko Klary dotarł mój dubler i jak ona zareagowała na jego widok, ale nie miałem zamiaru informować o tym Cassaty. Powiedziałem więc tylko:

— Poczuję się świetnie, jak tylko dowiem się, o co tu chodzi.

Byłem dość uprzejmy, ale Cassata nigdy nie był wyznawcą teorii głoszącej, że uprzejme powinny być obie strony. Odgryzł czubek cygara i wypluł obrzydliwą kupkę tytoniu na podłogę, uważnie mnie obserwując. Potem powiedział:

— Nie jesteś wcale taki ważny, jak ci się wydaje, Broadhead. — Udało mi się zachować uśmiech na twarzy, choć temperatura wewnątrz wyraźnie wzrosła. — Myślisz, że embargo wprowadziliśmy tylko z twojego powodu. Mylisz się. Statek Heechów przybył prosto z jądra Galaktyki, wiesz o tym.

Nie wiedziałem. Nie wydawało mi się też, by sprawiało to jakkolwiek różnicę i powiedziałem mu o tym.

— Tajne materiały, Broadhead — zagrzmiał Cassata. — Ci Czcigodni Przodkowie Heechów, przecież oni chłapią jęzorami na prawo i lewo. Powinni najpierw przejść odprawę w WOA!

— Tak — rzekłem, kiwając głową. — To ma głęboki sens, bo rzecz jasna rzeczy, które działy się jakieś pół miliona lat temu, są bardzo ważnymi tajemnicami wojskowymi.

— Nie tylko pół miliona lat temu! Wiedzą wszystko o obecnym stanie gotowości, jaki ogłoszono w jądrze Galaktyki! I są tam cieleśni Heechowie oraz ten facet, Walthers, który tam był i widział to wszystko na własne oczy.

Wziąłem głęboki oddech. Chciałem go zapytać, przed kim tak bardzo chciał chronić te wszystkie tajemnice. To jednak oznaczałoby przeciąganie starej kłótni, a ja już byłem zmęczony przebywaniem z Cassatą. Rzekłem więc uprzejmie:

— Powiedziałaś, że jestem szkodnikiem, a ja nie widzę, jaki ma z tym związek statek Heechów.

Do tego momentu jego cygaro zdołało się już porządnie rozpalić. Dmuchnął w moją stronę dymem i odparł:

— Nic. To coś innego. Przybyłem tu z powodu tego statku, ale chciałem także ci powiedzieć, żebyś się trzymał od tego z daleka.

— Trzymał się z daleko od czego i czemu? — spytałem i poczułem, jak Essie wierci się niespokojnie, bo jest już zmęczona zastanawianiem się nad tym, czy panuję nad sobą i zaczyna mieć problemy z własnym opanowaniem.

— Bo jesteś cywilem — wyjaśnił. — Mieszasz się do spraw WOA. Stajesz nam na drodze, a tymczasem sprawy zaszły tak daleko, że nie możemy sobie już pozwolić na to, żeby jacyś cywile się do tego mieszała.

Zaczęło mi się trochę rozjaśniać w kwestii tego, co go gryzie. Uśmiechnąłem się do Essie, chcąc podtrzymać ją na duchu, dając jej do zrozumienia, że nie mam zamiaru zabijać tego bezczelnego generała. I naprawdę nie miałem takiego zamiaru — przynajmniej jeszcze nie wtedy.

— Coś poszło nie tak z manewrami — odgadłem.

Cassata zakrztusił się i wypuścił gwałtownie dym z cygara.

— Kto ci o tym powiedział?

Wzruszyłem ramionami.

— To oczywiste. Gdyby zakończyły się sukcesem, wasi ludzie od PR-u znaleźliby się we wszystkich serwisach informacyjnych. Ty też się nie chwalisz; to pewnie nie masz czym. Zatem ludzie, przed którymi chcecie chronić swoje tajemnice, to ci, którzy płacą wasze rachunki. Na przykład ja.

— Cwaniaczek — warknął. — Jeśli będziesz coś takiego rozpowiadał, zajmę się tobą osobiście.

— W jaki sposób miałbyś coś takiego zrobić?

Udało mu się zapanować nad sobą i znów był wcieleniem wojskowości, jak ze spiżu, łącznie z mózgiem.

— Na początek — rzekł — wycofuję waszą przepustkę WOA, ze skutkiem natychmiastowym.

Tego już było za wiele nawet dla Essie.

— Julio — zazgrzytała zębami — odbiło ci, czy co?

Otoczyłem ją ramieniem w uspokajającym geście. Odezwałem się poważnym tonem:

— Julio, zajmuję się teraz całym mnóstwem różnych rzeczy, a wśród nich akurat nie ma WOA. W każdym razie nie na szczycie listy priorytetów. Nie miałem zamiaru zawracać głowy ludziom z WOA w najbliższej przyszłości, a przynajmniej nie miałem, nim ty się tu nie zjawiłeś ze swoimi bezczelnymi rozkazami. A teraz, oczywiście, zajmę się skontrolowaniem wszystkiego, czym zajmuje się WOA.

— Każę cię aresztować! — zawył.

Zaczynałem się dobrze bawić.

— Nie, nie każesz — odparłem. — Nie masz wystarczających uprawnień. I nie masz odpowiednich wpływów. Bo to ja mam instytut.

To go na chwilę powstrzymało. Instytut Broadheada do Badań Pozasłonecznych był jednym z moich najlepszych pomysłów. Ufundowałem go dawno, dawno temu, z zupełnie odmiennych powodów — hm, jeśli mam być szczery, połowa tych powodów była związana z podatkami. Ale zrobiłem to jak trzeba. Nadałem mu statut, który uprawniał go do robienia właściwie wszystkiego, na co tylko miał ochotę, poza naszym systemem słonecznym, i byłem dość ostrożny obsadzając go zarządem składającym się z ludzi, którzy zawsze zrobią to, co ja im każę.

Cassata szybko wrócił do siebie.

— Diabła tam, że nie mam wpływów! To rozkaz.

Przyjrzałem mu się uważnie. Potem zawołałem:

— Albert!

Zmaterializował się nagle, mrugając znad swojej fajki.

— Wyślij w moim imieniu wiadomość — zarządziłem. — Poinformuj wszystkie filie Instytutu, że z chwilą obecną mają zaprzestać wszelkiej współpracy ze służbami Wspólnej Obserwacji Asasynów i odmówić personelowi WOA dostępu do naszych placówek i naszych danych. Przyczyna: bezpośredni rozkaz generała majora Julia Cassaty, WOA.

Oczy Cassaty o mało nie wyskoczyły z orbit.

— Zaraz, czekaj chwilę, Broadhead! — zawył.

Odwróciłem się w jego stronę z uprzejmym wyrazem twarzy.

— Chce pan coś dodać od siebie?

Pocił się intensywnie.

— Nie zrobisz tego, Broadhead — rzekł. Jego ton głosu był zabawny, przypominał częściowo błaganie, a częściowo powarkiwanie. — To jest nasza wspólna sprawa! Asasyni są naszym wspólnym wrogiem!

— Och, Julio — odparłem. — Miło mi to słyszeć. Sądziłem, że odniosłeś wrażenie, iż są twoją prywatną własnością. Nie martw się. Nie zablokuję prac instytutu. Będzie on kontynuował działania; statki zwiadowcze polecą na wyprawę; będziemy dalej zbierali dane o Wrogu. Tylko nie zadamy sobie trudu dzieleniem się nimi z WOA. Od zaraz. Czy Albert ma wysłać tę wiadomość czy nie?

Przez chwilę strzepywał popiół z cygara; wyglądał na pognębionego.

— Nie — odmruknął.

— Słucham? Nie słyszę, co mówisz.

— Nie! — Potrząsnął głową z rozpaczą. — Jego chyba szlag trafi — rzekł.

Powiedział „jego”, a jedynym „nim”, którego miał na myśli, był cielesny generał Cassata. Który, oczywiście, był nim samym.

— Powiedział „jego” — odezwałem się do Essie, kiedy Cassata z ponurą miną znikł.

— To ciekawe, zgadzam się z tobą — odparła z powagą. — Dubler Julia zaczyna traktować cielesnego Julia jako oddzielny byt.

— Zaczyna wariować?

— Zaczyna się bać — poprawiła mnie. — Zdaje sobie sprawę z tego, że nie zostało mu dużo życia. Biedny ludzik. — Po czym odezwała się niepewnie: — Robin, kochany? Wiem, że myślisz teraz o czymś innym. . .

Nie potwierdziłem, bo nie byłoby to zbyt uprzejme, ani nie zaprzeczyłem, bo to była prawda. Nawet wtedy, gdy wykłócałem się z Juliem, rzucałem ukradkowe spojrzenia na scenę w Parku Centralnym. Mój dubler w końcu podszedł do Klary i powiedział „cześć”, a ona właśnie zaczęła mówić:

— Robin! Jak mi. . .

— . . . czy mogę jednak coś zaproponować?

— Tak, oczywiście, że możesz — odparłem, zakłopotany. Gdybym miał naczynia krwionośne, którymi krew napłynęłaby mi do twarzy (czy w ogóle twarz), pewnie bym się zaczerwienił. Może i tak się to stało.

— Propozycja brzmi: wyluzuj się.

— Dobrze — odparłem, kiwając głową. Odpowiedziałbym „dobrze” praktycznie na wszystko, co by powiedziała. — A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym. . . eee. . .

— Wiem, co chciałbyś zrobić. Tylko masz problem z rozbieżnością skali czasu, prawda? Więc tak naprawdę, kochany Robinie, wcale nie musisz się spieszyć. Możemy najpierw trochę porozmawiać?

Przez chwilę siedziałem nieruchomo. (Klara właśnie powiedziała: — . . . to cię. . . — i jej usta otworzyły się, by wypowiedzieć: — . . . znów widzieć!). Byłem dość zakłopotany. Niełatwo jest powiedzieć jednej kobiecie, że bardzo chciałbyś porozmawiać z inną, kiedy masz nieczyste sumienie, a zawsze tak było, kiedy pojawiał się problem mojej żony Essie i mojej dawno zaginionej miłości, Gelle-Klary Moynlin.

Z drugiej strony, Essie miała całkowitą rację. Nie było powodów do pośpiechu. Patrzyła na mnie, a na jej twarzy malowała się miłość i zatroskanie.

— To jest dla ciebie niełatwa sytuacja, prawda, Robinie? — podsunęła.

Jedyną użyteczną rzeczą, jaka przysłała mi do głowy, było:

— Tak bardzo cię kocham, Essie.

Nie odpowiedziała mi takim samym wyznaniem; wyglądała na rozzłoszczoną.

— Tak, oczywiście. — Wzruszyła ramionami. — Nie zmieniaj tematu. Ty mnie kochasz, ja ciebie kocham, oboje nie mamy w tej kwestii wątpliwości; to nie ma znaczenia w obecnej dyskusji. A dyskutujemy o tym, co czujesz wobec tej sympatycznej damy, którą także kochasz, Gelle-Klary Moynlin, i wynikających z tego faktu komplikacjach.

Kiedy to wyartykułowała, cała sprawa zaczęła wyglądać jeszcze gorzej. Nie poczułem się przez to ani trochę pewniej.

— Przecież dyskutowaliśmy o tym już miliony razy! — jęknąłem.

— Dlaczego więc nie przedyskutujemy jeszcze kolejny milion razy? Wyluzuj się, Robinie. Mamy jeszcze przynajmniej piętnaście, może osiemnaście milisekund, zanim Klara skończy mówić, jaką to miłą niespodzianką jest spotkanie z tobą. Porozmawiajmy sobie więc, ty i ja, chyba, że nie chcesz?

Przemyślałem sprawę i poddałem się.

— Czemu nie? — powiedziałem. I faktycznie, nie było żadnego powodu, żeby o tym nie rozmawiać.

Nie było też powodu, żeby się nie wyluzować. Jak stwierdziła Essie, rozmawialiśmy o tym już wiele razy, raz przez całą noc i kawałek następnego dnia. To było bardzo dawno temu — och, miliardy sekund — i rozmawiałem z prawdziwą Essie, cielesną Essie z krwi i kości. (Oczywiście, wtedy jeszcze sam byłem osobą z krwi i kości). Było to zaraz po naszym ślubie. Siedzieliśmy na werandzie naszego domu, sączyliśmy mrożoną herbatę i patrzyliśmy na żaglówki na Morzu Tappajskim, a była to łatwa, przepełniona miłością rozmowa.

Essie pamiętała oczywiście tę rozmowę sprzed lat, kiedy jeszcze byliśmy cielesnymi ludźmi, równie dobrze jak ja, bo kiedy już trochę się zrelaksowaliśmy, właśnie tam nas zabrała. Och, nie zrobiła tego „naprawdę”, w sensie fizycznym, ale co naprawdę oznacza „naprawdę”? Widziałem żaglówki, a wieczorna bryza była ciepła.

— Jakie to przyjemne — rzekłem pochwalnym tonem, czując, jak zaczynam się odprężyć. — Bycie bezcielesnym ma swoje zalety.

Essie zamruczała coś z aprobatą. Potoczyła wzrokiem pełnym uczucia po naszym starym domu i rzekła:

— Ostatnim razem, kiedy to robiliśmy, piliśmy herbatę. Chcesz tym razem coś mocniejszego, Robinie?

— Brandy z piwem imbirowym — rzekłem, a chwilę później pojawiła się nasza wierna pokojówka, Marchesa, niosąc tacę. Pociągnąłem długi łyk z namsłem.

Myślałem jednak za długo, jak na cierpliwość Essie.

— No to jedziemy dalej, drogi Robinie. Coś cię dręczy. Boisz się rozmawiać z Klarą?

— Nie! To znaczy — odparłem, przetykając nagłą niechęć — nie. To nie to. Już kiedyś z nią rozmawiałem, kiedy ona i Wan pojawili się na statku Heechów.

— To prawda — rzekła Essie bezstronnie.

— Tak, naprawdę! I od tego momentu wszystko jest w porządku. Naprostowaliśmy stare, złe rzeczy. Nie martwię się o to, że ona mnie oskarży o porzucenie jej w czarnej dziurze, jeśli to masz na myśli.

Essie oparła się wygodnie i przemówiła z powagą.

— To, co ja mam na myśli, Robinie — rzekła cierpliwie — nie jest w ogóle istotne. Chcemy odkryć to, co ty masz na myśli. Jeśli nie konfrontację pomiędzy Klarą a tobą, to co takiego? Martwisz się, że ona i ja wydrapiemy sobie oczy? Coś takiego się nie zdarzy, Robinie — nawet nie wspominając o technicznych problemach wynikłych z faktu, że ona jest cielesną osobą, a ja tylko duszą.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie martwię się o to, że ty i ona się spotkacie... tak dokładnie rzecz biorąc.

— Ach! A niedokładnie?

— Hm... co się stanie, jeśli prawdziwa Essie na nią gdzieś wpadnie?

Przenośna Essie przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, po czym z namiętnością pociągnęła łyk własnego drinka.

— Prawdziwa Essie?

— To tylko taka myśl — rzekłem przeproszającym tonem.

— Rozumiem. Chciałabym zrozumieć jeszcze dokładniej. Czy chciałbyś wiedzieć, czy moje prawdziwe ja może się pojawić na Pomarszczonej Skale? — dopytywała się.

Zastanowiłem się przez chwilę. To nie było dokładnie to, co miałem na myśli. Nie chciałem w ogóle o tym wspominać... oczywiście, jak mawiał Sigfrid von Psych, najwięcej mówią o nas rzeczy, których wcale nie chcieliśmy powiedzieć.

Prawdą było, że ta kwestia była nieco drażliwa i delikatna. Przenośna Essie była tylko dublerką. Prawdziwa, cielesna Essie nadal żyła i miała się świetnie.

Jest także człowiekiem. Dzięki Pełnemu Serwisowi Medycznemu i wszystkim takim udogodnieniom, nawet posuwając się w latach jest nie tylko kobietą, lecz naprawdę piękną, seksowną, normalną kobietą.

Jest także (czy: była) moją żoną.

Jest także żoną męża, który już nie istnieje w postaci pozwalającej mu na spełnianie, jak mówią, obowiązków małżeńskich.

Wszystko to razem stanowi dla mnie palący problem, który dokłada się do wszystkich innych palących problemów, o których Sigfrid (i Albert, i Przenośna Essie, i wszyscy inni, których znam) zawsze mówi, że nie powinienem sobie zawracać tym głowy. Ich rada nie odnosi większych skutków; chyba nic nie mogę na to poradzić. Ale jest coś jeszcze. Cielesna Essie jest także dokładną kopią Przenośnej Essie — czy raczej, ujmując rzecz bardziej precyzyjnie, ona jest oryginałem właśnie tego duplikatu, który jest Przenośną Essie, moją wierną żoną, doradczynią, przyjaciółką, powierniczką i bytem dzielącym los konstrukt w gigabitowej przestrzeni.

Więc znam ją doskonale. Co gorsza, ona zna mnie jeszcze lepiej, gdyż jest nie tylko wszystkim tym, co właśnie wymieniłem, ale też moją własną twórczynią.

Ponieważ Essie w pewnych kręgach jest lepiej znana jako dr S. Ja. Laworowna-Broadhead, jeden z największych autorytetów na świecie w dziedzinie przetwarzania danych, sama napisała większość z naszych programów. Kiedy więc

mówię, że kopia jest dokładna — to tak jest. Essie nawet czasem się aktualizuje — to znaczy cielesna Essie od czasu do czasu dokonuje przeglądu Przenośnej Essie, aby się upewnić, że kopia jest zawsze dokładna. Zatem moja Przenośna Essie w żaden sposób się nie różni — a przynajmniej tak, żebym mógł to wykryć — od cielesnej, prawdziwej Essie. . .

Tylko że ja nigdy nie widuję cielesnej Essie. Nie potrafiłbym tego znieść.

Nazwijcie sobie przyczynę tego stanu rzeczy, jak tam chcecie. Takt. Zazdrość. Dziwactwo. Cokolwiek by to było, jestem skłonny zaakceptować życiowy fakt, że lepiej bym nie oglądał cielesnego oryginału mojej ukochanej żony. Dość jasno sobie wyobrażam, czego bym się dowiedział, gdybym to zrobił. W obecnych warunkach, ona albo znajduje sobie od czasu do czasu faceta, albo jest bardziej stuknięta, niż potrafię to sobie wyobrazić.

Odparłem więc Przenośnej Essie:

— Nie. Nie sądzę, żeby cielesna Essie była na tyle zazdrosna, żeby miało jakiegokolwiek znaczenie, gdyby się tu znalazła, i nie sądzę, żeby tak zareagowała Klara. Poza tym nie chcę wiedzieć, gdzie jest Essie ani co robi, nawet w sensie przeczącym — dodałem szybko, gdy Przenośna Essie otworzyła usta — więc nie mów mi, co ona robi, nawet jeśli jest to coś, co chciałbym usłyszeć. To żadna z tych rzeczy.

Essie wyglądała, jakby w to wątpiła. Pociągnęła następny łyk swojego drinka, z takim wyrazem twarzy, jaki przybiera, kiedy próbuje rozpracować, co też dzieje się w okablowaniu strukturalnym labiryntów mojego umysłu.

Po czym wzruszyła ramionami.

— Dobrze, zgadzam się z tym, co mówisz — rzekła zdecydowanie. — Tym razem nie dlatego postępujesz głupio. Jaki jest więc powód? Czy ciekawość związana z Klarą Moynlin, gdzie też była przez te wszystkie lata, czy powód, dla którego Dane Miecznikow jest z nią?

Podniosłem wzrok.

— Cóż, faktycznie się zastanawiałem. . .

— Nie musisz się zastanawiać! To proste. Po spotkaniu z tobą Klara chciała gdzieś wyjechać. Przez długi czas podróżowała. W końcu wróciła do czarnej dziury, z której się wydostała i uratowała resztę załogi — w tym Miecznikowa.

— Och — rzekłem.

Z jakiegoś powodu nie zadowolilo to Essie. Rzuciła mi rozdrażnione spojrzenie. Potem powiedziała wolno:

— Chyba mówisz prawdę, Robinie. To nie Klara chodzi ci po głowie. Ale jest oczywiste, że bywasz ostatnio dość ponury. Czy powiesz mi, o co chodzi?

— Jeśli ty nie wiesz, to skąd ja mogę wiedzieć? — spytałem, nagle rozzłoszczony.

— Masz na myśli — westchnęła — że jako twoja autorka jestem w lepszej sytuacji, kiedy przychodzi do poprawiania programu, wyłapywania błędów, uczynienia cię znów szczęśliwym?

— Nie!

— Nie — zgodziła się — oczywiście, że nie. Już dawno ustaliliśmy, że zostawimy stary program Robinette'a Broadheada w spokoju, z błędami i ze wszystkim. Mamy więc do dyspozycji tylko starą metodę usuwania błędów w programie. Rozmowę. Wyrzuć to z siebie, Robinie. Powiedz pierwsze słowo, jakie przychodzi ci do głowy, tak jak przy starym Sigfridzie von Psychu!

A ja wziąłem głęboki oddech i stawilem czoła problemowi, którego unikałem od tak długiego czasu. Westchnąłem:

— Śmiertelność!

* * *

Kilka tysięcy milisekund później znalazłem się z powrotem w Parku Centralnym, obserwując, jak Gelle-Klara Moynlin opuszcza swoich towarzyszy i idzie w kierunku mojego dublera i zastanawiając się, czemu to powiedziałem.

Nie miałem takiego zamiaru. Nie mam zamiaru opisywać długiej, zawilej rozmowy, jaką potem odbyłem z Essie, gdyż choć coś takiego robię, to nie odczuwam większej przyjemności w opowiadaniu o tym. Niczego nie osiągnęliśmy. Nie miałem powodu, żeby się martwić śmiertelnością, gdyż — jak słusznie zauważyła Essie — jak można umrzeć, gdy jest się martwym?

Żeby było śmieszniej, to mnie wcale nie rozbawiło.

Obserwowanie Klary też nie dało tego efektu, więc poszukałem sobie innych rozrywek, oczekując aż Klara lub mój dubler powiedzą coś ciekawego, w tempie przypominającym posuwanie się lodowca. Obecność Audee Walthersa na Skale była dla mnie nowinką, więc zacząłem go szukać.

Ale to też wiele nie pomogło.

Był tu, zgadza się — no, prawie. Jako istota cielesna, właśnie przyleciał. Był w trakcie procesu wysiadania ze statku, a obserwowanie, jak powoli, s-t-o-p-n-i-o-w-o, wydostaje się ze śluzu doków na podłogę hali, nie było wcale zabawne.

Aby podtrzymać rozmowę, odezwałem się do Essie:

— Wcale się nie zmienił. — Faktycznie tak było. Żabia twarz, z dużymi, budzącymi zaufanie oczami — wyglądał jak ten sam facet, którego spotkałem ponad trzydzieści lat temu, kiedy to widziałem go po raz ostatni.

— Nic dziwnego, był w jądrze Galaktyki, nic dziwnego — powiedziała Essie. Nie patrzyła na niego. Patrzyła na mnie — pewnie po to, żeby zobaczyć, czy znów

zrobię coś głupiego. Przez sekundę nie byłem więc pewien, którego z nas miała na myśli, kiedy dodała: — Biedaczek.

Odpowiedziałem nieokreślonym mruknięciem. Nie byliśmy jedynymi osobami, które były tam obecne; było tam nawet trochę cielesnych ludzi, ciekawych, by ujrzeć statek, który dotarł tam, gdzie dotarło dotąd niewiele statków z ludźmi na pokładzie. Obserwowanie ich było równie ekscytujące, co patrzeć, jak rośnie mech i zacząłem zajmować się głupotami. Audee nie chodził mi po głowie. Po głowie chodziła mi Klara. A najbardziej ze wszystkiego chodził mi po głowie Julio Cassata i moje własne niespokojne, wewnętrzne smutki. Włóczenie się wokół rzeźb nie rozwiązywało problemu.

— Chciałbym posłuchać jego opowieści — powiedziałem.

— No to ruszaj — zachęciła mnie Essie.

— Co? Och, masz na myśli uruchomienie dublera, kiedy on wreszcie wyjdzie ze statku?

— Nie dublera, głuptasie — rzekła Essie. — Widzisz? Audee nosi zasobnik. W zasobniku jest na pewno Czcigodny Przodek. Czcigodny Przodek nie jest istotą cielesną, ale zapisaną maszynowo inteligencją, prawie równie dobrą, jak ty czy ja. Czemu więc nie pogadasz z Przodkiem?

Spojrzałem z miłością na moją ukochaną.

— Jesteś tak niezwykle inteligentna, Essie — rzekłem z zachwytem — i godna podziwu. — Sięgnąłem w kierunku zasobnika, gdyż naprawdę chciałem usłyszeć, co się działo, kiedy Audee'ego tu nie było. Prawie tak bardzo, jak chciałem się dowiedzieć, czego naprawdę chcę ja sam.

Rozdział 7

Prosto z jądra Galaktyki

Był jeden dobry powód, dla którego właśnie wtedy chciałem usłyszeć o podróży Audee'ego do jądra Galaktyki.

Być może, z liniowego punktu widzenia osoby cielesnej, wydaje się, że jest to kolejna cholerna dygresja. Być może, z liniowego punktu widzenia rzeczywiście tak jest. Ja nie jestem linearny. Wykonuję przetwarzanie równoległe, może z tuzin rzeczy naraz w ciągu jednej milisekundy, a rzeczywiście mamy tu do czynienia z fascynującym paradoksem.

Jestem pewien, że Audee wiedział o tym paradoksie, kiedy zgłosił się jako ochotnik na lot do jądra Galaktyki. Prawdopodobnie w ogóle tego nie przemyślał. Miał tylko niejasne wyobrażenie o tym, w co się pakuje. Audee wykoncypował sobie, że bez względu na to, co się miało tam wydarzyć, było to lepsze niż próba wyprostowania jego porąbanego życia. Życie Audee'ego było prawie równie popłatane jak moje własne, bo on także kochał dwie kobiety.

Audee skorzystał więc z okazji i odleciał. Zabrał również ze sobą naszą przyjaciółkę, Janie Yee-xing, która była jedną z jego ukochanych. Ale to, jak się sami przekonacie, długo nie potrwało.

Audee był z zawodu pilotem. I to dobrym. Audee pilotował kiedyś pojazdy powietrzne na Wenus, superlekkie samoloty na Ziemi, wahadłowce na asteroidzie Gateway, wycarterowane prywatnym osobom odrzutowce na planecie Peggy i długodystansowe statki międzygwiazdne do wszelkich miejsc, jakie zdołacie sobie tylko wyobrazić. Zdaniem Audee'ego, jeden statek Heechów przypominał każdy inny statek Heechów, zaś Audee nie miał wątpliwości, że umie latać wszystkim.

— Czy mogę ustawić kurs? — zapytał kiedyś Heecha, Kapitana, gdyż chciał dobrze zacząć, jako pełen zapału pracownik.

Kapitan też chciał dobrze zacząć ich wzajemne stosunki, więc z chęcią oddał pilota, a Audee zajął jego miejsce.

Siedzenia Heechów były wykonane dla osobników noszących zasobniki między nogami. Ludzie zwykle tego nie robią, więc większość statków Heechów przystosowanych przez ludzi ma siatkę rozciągniętą między ramionami siedziska, co w tym przypadku nie miało miejsca.

Audee nie miał zamiaru zaczynać od narzekań. Zrobił, co mógł. Opadł na siedzenie w kształcie litery V, odczytał ustawienia kursu i przyłożył do kółek nastawiania kursu zwyczajową siłę mięśni, by ustawić je na pozycjach. To wymagało trochę wysiłku. Od dnia, gdy Audee robił to po raz ostatni, minęło nieco czasu; nowe statki wybudowane na Ziemi pilotowało się znacznie łatwiej. Aby podtrzymać rozmowę, Audee wysapał:

— Mnóstwo weteranów zastanawiało się nad tymi kółkami.

— Tak? — rzekł Kapitan uprzejmie. — A dlaczego?

— Hm, dlaczego tak ciężko je obrócić?

Kapitan spojrzał na swoją załogę z zaskoczeniem, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Audee'ego. Sięgnął niedbale dłonią i dotknął kółka. Poruszyło się z łatwością.

— Ciężko? — spytał sycząc w sposób, który u Heechów wyrażał zarówno irytację, jak i troskę.

Audee popatrzył na lekkie, smukłe ciało Heecha. Przesunął kółko z powrotem, aż wskaźniki pionowe rozjarzyły się wściekłym różem. Wymagało to tyle samo siły, co zwykle.

Sięgając do manetki startera przełknął ślinę z trudem. Stało się jasne, że podróż będzie obfitowała w niespodzianki.

Statek zadrżał lekko, a obraz na ekranie rozmył się w kropkowaną szarość, która informowała, że już przemieszczają się z prędkością szybszą niż światło. Przez jakiś czas dla pilota nie miało już być nic do roboty, lecz Audee nie wykazywał chęci wstania, gdyż siedząc w fotelu pilota miał wrażenie, że panuje nad wszystkim, co się dzieje. Spróbował kontynuować rozmowę.

— Zawsze zastanawialiśmy się nad tymi przyrządami sterującymi — podsunął. — To znaczy, dlaczego jest ich pięć. Niektórzy mądrze uważali, że Heechowie wierzą w pięciowymiarową przestrzeń.

Kapitan po syczał głośno przez chwilę, a wiązadła sterczące z jego płaskiej piersi wiły się, co było oznaką, że próbuje zrozumieć. Jego angielszczyzna była coraz lepsza, ale umykały mu niuanse niektórych wyrażań.

— „Wierzą”, Audee Walthersie? Tu nie ma w co wierzyć. Nie jest konieczna żadna wiara, w sensie religijnym.

— No pewnie — odparł Audee ponuro. — Ale czy wy w to wierzycie?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł Kapitan zaskoczony. — Przestrzeń nie ma pięciu wymiarów.

Audee uśmiechnął się krzywo.

— Co za ulga, bo miałem problem z wyobrażeniem sobie czegoś takiego...

— Ma dziewięć — wyjaśnił Kapitan.

* * *

Podczas podróży do jądra galaktyki zatrzymali się na krótko, gdyż Kapitan zostawił kilka statków Heechów na niestabilnych orbitach. To by nie wystarczyło, wyjaśnił. Przez te wszystkie lata, które spędzą w jądrze Galaktyki, maszyny mogłyby zdryfować i zostać zniszczone, a Heechowie nie lubili, kiedy niszczone użyteczne rzeczy. Ale Audee przestał słuchać.

— Lata? — spytał. — Myślałem, że ta podróż potrwa tylko parę miesięcy! Ile lat?

— Kilka, jak mi się wydaje — odparł Kapitan. — Dla nas to będą tylko miesiące. Ale Dom, jak wiesz, znajduje się w czarnej dziurze. — Kiedy Kapitan zostawił jednego z członków załogi, by załatwić sprawę nieobsadzonych statków, Janie Yee-xing zdecydowała się lecieć z nim. Polecą jednym z tych pojazdów na Ziemię, powiedziała, jeśli Kapitan nie ma nic przeciwko; nie miała w planach lotu trwającego lata.

Kapitan nie miał nic przeciwko temu. Co dziwne, Audee również się nie sprzeciwiał. Był wystarczająco zdezorientowany w kwestii tego, kogo kocha, że z radością powitał perspektywę przeżycia paru miesięcy (czy też lat), bez konieczności stawiania czoła temu problemowi.

Nie powiem, żeby taka sytuacja była mi obca.

Dla Audee'ego musiała to być przedziwna i cudowna podróż — nagle znaleźć się w statku Heechów i mieć Heechów za towarzyszy. Jeśli już o to chodzi, to dla Heechów też były to trudne chwile, choć oni przynajmniej mieli już doświadczenie w dziedzinie spotkań z bardzo otłuszczonymi dwunogimi, zaś Audee jeszcze nigdy nie przebywał na statku pełnym żywych szkieletów.

Problemy te jednak nie były niczym niezwykłym dla Audee'ego i jego gospodarzy. Wszyscy się z nimi spotkaliśmy, i to niejednym razem, więc to stara historia. Nie ma wielkiego sensu w ponownym omawianiu problemów Audee'ego z dziewięciowymiarową przestrzenią (które nie były gorsze niż moje własne spory z Albertem Einsteinem), czy z próbami zrozumienia arytmetyki Heechów. Wszystko na statku było dla niego niezwykle i dziwaczne — „fotele” zaprojektowane tak, by mieścił się w nich zasobnik Heechów, „łóżko”, które było workiem wypełnionym suchym, szeleszczącym materiałem, służącym do zagrzebania się w nim po uszy... a o toaletach nawet nie będziemy wspominali.

Pewna poprawa nastąpiła z chwilą, gdy Audee zaczął myśleć o swoich towarzyszach jako o oddzielnych „osobach”, a nie jako o pięciu egzemplarzach z kategorii „Heechowie”.

Najłatwiej było rozpoznać Kapitana. Był najciemniejszy, a szczecina na głowie, którą z grubsza można było wziąć za włosy, była najbardziej rozczochrana; on też mówił najlepiej po angielsku. Biały Szum była małą samicą, w kolorze zbliżonym do bladego złota, zbliżającą się do wieku dojrzałości płciowej i z tego powodu wiecznie zmartwioną. Kundlica miała problemy z wymówieniem kilku angielskich słów, które próbowała powiedzieć; Wybuch miał poczucie humoru i uwielbiał wymieniać z innymi sprośne dowcipy — od czasu do czasu także z Audee’em, choć Kapitan musiał wtedy służyć za tłumacza.

Dalszy postęp osiągnięto, kiedy Kapitan wpadł na świetny pomysł podarowania Audee’emu zasobnika Heechów — oczywiście zmodyfikowanego. Jak wyjaśnił Kapitan Walthersowi, jeden z elementów zasobnika Heechów był dla niego kompletnie bezużyteczny, a mógł nawet stanowić zagrożenie dla zdrowia. Był to miniaturowy generator promieniowania mikrofalowego. Rasa Heechów rozwinęła się na przyjemnej pod wieloma względami planecie okrążającej gwiazdę, która znajdowała się niestety bardzo blisko wielkiej i aktywnej chmury gazowej. Promieniowanie docierało na ten świat od czasów, kiedy jeszcze nie było na nim życia i Heechowie wykształcili zdolność tolerowania go — właściwie, to potrzebowali go, tak jak ludzie potrzebują słońca. Kiedy więc zaczęli podróżować do miejsc, gdzie przestrzeń wolna była od takiego promieniowania, musieli zabierać ze sobą własne źródło mikrofal.

A kiedy odkryli, jak zapisywać osobowości zmarłych Heechów, znaleźli kolejne zastosowanie dla zasobników. Każdy z nich zawierał zapis zachowanego Czcigodnego Przodka.

W ten sposób doszło do tego, że Audee otrzymał własnego Czcigodnego Przodka.

Ku jego zdumieniu, wcale nie była to leciwa osoba. Nie żyła zaledwie od paru tygodni; była to ukochana Kapitana i miała na imię Dwakroć.

Był to ostatni etap adaptacji, Audee zaakceptował Heechów jako „ludzi”.

Jaki ten wszechświat mały, nie?

W miarę, jak Audee przyzwyczajał się do Kapitana, Kapitan przyzwyczajał się do Audee’ego — w końcu dojrzeli, by zacząć dyskusję, o której tak intensywnie myśleli. Kapitan wykorzystał okazję, gdy Audee zapytał go o Wroga.

Było to w końcu największe zagrożenie dla wszechświata, na które byli narażeni zarówno ludzie, jak i Heechowie. Wróg. Asasyni. Rasa szkodliwych, niosących śmierć istot, których istnienie zmusiło Heechów do zwinięcia manatków i ukrycia się w bezpiecznym miejscu w jądrze Galaktyki.

Audee zmusił Kapitana, żeby ten opowiedział mu tę historię parę razy, często przy tym wtrącali się inni Heechowie z załogi; nadal jednak niełatwo było ją pojąć.

— Rozumiem, o co chodzi z podróżą Tangens — powiedział — i rozumiem, że wiedzieliście o wielu zniszczonych cywilizowanych rasach, ale jak przeszliście od tego do idei kurczącego się wszechświata?

Heechowie spojrzeli po sobie.

— Chyba na początku był parametr przyspieszenia ujemnego — powiedział Bucik.

Kapitan napiął mięśnie, co oznaczało zgodę.

— Tak, parametr przyspieszenia ujemnego. Oczywiście, początkowo to był problem wyłącznie dla astrofizyków teoretyków, rozumiesz.

— Może potrafiłbym to lepiej zrozumieć, gdybym wiedział, co to jest parametr przyspieszenia ujemnego.

— Można go także nazwać anomalią efektu hamowania — podsunęła Biały Szum z drugiego końca kajuty.

Kapitan znów napiął mięśnie potwierdzając. Mówił dalej:

— Oznacza to, że nasi astronomowie zaobserwowali, iż wszechświat rozszerza się znacznie wolniej niż powinien, jeśli uwzględnić potęgę. Coś powoduje, że zwalnia.

— I wpadliście na to, że to Wróg?

Kapitan odezwał się ponuro:

— W połączeniu z innymi dowodami i po wyeliminowaniu wszelkich innych możliwości stało się jasne, że te nie może być nic innego, tylko interwencja na skalę kosmiczną. A innych kandydatów nie było.

— To musiało spowodować niezłe zamieszanie — rzekł Audee.

— Zamieszanie — prychnął Kapitan. — To zmieniło wszystko. — Patrzył z namysłem na Audee'ego tymi swoimi różowymi oczami z kleksem źrenicy pośrodku. Rzucił szybkie spojrzenie na pozostałych Heechów, po czym wydał z siebie dźwięk przypominający węszenie, który był u Heechów odpowiednikiem chrząknięcia przed zmianą tematu na poważniejszy. — Nie jest jeszcze za późno — oświadczył.

Audee zamrugnął.

— Nie jest za późno na co?

— Nie jest za późno, żeby twoja rasa dołączyła do naszej w jądrze Galaktyki — rzekł precyzyjnie Kapitan wymawiając słowa powoli, żeby Audee na pewno go zrozumiał. — Twojej rasie byłoby bardzo dobrze w jądra Galaktyki, gdybyście się na to zdecydowali.

— To brzmi — rzekł uprzejmie Audee, próbując skierować rozmowę na lepsze tory — jakby tam było trochę ciasno.

— Ciasno? Dlaczego ciasno? — spytał Kapitan, wykrzywiając mięśnie na policzku; był to odpowiednik zmarszczenia brwi. — Sporządziliśmy dokładne mapy tej Galaktyki, a kiedy wycofaliśmy się do jej jądra, zabraliśmy ze sobą najlepsze planety. Niewiele zostało na zewnątrz takich, które byłyby wygodne dla twojej rasy — albo naszej.

Audee dostrzegł sposobność, by trochę się pochwalić — nie bezpodstawnie — w imieniu ludzkiej rasy.

— Ach, ale my je przerabiamy na wygodne — wyjaśnił z dumą. — Mamy na przykład sześć planet już zbadanych, które byłyby doskonałe dla istot ludzkich, tylko przedział temperatur jest trochę za niski. Z tym możemy sobie poradzić. Nasycamy atmosferę tych planet związkami typu CFC. Wychwytyją ciepło, jak dwutlenek węgla, który powoduje efekt cieplarniany, a to z kolei. . .

— Wiem, co robi dwutlenek węgla — zazgrzytał zębami Kapitan. — Wiem też, co to jest CFC, i owszem, zgadza się, niektóre z tych związków mogą utrzymywać się w atmosferze przez wiele wieków, kiedy już się tam znajdują. Zgadzam się, że w pewnych przypadkach może to podnieść temperaturę planety o parę stopni.

— Tak, ale w przypadku niektórych z nich parę stopni całkowicie wystarczy — rzekł rozsądnie Audee. — A taka Wenus. Jest tam o wiele za gorąco. Niedługo pewnie rozpylimy w górnych warstwach atmosfery odbijające światło cząsteczki pyłu. To rozwiąże problem izolacji i sprawi, że na Wenus będzie się dało zamieszkać. Możemy zrobić to samo z innymi planetami — zidentyfikowaliśmy już parę nadających się do tego. Możemy zasiać życie w miejscach, gdzie nigdy nie istniało, stworzyć własny efekt Gai. Jeśli to konieczne, przesuniemy planety na lepsze orbity. . .

Kapitan zaczął odczuwać znużenie.

— Te wszystkie rzeczy robiliśmy już w jądrze Galaktyki — podkreślił. — Wiesz, ile tam mamy nadających się do zamieszkania planet? Ponad osiemset pięćdziesiąt, a większość z nich nie jest zamieszкана nawet przez ekipy zwiadowcze. Jak widzisz, nastawiliśmy się na długi pobyt.

— Tak — rzekł Audee obojętnie. — Widzę.

Kapitan zasyczał lekko ze zdumieniem. Zdawał sobie sprawę z tego, że w tonie Audee'ego coś było, ale nie umiał powiedzieć, co. Znow wciągnął nozdrzami powietrze i mówił dalej:

— Więc polećcie tam z nami! Niektóre planety są ładniejsze od innych, ale jestem pewien, że dostaniecie któreś z najładniejszych. Cała wasza rasa zmieści się na jednej! No, najwyżej na dwóch albo trzech — poprawił się po chwili zastanowienia.

— I co potem? — spytał Audee.

Kapitan zamrugał.

— No, jak to, będziemy czekać, oczywiście — odparł. Prawdopodobnie będziemy tam bezpieczni, Audee Walthersie. Zwłaszcza, gdy zaprzestaniemy wszelkich transmisji i zaczniemy przerzucanie ludzi oraz urządzeń zużywających energię do jądra Galaktyki natychmiast, kiedy tylko się da.

— Urządzeń zużywających energię?

— Urządzeń emitujących energię, którą da się wykryć. One mogą zdradzić naszą obecność — wyjaśnił Kapitan.

— Ach — rzekł Audee, kiwając głową, gdy dostrzegł ujemne strony tego pomysłu. — Ale przecież wy rozstawiliście czujniki — podkreślił. — Dlaczego Wróg nie miałby postąpić tak samo?

— Być może tak zrobili — odparł ponuro Kapitan. — Nie powiedziałem, że na pewno będziemy tam bezpieczni. Powiedziałem, że prawdopodobnie tak będzie. A jeśli dotąd nie wykryli tego... skoku aktywności... to możemy tam siedzieć miliony i miliardy lat, jeśli to będzie konieczne, czekając.

— Czekając na co, Kapitanie?

— No jak to... oczywiście na to, że jakaś inna rasa wyewoluuje na taki poziom, że będzie mogła stawić im czoła!

Audee uważnie, z namysłem przyglądał się Heechowi. Było jasne, że dzieli ich nie tylko bariera językowa.

— Jedna już to zrobiła — rzekł łagodnie. — My.

Przez chwilę Audee obawiał się, że mógł zranić uczucia Kapitana. W końcu zasugerował, że cała rasa Heechów to tchórze. Audee nie wiedział jednak, że Kapitan wziął to za komplement.

Jeśli jest jakiś etap podróży Audee'ego, którego mu zazdrościć bardziej niż jakiegokolwiek innego, jest nim penetracja samej czarnej dziury. Nie, żeby Audee'emu sprawiło to przyjemność, bo nikomu nie sprawiło; było przerażające.

Gdy zbliżyli się do rozjarzonego, wrzącego, gwałtownie promieniującego paleniska wpadających w czarną dziurę gazów, które znaczyły zbliżanie się do kryjóWKi Heechów, Kapitan rozkazał, by wszyscy schowali się w swoich przypominających hamaki workach. Biały Szum włączyła kryształową podwójną spiralę, którą Heechowie zwali „zakłócaaczem porządku”. Urządzenie zaśniło jak brylant. Temperatura wzrosła. Statek zaczął dygotać.

Kapitan nauczył się odczytywać mowę ludzkiego ciała równie dobrze, jak Audee opanował język Heechów — czyli niezbyt dobrze — ale zauważył, że Audee zbieleł wokół ust.

— Chyba się boisz — zauważył.

Według standardów Heechów ta uwaga nie była nieuprzejma. Audee przyjął ją bez obrazy.

— Tak — powiedział, patrząc na sprawiającą oczom ból powierzchnię zasysanych gazów — Bardzo boję się wejścia do czarnej dziury.

— To ciekawe — rzekł Kapitan z namysłem. — Robiliśmy to już wiele razy i nie ma żadnego zagrożenia dla tego statku. Powiedz mi, czego się bardziej boisz: przebijania się do czarnej dziury czy Wroga?

Audee namyślił się przez chwilę. Były to dwa rodzaje strachu, które różniły się od siebie.

— Wydaje mi się — rzekł powoli — że Wroga.

Mięśnie policzkowe Kapitana wygięły się z aprobatą.

— To nie jest w żaden sposób nieracjonalne — rzekł. — To rozsądne. A teraz wchodzimy.

Diamentowy korkociąg rozbłysnął strumieniami iskier; tysiące uderzyły w Audee'ego i wszystkich innych obecnych na pokładzie, ale nie oparzyły ich; wydawały się przechodzić przez ich ciała i wychodzić z drugiej strony. Podrygi statku brutalnie cisnęły Audee'ego o uprząż w kokonie zabezpieczającym; skonstruowano ją dla masy Heechów, znacznie mniejszej od masy ludzkiego ciała i pasy zajęczały ostrzegawczo.

Proces ten trwał przez długą chwilę. Audee nie potrafił jej zmierzyć; na pewno wiele minut, może godzinę, a nawet dłużej; i gwałtowność procesu nie malała. Słyszał skrzeczące komentarze i rozkazy, wydawane przez załogę Heechów, zastanawiał się intensywnie, jak oni byli w stanie funkcjonować, kiedy wytrząsało z nich wszystkie flaki. . . zastanawiał się, czy Heechowie mieli jakieś flaki i zastanawiał się, czy zaraz zginie. . .

I nagle, bez ostrzeżenia, wszystko się skończyło.

Heechowie zaczęli wypłatywać się z pasów. Kapitan spojrzał z zainteresowaniem na Audee'ego i zawołał:

— Chcesz zobaczyć nasze jądro Galaktyki? — Machnął skórzastą dłonią w stronę ekranu. . . i oto było przed nimi.

Na ekranach statku pojawiło się oślepiające światło.

Zajmowane przez Heechów jądro Galaktyki było nafaszerowane słońcami — dziesięcioma tysiącami słońc — było tam więcej słońc, niż znajdowało się w odległości tysiąca lat świetlnych od Ziemi, upchanych w sferze o średnicy zaledwie dwudziestu lat świetlnych. Były tam gwiazdy żółte, ciemne gwiazdy czerwone i gwiazdy oślepiająco białoniebieskie. Była tam cała tęcza widma gwiazd, cały diagram Hertzsprunga-Russella, co sprawiało, że nocne niebo nad planetami jądra Galaktyki było feerią kolorów — zaś samo określenie „noc” stawało się egzotyczną abstrakcją, gdyż w jądrze nie było ani jednego miejsca, w którym byłoby choć przez chwilę ciemno.

Szkoda, że tego nie widziałem.

Nie zazdroścę zbyt wielu rzeczy jakiegś większej liczbie ludzi, ale pozazdrościłem tego Audee'emu Walthersowi, kiedy usłyszałem, co widział. Upakowana koncentracja gwiazd — więcej niż w jakimkolwiek skupisku — to musiało tak wyglądać, prawda? W przeciwnym razie każde skupisko gwiazdne samo stałoby

się czarną dziurą. I gwiazdozbiory jak choinki bożonarodzeniowe! Mam tu na myśli kolory. Nawet gwiazdy widziane z Ziemi mają różne kolory, każdy o tym wie, ale mało kto dostrzega, jakie to są kolory. Wszystkie są tak odległe i tak blade, że kolory zanikają, wyglądając przeważnie jak nieco zanieczyszczona biel. Ale w jądrze Galaktyki...

W jądrze Galaktyki czerwień jest rubinowa, zieleń szmaragdowa, błękit — szafirowy, żółć — lśniąco złocista, a biel, na Boga, biel jest oślepiająca. Poza tym nie ma żadnej gradacji od gwiazd pierwszej wielkości do bladych czy wręcz niewidocznych. Jasne gwiazdy są znacznie jaśniejsze niż gwiazdy pierwszej wielkości. I nie ma prawie żadnych gwiazd na granicy widoczności, bo nie ma żadnych odległych gwiazd.

Naprawdę zazdroścę Audee'emu tego, co widział.

Choć naprawdę zobaczył tylko obraz na ekranie statku Heechów. Nigdy nie postawił stopy na powierzchni planety Heechów. Nie miał na to czasu.

Przed wszystkim, czas jaki Audee miał spędzić w jądrze Galaktyki był równy okresowi przeznaczonemu na nocny spoczynek. Oczywiście Walthers nie miał szans na sen. Nie było na to czasu. Tak naprawdę, to ledwo miał czas na to, żeby oddychać, tak strasznie dużo było do zobaczenia i do zrobienia.

Gdyby nie Czcigodni Przodkowie, wszystko trwałoby tak beznadziejnie długo, że nie miałyby już większego znaczenia, czy Audee dotarł do jądra Galaktyki czy nie. Ale komunikaty Kapitana nadeszły tylko chwilę wcześniej, według standardów Heechów. Ich maszyny przekąźnikowe pracowały w takim samym tempie, jak zapisane inteligencje, co mogli też robić Czcigodni Przodkowie.

Dzięki ostrzeżeniu z wyprzedzeniem zaledwie kilku minut Heechowie nie mieli zbyt wiele czasu na to, by trochę pokrzyczeć i potrząść się, ale szybko się pozbierali. Zawsze utrzymywali w stanie gotowości flotę załóg i statków, przydatną właśnie w takiej sytuacji. Wysłano je natychmiast. Przez okres zaledwie czterech godzin czasu lokalnego, kiedy to Audee przebywał w jądrze Galaktyki, widział start sześciu dużych statków Heechów wypełnionych naprędce zwerbowanymi załogami obsługi statków, historykami, obserwatorami służącymi w Fotelach Snów oraz dyplomatami — a przynajmniej osobnikami, którzy uchodzili między Heechami za dyplomatów. (Stosunki z obcymi mocarstwami nigdy nie należały do problemów Heechów, gdyż nie udało im się znaleźć żadnych obcych mocarstw, z którymi mogliby nawiązać stosunki).

Pierwsze załogi specjalistów Heechów oczekiwały w gotowości, czekając tylko na sygnał do startu.

Prawdopodobnie nikt z nich się nawet nie spodziewał, że kiedyś ta chwila nadejdzie. „Byle nie na mojej zmianie!” — tak pewnie modliłby się każdy z nich, gdyby Heechowie w ogóle się modlili — a przynajmniej prosili zapisane umysły przodków. Załogi te trwały w gotowości już od pewnego czasu — według czasu

galaktycznego tysiące lat. Nawet według zegarów w kryjówce Heechów trwało to dziesiątki lat.

Żadna załoga nie wytrwałaby na posterunku tak długo. Zmieniali się co jakieś osiem czy dziewięć miesięcy lokalnego czasu, po czym wracali do normalnych domów i przyzwyczajzeń. Przypominało to nieco służbę w Gwardii Narodowej, dawno temu w Stanach Zjednoczonych. Podobnie jak gwardziści, przeżyli niemiłą niespodziankę, kiedy niebezpieczeństwo, którego cały czas wypatrywali, okazało się prawdziwe i natychmiastowe.

Półowa Heechów miała rodziny. Połowie tych, którzy mieli rodziny, pozwolono zabrać ze sobą partnera i potomstwo, tak jak amerykańscy żołnierze sił pokojowych brali ze sobą rodziny i dzieci. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Żołnierze sił pokojowych nagle wezwani do walki zwykle mieli czas na odesłanie rodzin w bezpieczne miejsce. Heechowie nie mieli tej szansy. Miejscem ich stacjonowania były statki, które wyruszyły w drogę i w tych pierwszych sześciu statkach w załodze były ciężarne samice, niemowlęta i znaczna liczba dzieci w wieku szkolnym. Większość z nich była przerażona. Niewielu z nich chciało się przejechać autobusem tajemnic na wycieczkę w nieznane... ale to samo można by powiedzieć i o samych załogach.

Audee nie widział żadnej z tych rzeczy na własne oczy, co najwyżej na ekranie komunikacyjnym statku Kapitana. Nie opuszczał pojazdu.

Z rozpoczęciem piątej godziny ich wizyty w jądrze Galaktyki dotarł do nich kolejny statek.

Oba połączyły się lukami. Drugi z nich był znacznie większy niż statek Kapitana. Jego załoga składała się z prawie trzydziestu osobników i wszyscy oni błyskawicznie prześlizgnęli się przez połączone śluzy, przede wszystkim po to, by przyjrzeć się temu dziwnemu zwierzęciu — „człowiekowi”.

Pierwszą rzeczą, która się wydarzyła, było to, że trzech nowych Heechów delikatnie i ostrożnie odebrało Audee’emu jego zasobnik. Natychmiast pozbawiono go kojącej obecności Dwakroć. Audee rozumiał tę konieczność: nikt z nowo przybyłych Heechów nie mówił po angielsku, poza tym mogli uzyskać z zapisanego umysłu Czigodnej Przodkini wszystkie informacje, które od niego zbierała przez te wszystkie tygodnie, znacznie szybciej, niż on potrafiłby to wypowiedzieć. To było jednak tylko uzasadnienie: strata nie była przez to mniej dotkliwa.

Drugą rzeczą było to, że wszyscy znani mu Heechowie z załogi zostali odciągnięci w tłum nowo przybyłych, którzy otoczyli ich ciasnymi kręgami, gadając, gestykulując oraz... śmierzając. Typowy dla Heechów odór amoniaku był wręcz porażający, gdy taka ich liczba znalazła się na statku. Audee prawie już zapomniał o istnieniu tego zapachu, gdyż się przyzwyczaił; poza tym, Heechowie, którzy go wydawali, byli przyjaciółmi. Nowi byli obcy.

Trzecią rzeczą było, że pół tuzina nowych Heechów stłoczyło się wokół niego, poćwierkując i gadając tak szybko, że nie był w stanie nawet rozpoznać słów.

W końcu zrozumiał, że proszą go, by stał spokojnie. Zaprezentował najlepszą, jaką potrafił uzyskać, imitację wzruszenia górną częścią ramienia, która u Heechów oznaczała zgodę, zastanawiając się, w jakim to celu każą mu stać bez ruchu.

Okazało się, że przeprowadzają kompletne badanie fizyczne. Błyskawicznie zdjęli z niego ubranie i jeszcze szybciej zaczęli zaglądać, postukiwać, szturchać. Pakowali miniaturowe, cienkie sondy do jego uszu, nozdrzy i odbytu. Pobierali niezauważalnie małe próbki skóry, włosów, paznokci i błon śluzowych. Żadna z tych czynności nie była bolesna, ale były tak diabelnie odzierające z godności.

Poza tym, jak już Audee wiedział, na Ziemi minęło już mnóstwo czasu. Zegar, który w jądrze Galaktyki tykał powoli, za zewnątrz odmierzał dni i miesiące za jednym tyknięciem.

Ostatnia rzecz, która się zdarzyła, była przede wszystkim zaskakująca.

Kiedy skończyli już przeprowadzać szczegółowe badanie lekarskie, jakiego jeszcze nigdy nie przeszła ludzka istota w tak krótkim czasie, pozwolili mu się ubrać. Następnie niska, blada samica dotknęła jego ramienia w uspokajającym geście. Mówiąc wolno i wyraźnie, jak się mówi do dziecka, rzekła:

— Skończyliśmy już z twoją Czcigodną Przodkinią. Możesz wziąć ją z powrotem.

— Dzięki — mruknął Audee, wrywając jej zasobnik.

— Dwakroć powie ci teraz, co masz dalej robić — uśmiechnęła się samica Heecha, u Heechów uśmiechem był skurcz policzka.

— No, na pewno — odparł Audee gorzko, przypinając zasobnik i pochylając się.

Dwakroć robiła wrażenie zmęczonej. Wypompowano z niej wszystkie informacje i była to dla niej ciężka próba; następnie przekazano jej mnóstwo poleceń i to też nie było dla niej łatwe.

— Masz wygłosić mowę — ogłosiła natychmiast. — Nie próbuj mówić w naszym języku, nie znasz go wystarczająco dobrze.

— Dlaczego nie? — dopytywał się Audee, zaskoczony; sądził, że nawet akcent opanował w stopniu wystarczającym.

— Znasz tylko język Czynów, nie język Uczuć — wyjaśniła Dwakroć — a to jest dla nas wszystkich sprawa ogromnej wagi emocjonalnej. Więc mów po angielsku; to przetłumaczę całej publiczności.

Audee zajęczał.

— Jakiej publiczności?

— Wszystkim Heechom. Musisz im opowiedzieć swoimi słowami, w jaki sposób ludzie mają zamiar pomóc Heechom rozwiązać problem Wroga.

— Och, diabli — zaklął Audee, przeklinając swoją niezbyt pełną godności pozycję, gdyż zgiął się wpół, by być blisko zasobnika; przeklinając Wroga; a przede wszystkim głupi impuls, który kazał mu zgłosić się na tę wyprawę.

— Nienawidzę wygłaszania przemówień! A poza tym, co ja im jeszcze mogę powiedzieć, o czym jeszcze nie wiedzą?

— Nic, oczywiście — zgodziła się Dwakroć. — Ale dobrze będzie, jak usłyszą to od ciebie.

Więc przez następne dziesięć minut, czy coś koło tego (kiedy na zewnątrz upływały miesiące i lata), Audee wygłaszał mowę.

W pewien sposób przyniosło mu to ulgę, gdyż cały ten tłum Heechów cofnął się, by zrobić mu trochę miejsca; widział, jak niektórzy z nich celują w niego jakimiś przedmiotami, które były kamerami. Z drugiej znów strony, ta chwila była najgorsza ze wszystkich, gdyż w miarę jak mówił, przypomniało mu się, że Heechowie pojmowali wszystko dosłownie i kiedy Dwakroć powiedziała o „wszystkich Heechach”, niewątpliwie istotnie miała na myśli wszystkich Heechów. Całe miliardy! Wszyscy patrzący z przerażeniem i fascynacją na tego dziwnego obcego i wygłaszający krytyczne uwagi pod jego adresem!

Faktycznie wszyscy na niego patrzyli. Wszyscy. Całe miliardy Heechów żyjące w jądrze Galaktyki. Dzieci w szkołach i przedszkolach, robotnicy, którzy przerwali pracę, starzy, młodzi — zmarli również, bo zapisane umysły Starożytnych Przodków nie przegapiłyby takiej okazji. Na zakrytych kopułami powierzchniach planet, w habitatach w kosmosie, na odlatujących statkach zmierzających do niełatwej próby przebicia się przez granicę Schwarzschilda... wszyscy patrzyli na niego.

Audee miał niewyobrażalną wręcz treść.

Ale jednak mu się udało. Zaczął tak:

— Jestem... hm... jestem... — Po czym wziął głęboki oddech i zaczął od nowa. — Jestem... hm... jestem tu sam i nie mogę mówić w imieniu wszystkich ludzi. Ale wiem, jacy są ludzie — to znaczy ludzka rasa. A my nie mamy zamiaru uciekać i chować się, jak wy, chłopcy. Bez urazy. To znaczy, wiem, że nic nie możecie na to poradzić...

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Przepraszam, jeśli uraziłem wasze uczucia — rzekł, zapominając o kamerach, zapominając o całych miliardach widzów. — Chcę wam tylko powiedzieć, jak to jest. Nawykliśmy do walki, no wiecie. Odnieśliśmy w niej sukces. Szybko się uczymy — sami zobaczcie, jak się nauczyliśmy robić to wszystko, co wy umiecie, a czasem nawet lepiej od was. Może nie potrafimy nic zrobić w kwestii Wroga, ale na pewno spróbujemy. Nie chcę tu powiedzieć, że coś obiecuję — nie mam prawa nic obiecywać w niczyim imieniu, poza własnym. Chcę tylko powiedzieć, że o tym wiem. To wszystko — zakończył — i dzięki za uwagę.

Stał tam, niepewnie się uśmiechając w milczeniu, aż w końcu Heechowie z kamerami zaczęli niechętnie je zwiijać.

Wybuchła wrzawa rozmów; Audee nie był w stanie stwierdzić, co mówią, gdyż nikt nie zwracał się do niego. Ale samica Heecha, która oddała mu Dwakroć, pochyliła się nad swoim zasobnikiem, po czym zbliżyła się do niego. Rzekła:

— Mam ci coś do powiedzenia, Audee Walthersie Trzeci. Porozumiałam się już z Czcigodnymi Przodkami w kwestii tłumaczenia i potwierdzili, że jest poprawne, więc powiem to po angielsku.

Wzięła głęboki oddech, przez chwilę poruszała na próbę swoimi cienkimi jak ostrza wargami w ciszy, a w końcu, potrząsając nadgarstkami przemówiła:

— Odwaga nie jest mądrością. Mądrość jest właściwym zachowaniem. Odwaga jest czasem samobójstwem. To właśnie Czcigodni Przodkowie kazali mi ci przekazać.

Audee odczekał chwilę, ale najwyraźniej już skończyła. Rzekł więc:

— Dziękuję. A teraz, wybac mi, muszę iść do toalety.

Audee nie spieszył się z tą czynnością. Przez tak długi czas go oglądano, zagładano w różne miejsca i wystawiano na widok publiczny, że nie wspomnę o jego pełnym pęcherzu, że chciał spędzić chwilę w samotności. Zdjął swój zasobnik i zostawił go koło drzwi, gdyż nie chciał nawet, by była tam z nim Dwakroć.

Wypełniając moczem przypominający kształtem tulipan pojemnik, myjąc ręce, przyglądając się swej twarzy w obracającym się lustrze, Audee myślał. W jego głowie tykał zegar dyktując zupełnie inne tempo. Wejście do środka i zamknięcie drzwi zajęło mu dziesięć sekund — w tym czasie na zewnątrz upłynęło prawie pół miliona sekund, w stosunku wynoszącym mniej więcej czterdzieści tysięcy do jednego. Pięć sekund na otwarciu rozporka. Około minuty, żeby się odlać. Kolejne dwie minuty na mycie rąk i przyjrzenie się swemu odbiciu w lustrze.

Spróbował liczyć: ile to mogło być w sumie? Liczby wymykały mu się; po tych wszystkich tygodniach, które spędził na nieudanych próbach przeliczania ich na arytmetykę Heechów; niewątpliwie jednak przez krótką chwilę, poświęconą na oddawanie moczu, na zewnątrz upłynęło osiem albo dziewięć miesięcy.

Aktowi opróżniania przez niego pęcherza, przedziwny wymiar nadawała refleksja, że w tym czasie mogło się począć i urodzić dziecko.

Otworzył drzwi i ogłosił:

— Chcę wracać do domu.

Kapitan przedarł się przez tłum i stanął przed nim.

— Tak, Audee? — potrząsał przecząco nadgarstkami, co w tym akurat przypadku znaczyło, że nie zrozumiał, ale Audee wziął to za odmowę.

— Nie, naprawdę tego chcę — oświadczył twardo. — Chcę wrócić, zanim wszyscy znani mi ludzie staną się kandydatami do domu starców.

— Tak, Audee? — powtórzył Kapitan. Po czym zastanowił się. — Ach, rozumiem — rzekł. — Myślałeś, zechcemy cię tu zatrzymać na dłużej. To nie jest konieczne. Już cię zobaczono. Informacje zostały rozpowszechnione. Niedługo zaczną przybywać inni ludzie, przygotowani na dłuższy pobyt.

— Chcesz powiedzieć, że mogę wracać? — naciskał Audee.

— Oczywiście, że możesz. Zaraz będzie tu statek, który leci na zewnątrz, należy do floty transportującej zapasy, załogi i Czcigodnych Przodków. Możesz do nich dołączyć. Zanim pokonają ergosferę, czas, jaki upłynie na zewnątrz w Galaktyce wyniesie... — pochylił głowę, by porozumieć się ze swoim Czcigodnym Przodkiem — ...w przeliczeniu na obroty twojej planety wokół jej gwiazdy macierzystej, czterdzieści cztery i pół roku.

Rozdział 8

W Parku Centralnym

Kiedy tak słuchałem, gadałem, robiłem coś i byłem w tych wszystkich miejscach, zaangażowany w różne rzeczy — wysłuchanie historii Audee’ego, narzekanie na generała Cassatę, wędrowanie, imprezowanie — między Klarą a mną rozegrało się coś takiego:

Podszedłem do Gelle-Klary Moynlin z szerokim, zachwyconym uśmiechem na twarzy (mojego dublera).

— Cześć, Klaro — powiedziałem.

Podniosła wzrok z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Robin! Jak miło cię znów widzieć! — Uwolniła się od dwóch facetów, z którymi tam przyszła i podeszła do mnie. Gdy się zbliżyła, by mnie pocałować, musiałem się cofnąć. To są właśnie minusy bycia zapisaną maszynowo osobowością, która próbuje wykonywać czułe gesty pod adresem cielesnej osoby, a bezcielesność jest właśnie jednym z nich. Można ich kochać. Ale pocałować nie można.

— Przykro mi — odezwałem się i w tej samej chwili Klara przybrała skruszony wyraz twarzy i rzekła:

— Och, diabli, zapomniałam. Nie możemy tego zrobić, prawda? Ale wyglądasz naprawdę świetnie, Robinie.

— Wyglądam tak, jak tylko zechcę — odparłem. — Nie żyję, no wiesz.

Odpowiedzenie takim samym krzywym uśmieszkiem, jaki zaprezentowałem, zajęło jej prawie minutę, ale udało się.

— Zatem masz dobry gust. Mam nadzieję, że będę sobie radzić równie dobrze, kiedy i mnie zapuszczają. — Za Klarą pojawił się Dane Miecznikow.

— Cześć, Robin — powiedział. Wyrzekł te słowa w sposób neutralny. Nie był zachwycony moim widokiem, nie był też zły. Patrzył na mnie mniej więcej tak, jak zawsze Dane Miecznikow patrzył na wszystko i wszystkich — niespecjalnie zainteresowany, albo zainteresowany tylko do stopnia, w jakim ten ktoś czy coś mogło pomóc albo przeszkodzić w jego planach.

— Przykro mi, że nie możemy uścisnąć sobie rąk — odparłem. „Przykro mi” stało się chyba moim ulubionym wyrażeniem, więc użyłem go ponownie. — Przykro mi też, że utknąłeś w czarnej dziurze. Cieszę się, że się wydostałeś. — Zaś Miecznikow, żeby wszystko było jasne — bo był facetem, który lubi, stawiać sprawę jasno — odparł:

— Nie wydostałem się. To Klara przyleciała po nas.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie o tym, co powiedział mi Albert — że Miecznikow zwrócił się do prawnika.

Musicie pamiętać, że tak naprawdę żadnej z tych rzeczy nie wypowiedziałem osobiście, ale zrobił to mój dubler.

Kiedy przemawia się za pośrednictwem dublera, można to robić na dwa sposoby. Jeden z nich polega na uruchomieniu dublera i pozwoleniu mu na kontynuowanie rozmowy samodzielnie — robi to równie dobrze jak ty sam. Drugi sposób jest przydatny wtedy, gdy jesteś nerwowy i niecierpliwy i wolisz sam wysłuchać wszystkiego co się dzieje, gdy tylko się zdarzy. Ja korzystałem z tego drugiego sposobu — wtedy sam podrzucasz kwestie dublerowi. Oznacza to, że podrzucam mu wypowiedzi w ułamku milisekundy, a dubler wypowiada je z prędkością odpowiednią dla osób cielesnych. Łapiecie, o co chodzi? Przypomina to trochę wspólne śpiewanie, kiedy to większość obecnych nie zna słów i trzeba im podrzucać teksty:

Panie Janie

PANIE JANIE

Rano wstań

RANO WSTAŃ

Wszystkie dzwony biją

WSZYSTKIE DZWONY BIJ!

Bim, bam, bom

BIM BAM BOM.

I tak dalej, tylko że ja nie przewodziłem uchlanemu towarzystwu zebranemu wokół pianina, tylko podawałem wypowiedzi dublerowi.

Między poszczególnymi zdaniami miałem mnóstwo czasu na zastanawianie się i obserwowanie.

Przeważnie obserwowałem Klarę, ale poświęcałem część uwagi dwóm facetom, którzy z nią byli.

Choć poruszali się wolniej niż ślimaki, zauważyłem, że Miecznikow wyciąga rękę do uścisku. Był to dobry znak sam w sobie. Już zacząłem go interpretować w taki sposób, że nie będzie wszczynął procesu o to, że porzuciłem go, razem z Klarą i pozostałymi, w tej czarnej dziurze... gdyby nie fakt, że kontaktuje się z prawnikami.

Drugiego faceta, stojącego przy Klarze, nie znałem. Kiedy mu się przyjrzałem, nie spodobał mi się. Drań był przystojny. Wysoki. Opalony, uśmiechnięty, bez śladu brzucha, dalej trzymał rękę na ramieniu Klary w poufały sposób, nawet kiedy ze mną rozmawiała.

Wytłumaczyłem sobie, że to nie jest ważne. Klara trzymała się też za rękę z Dane'em Miecznikowem i co z tego? Byli od dawna przyjaciółmi — raz nawet trochę więcej niż przyjaciółmi. To było zupełnie naturalne. A ten drugi facet trzymający rękę na jej ramieniu? Cóż, to nie musiało nic oznaczać, naprawdę. To tylko taki przyjazny gest. Mógł być jej krewnym, czy nawet, bo ja wiem, psychoanalitykiem, który miał jej pomóc przezwyciężyć szok spowodowany moim widokiem.

Spojrzenie na twarz Klary nie wyjaśniło żadnego z tych problemów, choć patrzenie na nią sprawiało mi przyjemność i przypominało, jak patrzyłem na nią, gdy byłem zakochany.

Nie zmieniła się. Wyglądała nadal dokładnie tak samo, jak moja wieczna i najgoręcej kochana Jedyna (a przynajmniej jedna z niezbyt wielu) Prawdziwa Miłość. Obecna Gelle-Klara Moynlin była nieodróżnialna od Klary, którą zostawiłem w kosmosie w pobliżu kugelblitzu, zaraz potem, jak umarłem — która z kolei ani o jotę się nie różniła od tej, którą porzuciłem w czarnej dziurze dziesiątki lat wcześniej.

Wyjaśnieniem jej wyglądu nie był tylko Pełny Serwis Medyczny. Doskonałym przykładem możliwości Pełnego Serwisu Medycznego była cielesna Essie. Wyglądała naprawdę młodo i zachwycająco. Choć jednak lekarze potrafią robić wspaniałe rzeczy z ciałem, zegara nie da się tak całkiem zatrzymać. Za każdym razem odrobinę się go cofa. A większość ludzi przy okazji naprawy chce też trochę poprawić to i owo — lepszy kształt nosa czy naturalna (naturalna!) fala we włosach — nawet Essie trochę z tego korzystała.

Ale Klara — nie. Czarne brwi były dalej odrobinę za gęste, figura bardziej solidna (o ile pamiętałem) niżby sobie tego życzyła. Nie odmładzała się. Pozostała młoda i był tylko jeden sposób, w jaki mogła to osiągnąć.

Wróciła do czarnej dziury. Na własne życzenie wróciła do miejsca, w którym ją zostawiłem, gdzie czas płynie jak żółw, a wszystkie dziesięciolecia, jakie dla mnie upłynęły, dla niej były jedynie tygodniami czy miesiącami.

Nie mogłem spuścić z niej oczu. Choć minął już niezły kawałek stulecia od czasu, gdy Klara i ja byliśmy kochankami, nie miałem żadnych problemów z dostrzeganiem — choć tylko w pamięci; nie robiłem nic niekulturalnego — powierzchni jej skóry, dołeczków przy dolnej części kręgosłupa, jej dotyku i smaku. To było zabawne uczucie. Nie pożądałem jej ciała. Nie miałem ochoty zedrzyć z niej ubrania i kochać się z nią tu i teraz, na trawie Parku Centralnego, pod kwitnącym drzewem wiśniowym, na oczach Miecznikowa i tego drugiego, przystojnego, szczupłego faceta. To nie było to. Tak naprawdę w ogóle nie chciałem się z nią

kochać, przynajmniej nie w sensie pilnym i materialnym. I to nie tylko dlatego, że było to (rzecz jasna) niemożliwe. Brak możliwości niewiele znaczy, jak się jest napalonym.

Problem polegał na tym, że bez względu na to, co chciałem bądź czego nie chciałem robić z Klarą, na pewno nie chciałem, żeby robił to z nią Dane Miecznikow albo ten drugi facet.

Wiem, co to jest. To się nazywa „zazdrość” i muszę przyznać, że w swoim czasie miałem jej pod dostatkiem.

Dane Miecznikow zdołał wyartykułować całe zdanie:

— Jak dla mnie, to wyglądasz zupełnie inaczej — powiedział.

On się nie uśmiechał. To nie znaczyło wiele, bo nawet za dawnych dobrych czasów na Gateway Miecznikow nigdy nie był typem faceta, który lubi się uśmiechać. Pewnie, jak dla niego wyglądałem zupełnie inaczej, bo nie widział mnie znacznie dłużej niż Klara — od czasów Gateway właśnie.

Zauważyłem, że to dobry moment na poruszenie kwestii prawników, zrobiłem więc to, co zawsze robię, kiedy potrzebna mi szybka porada i informacja. Krzyknąłem:

— Albert!

Oczywiście, nie wykrzyczałem tego „głośno” — to znaczy tak, by mogła to usłyszeć Klara czy tych dwóch facetów. Kiedy Albert pojawił się przede mną, nie był dla nich bardziej widoczny niż prawdziwy, nie zdublowany ja.

I to było pozytywne. Albert był oczywiście w rozrywkowym nastroju.

Dał niezły popis. Miał na sobie jeden z tych lepkich od brudu, zniszczonych swetrów, tyle że owinał go sobie wokół głowy jak turban. Bawił się też swoimi parametrami fizycznymi. Jego oczy wyglądały na węższe i chyba podmalował je kredką. Twarz miał ciemniejszą. Włosy smoliście czarne.

— Słucham i jestem posłuszny, panie — zanucił w pełnym szacunku zaśpiewie. — Czemuż wywołałeś swego dzina z jego przyjemnej, ciepłej butli?

Mając wierny program do wyszukiwania danych, taki jak Albert Einstein, nie potrzebujecie dworskiego błazna.

— Komediant — rzuciłem. — Chyba wezwę Essie, żeby cię przeprogramowała, jeśli się nie poprawisz. Po co ta cała maskarada?

— O, panie — rzekł, pochylając głowę — twój pokorny posłaniec obawia się twego gniewu, gdyż przynosi złe wieści.

— Szlag by to — odparłem. Ale muszę przyznać, że mnie rozbawił, a był to jeden ze sposobów złagodzenia złych wieści.

— Dobrze — rzekłem, kiwając głową na znak, że już wiem, jakie będą te złe wieści. — Opowiedz mi o Miecznikowie. Poleciał z misją do czarnej dziury, a potem wrócił. Domyślam się, że oznacza to, iż ma prawo do udziału w premii naukowej, jaką dostałem za tę misję, tak?

Albert spojrział na mnie z zaciekawieniem. Potem powiedział, ściągnając sweter z głowy.

— Zgadza się, Robinie. I to nie tylko on. Kiedy Klara wróciła do czarnej dziury z Harbinem Eskladarem...

— Czekał, czekał! Z kim?

— To Harbin Eskladar — oświadczył, wskazując na drugiego faceta. — Mówiłeś, że już o nim wiesz.

— Albercie — westchnąłem, zonglując w mojej głowie hipotezami i nieporozumieniami tak, by wpasowały się w nowy wzorzec — teraz już powinieneś się zorientować, że kiedy ci mówię, że coś wiem, to kłamię.

Spojrział na mnie z powagą.

— Tego się obawiałem — oświadczył. — Myślę, że to zła nowina.

Zamilkł na chwilę, jakby nie mógł się zdecydować, co chce dalej powiedzieć, więc mu podpowiedziałem:

— Mówiłeś, że ci dwoje polecili do tej czarnej dziury, gdzie zostawiłem całe towarzystwo.

Potrząsnął głową.

— Och, Robinie — westchnął, ale na szczęście nie zaczął mi znów opowiadać o moim poczuciu winy. Powiedział tylko: — Tak, zgadza, się. On i Klara polecili tam wspólnie, żeby uratować pozostałych i wyciągnęli całą załogę: obu Dannych, Susie Hereirę, dziewczyny ze Sierra Leone...

— Wiem, kto brał udział w tej misji — przerwałem mu. — Mój Boże! Oni wszyscy wrócili!

— Tak, wrócili, Robinie — skinął głową. — I oni wszyscy są w pewnym sensie uprawnieni do pełnych udziałów. W tej właśnie sprawie Dane Miecznikow rozmawiał z prawnikiem. A teraz — rzekł z namysłem, sięgając do kieszeni i wyciągając fajkę — kolor jego cery dyskretnie zmienił się na normalny, włosy były znów siwe i rozczochrane — mamy tu do czynienia z pewnymi niezwykle problemami etycznymi i prawnymi. Jak pamiętasz z poprzedniego procesu, istnieje zasada, którą prawnicy określają jako „cielę idzie za krową”, co oznacza, że całe twoje nagromadzone później bogactwo uważa się w pewnym sensie za skutek tej pierwotnej premii naukowej otrzymanej za tę misję. W której, rzecz jasna, wszyscy mieliby udział, gdyby wrócili razem z tobą.

— Więc muszę odpalić im trochę forsy?

— „Muszę” to może trochę za mocno powiedziane, ale ogólna idea jest właśnie taka, Robinie. Podobnie, jak postąpiłeś z Klarą, kiedy po raz pierwszy się pojawiła; zaproponowaliśmy jej sto milionów dolarów za wycofanie pozwu. Ponieważ wiedziałem, że ten problem się pojawi, pozwoliłem sobie polecić twojemu programowi prawniczemu, by skontaktował się z panem Miecznikowem. Ta liczba wydaje mu się do przyjęcia. Prawdopodobnie będziemy musieli zaproponować kwotę o podobnym rzędzie wielkości każdemu z nich. Oczywiście, mogą zażądać

więcej. Nie wydaje mi się jednak, by tyle otrzymali; są oczywiście pewne ograniczenia.

— Och — rzekłem z ulgą. Nigdy nie miałem naprawdę pojęcia, jak bardzo jestem „bogaty” z moimi paroma dziesiątkami miliardów dolarów, ale miliard w jedną czy w drugą nie miał żadnego znaczenia. — Myślałem, że naprawdę masz dla mnie jakieś złe wieści.

Zapalił fajkę.

— Złych wieści jeszcze ci nie przekazałem, Robinie.

Spojrzałem na niego. Pykał fajkę i patrzył, gapiąc się na mnie przez chmurę dymu.

— No to przekaz je, u licha!

— Ten drugi facet, Harbin Eskladar... — zaczął.

— No co z nim, do cholery?

— Klara poznała go, kiedy zostawiła nas na pokładzie „Prawdziwej Miłości”. On też był pilotem. Oboje zdecydowali się polecieć do czarnej dziury, więc Klara wynajęła statek Juana Henriquette Santosa-Schmitza, który był zdolny do wykonania tej misji. A zanim odlecieli — no dobrze — widzisz Robinie, Klara i Eskladar pobrali się.

Są takie niespodzianki, że kiedy tylko o nich usłyszysz, wiesz, że instynktownie powinieneś być się na nie przygotować. Tymczasem ta pojawiła się znikąd.

— Dzięki, Albercie — rzekłem głucho, odprawiając go. Wzdychał, kiedy odchodził, ale znikł.

Nie miałem dalej ochoty rozmawiać z Klarą. Wydałem mojemu dublerowi polecenia w kwestii tego, co ma powiedzieć Klarze, co Miecznikowowi, a nawet temu Harbinowi Eskladarowi. Wycofałem się do gigabitowej przestrzeni i owinałem ją wokół siebie.

Wiem, że zdaniem Alberta spędzam za dużo czasu sam na sam z własnymi myślami. Nie zaprzeczyłbym niczemu, co mówi. Co nie znaczy, że się z nim zgadzam. Bo tak nie jest. Nie jestem wcale sprytniejszy niż mu się wydaje, ale nie jestem też aż tak zdziwaczały. Jestem, zasadniczo rzecz biorąc, człowiekiem. Może w rzeczywistości jestem zaledwie cyfrową transkrypcją istoty ludzkiej, ale podczas transkrybowania zostały zapisane także wszystkie ludzkie elementy i nadal czuję wszystkie rzeczy, które wiążą się z byciem człowiekiem. I te dobre, i złe.

Robię, co mogę — przeważnie — i to wszystko, co mogę zrobić.

Wiem, co jest ważne. Rozumiem równie dobrze jak Albert, że Wróg jest czymś przerażającym. Gdybym sypiał, miałbym koszmary nocne, w których cały wszechświat spada nam na głowy. Zauważyłem u siebie o wiele więcej ataków nerwowości i depresji, kiedy myślałem o tym, jak całe to towarzystwo siedzi sobie w kugelblitzu, gotowe wyjść stamtąd w każdej chwili i zrobić nam to samo, co już uczynili Przymulonym, istotom z kosmicznej wiązki siana i tym pogrzebanym pod lodem.

Są jednak rzeczy ważne i ważne. Jestem nadal istotą ludzką w wystarczającym stopniu, by uważać stosunki międzyludzkie za ważne. Nawet jeśli mówi się o nich w czasie przeszłym i nawet jeśli nie zostało po nich nic, poza potrzebą upewnienia się, że nikt już nie żywi żadnych nieprzyjaznych uczuć.

Kiedy Albert już odszedł tam, gdzie zwykle odchodzi, gdy już nie korzystam z jego usług, przez dłuższą chwilę unosiłem się w gigabitowej przestrzeni, nic nie robiąc. Przez długą chwilę. Wystarczająco długą, by usłyszeć, kiedy znów zobaczyłem scenę w Parku Centralnym, jak Klara dotarła do:

— Robin, przedstawiam ci mojego...

To było zabawne. Nie chciałem usłyszeć słowa „męża”. Więc uciekłem od nich.

To, co przed chwilą powiedziałem, nie jest tak całkiem prawdziwe. Nie uciekłem od nich. Uciekłem do kogoś, a tym kimś była Essie. Balowała na parkiecie w Błękitnym Piekieleku tańcząc szaloną polkę z jakimś brodatym gościem, a kiedy się wtrąciłem, zaśpiewała radośnie:

— Och, jak dobrze cię widzieć, Robinie! Słyszałeś wieści? Uchylono embargo!

— To dobrze — odparłem, potykając się o własne nogi.

Przyjrzała się mojej twarzy, westchnęła i sprowadziła mnie z parkietu.

— Coś poszło nie tak z Gelle-Klarą Moynlin — odgadła.

Wzruszyłem ramionami.

— Nadal idzie. Zostawiłem tam dublera. — Pozwoliłem jej posadzić się w fotelu i usiąść naprzeciwko mnie, z łokciami na stole, z podbródkiem opartym na dłoniach; patrzyła na mnie z ogromną troską.

— Ach — rzekła, kiwając głową, kiedy już zakończyła diagnozę. — Znowu te głupoty. Niepokój egzystencjalny. Wyobcowanie. Wszystkie te miłe rzeczy, nie? A przede wszystkim Gelle-Klara Moynlin?

Rzekłem rozsądnie:

— Nie przede wszystkim, bo zajęłoby mi wieki opowiedzenie ci o wszystkich rzeczach, które mnie martwią, ale owszem, to jedna z nich. Ona jest mężatką, wiesz.

— Hm — nie dodała „A ty żonaty”, więc musiałem zrobić to sam.

— To nie chodzi o to, że ona jest zamężna, bo ja jestem żonaty, rzecz jasna — i naprawdę nie chciałbym, żeby było inaczej, Essie...

Spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem.

— Och, Robin! Nigdy bym nie pomyślała, że słuchanie o tym może być nudne, ale ty mi to tak często mówisz!

— Mówię tak, bo to prawda — zaprotestowałem, gdyż poczułem, że moje uczucia zostały zranione.

— Już wiem, że to prawda.

— Cóż, no pewnie, że wiesz — przyznałem. Nie wiedziałem, co dalej powiedzieć. Odkryłem, że trzymam w dłoni drinka, więc pociągnąłem łyk.

Essie westchnęła.

— Ależ ty potrafisz komuś zepsuć imprezę, Robin. Tak się świetnie bawiłam, jak ciebie tu nie było.

— Przykro mi, Essie, ale jakoś nie mam ochoty na balangowanie.

— A teraz jeszcze durniejsza historia — rzekła z miną męczennicy. — Wy-rzuć z siebie, co ci siedzi w tym biednym, udręczonym umyśle. Co jest z tego wszystkiego najgorsze?

— Wszystko — odpowiedziałem natychmiast. Ponieważ jednak jej spojrzenie mówiło mi, że nie wyjaśniłem tego wystarczająco jasno, dodałem: — Jedna paskudna rzecz za drugą, nie?

— Ach — odparła i pomyślała przez chwilę. Potem westchnęła. — Ależ ty jesteś ponurym stworzeniem, Robinie. Może chcesz porozmawiać z Sigfridem von Psychem?

— Nie!

— Ach — powtórzyła i myślała dalej. Po czym odezwała się: — Wiesz co ci powiem, mój ty kochany ponuraku? Może pójdziemy sobie z tej imprezy i obejrzymy parę starych filmów, dobrze?

Tego się po niej nie spodziewałem.

— Jakich filmów? — dopytywałem się zaskoczony. Ale nie odpowiedziała. Nie czekała też na moją zgodę. Zaczęła je wyświetlać.

Dźwięki Wrzeciona i odgłosy balangujących poszukiwaczy z Gateway uci-chły. Byliśmy już w zupełnie innym miejscu i parzyliśmy na ławkę, na której siedziało dziecko.

To oczywiście nie były prawdziwe filmy, nie bardziej, niż cokolwiek w giga-bitowej przestrzeni jest „prawdziwe”. To były po prostu symulacje komputerowe. Jak wszystko, co każde z nas może sobie wyobrazić, były zadziwiająco „prawdziwe” pod każdym względem — obraz, dźwięk, zapach, nawet szczypanie chłodnego powietrza i zatykające wrażenie zanieczyszczonego powietrza w naszych (nieistniejących) płucach.

Wszystko to było mi dobrze znane. Patrzyliśmy na mnie — na dziecko, którym byłem wiele, wiele dziesiątków lat temu.

Poczułem, że drzę — nie z powodu temperatury powietrza. Mały Robinette Broadhead siedział na parkowej ławce, kuląc się z zimna. A przynajmniej nazy-waliśmy to miejsce parkiem. Dość kiepska wymówka. Gdyby wszystko było inne, mogłoby to wyglądać całkiem nieźle, gdyż za mną dzieckiem rozpościerały się wzgórza Wyoming. Nie były za piękne. W ciemnym powietrzu unosiły się szare pasma smogu. Prawie dało się dostrzec wirujące w nim cząsteczki węglowodo-rów, a gałęzie wszystkich chuderlawych drzewek były pokryte sadzą i brudem. Ja — to dziecko, które było mną — byłem ubrany odpowiednio do pogody, która nie

była specjalnie przyjazna. Miałem na sobie trzy swetry, szalik, rękawiczki i robioną na drutach czapkę, naciągniętą na uszy. Z nosa mi ciekło. Czytałem książkę. Ile miałem lat? Och, może z dziesięć; kaszlałem przy czytaniu.

— Pamiętasz, kochany Robinie? Czy to były dla ciebie dobre czasy? — spytała Essie, ukryta gdzieś za mną.

— Dobre stare czasy — prychnąłem. — Znowu szperałaś w moich wspomnieniach — rzuciłem oskarżycielsko, choć bez prawdziwej złości, bo rzecz jasna oboje zaglądaliśmy do swoich wspomnień często i gruntownie jeszcze wcześniej.

— Ale popatrz tylko, Robin, kochanie — rzekła. — Patrz, jak to wszystko wyglądało.

Nie musiała mi tego nakazać. Nie mogłem się powstrzymać. Nie miałem też żadnego problemu z rozpoznaniem tej sceny. To były kopalnie pożywienia, gdzie spędziłem dzieciństwo; kopalnie iltu w Wyoming, gdzie wydobywano skałę i podgrzewano ją, by uzyskać kerogen, następnie ropą karmiono drożdże i bakterie, zaś białko pochodzące z jednokomórkowców karmiło większość zbyt licznej i głodnej ludzkości. W tych miasteczkach górniczych człowiek nie był w stanie pozbyć się zapachu ropy dopóki tam żył, a żył zwykle niezbyt długo.

— Tak czy inaczej — dodałem — nigdy nie mówiłem, że te dawne czasy były coś warte.

— Świetnie, Robinie! — wykrzyknęła Essie z triumfem. — Dobre dawne czasy były zasadniczo kiepskie. Znacznie gorsze niż teraz, prawda? Teraz żadne dziecko nie musi dorastać wdychając obrzydliwe, przesycone węglowodorami powietrze albo umierać, bo nie może sobie pozwolić na właściwą opiekę medyczną.

— Och, na pewno, to prawda — odparłem — ale mimo to. . .

— Poczekaj z kłótnią, Robinie. Jest więcej do zobaczenia. Jaka książkę tam czytasz? To chyba nie są „Przygody Hucka” ani „Mała Syrenka”?

Przyjrzałem się bliżej, posłuszny Essie i nagle doznałem szoku odczytując tytuł.

Miała rację. To nie była książka dla dzieci. To był „Przewodnik użytkownika po programach ubezpieczeń medycznych” i dokładnie pamiętałem, jak podwędziłem matce egzemplarz z domu, kiedy nie patrzyła, więc mogłem choć spróbować zrozumieć, jaka katastrofa nas czeka.

— Moja matka była chora — jęknąłem. — Nie mieliśmy wystarczająco pieniędzy, żeby wykupić ubezpieczenie dla nas obojga, a ona. . . ona. . .

— Odłożyła własną operację, żebyś mógł poddać się terapii, Robinie — rzekła łagodnie Essie. — Tak, ale to było później. Jeszcze nie teraz. Teraz tylko potrzebne ci lepsze jedzenie i odżywki, a na to nie mogliście sobie pozwolić.

Zauważyłem, że sprawia mi to ból.

— Popatrz na moje krzywe zęby — rzekłem.

— I na ortodontę też nie było pieniędzy, Robinie. Kiepskie czasy na dzieciństwo, prawda?

— Więc bawisz się w Ducha Zeszłorocznych Świąt — warknąłem, próbując zmniejszyć napięcie wprawiając ją w zakłopotanie aluzją, której nie rozumiała.

Mając jednak do dyspozycji zasoby gigabitowej przestrzeni, można wiele zrozumieć.

— Nie, ale z ciebie żaden Scrooge — odparła. — Zastanów się jednak. W tych czasach, nie tak znów bardzo odległych, cała Ziemia była przeludniona. Panował głód. Walka i niezadowolenie. Terrorysty, Robinie. Pamiętasz przemoc i bezsensowne morderstwa?

— Wszystko to pamiętam.

— Oczywiście. I cóż się stało, Robinie? Powiem ci. Ty się stałaś. Ty i setki szalonych, zdesperowanych poszukiwaczy z Gateway, latających na statkach Heechów. Odkryliście technologię Heechów i sprowadziliście ją na Ziemię. Znaleźliście nowe planety, na których da się żyć — to jak odkrycie Ameryki, tylko tysiąc razy większe — i znaleźliście sposoby, żeby przetransportować tam ludzi. Na Ziemi nie ma już przeludnionych miejsc, Robinie. Ludzie udali się w nowe miejsca, zbudowali lepsze miasta. I nawet nie poczynili dalszych szkód na Ziemi, żeby tego dokonać! Powietrza nie zanieczyszczają wyloty silników spalinowych ani gazy rakiet — korzystamy z pętli, żeby dostać się na orbitę, a stamtąd wszędzie indziej! Nikt nie jest tak biedny, że nie może sobie pozwolić na leczenie, Robinie. Nawet na przeszczepy organów — a organy robimy z materiału CHON, więc nie trzeba czekać, aż ktoś umrze, żeby pozbawić go używanych organów. Zgadza się, Robinie? Fabryka Pożywienia Heechów wytwarza teraz organy; to są wszystko odkrycia, w których odegrałaś znaczną rolę. Przedłużyliśmy życie cielesnych istot, zawsze w dobrym zdrowiu, o całe dziesięciolecia; a następnie dokonuje się transferu osobowości takich, jak my, żebyśmy żyli znacznie dłużej — i znów to odkrycie częściowo finansowałeś, a ja częściowo pomogłam je opracować, więc nawet śmierć nie jest już kresem wszystkiego. Nie widzisz żadnych postępów? Nie dlatego, że postępów nie ma! Czy dlatego, że stary ponurak Robynette Broadhead gapi się na wspaniałą ucztę, jaką każdy żyjący człowiek ma teraz na talerzu i myśli jedynie o tym, że to wszystko zmieni się w gówno?

— Ale — zaprotestowałem uparcie — nadal istnieje Wróg.

Essie zaśmiała się. Chyba rzeczywiście uznała to za zabawne. Obraz znikł. Byliśmy znów we Wrzecionie, a ona pochylała się, by pocałować mnie w policzek.

— Wróg? — rzekła radośnie. — Och tak, drogi Robinie. Wróg to kolejne chrzaniące wyzwanie. Ale poradzimy sobie z tym. Jak zawsze. Jeden pieprzony problem po drugim. A teraz wracamy do ważniejszych spraw, którymi zajmowaliśmy się wcześniej: tańczymy!

To cudowna kobieta, ta moja Essie. Prawdziwa czy nie.

Przeważnie ma też rację, na każdy sposób, w jakim można logicznie argumentować, więc poddałem się logice. Nie mogę powiedzieć, że naprawdę czułem się rozradowany, ale ta nowokaina przynajmniej stłumiła ból — jeśli to był prawdziwy ból — na tyle, że mogłem dalej dobrze się bawić. Tak też zrobiłem. Tańczyłem. Balowałem. Przeskakiwałem od jednego skupiska starych, zapisanych maszynowo przyjaciół do drugiego, a potem dołączyłem do Essie i pół tuzina innych w Błękitnym Piekiełku. Parę osób tańczyło wolny taniec do muzyki, którą tylko oni słyszeli — jednym z nich był Julio Cassata, przemierzając się po parkiecie jak zombie, z piękną orientalną dziewczyną w ramionach. Tancerzom najwyraźniej nie przeszkadzało, kiedy zaczęliśmy śpiewać stare piosenki. Śpiewałem razem z innymi, nawet wtedy, gdy przeszli na stare rosyjskie ballady o trolejbusach i drodze do Smoleńska — nie miało znaczenia, że nie znałem słów, bo żyjąc w gigabitowej przestrzeni wiesz wszystko, czego tylko zapragniesz.

Poczułem, jak Albert szturcha mnie w ramię, kiedy stałem oparty o stary fortepian i podniosłem wzrok na jego uśmiechniętą twarz.

— Masz bardzo dobry głos, Robinie — pochwalił mnie — i całkiem dobrze sobie radzisz z rosyjskim.

— Przyłącz się do nas — zaprosiłem go.

— Dzięki, nie — odparł. — Robinie? Coś się stało. Wszystkie główne obwody nadawcze zamilkły jakieś tysiąc pięćset milisekund temu.

— Co? — chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, o czym on mówi. Następnie przełknąłem ślinę i powiedziałem:

— Och! Ale nic takiego się dotąd nie stało!

— Owszem, Robinie. Przyszedłem tu, bo myślałem, że generał Cassata może coś o tym wiedzieć. — Podniósł wzrok i spojrzał tam, gdzie Cassata i jego dama bez celu przemierzali parkiet.

— Spytamy go?

Albert zmarszczył czoło w namyśle, ale zanim zdołał odpowiedzieć, Essie porzuciła śpiewanie i podeszła do nas.

— Co się dzieje? — spytała ostro, a kiedy Albert jej powiedział, odparła zszokowana: — Ale żadna awaria nie jest możliwa! To zbyt wiele niezależnych obwodów, wszystkie wielokrotnie zdublowane!

— Nie wydaje mi się, żeby to była awaria, pani Broadhead — rzekł Albert.

— W takim razie, co? — naciskałem. — Znowu jakaś bzdura wymyślona przez WOA?

— To na pewno rozkaz WOA, to pewne, ale rozkaz musiało spowodować coś, co stało się na Ziemi. Nie mam pojęcia, co to mogłoby być.

Rozdział 9

Na wyspie Moorea

Pasażerami lotu transportującego uchodźców z Kręgu Obserwacyjnego były prawie wyłącznie dzieci, więc podróż minęła im na szlochaniu. Trochę się rozchmurzyły, gdy statek wszedł na orbitę Ziemi, ale tylko trochę. Wahadłowce pętli wyroiły się wokół statku transportowego i przyssały się do niego jak warchlaki do maciory.

Dzieci miały pecha — pierwszy statek, jaki do nich dotarł, pochodził z WOA. Analitycy dokonali „odprawy”, uparcie zadając w kółko te same pytania, w nadziei uzyskania jakichś nowych danych, które mogą być przydatne w określeniu, w jakim stopniu fałszywy był ten „fałszywy alarm”.

Oczywiście, żadne z dzieci nie miało im nic do przekazania. Minęło sporo czasu, zanim agenci WOA przekonali się o tym ostatecznie i pozwolili, choć niechętnie, wkroczyć ludziom i programom odpowiedzialnym za opiekę nad dziećmi.

Nowa zmiana miała zadanie znaleźć dzieciom miejsca pobytu na Ziemi. W przypadku niektórych z nich było to łatwe, gdyż miały na dole rodziny. Pozostałe zostały rozesłane po szkołach na całej planecie.

Apsik, Harold i Oniko byli ostatnimi, dla których znaleziono miejsca. Trójka przyjaciół trzymała się razem nie tylko dlatego, że była ze sobą zaprzyjaźniona, lecz bardziej z tego powodu, że żadne z nich nie mówiło po francusku ani rosyjsku, co wykluczało szkoły w Paryżu i Leningradzie, a poza tym żadne z nich nie było jeszcze gotowe na zetknięcie się z zamętem wielkiego miasta. To wykluczało Sydney, Nowy Jork i Chicago, a kiedy program kwaterujący znalazł już miejsca dla wszystkich innych dzieci, zostało właśnie ich troje.

— Chciałabym znaleźć się w jakimś ciepłym miejscu, niedaleko Japonii — rzekła Oniko. Apsik, który porzucił już nadzieję na znalezienie się w jakiejś kolonii Heechów, dodał swoją opinię do tego życzenia.

Program kwaterujący był kobietą, wyglądającą jak typowa nauczycielka, w średnim wieku, o jasnych oczach i miłym głosie. Choć miała ludzki kształt, Apsik czuł, jak emanuje z niej dobroć. Spojrzała na swój ekran — który nie był

bardziej rzeczywisty niż ona sama, zadumała się przez chwilę nad tym, co tam zobaczyła, po czym uśmiechnęła się z zadowoleniem w stronę Apsika.

— Znalazłam trzy wolne miejsca na Moorea, Sternutatorze. To bardzo blisko Tahiti.

— Dziękuję pani — odparł Apsik, przyglądając się z dezorientacją wyświetlonej przez nią mapie. Nazwa wyspy nic dla niego nie znaczyła. Każda nazwa brzmiała dla niego podobnie, gdyż wszystkie były w równym stopniu całkowicie egzotyczne dla chłopca z rasy Heechów. Ale Harold, który niechętnie pogodził się z myślą, że nie zostanie od razu zabrany na planetę Peggy, wrzasnął zza jego pleców:

— O rany! Jadę tam z tobą, dobrze? A jeśli będzie ładna, może ją kupisz, tak jak mówiłaś, Oniko!

Wahadłowiec uniósł ich poprzez rozedrgane powietrze w okolice pętli na Nowej Gwinei. Wtedy nastąpiła najdłuższa część podróży, przelot odrzutowcem stratosferycznym do Portu Lotniczego Faa-Faa-Faa w Papeete. W ramach specjalnej uroczystości dla nowo przybyłych, będąca człowiekiem dyrektorka szkoły odebrała dzieci i zabrała je łodzią na sąsiednią wyspę.

— Patrzcie tylko — rzekła, trzymając Oniko za rękę, gdy dzieci przywarły do foteli zasilanej napędem inercyjnym łodzi wielorybniczej. — Dookoła tego punktu, w środku laguny, stoją białe budynki na plaży. Z kępą kolokazji z jednej strony i plantacją papai z drugiej. To wasza szkoła.

Nie wspomniała o pozostałych, bardziej ponurych budynkach z drugiej strony góry. Harold był zbyt zajęty wymiotowaniem przez burtę łodzi, żeby o to zapytać, Apsik — pogrążony w pozbawionej łez tęsknocie za rodzinnym jądrem Galaktyki, zaś Oniko zbyt przygnieciona potężną grawitacją Ziemi, by zwracać na cokolwiek uwagę.

Wszystko sprawiało jej ból, a może nawet było groźne dla jej zdrowia. Czuła się miażdżona. Na Ziemi jej smukłe ciało nie ważyło mniej niż trzydzieści kilogramów, ale to było o jakieś dwadzieścia więcej, niż jej nie przyzwyczajone kości i mięśnie kiedykolwiek musiały udźwignąć.

Wszyscy dziecięcy uciekinierzy musieli przygotować się do ziemskiej grawitacji po spędzeniu tak długiego czasu na Kręgu Obserwacyjnym. Przez cały długi lot na Ziemię zmuszano ich do picia napojów zawierających duże ilości wapnia, jak mleko, gorąca czekolada, i najdziwniejsza z tego wszystkiego „zupa serowa”; musieli także ćwiczyć trzy godziny dziennie w obracających się karuzelach i innych diabelskich maszynach. Dla większości dzieci był to jedynie rozsądny środek ostrożności. Dla Oniko, jedyna alternatywa dla pękających kości. Programy medyczne miały dla niej specjalne harmonogramy i musiała spędzać nie kończące się godziny na stole, podczas których mruczący sonar przekonywał jej kości, żeby rosły szybciej, a impulsy elektryczne zmuszały do skrętów i podskoków wszystkie mięśnie. Gdy zbliżyli się do orbity ziemskiej, lekarze zapewnili ją, że

jej kościec nabrał dość wapnia. Powinna być bezpieczna jeśli chodzi o złamania, mówili, jednak musi zachować rozsądną ostrożność, korzystać z chodzika i nie zeskakiwać z żadnej wysokości. Niestety, choć jej kości znacznie się wzmocniły, to mięśnie nadal miała za słabe. Każdy krok ją męczył. Za każdym razem gdy wstawała, odczuwała ból. Największą przyjemność podczas pierwszych dni w Szkole Podstawowej Zachodniej Polinezji sprawiła jej laguna.

Woda wywoływała u niej zarówno radość, jak i strach, co do tego nie ma wątpliwości. Pod tymi ślicznymi zielonymi falami były żywe stworzenia! Przyjęła jednak zapewnienie szkolbota, że żadne z nich nie zrobi jej krzywdy, a kiedy zanurzyła się w ciepłej, słonej lagunie, prawie przestała odczuwać jakąkolwiek wagę. Pływała w morzu, korzystając z każdej okazji. Rano przed lekcjami, w czasie przerwy, nawet po zmroku, kiedy (też cudowny, choć przerażający) księżyc oświetlał dla niej drobniutkie fale.

Dla Apsika morze nie było ani specjalnie ekscytujące ani zabawne. Morza miał na własnej planecie w jądrze Galaktyki. Czemu nie? Nie były one uważane za coś, co służy do rekreacji, bo Heechowie nie potrafili pływać. Kości i mięśnie nie będą unosić się na wodzie bez wystarczającego balastu z tłuszczu, a tłustych Heechów po prostu nie było. Żeby więc dotrzymać Oniko towarzystwa czasem dawał się skusić na pływanie gumową łódką. Rzadko jednak wypuszczał się na wody, gdzie nie był pewny, czy ma grunt.

Harold jako pierwszy poczuł się na Moorea, jak w domu.

— Ziemia była bardzo podobna do planety Peggy — wyjaśnił kolegom z klasy.

— Nie — odparli niektórzy z kolegów — było na odwrót, to planeta Peggy była bardzo podobna do Ziemi.

I rzeczywiście tak było. Właśnie ten fakt skłonił istoty ludzkie do skolonizowania jej dawno, dawno temu, kiedy to płodność ludzkiej rasy spowodowała przekroczenie dopuszczalnej ładowności planety.

— Cóż, może i tak jest — odparł Harold rozsądnie — ale każdy głupek mógł zauważyć od razu, że planeta Peggy jest lepsza.

Harold uznał to za bardzo zniechęcające, żeby nie powiedzieć absurdalne, że inne dzieci wykazywały tak małe zainteresowanie wysłuchaniem, co miał na ten temat do powiedzenia.

Trójka dzieci z Kręgu była pod jednym względem w gorszej sytuacji. Wszystkie były przybyszami. Przybyły do szkoły ostatnie, długo po rozpoczęciu semestru. Przyjaźnie i sojusze zostały już dawno zawiązane. Oczywiście, dyrektorka szkoły zachęcała wszystkich uczniów w szkole, by okazywali specjalną troskę i uprzejmość wygnańcom z międzygalaktycznej przestrzeni. Przez chwilę rzeczywiście tak było, ale nie trwało to długo. Kiedy już zadano wszystkie pytania („Widzieliście Wroga? Kiedy oni stamtąd wyjdą?”) i zauważono brak zadowolających odpowiedzi, potężne siły przyjaźni współmieszkańców z jednego pokoju i kumpli

grających razem w piłkę zacieśniły się, pozostawiając ich poza tym układem. Nie odbyło się to w sposób niemiły czy gwałtowny. Ale się stało.

Najgorzej było w przypadku Apsika i Oniko. Apsik był jedynym Heechem w szkole, a Oniko jedynym dzieckiem wychowanym w tradycji Heechów. Byli po prostu zbyt obcy, żeby łatwo znaleźć najlepszych przyjaciół. Harold z początku nie miał takiego problemu. Harold miał problem wyłącznie ze sobą. Spoglądał na zdumiewający centralny szczyt górski wyspy Moorea i mówił:

— Wy to nazywacie górą? Na planecie Peggy góry są wysokie na czternaście kilometrów!

Oglądał sceny z Nowego Jorku i Brasilii i oświadczał karcącym tonem, że na planecie Peggy ludzie utrzymują miasta w czystości. Kiedy na lekcji poświęconej starożytności mówiono o Pompejach i Wielkim Chińskim Murze, Harold odzywał się ze swego kąta z opinią, że dzięki Bogu na planecie Peggy ludzie są dość inteligentni, żeby pozbywać się starych gratów. A że w szkole byli uczniowie z Katmandu, Nowego Jorku, Brasilii, Pekinu i Neapolu, dyskredytowanie przez Harolda ich lokalnych atrakcji turystycznych na pewno nie przysporzyło mu popularności. Szkolboty próbowały łagodzić sytuację, ale uczniowie nie mieli obowiązku dostosować się do ich życzeń.

Na dłuższą metę Harold stał się bardziej outsiderem niż Oniko czy Apsik, którzy oboje intensywnie się uczyli. Kiedy znajdowali wolną chwilę, spędzali ją z bazami danych, ucząc się nawet rzeczy, których nie musieli znać w ich wieku. Oboje szybko znaleźli się wśród najlepszych uczniów w klasie, a Harold, który musiał się wysilać na swoją średnią trzy z plusem, zazdrościł im. W końcu wściekł się naprawdę. Pewnego dnia, gdy szkolbot rozdał wyniki testów, w głowie Harolda zapaliło się światło.

— Proszę pana! To nie fair. Ta dwójka ma lepsze wyniki, bo ściąga!

— Spokojnie, Haroldzie — szkolbot uśmiechnął się cierpliwie, a było to pod sam koniec lekcji i wszyscy uczniowie byli zmęczeni albo rozdrażnieni. — Sternutator i Oniko nie ściągają.

— No to jak to inaczej nazwać? Mają te swoje bazy danych SI przy sobie i korzystają z nich. Widziałem, jak to robią!

Szkolbot odparł zdecydowanie:

— Naprawdę, Haroldzie, powinieneś wiedzieć, że Sternutator, jak wszyscy Heechowie, wymaga stałej obecności słabego promieniowania mikrofalowego, niezbędnego dla zdrowia. . .

— Ale Oniko nie!

Szkolbot potrząsnął głową.

— Nie ma podstaw, by używać tu takich słów, jak „ściąganie”, tylko dlatego, że uczeń ma przy sobie osobisty system wyszukiwania danych. Ty masz swoją konsolę, prawda? A teraz proszę, wróć na swoje miejsce, żebyśmy mogli omówić dzisiejszy przydział do konceptualizacji.

Po południu, nad brzegiem morza, Harold siedział sztywno na upstrzonej muszelkami plaży, Oniko chlapała się w płytkiej wodzie, zaś Apsik rozkopywał piasek, szukając kawałków koralowca.

— Przykro mi, że nas nie lubisz — powiedział Apsik.

— O czym ty mówisz? Przecież jesteśmy przyjaciółmi! Oczywiście, że was lubię! — skłamał Harold.

— Nie, myślę, że nie — zawołała Oniko dwa metry od niego. — O co chodzi, Harold? Wyrządziliście ci jakąś krzywdę?

— Nie, ale ty jesteś człowiekiem. Czemu zachowujesz się jak Heech?

— A co jest złego w zachowywaniu się, jak Heech? — spytał Apsik sycząc ze złości.

— Cóż — odparł Harold spokojnie — nic nie możecie na to poradzić, ale jesteście takimi tchórzami, no wiesz. Uciekliście i ukryliście się przed Wrogiem. Nie obwiniam was — dodał, patrząc na nich, jakby faktycznie ich obwiniał — bo mój tata mówi, że w przypadku Heecha bycie bladym jest czymś naturalnym.

— Ja jestem raczej brązowy — rzekł z dumą Apsik; jego kolor zmieniał się, co znaczyło, że dorasta.

— Bladym ze strachu. A to dlatego, że nie jesteście tak seksowni jak ludzie.

Oniko podpełzła bliżej, rozchlapując drobne fale.

— Nigdy nie słyszałam czegoś równie głupiego! — poskarżyła się.

— To kwestia biologii — wyjaśnił Harold. — Tata mi o tym opowiedział. Istoty ludzkie są najbardziej seksowne w całej Galaktyce, dlatego są takie dzielne i sprytnie. Gdyby się przyjrzeć jakimś niższym zwierzętom, na przykład lwom, gorylom czy wilkom...

— Nigdy żadnego nie widziałam.

— Ale widziałaś obrazki, prawda? I Apsik też? Dobrze. Widziałaś kiedyś goryla z cyckami, jak u dziewczyny? — Zauważył, że wzrok Apsika powędrował w kierunku płaskiej piersi Oniko i rzekł ze złością: — O Boże, nie mówię, że teraz. Znaczą, kiedy urośnie. Ludzkie kobiety cały czas mają wielkie piersi, nie tylko wtedy, gdy karmią małe jak jakieś durne zwierzę. Ludzkie kobiety, no wiesz, mogą uprawiać seks przez cały czas, nie tylko raz w roku albo jakoś tak. To wszystko wyjaśnia, rozumiecie? W ten sposób ewolucja sprawia, że jesteśmy lepsi, bo ludzkie kobiety mogą zmusić mężczyzn, żeby z nimi byli przez cały czas. Tak właśnie powstała cywilizacja, jakieś setki tysięcy lat temu.

Oniko z trudem wyszła z wody, marszcząc brwi. Próbując nadażyć za przedstawionym przez Harolda sposobem rozumowania spytała:

— A co to ma wspólnego z byciem odważnym?

— Właśnie dlatego istoty ludzkie tak dobrze się sprawdziły! Mój tata mi to wszystko opowiedział. Ludzcy ojcowie byli w pobliżu przez cały czas, bo chcieli, no tego, uprawiać seks, wiecie? Więc zdobywali jedzenie i wszystko, a matki

mogły się lepiej sprawdzić w opiece nad dziećmi. Heechowie nie mają czegoś takiego.

— Ale moi rodzice są razem — rzekł z naciskiem Apsik. Nie był rozzłoszczony. Jeszcze nie zdecydował, czy należało się rozzłościć na Harolda, ale uznał kłótnię za kłopotliwą.

— Pewnie tak jest, bo nauczyli się tego on nas — powiedział Harold powątpiewającym tonem, a Apsik spojrział na niego z namysłem, gdyż przyszło mu do głowy, że może to być po części prawda. W jądrze Galaktyki, o ile wiedział, Heechowie żyli w komunach, nie w rodzinach monogamicznych. — No tak, ale oni nie... ech... nie uprawiają seksu przez cały czas, jak moja mama i mój tata?

— No pewnie, że nie! — krzyknął Apsik zgorzony. Samice Heechów uprawiają seks tylko wtedy, gdy pod względem biologicznym przyjdzie na nie odpowiednia pora. Tata wytłumaczył mu to już dawno temu. Ciało kobiety mówi jej, kiedy nadejdzie właściwy czas, a wtedy ona mówi o tym mężczyźnie — w taki czy inny sposób — to chyba nie wymaga słów, ale Bremsstrahlung nie wyrażał się w tym punkcie szczególnie precyzyjnie.

— No i widzisz? — wrzasnął Harold z triumfem. — Dlatego ludzie faceci popisują się przed swoimi dziewczynami przez cały czas. Dawno temu pewnie polowali albo walczyli z jakimś innym plemieniem. Teraz robią co innego, na przykład grają w futbol, dokonują odkryć naukowych, rozumiesz? Przez to jesteśmy odważniejsi.

Oniko, wycierając się, rzekła powątpiewającym tonem:

— Mój tata mówił mi, że dziadek strasznie się bał odlatując z Gateway.

Harold wzruszył ramionami.

— Od każdej reguły są wyjątki.

— I kobiety też tam poleciały. Na artefakcie było prawie tyle samo kobiet co mężczyzn.

— Och, Oniko — rzekł Harold z rozdrażnieniem — mówię teraz o ogólnej prawidłowości, nie o jednostkach. Widzisz, ty nawet nie wiesz, jak to jest w ludzkim świecie, bo nigdy nie mieszkałaś na żadnej fajnej planecie, jak na przykład Peggy.

Oniko podciągnęła się na swoim chodziku.

— Nie sądzę, żeby na Ziemi też tak było, Haroldzie.

— Ależ jest. Przecież właśnie ci o tym powiedziałem?

— Nie, nie wydaje mi się. Wykonałam pewne badania po tym, jak tu przylecieliśmy. Apsiku, podaj mi mój zasobnik; mam to w moim pamiętniku.

Włożyła zasobnik i pochyliła się nad nim. Następnie, prostując się z trudem, oświadczyła:

— O, mam. Posłuchaj: „Coraz rzadziej spotyka się na Ziemi tradycyjną rodzinę. Coraz częściej mamy do czynienia z bezdzietnymi parami. W przypadku

rodzin z dziećmi przeważnie oboje rodzice pracują. Jest też znaczny procent rodziców samotnie wychowujących dziecko”. To nie jest tak jak mówisz, Harold.

Harold pociągnął nosem z dezaprobatą.

— Pisanie pamiętnika jest strasznie dziecinne — oświadczył. — Kiedy zaczęłaś to robić?

Spojrzała na niego z namysłem.

— Nie pamiętam dokładnie. Jeszcze na Kręgu.

— Ja też piszę pamiętnik — wrzasnął Apsik. — Kiedy mi powiedziałaś, że to robisz, uznałem to za dobry pomysł.

Oniko zmarszczyła czoło.

— Myślałam, że to ty mi o czymś takim powiedziałeś — powiedziała. Następnie skrzywiła się. — Ale teraz wolałabym wrócić do internatu i poleżeć chwilę przed kolacją.

* * *

Chyba powinienem przeprosić, że tak chaotycznie rzucałem was przez czas i przestrzeń (choć nie na tak dużą odległość, jak będę to robił później). Wydaje mi się, że powinienem zaznaczyć tę klatkę czasową bardziej precyzyjnie. Nie wydarzyło się to wtedy, gdy ja i Essie przebywaliśmy na Kręgu, nie przez wiele milionów milisekund. Stało się to wcześniej, gdy ja i Essie zaczynaliśmy dyskusję, czy mamy polecieć na spotkanie z okazji setnej rocznicy na Pomarszczonej Skale, a moje życie wydawało się przyjemnie nudne. Nie wiedziałem, co mnie czeka.

Rzecz jasna, dzieci także nie miały pojęcia, co się wydarzy. Były zajęte swoimi sprawami, jak to dzieci. Kiedy w ramach praktyki szkolnej Apsik poddał się badaniom, organizowanym dwa razy w miesiącu, medbot powitał go z przyjemnością; rzadko miał okazję poddać badaniu żywego Heecha, z podwójnym sercem, praktycznie pozbawionymi tłuszczu organami wewnętrznymi i gruzłowatą muskulaturą.

— Wszystko jest w normie — oznajmił, patrząc z aprobatą na wyniki badań widniejące na monitorach. — Tylko ty chyba dobrze nie sypiasz, Apsiku.

Apsik odezwał się z ociąganiem:

— Czasem mam problemy z zasypianiem. Potem śni mi się...

— Tak? — Medbot przybrał formę młodego mężczyzny; uśmiechnął się, dodając Apsikowi otuchy i powiedział: — Opowiedz mi o tym.

Apsik zawahał się. Potem z wahaniem rzekł:

— Nie mam kokonu, wie pan.

— Ach — odparł program. Apsik czekał. Nie chciał, by zmuszono go do opowiadania temu mechanicznemu programowi, jakie to uczucie, kiedy młody Heech musi spać w łóżku, nie mogąc naciągnąć na głowę nic poza prześcieradłami. Heechowie sypiali owinięci, najchętniej pośród ciepłych, miękkich kłębków puszystego materiału, w którym się zagrzebywali; to była właściwa i odpowiednia metoda spania, a koce i prześcieradła nie były żadnym zamiennikiem. Jego ojciec miał rację, kiedy zabronił mu spać w łóżku, pomyślał z tęsknotą.

Nie musiał niczego objaśniać; bazy danych medbota dostarczyły już wyjaśnienia.

— Zamówiłem ci już kokon — rzekł łagodnie program. — Dobrze. A teraz porozmawiajmy o tych snach. . .

— Tak? — rzekł ponuro Apsik. Nie chciał rozmawiać o snach. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiał, nawet z Oniko; nie chciał nawet o tym pamiętać kiedy się budził.

— A więc? Co takiego ci się śni?

Apsik zawahał się. Co mu się śniło? Raczej, co mu się nie śniło!

— Śnią mi się moi rodzice — zaczął — i Dom. To znaczy ten prawdziwy, w jądrze Galaktyki. . .

— Oczywiście, że to ci się śni — rzekł medbot, uśmiechając się.

— A potem są inne sny. Są. . . różne. — Apsik zamilkł na chwilę i zastanowił się. — Przerazające. Są tam. . . dobrze, czasem są te owady. Całe chmary. Roją się, latają, migoczą. . . — Okręzały go i wpełzały do jego ubrania, ust, pod skórę, żądlać bezboleśnie. . . — One są jak świetliki — skończył, drżąc.

— Czy kiedyś widziałeś świetlika? — zapytał cierpliwie program.

— Nie. To znaczy, tylko na obrazku.

— Świetliki nie żądla, Apsiku — przypomniał medbot. — A te owady, które żądla, powodują swędzenie i ból. Czy odczuwasz coś takiego?

— Och, nie. Nic takiego. . . A przynajmniej, nie dokładnie tak — poprawił się Apsik. — Ale jest jakieś takie, nie wiem, jak to powiedzieć, jakieś takie swędzenie w głowie. To znaczy, przez to mam ochotę się uczyć różnych rzeczy.

— Jakich różnych rzeczy, Apsiku?

— Różnych — odparł nieszczęśliwym tonem chłopiec. Apsik wiedział, że opisywanie snów nie idzie mu najlepiej. Jak można ująć sen w słowa? Sny były miękkie, mgliste i bezkształtne. Słowa były twarde i precyzyjne. Język Uczuć Heechów trochę lepiej nadawałby się do tego celu, ale program zaczął mówić po angielsku, a Apsik był zbyt dobrze wychowany, by zaprotestować.

Program skinął jednak głową ze zrozumieniem.

— Tak, tak, Apsiku — rzekł łagodnie — takie sny to symbole. Być może reprezentują one twoje naturalne dziecięce zainteresowanie seksualnością twoich rodziców. Być może odwołują się do traumatycznych przeżyć, których doświadczyłeś. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, Apsiku, ale w ciągu ostatnich

kilku tygodni byłś narażony na większy stres, niż niektórzy dorośli ludzie przez całe lata.

— Ach — odparł Apsik. W istocie doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Poza tym — westchnął program — w dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy narażeni na pewien ogólny stres. Nie tylko dzieci. Dorośli obu ras, a nawet zapisane maszynowo inteligencje; wszyscy bez wyjątku. Rozumiesz pewnie, że mówię teraz o Wrogu.

— Wróg jest przerażający — zgodził się Apsik.

— A szczególnie dla wrażliwego dziecka, które ma osobiste doświadczenie w przeżywaniu strachu, choć może pozbawionego podstaw — przeżyłeś to na Kręgu Obserwacyjnym — medbot odchrząknął, sygnalizując zmianę tematu. — A teraz powiedz mi coś o swoim pamiętniku — uśmiechnął się promiennie.

Apsik zasyczał cicho, po czym podjął nowy temat rozmowy.

— Dzięki niemu nie tęsknię tak za domem — rzekł, nie dlatego, że tak było rzeczywiście. Akurat nie była to prawda, ale Apsik doszedł już do tego, co pojmuje w pewnym momencie każde dziecko, człowiek czy Heech: kiedy dorośli zaczynają zadawać trudne pytania, można ich zadowolić prostymi odpowiedziami, w które uwierzą.

— Bardzo dobra terapia — medbot pokiwał głową. — Ale te wszystkie szczegóły, Apsiku! Tyle stron danych! Ktoś mógłby pomyśleć, że próbujesz opracować encyklopedię. Czy nie sądzisz, że powinieneś spędzać mniej czasu na czymś takim, a więcej na zabawie z kolegami?

— Spróbuję — obiecał Apsik, a kiedy wreszcie pozwolono mu odejść, układał po drodze w myślach, jak to zapisze w pamiętniku. Większość wersji zaczynała się od prostej uwagi: „Ludzkie programy nic nie wiedzą o dzieciach Heechów”.

Kiedy jednak chciał zapisać tę uwagę w pamiętniku, napisał coś zupełnie innego.

Nie obchodzi mnie, co mówi Albert, nic na to nie poradzę, że żał mi Apsika. I Oniko. I nawet Harolda Wrocza. Harold naprawdę nie był aż tak paskudny. Po prostu nie miał za dużej wprawy w byciu sympatycznym.

Cała trójka nadal spędzała więcej czasu ze sobą niż z kimkolwiek z całej reszty jakichś trzystu uczniów, choć Harold nie znosił, kiedy Apsik i Oniko nalegali na spędzanie nie kończących się godzin nad bazami danych.

— Mój Boże — narzekał — czy wy myślicie, że musicie nauczyć się wszystkiego, co tylko jest do nauczania?

— Lubimy to — odparła krótko Oniko. Harold rozłożył ręce z rezygnacją. Potem jednak poszedł za nimi do czytelnicy, a ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, sam zaczął się uczyć. Ku zaskoczeniu wszystkich, jego stopnie zaczęły pięć się w górę.

Mimo samotności i przerażających snów Apsik lubił szkołę. Plaża była śliczna, kiedy już zdołał przyzwyczaić się do przebywania w wodzie; sportbot sporzą-

dził dla niego coś w rodzaju upręży z pływakami, którą chłopiec mógł włożyć i niedługo Apsik dorównał w pływaniu najlepszym. Lekcje były ciekawe. Pozostali uczniowie byli przynajmniej do zniesienia, a niektórzy nawet dość sympatyczni. A wyspa była piękna, pełna niezwykłych, czasem smutnych rzeczy. Na przykład — powyżej szkoły była łąka. Pasły się tam wielkie, rogate przeżuwacze. Kiedy Apsik zaczął czytać o nich w bazach danych, odkrył, że jest to „bydło” i był przerażony, gdy sprawdził, w jakim celu jest hodowane. Apsik spędził cztery lata na Kręgu Obserwacyjnym nie zastanawiając się, skąd jego ludzcy koledzy szkolni uzyskują białko. Teraz stanął w obliczu muczącego i wydalającego góry łajna, źródła pieczeni i hamburgerów. Obrzydliwość! Dziewięćdziesiąt pięć procent diety Apsika, podobnie jak w przypadku większości Heechów, pochodziło z zamrożonych gazów kometarnych albo dowolnego innego użytecznego źródła czterech podstawowych pierwiastków ludzkiego pożywienia, węgla, wodoru, tlenu i azotu. Po dodaniu paru pierwiastków śladowych można było z pożywienia CHON zrobić co tylko się chciało. Było tanie. Było pożywne, gdyż produkowano je tak, by spełniało wszelkie wymogi dietetyczne. I nie wymagało mordowania niczego, co czuje ból.

Połowę jedzenia w szkole i tak stanowiło pożywienie CHON. Fabryka Pożywienia unosiła się na powierzchni płytkiego morza koło sąsiedniej wyspy Tahiti, zasysając surowce z morza i powietrza. Ale ludzkim dzieciom, podobnie jak i dorosłym świadomość, że ich krwiste „steiki” naprawdę pochodzą od żywych zwierząt, sprawiała chyba przyjemność — choć na pewno nie pochodziły z pastwiska nad szkołą, gdyż było to stado przeznaczone do innych celów.

Apsik nie rozmawiał o tym celu ze szkolnymi kolegami. I miał szczęście, gdyż hodowanie zwierząt na mięso (jak miał kiedyś odkryć) nie było najbardziej obrzydliwym z możliwych zastosowań bydła.

Podczas drugiego miesiąca pobytu Apsika na wyspie Moorea wydarzyły się dwie pozytywne rzeczy.

Pierwszą z nich było przywiezienie kokonu, który zainstalowano w jego sypialni w internacie; od tej chwili mógł już przed snem zagrzebać się w miękkich, sypkich kłębkach pianki i zasunąć nad głowę pokrycie. Spowodowało to niemało żartów ze strony kolegów Apsika z internatu, ale chłopiec zniósł je dzielnie. Kokon nie pomógł mu odpędzić snów, ale stanowił poważne ulepszenie w stosunku do sterylnych i nieprzyjemnych prześcieradeł i koców, z którymi musiały sobie radzić ludzkie dzieci.

Druga rzecz polegała na tym, że kierowniczka szkoły odkryła jak kiepsko dopasowany jest zwykły program medyczny do potrzeb młodego Heeecha i zadała sobie trud zdobycia czegoś bardziej odpowiedniego. Nowy program miał postać młodego Heeecha o miedzianej skórze i głębokich oczach. Miał centymetr puchu na czubku głowy, a ścięgnię na jego ramionach i szyi wiły się sympatycznie, gdy witał się z Apsikiem. Chłopiec już podczas pierwszego spotkania bardzo polu-

bił nowego medbota, kiedy więc nadszedł termin drugiego badania, oczekiwał go z niecierpliwością. Badanie Oniko miało się odbyć o tej samej godzinie. Apsik pomógł jej ostrożnie przejść wąskim korytarzem, choć dzięki lasce dziewczynka potrafiła już radzić sobie sama, i przywitał się radośnie z pielęgniarką.

Ku ich zaskoczeniu, pielęgniarka zaprowadziła ich oboje do jednego pokoju. Młody Heech Apsika i medbot Oniko, kobieta w średnim wieku, siedzieli razem przy biurku, przed którym stały dwa krzesła dla dzieci.

— Chcieliśmy porozmawiać z wami obojgiem — odezwała się medbot Oniko w języku Heechów! — gdyż macie ze sobą wiele wspólnego.

— Macie takie same sny — wtrącił się Heech. — Małe świecące istoty bzyczą dookoła was, nawet żądają, ale nigdy nie powodują bólu.

— I sny się powtarzają — powiedziała kobieta.

— To prawda — rzekł Apsik, patrząc na Oniko. Ta skinęła głową.

— Żadne z was nie interesuje się za bardzo sportem — dodała kobieta. — W przypadku Oniko jest to zrozumiałe, gdyż ona nie jest jeszcze dość silna, żeby podjąć jakiś większy wysiłek. Ale ty, Sternutatorze, jesteś w doskonałej kondycji fizycznej. I żadne z was nie ogląda sportu w piezowizji, prawda? Żadnego futbolu, bejsbolu, peloty, nic.

— Tak, wydaje mi się, że to dość nudne — przyznał Apsik.

— Wsłuchaj się w to, co mówisz, Sternutatorze — powiedział medbot Heech. — Czy tak może mówić dziesięciolatek?

— Jeśli o mnie chodzi, to on mówi zupełnie normalnie — pociągnęła nosem Oniko. Kobieta pokiwała głową.

— Według waszych standardów, owszem — oświadczyła. — Oboje macie niezmiernie dorosłe zainteresowania. Sprawdziliśmy zapisy waszych systemów do wyszukiwania danych. Mogę zrozumieć to, że każde z was spędziło wiele godzin próbując dowiedzieć się wszystkiego o Wrogu. Niewątpliwie coś takiego mógłby zrobić każdy — Wróg jest dla nas czymś bardzo ważnym! A jednak niewielu waszych szkolnych kolegów wykazuje zainteresowanie tym tematem. Tylko dłaczego tak się interesujesz transportem nadświatlnym, Oniko?

Dziewczynka wyglądała na zaskoczoną.

— To jest po prostu ciekawe, jak sądzę. Czyż wszyscy się tym nie interesują?

— Nie w aż takim stopniu, nie interesują się też takimi obcymi rasami, jak Przymuleni, Amoniakowcy i Świnie Voodoo.

— Ale one są takie zabawne — rzekła obronnym tonem Oniko.

— Tak — rzekł medbot Heech, przejmując inicjatywę. — A tematy, które najbardziej cię interesują, Sternutatorze, są zarówno zabawne, jak i dość ważne, tak bym to ujął. Lokalizacje placówek i składowisk Heechów; historia badań kosmosu przez Heechów; zasady dotyczące penetracji czarnych dziur. Tylko widzisz, Sternutatorze, nawet zupełnie normalna ciekawość, posunięta do granic, może

być... Przepraszam — rzekł nagle, patrząc na siedzącą obok niego kobietę. Ta zaś oświadczyła, nagle zmieniawszy ton głosu:

— Dzieci, nadszedł bardzo ważny przekaz. Pani kierowniczką chciałaby, żeby każdy uczeń go obejrzał, więc zakończymy też rozmowę, żebyśmy mogli go pokazać. I oboje odwrócili krzesła by obejrzyć wyświetlany na ścianie obraz. Ściana rozświetliła się lśniącą, srebrzystą mgiełką, która ustąpiła mężczyźnie o poważnym wyrazie twarzy, o rozmiarach znacznie przekraczających rzeczywiste. Kiedy się pojawił, mówił właśnie:

— ... a oto kolejna część rozszyfrowanego przekazu.

Zamilkł, nadsłuchując, a wówczas odezwał się inny głos, bezcielesny, mówiący w szybki, mechaniczny sposób. Mówił:

— Łączna liczba gatunków obecnie zamieszkujących Galaktykę, które są technologicznie zdolne lub wykazują pewne oznaki możliwego przyszłego osiągnięcia tego etapu, wynosi jedenaście. Tylko trzy z nich opanowały loty z prędkością nadświatłą i tylko jeden z trzech korzysta z systemów napędowych podlegających ograniczeniom teorii Einsteina. Dwa z pozostałych prawdopodobnie opanują loty międzygwiazdne w ciągu następnych kilku stuleci. Pozostałe korzystają z narzędzi na różnych stopniach rozwoju.

Głos ucichł, pojawiła się twarz mężczyzny o oczach pociemniałych od troski, mówiąc:

— Cały przekaz, kiedy zostanie spowolniony do normalnej prędkości, trwa prawdopodobnie ponad dziewięć godzin. Jak dotąd nagrano tylko fragmenty, by zbadać je w czasie rzeczywistym. Jednakże, dla tych, którzy dopiero teraz do nas dołączyli, pragnę wspomnieć, że przekaz miał formę błyskawicznej transmisji, która trwała zaledwie jeden przecinek zero zero trzy sekundy. Pochodzenie przekazu nie zostało jeszcze ustalone, choć wiemy już, że został przesłany z ziemskiej sieci satelitarnej i skierowany w stronę kugelblitzu, prawdopodobnie z budynku Tokio Tower. Badamy obecnie wszystkie linie naziemne prowadzące do Tokio Tower. Twarz zamilkła, patrząc stalowym wzrokiem na widzów. — Oczywiście, zakazane są wszelkie transmisje z prędkością nadświatłą w stronę Kręgu Obserwacyjnego czy kugelblitzu, zgodnie z zasadami stanu alarmowego ogłoszonymi przez Wspólną Obserwację Asasynów ponad dziesięć tygodni temu.

Jakiś ruch za plecami Apsika wytrącił go z transu spowodowanego przez transmisję. Obejrzał się. Oniko wstała z krzesła i utykając szła w stronę drzwi.

— Przepraszam — wymamrotał Apsik i ruszył za nią. Na zewnątrz Oniko opierała się o ścianę szlochając.

— Co się dzieje? — dopytywał się zaalarmowany. — To... cóż, na pewno to jest przerażające, ale to mógł być jakiś błąd techniczny, czy głupi żart...

— Och, Apsiku — zapłakała dziewczynka — Czy ty nic nie rozumiesz?

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ona go ubiegła:

— Ten przekaz, czy ty nie wiesz, co to było? To był fragment mojego pamiętnika!

Rozdział 10

W głębinach czasu

Cassata tańczył fokstrotą powoli, sennie, z zamkniętymi oczami, z głową orientalnej kobiety na ramieniu. Niewiarygodne! Wyglądała jak normalna istota ludzka, z właściwym człowiekowi poczuciem zdrowego rozsądku, a mimo to kleiła się do tego faceta!

— Cassata, co się, u cholery, dzieje? — warknąłem.

Obdarzył mnie specyficznym spojrzeniem. Nie wiem, jak inaczej mógłbym je opisać. Nie było przepraszające, nie było bezczelne. Wydawało mi się — sam już nie wiem — że jego spojrzenie było wzrokiem skazańca. Nie było w tym nic dziwnego. Wiadomo było, co go czeka, kiedy wróci do swojego cielesnego oryginału: zostanie zlikwidowany, ale od dawna zdawał sobie z tego sprawę, a nie patrzył w ten sposób. Czekał na opadnięcie ostrza topora.

Uprzejmie puścił swoją partnerkę, pocałował ją w czoło i zwrócił się do mnie.

— Chciałeś ze mną rozmawiać — rzekł.

— A żeby cię, że chciałem. . .

Powstrzymał mnie.

— Dobrze, możemy porozmawiać — westchnął — ale nie tutaj. W twoim statku też nie. Jakies miłe miejsce, gdzieś, gdzie będę się dobrze czuł.

Otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć, jak mało mnie obchodzi, jak będzie się czuł Cassata, ale Albert mnie ubiegł.

— Może Rue de la Paix, generale? Mały ogródek kawiarniany na lewym brzegu?

— Coś takiego może być — zgodził się Cassata. . . i oto znaleźliśmy się tam, siedząc przy metalowym stoliku na rozświetlonym bulwarze, pod pasiastym parasolem reklamującym jakiś aperitif, a kelner w białym fartuchu przyjmował od nas zamówienie.

— Dobry wybór, Albercie — rzekł z zadowoleniem Cassata, ale nie miałem zamiaru mu pozwolić na takie zachowanie.

— Skończ z tym pieprzeniem — warknąłem. — Dlaczego zakazaliście wszystkich transmisji z kierunku Ziemi?

Cassata wziął z tacy kelnera campari z wodą sodową i powąchał je z namysłem.

— Nie wiem — odparł i dodał — jeszcze nie wiem.

— Ale wiesz, dlaczego nałożyłeś embargo na mój statek?

— Och tak, Robinie. To był rozkaz.

— A nałożenie embargo na statek z jądra Galaktyki? — wtrąciła się Essie. Nie radziłem sobie z Cassatą. On wzruszył ramionami. To Essie wystarczyło. Rzuciła mu mordercze spojrzenie, po czym zwróciła się do mnie: — Wyobrażasz to sobie? Nawet Czcigodni Przodkowie Heechów muszą się opowiadać WOA! A tymczasem ci sprawdzają, czy jesteśmy wystarczająco dorośli, żeby to usłyszeć, zanim ogłoszą informacje!

— Rozkazy — powtórzył Cassata. Po czym spojrzął na Essie nieco uprzejmiej i rzekł pojednawczym tonem: — To tylko problem techniczny, pani Broadhead.

— Durny problem techniczny! Robin? Wyślij polecenie do instytutu. Ta banda niewychowanych klaunów nie zasługuje na to, żeby z nimi współpracować.

— Zaraz, chwileczkę — wtrącił pospiesznie, a robił co mógł, żeby robić wrażenie ugodowego. — To tylko kroki, które podejmujemy w przypadku zagrożenia. Później, jeśli pani, albo Robin zechcecie uzyskać dostęp do jakichkolwiek informacji, jestem pewien, że nie będzie żadnego problemu — to znaczy, rzeczywistego problemu; ale muszą one przejść odprawę Służby Wspólnej Obserwacji Asasynów zanim zostaną wyjawione publicznie, to chyba oczywiste.

— Nie oczywiste! Nie ma tu nic oczywistego! — odwróciła się do mnie, a oczy jej płonęły. — Robin, powiedz temu żołnierzycowi, że to nie jest kwestia osobistej przysługi dla ciebie czy dla mnie, ale tego, że informacja jest własnością wszystkich.

— Chodzi o to, że informacje należą do wszystkich, generale Cassata.

Essie nie miała zamiaru tak tego zostawić.

— Powiedz mu, Robinie — warknęła tak ostro, że przechodnie na Rue de la Paix zaczęli spoglądać na nas z zainteresowaniem. Byli tylko elementem dekoracji, ale kiedy Essie programuje dekoracje, idzie na całość. Śliczna kobieta o ciemnych włosach wydawała się zafascynowana naszym widokiem — bardziej, niż można by się tego spodziewać po dekoracji. Przyjrzałem jej się bliżej; to była kobieta, z którą przedtem tańczył Cassata; jak widać, Cassata zostawił po sobie ścieżkę, żeby mogła przeniknąć do nowego otoczenia.

Podkreśliłem napięcie. Odezwałem się do Cassaty:

— Nie masz wyboru. Posłuchajcie, generale Cassata, to nie jest kwestia utajnienia materiału, żeby Wróg nie dostał go w swoje ręce. Tu nie ma wrogów, z wyjątkiem samego Wroga. Sądzisz, że szpieguję na rzecz Asasynów?

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział nieszczęśliwym tonem, próbując się przymilić. — Ale to są rozkazy z najwyższego szczebla.

— My jesteśmy z najwyższego szczebla!

Wzruszył ramionami w dobrze znanym geście „ja tu tylko sprzątam”.

— Oczywiście, że tak... — Zamilkł, zauważywszy wyłaniającą się z tłumu młodą kobietę. Potrząsnął głową na jej widok; uśmiechnęła się krzywo, posłała mu buziaka i znikła.

— Przepraszam — rzekł. — To moja znajoma; powiedziałem jej, że to prywatne spotkanie. Co mówiłeś?

— Doskonale wiesz, co mówiłem! — warknąłem i mówiłbym dalej, ale wyraz twarzy Cassaty nagle się zmienił.

Nie słuchał już mnie. Jego twarz zastygła. Spojrzenie miał nieobecne, jakby słuchał jakiegoś komunikatu.

I chyba rzeczywiście tak było, bo rozpoznałem to spojrzenie. Wyglądało tak, jak zawsze, gdy jakaś zapisana maszynowo osobowość słucha czegoś na prywatnym kanale. Dość dobrze sobie też wyobraziłem, co też za chwilę powie. Zmarszczył brwi, otrząsnął się, potoczył przez chwilę nieobecnym wzrokiem, po czym to powiedział.

— Och, szlag — oświadczył generał Julio Cassata.

Poczułem, jak dłoń Essie wślizguje się do mojej. Ona też zdawała sobie sprawę z tego, że stało się coś złego.

— Powiedz nam! — zażądałem.

Wziął głęboki oddech.

— Muszę wracać do WOA — oświadczył. — Podrzucicie mnie?

Tym razem mnie zaskoczył. Pierwsza wypowiedź pozwoliła mi jedynie zyskać na czasie:

— Co? — Po czym zebrałem się w sobie. — Ależ szybko zmieniamy zdanie, generale! Najpierw mam się trzymać z daleka, potem nakłada się embargo na mój statek...

— Zapomnijmy o tym — rzekł z niecierpliwością. — To zupełnie nowe okoliczności. Muszę tam dostać się szybko, a wy macie najszybszy statek. Podrzucicie mnie?

— Cóż... Czemu nie, ale... Tylko że...

— Dostałem właśnie wiadomość — rzekł. — Ta przerwa w pracy to nie były ćwiczenia. To autentyczny wypadek. Prawdopodobnie Wróg zdobył przyczółek na Ziemi.

Podrzucenie maszynowo zapisanej osobowości, na przykład generała Cassaty (albo — jeśli już o tym mówimy — mnie) nie wymaga większej ilości miejsca. Trzeba tylko zabrać jakiś układ scalony, wachlarz, taśmę, czy kostkę i wpakować do statku, a już można ruszać. Cassata śpieszył się. Nosibot niósł go już wte-

dy, gdy generał prosił mnie o pozwolenie, mieliśmy więc pakować się i ruszać w chwili, gdy miał dotrzeć do słuzy.

Łączny przewidywany czas transferu wyniósł poniżej trzech minut.

Dość długo.

Nie zmarnowałem tych trzech minut. Kiedy czekaliśmy przez tę długą chwilę, podczas której nosibot taszczył go z jednej sekcji do drugiej, oddawałem ostatnie honory mojej utraconej miłości.

Nie zajęło to dużo czasu. Informacja o przerwie dotarła już nawet do cieleśnych ludzi, więc osobnicy przypominający kamienne posągi zmierzali w kierunku piezowizorów, w których pojawiła się informacja, że przerwano wszelkie transmisje.

Mój dubler trzymał się z daleka od innych i wyglądał na nieszczęśliwego. Od razu zrozumiałem, dlaczego tak było. Obok niego stała Klara i jej mąż... przytuleni do siebie jeszcze bardziej niż przedtem.

Żałowałem, że...

Żałowałem przede wszystkim (a przynajmniej ten żal był najbardziej uzasadniony), że nie udało mi się lepiej poznać Harbina Eskladara. Jakie to dziwne, że Klara miałaby poślubić byłego terrorystę! Dziwne, że mogłaby poślubić kogokolwiek poza mną...

A następnie pomyślałem: Robin, staruszku, ruszajmy stąd. Więc przemieściłem się szybko na pokład „Prawdziwej Miłości”, zwinąłem się i już nas nie było.

— Robin! Chodź tu i zobacz! — krzyknęła Essie, przemieściłem się więc do sterowni i zrobiłem, co mi kazano. Julio Cassata miał minę zbitego psa i tkwił podłamany przed ekranem, który Essie pokazywała z wściekłością: — Okręty wojenne! — wrzasnęła. — Robin! To całe WOA o świerzbujących palcach gotowe jest wysadzić w powietrze cały świat!

Cassata rzucił mi wściekłe spojrzenie.

— Twoja żona doprowadza mnie do szału — oświadczył. Nie patrzyłem na niego. W pierwszej chwili, zanim weszliśmy w nadświetlną ekranę złapały obraz satelity WOA, tysiące kilometrów od nas; nawet na naszej wysokiej orbicie był prawie ukryty przez stożek Ziemi, ale widziałem, że satelita WOA nie był osamotniony. Dookoła niego unosił się rój muszek.

Statki. Essie miała rację. Okręty wojenne.

Po czym weszliśmy w nadświetlną. Ekran zamglił się, a Cassata zaprotestował:

— One nie mają zamiaru niczego atakować. To tylko środek ostrożności.

— Środek ostrożności! Wysyłanie całej floty z bronią gotową do strzału! — rzuciła wściekle Essie. — Z powodu takich środków ostrożności wybuchają wojny!

— Wolałaby pani, żebyśmy nic nie robili? — spytał. — Tak czy inaczej, zaraz tam będziemy. Będzie pani mogła poskarżyć się mu osobiście, jeśli pani będzie chciała... to znaczy...

Zamilkł, znów wyglądał ponuro; oczywiście ten mówił o cielesnej wersji. Ale miał rację.

— Oczywiście, że złożymy skargę. Począwszy od tego, czemu nie udostępniono nam treści tego „komunikatu”.

Albert zakaszlał znacząco.

— Ależ udostępniono — rzekł.

Cassata wtrącił się agresywnym tonem:

— Sam widzisz! Zawsze musisz z czymś wyskoczyć! Cała transmisja została przekazana impulsowo, dokładnie w taki sam sposób, jak została wcześniej odebrana. Założę się, że Albert ją nagrał.

Albert odezwał się przeprasząc:

— To był tylko rodzaj synoptycznego raportu dotyczącego wszystkiego na temat ras Heechów i ludzi. Nie było w nim nic, czego nie dałoby się znaleźć w Encyklopedii Brytyjskiej albo czymś podobnym.

— Ha! — rzekła Essie, nadal niezadowolona, ale na tym poprzestała. Zastanowiła się przez chwilę. Następnie wzruszyła ramionami. — Wiecie chłopcy, poczęstujcie się drinkiem, i tak dalej — oświadczyła, przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach gospodyni. — A ja pójdę wysłuchać tej transmisji.

Ruszyłem za nią, gdyż towarzystwo Essie w najgorszym z jej humorów było nadal lepsze od towarzystwa Julia Cassaty, ale mnie powstrzymał.

— Robin — rzekł — nie chciałem o tym mówić, kiedy ona tu była...

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Nie mogłem uwierzyć, że istniało coś, czym chciał się ze mną podzielić w tajemnicy. Następnie rzekł:

— Chodzi o tego faceta, za którego wyszła twoja była panienska.

— Och — odparłem. — To Cassaty najwyraźniej nie zadowalało, więc dałem: — Nigdy przedtem go nie spotkałem, ale wiem, że nazywa się Harbin Eskladar.

— Tak, Harbin Eskladar, zgadza się — rzekł Cassata rozzłoszczony — wiem o tym. Nienawidzę tego faceta.

Nie przeczę, że temat mnie zainteresował. Omawianie kwestii tego, jak wrednym typem jest mąż Klary, było dla mnie dość przyjemne.

— Napijmy się — zaproponowałem.

Rzucił mi niepewne spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

— Ale tylko jednego szybkiego — zgodził się. — Nie pamiętasz go? A pamiętasz mnie? Kiedy się poznaliśmy jakieś trzydzieści albo czterdzieści lat temu, kiedy byłem dowódcą brygady?

— Oczywiście, że pamiętam — przytaknąłem, przygotowując drinki.

Wziął to, co mu podałem, nawet nie patrząc, co to jest.

— Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego pokonanie zaledwie dwóch pieprzonych szczebli kariery zajęło mi aż tyle lat?

W istocie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W ogóle niewiele myślałem o Cassacie, a jeszcze mniej o tym, jak sobie radzi w pracy, bo dawno temu, jeszcze w Podniebnym Pentagonie, Cassata oznaczał dla mnie głównie złe nowiny, kiedy jeszcze występował wyłącznie w cielesnej postaci, a siły zbrojne musiały się martwić tylko o terrorystów. Moja opinia o Cassacie z tego okresu brzmiała, że to wrzód na tyłku ludzkości. I nie zmieniła się od tego czasu, więc rzekłem tylko uprzejmie:

— Chyba nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego.

— Eskladar! Eskladar, właśnie dlatego! Był moim adiutantem i raz prawie mnie wylali ze służby z jego powodu! Skurwiel dorabiał sobie po godzinach, a to jego dorabianie polegało na akcjach terrorystycznych. Należał do tajnej komórki terrorystycznej generała Beaupre Heimata w Podniebnym Pentagonie!

— Och — odezwałem się, a Cassata skinął ze złością głową, jakby to wyjaśniało wszystko.

W pewnym sensie tak było, gdyż każdy, kto przeżył koszmar terroryzmu nie musiał się dowiadywać, jak to wszystko wyglądało. To nie było coś, o czym się zapomina. Przez ponad dwadzieścia lat nasza planeta była nękana i atakowana przez ludzi, których wściekłość tak dalece minęła się ze zdrowym rozsądkiem, że jedynym sposobem jej wyrażania, jaki przyszedł im do głowy, było zabicie kogoś. I to bynajmniej nie jednej osoby — setki tysięcy ludzi ginęły, w taki czy inny sposób, od wody skażonej wirusem, w wysadzonych budynkach czy zbombardowanych miastach. A nie chodziło im o jakąś konkretną osobę, bo terroryści uderzali we wszystkich, w niewinnych i winnych — a przynajmniej tych, których uważali za winnych.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że zaufani ludzie, wojskowi na wysokich szczeblach, a nawet głowy państw, bywali tajnymi członkami grup terrorystycznych. Całe gniazdo zostało wykryte nawet w Podniebnym Pentagonie.

— Ale to Eskladar przełamał ten krąg — rzekłem, przypomniawszy sobie.

Cassata spróbował się roześmiać. Wyszło mu coś w rodzaju prychnięcia.

— Przeszedł na drugą stronę, żeby ratować własną skórę — rzekł, po czym dodał niechętnie — no, może nie tylko dlatego, żeby się uratować. On był chyba idealistą. Ale jeśli o mnie chodzi, to jest to bez znaczenia. Był moim adiutantem i kosztowało mnie to 20 lat czekania na awans.

Skończył drinka. Uśmiechając się, stwierdził:

— Cóż, nie chcę kazać jej czekać — i tu zamilkł, ale trochę za późno.

— Kazać komu czekać — spytałem, a on wzdrygnął się słysząc, jakim tonem to mówię.

— No dobrze, Robinie — oświadczył tonem przegranego — Sądziłem, że nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli... hm... poza mną jeszcze ktoś... no...

— Kobieta — odgadłem, sprytnie wydedukowawszy. — Mamy na pokładzie pasażera na gapę.

Nie wyglądał na skruszzonego.

— Ona jest tylko zapuszkowanym umarlakiem, jak ty — rzekł. Dyplomacja nigdy nie była mocną stroną Cassaty. — Kazałem włożyć jej nośnik razem z moim. Nie zajmuje dużo miejsca, jak rany, a mam tylko. . .

Zamilkł w tym miejscu i nie dokończył. Był trochę — ale tylko trochę — zbyt dumny, żeby o coś prosić.

Nie musiał.

— Jak ona się nazywa? — spytałem.

— Alicja Lo. To ta, z którą tańczyłem.

— Cóż — odparłem — to tylko jeden lot. Dobrze. Idź i dotrzyмай swojej przyjaciółce towarzystwa. Też na pewno tak bym zrobił na jego miejscu.

A potem nie było już nic poza bezkresną podróżą.

Na pokładzie „Prawdziwej Miłości” podróż nadświatlna z Pomarszczonej Skały do satelity WOA zajmuje tylko dwadzieścia trzy minuty. Tak naprawdę to wcale nie odbywa się ona w całości z prędkością nadświatlna, gdyż przez jedenaście i pół minuty statek przyspiesza na jednym końcu trasy, a potem przez jedenaście i pół minuty hamuje na drugim; sama podróż zajmuje jakieś półtora mgnienia oka. Tak czy inaczej, dwadzieścia trzy minuty to niewiele — nawet według standardów istot cielesnych.

Kiedy oddaliliśmy się już od asteroidu i Albert wziął kurs na satelitę, zacząłem (metaforycznie) gryźć palce. Trzymaliśmy „Prawdziwą Miłość” w układzie słonecznym, rzadko pozwalaliśmy jej oddalać się na znaczne odległości od Ziemi, więc zawsze byliśmy na bieżąco ze wszystkimi wydarzeniami, jakie działy się na świecie, a które przysparzały mi dobrej zabawy. Odbywało się to powoli, owszem, ale opóźnienie wynosiło zaledwie parę sekund. Ale nie tym razem. Zablokowano wszystkie transmisje radiowe. No dobrze, mogłem wysyłać wiadomości (choć Cassata żarliwie mi tego zabronił), ale nie mogłem uzyskać żadnych odpowiedzi.

Rozrywkę musieli mi więc zapewnić: Essie, Albert i moje wspomnienia. Cassata nie bardzo się do tego nadawał. Moje wspomnienia są niezmiernie bogate (w końcu jest tam wszystko, co tylko potrafiliśmy wpakować w bazy danych „Prawdziwej Miłości”, a to naprawdę dużo), ale te na samym wierzchu wiązały się głównie z Klarą i były raczej smutne.

Essie, z drugiej strony, zawsze spełnia oczekiwania. . . albo prawie zawsze. Nie spełnia ich tylko wtedy, gdy zaplączę się w jakimś kłębku rozdrażnienia, zmartwienia czy nieszczęścia, a obawiam się, że coś takiego właśnie mi się przytrafiło. Kiedy już przerobiła naszą dekorację dla Johore, piękny pałac z widokiem na cieśniny i Singapur, a ja siedziałem tam ponuro, ignorując malajski posiłek, jaki dla nas zamówiła, rzuciła mi jedno ze swoich wnikliwych spojrzeń „OchBożeon-znowuprzybieratendurnywygląd”. — Coś cię dręczy — stwierdziła. Wzruszyłem

ramionami. — Chyba nie jesteś głodny — podsunęła, nabijając na widelec kulkę ryżu z czymś czarnym w środku i żując ją łapczywie. Udałem, że nabieram coś z liścia i żuję to. — Robin — powiedziała — masz dwa wyjścia. Rozmawiać ze mną, albo rozmawiać z Albertem-Sigfridem — kimkolwiek, żeby tylko rozmawiać. Nie ma sensu łamać sobie starej głowy w samotności.

— Chyba tak — odparłem, bo to była prawda. Znow zachowywałem się jak dureń.

Albert znalazł mnie, kiedy wróciłem na Pomarszczoną Skałę, czy też jej symulację, którą utworzyłem tak, by pasowała do mojego nastroju. Znajdowałem się na Poziomie Tango, gdzie cumowały statki. Snułem się tu i tam, gapiąc się na różne miejsca, z których odlecieli moi przyjaciele, by już nigdy nie wrócić.

— Wyglądasz na pogrążonego w depresji — rzekł przepraszająco. — Pomyślałem, że może sprawdzę, czy da się coś z tym zrobić.

— Chyba nie — odparłem, ale nie odprawiłem go. Głównie dlatego, że to pewnie Essie go przysłała.

Wyciągnął swoją fajkę, popykał przez chwilę z namysłem, po czym odezwał się:

— Czy mógłbyś mi powiedzieć, co takiego cię dręczy?

— Raczej nie — odparłem.

— Czy dlatego, że twoim zdaniem jestem już znużony słuchaniem w kółko tych samych starych historii, Robinie? — zapytał, a w jego nierzeczywistych oczach malowało się prawdziwe zainteresowanie.

Zawahałem się, po czym wykonałem skok na głęboką wodę.

— Dręczy mnie wszystko, Albercie. Zaraz, poczekaj, wiem, co chcesz powiedzieć. Zaraz mi każesz powiedzieć, która z tych wszystkich rzeczy jest na samym szczycie. Dobrze. To Wróg. Właśnie to mnie przeraża.

— Wielu rzeczy można by się tu obawiać, Robinie — rzekł uspokajającym tonem. — Wróg na pewno zagraża nam wszystkim.

— Nie, nie — odparłem z niecierpliwością — nie mam tu na myśli wyłącznie Asasynów. Nie bardzo sobie wyobrażam, co dzieje się ze wszechświatem.

— Tak, Robinie — zgodził się uprzejmie. — Nie wyobrażasz sobie. Ale mógłbyś. Gdybym mógł ci wyjaśnić dziewięciowymiarową przestrzeń i parę innych koncepcji. . .

— Przestań o tym mówić — zarządziłem, wiedząc, że popełniam błąd. Mam prawo być kapryśny jak każdy człowiek, każdy się z tym zgodzi, ale czasem chyba posuwam się za daleko.

* * *

Widzicie, mogę sięgnąć po cały ocean wiedzy, gdyż zostałem poszerzony.

Nie lubię opowiadać o tym, co się ze mną stało, kiedy mnie poszerzono, zwłaszcza w rozmowach z cielesnymi ludźmi, bo przez to myślą, że się wywyższam. Nie chcę, żeby tak myśleli, w szczególności dlatego, że istotnie jestem czymś od nich lepszym. Te nieprzebrane zasoby danych są tylko jedną stroną medalu.

Dostępny zbiór danych oczywiście nie jest tak naprawdę nieskończony. Albert nie pozwala mi używać słowa „nieskończony” w odniesieniu do czegokolwiek, co da się policzyć, a że cała ta wiedza istnieje w układzie scalonym, na wachlarzu, czy innym nośniku, na pewno ktoś może te zasoby policzyć. Ktoś. Nie ja. Nie miałem nigdy zamiaru liczyć kwantowych zbiorów danych, podobnie nie miałem zamiaru próbować je wszystkie wchłonać. Powód? Bałem się.

Och, Boże, ależ ja się bałem! Czego takiego? Nie tylko Wroga, choć mnie przerażał. Bałem się mojej własnej rozległości, której nie ośmielałem się w pełni zbadać.

Bałem się, że gdy pozwolę sobie na wchłonięcie całej tej wiedzy, przestanę być Robinette'em Broadheadem. Bałem się, że przestanę być człowiekiem. Bałem się, że mały pakiecik danych, którym byłem, zwyczajnie utonie w tym morzu informacji.

Będąc jedynie maszynowo zachowaną pamięcią ludzkiej istoty robię co mogę, by zachować moje człowieczeństwo.

Albert często się niecierpliwi, kiedy pojawia się ten problem. Mówi, że brak mi odwagi. Nawet Essie od czasu do czasu mnie karci. Mówi mi na przykład:

— Kochany, głupi Robinie, czemu nie weźmiesz tego, co ci się należy? — A potem opowiada mi różne historyjki z własnej młodości, żeby mnie zachęcić. — Kiedy byłam młodą dziewczyną na akademii, która łała sobie głowę siedząc w Bibliotece Lenina nad jakimś cholernym, bezsensownym dziełem naukowym, może o algebrze Boole'a albo architekturze układów scalonych, czasem rozglądałam się wokół z przerażeniem. Och, autentycznym przerażeniem, kochany Robinie! Widziałam te miliony tomów, które mnie otaczały i czułam, jak mi się niedobrze robi. To znaczy, naprawdę niedobrze, Robinie. To były prawie autentyczne mdłości. Byłam bliska zwymiotowania, kiedy myślałam o połknięciu tych wszystkich szarych, zielonych i żółtych książek, żeby wiedzieć wszystko, co mogłam wiedzieć.

Przytaknąłem gorliwie:

— To właśnie coś takiego, Essie.

— Ale w twoim przypadku to nie jest niemożliwe, Robinie! — ucięła ostro.
— Żuj, Robinie! Otwórz usta! Połknij je wszystkie!

Ale nie potrafiłem.

Czy też — nie chciałem. Trzymałem się kurczowo mojego fizycznego ludzkiego kształtu (choćby wyobrażonego) i moich cielesno ludzkich ograniczeń, choćby narzuconych przez samego siebie.

Rzecz jasna, od czasu do czasu zanurzałem się w tym morzu wiedzy. Ale tylko na chwilę. Podjadałem małymi kęsami, jak na ucztach. Kiedy poszukiwałem, jak moglibyście powiedzieć, jakiegoś konkretnego tomu, dostawałem się do tej książki. Trzymałem wzrok utkwiony w tym konkretnym „tomie” i ignorowałem nieskończone „półki” z „książkami” dookoła.

Czy raczej — wzywałem mój orszak mędrców.

Właśnie tak postępowali królowie. Dysponowałem wszelkimi prerogatywami króla. Czyniłem to, co czynili królowie. Kiedy chcieli się dowiedzieć czegoś o kontrapunkcie, posyłali po Salieriego. Gdy zainteresowali się datą najbliższego zaćmienia, przybiegał Tycho de Brahe. Trzymali w zasięgu ręki olbrzymi orszak filozofów, alchemików, matematyków i teologów. Taki na przykład dwór Fryderyka Wielkiego był prawie odwróconym do góry nogami uniwersytetem. Była tam kadra naukowa ze wszystkich dyscyplin, które tylko mógł utrzymywać i brać studencka, składająca się z jednej osoby. Króla.

Ponieważ byłem bardziej królewski, niż jakikolwiek król, który kiedykolwiek żył, mogłem sobie pozwolić na coś znacznie lepszego. Mogłem sobie pozwolić na każdy autorytet z każdej dziedziny. Byli dość tani, bo nie musiałem ich karmić ani utrzymywać ich kochanek, a wszyscy zostali włączeni do jednego wielozadaniowego programu do wyszukiwania danych, Alberta Einsteina.

Kiedy więc poskarżyłem się Essie:

— Szkoda, że nie rozumiem, o co chodzi w tym całym gadaniu o kurczeniu się wszechświata — po prostu patrzyła na mnie przez chwilę.

Następnie powiedziała:

— Ha.

— Nie, ja naprawdę nie rozumiem — powiedziałem jej i rzeczywiście tak było.

— Spytaj Alberta — zaproponowała radośnie.

— Och, diabli! Wiedz, co to znaczy. On powie mi wszystko, co chciałbym wiedzieć, tylko że będzie gadał dalej, aż powie mi znacznie więcej niż chciałbym wiedzieć.

— Robin, kochanie — rzekła — a nie jest przypadkiem tak, że Albert wie lepiej od ciebie, kiedy przestać?

— Ach, diabli — odparłem.

Kiedy jednak tak stałem z Albertem w ponurym metalowym tunelu (symulowanych) doków asteroidu, miałem wrażenie, że czas wreszcie nadszedł. Nie mogłem już nic na to poradzić.

Odezwałem się:

— Dobrze, Albercie. Otwórz mi głowę. Wrzuć do niej wszystko. Chyba potrafię to znieść, skoro ty mogłeś.

Obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

— To nie będzie aż tak straszne — obiecał, a potem poprawił się: — Ale nie będzie też cudowne. Przyznaję, że to będzie ciężka praca. Może... — Rozejrzał się dookoła. — Może powinniśmy zacząć od usadowienia się jakoś wygodnie. Pan pozwoli?

Oczywiście nie czekał na moje pozwolenie. Po prostu zrobił, co miał zrobić, otaczając nas dekoracjami, przedstawiającymi gabinet w naszym domu nad Morzem Tappajskim. Zacząłem się odprężać. Klasnąłem w ręce, by przywołać kamerbota i zażądałem drinka, po czym wygodnie się rozsiadłem. Albert obserwował mnie w dziwny sposób, ale nie powiedział ani słowa, zanim się do niego nie odezwałem:

— Jestem gotów.

Usiadł, pykając z fajeczki i nie spuszczał ze mnie wzroku.

— A tak konkretnie, to na co?

— Na to, żebyś mi powiedział o tych wszystkich rzeczach, na co czekasz już przez jakiś milion lat.

— Ach, Robinie, tak — uśmiechnął się — tylko że jest ich tak dużo! Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej? O jakich to rzeczach konkretnie mam ci opowiedzieć?

— Chcę wiedzieć, jakie korzyści odniesie Wróg ze zwinięcia wszechświata.

Albert zastanowił się nad tym przez chwilę. Następnie westchnął.

— Och, Robinie — rzekł głosem pełnym troski.

— Nie — odparłem — żadne „Och, Robinie”, żadnego gadania, że powinienem być zrobić to już dawno temu, żadnego wyjaśniania, że powinienem najpierw opanować mechanikę kwantową, albo coś innego, bo bez tego nie zrozumieć. Chcę się dowiedzieć teraz.

— Nielatwo żyć z takim szefem jak ty, Robinie — poskarżył się.

— No dalej! Proszę.

Zamilkł na chwilę, by pomyśleć i ubijał tytoń w fajce.

— Chyba powinienem podać kawę na ławę — rzekł — jak to już parę razy próbowałem zrobić, ale mnie nie słuchałeś.

Zebrałem się w sobie. — Znowu chcesz zaczynać z tym dziewięciowymiarowym kosmosem, prawda?

— Z tym i jeszcze z paroma innymi rzeczami, Robinie — odparł twardo. — Wszystkie się ze sobą wiążą. Bez nich odpowiedź na twoje pytanie jest bezsensowna.

— No to postaraj się, żeby była możliwie najłatwiejsza — błagałem.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Tym razem mówisz serio, prawda? Oczywiście, spróbuję to zrobić, drogi chłopcze. Wiesz co? Chyba najlepiej jak zacznę nie od opowiadania, tylko od pokazywania ci obrazków.

— Obrazków? — zamrugalem.

— Pokażę ci narodziny i śmierć wszechświata — oświadczył, zadowolony z siebie. — Właśnie o to prosileś, czyż nie?

— Tak?

— Tak. Problem polega na tym, że nie chcesz zrozumieć, jak skomplikowane pytanie mi zadałeś. To zajmie nam trochę czasu, przynajmniej kilka tysięcy milisekund, nawet jeśli postarasz się mi nie przerywać...

— Będę ci przerywał, kiedy tylko mi się spodoba, Albercie.

Potaknął, kiwając głową.

— Tak, w to nie wątpię. Jest to jeden z powodów, dla których to zajmie aż tyle czasu. Jeśli jednak chcesz, by tyle to trwało...

— Och, na Boga, zróbmy to wreszcie!

— Ale ja już to robię, Robinie. Chwileczkę. Przygotowanie pokazu wymaga trochę pracy. No i już — zakończył rozpromieniony.

A potem znikł. Uśmiech i cała reszta.

* * *

Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, był uśmiech Alberta. Wisiał w powietrzu przez chwilę, a potem nie było tam już nic.

— Bawisz się ze mną w Alicję w Krainie Czarów — rzuciłem oskarżycielskim tonem pod niczym adresem, bo nie było nikogo i nic, co można by zobaczyć, poczuć, powąchać czy polizać.

Wreszcie udało mi się coś usłyszeć, gdyż uspokajający głos Alberta rzekł:

— Tylko po to, żeby zacząć od czegoś zabawnego, Robinie, bo potem robi się strasznie poważnie. Już. Co widzisz?

— Nic — odparłem.

— Zgadza się. Nic nie widzisz. Ale patrzysz na wszystko. To cały wszechświat, Robinie. To cała materia, energia, czas i przestrzeń, która kiedykolwiek by-

ła albo będzie. To praatom, Robinie, jednolita struktura, właśnie to, co wybuchło podczas Wielkiego Wybuchu.

— Do licha, nic nie widzę!

— Oczywiście, że nie. Nie można niczego zobaczyć bez światła, a światło jeszcze nie powstało.

— Albercie — rzekłem — wyświadcz mi przysługę. Nienawidzę tego uczucia — być nigdzie. Nie możesz mi pozwolić zobaczyć choć trochę czegoś?

Przez chwilę trwała cisza. Następnie znów wyłoniła się niematerialna uśmiechnięta twarz Alberta.

— Chyba nie będzie większego problemu, jeśli będziemy widzieć siebie nawzajem — przyznał. — Czy tak lepiej?

— O niebo lepiej.

— Dobrze. Tylko pamiętaj, proszę, że jeszcze nie ma czegoś takiego jak światło. Nie ma światła bez fotonów, a fotony są ciągle w tym jednym, niewidzialnym punkcie. Nie tylko zresztą to — mówił dalej, najwyraźniej świetnie się bawiąc — gdybyś nawet mógł coś zobaczyć, nie miałbyś skąd tego zobaczyć, bo nie istnieje jeszcze żadna przestrzeń, w której można by się znajdować. Przestrzeń też jeszcze nie powstała — czy może, ujmując rzecz bardziej precyzyjnie, cała przestrzeń, całe światło, i wszystko inne, znajdują się tutaj w tym pojedynczym punkcie.

— W takim razie — rzekłem nadąsany — co masz na myśli mówiąc „tutaj”?

— Och, Robinie — wykrzyknął z zachwytem — ty w końcu wcale nie jesteś taki głupi! To naprawdę dobre pytanie — niestety, jak większość najlepszych pytań, pozbawione znaczenia. Odpowiedź brzmi: pytanie jest niewłaściwe. Tutaj nie ma żadnego „tutaj”; jest tylko wrażenie „tutaj”, bo próbuję ci pokazać coś, czego z definicji pokazać się nie da.

Zaczynałem tracić cierpliwość.

— Albercie — rzekłem — jeśli tak ma wyglądać to całe przedstawienie...

— Poczekaj, nie tak szybko — zarządził. — Nie wychodź jeszcze. Przedstawienie jeszcze się nie zaczęło, Robinie; dopiero rozstawiam dekoracje. Aby zrozumieć powstanie wszechświata, musisz odrzucić wszelkie pierwotne koncepcje „czasu”, „przestrzeni” i „postrzegania”. Żadna z nich wówczas nie istniała, te jakieś osiemnaście miliardów lat temu.

— Jeśli czas wtedy też nie istniał — podsunąłem sprytnie — to skąd wiesz, że to było osiemnaście miliardów lat temu?

— Następne świetne pytanie! I równie świetna, taka sama odpowiedź. To prawda, że przed Wielkim Wybuchem nie było czegoś takiego jak czas. Więc to, na co patrzysz, mogło stać się osiemnaście miliardów lat temu. Mogło też wydarzyć się osiemnaście miliardów bilionów trylionów kwadrylionów kwintylionów, co tam jeszcze chcesz lat temu. Pytanie jest pozbawione sensu. Ale ten... obiekt... istniał naprawdę, Robinie, i eksplodował.

Cofnąłem się gwałtownie. Faktycznie eksplodował, na moich oczach! Nic stało się nagle czymś, punktem nieznośnie jasnego światła, i ten punkt eksplodował.

Wyglądało to, jakby na kolanach wybuchła mi bomba wodorowa. Prawie czułem, jak się kurczę, paruję, zamieniam w plazmę i rozpraszam. Potężny grzmot wdarł się do moich nie istniejących uszu i uderzył w moje bezcielesne ciało.

— Mój Boże! — wrzasnąłem.

— Okrzyk dość na miejscu — rzekł z namysłem Albert, najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność. — To znaczy, nie w sensie osobowego bóstwa, ale niewątpliwie mamy tu do czynienia ze Stworzeniem, a właśnie to nastąpiło.

— Co się stało?

— Nastąpił Wielki Wybuch — wyjaśnił Albert, nieco zaskoczony. — Właśnie go zobaczyłeś. Tak zaczął się wszechświat.

— Tak się też skończył — rzekłem, zaczynając przychodzić do siebie, gdyż Wielki Wybuch zamarł.

— Ja go zatrzymałem, tak, gdyż chciałem, byś zobaczył ten punkt. Wszechświat nie jest jeszcze bardzo stary — ma jakieś dziesięć do minus trzydziestej sekundy. Nie potrafię wiele powiedzieć o tym, co działo się wcześniej, gdyż o tym za wiele nie wiem. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak duży jest ten wszechświat, albo co istniało przed nim. Prawdopodobnie jest większy niż proton. Raczej mniejszy niż piłka do tenisa stołowego. Mogę zaś powiedzieć — jak mi się wydaje — że dominującą siłą była prawdopodobnie potężna siła nuklearna, czy może grawitacja. Ponieważ był zwarty, grawitacja musiała być wysoka. Bardzo wysoka. To samo dotyczy temperatury. Nie wiem dokładnie, jak była wysoka. Pewnie tak wysoka, jak to tylko możliwe. Jest jakiś teoretyczny powód pozwalający nam sądzić, że największa możliwa temperatura wynosi coś dziesięć do dwunastej kelwina — mogę przedstawić ci całe rozumowanie, jeśli chcesz. . .

— Tylko absolutnie niezbędne informacje!

— Nie sądzę — odparł z niechęcią, — by ten akurat punkt był absolutnie niezbędny. Dobrze. Pozwól, poinformuję, o czym jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę ci nic powiedzieć o stadium, na które teraz patrzysz, mogę co najwyżej podkreślić parę rzeczy, które mogą być dla ciebie niezbyt oczywiste. Na przykład: fala ognia, na którą teraz patrzysz, zawiera wszystko. Zawiera cząstki i atomy, z których składasz się ty, i ja, i „Prawdziwa Miłość”, i Krąg Obserwacyjny, i Ziemia, i Słońce, i planeta Jowisz, i Obłok Magellana i wszystkie galaktyki w skupisku Panny, i. . .

— I wszystko inne, dobrze — rzekłem, żeby go powstrzymać. — Już łapię. To jest duże.

— Ach — rzeki zadowolony — widzisz, wcale nie. To nie jest duże. Pozwoliłem sobie skorzystać z paru możliwości. Powiększyłem go, i to znacznie, bo Wielki Wybuch wcale nie był wielki. Jak duża jest twoim zdaniem ta kula ognio-wa?

— Skąd mam wiedzieć? Tysiąc lat świetlnych średnicy?

Potrząsnął głową i rzekł z namysłem:

— Nie sądzę. Mniejsza. Może przed Wielkim Wybuchem to w ogóle nie miało rozmiaru, bo przestrzeń jeszcze nie istniała, a dużo się jeszcze nie zmieniło. Ale zdecydowanie jest mała. A jednak coś zawiera. Nadażasz za mną?

Ograniczyłem się do rzucenia mu spojrzenia, a on złągodniał.

— Wiem, że to jest dla ciebie okropne, Robinie, ale wolałem się upewnić, że rozumiesz. A teraz, przejdźmy do samego „wybuchu”. To oczywiste, że nie było żadnego dźwięku. Nie było żadnego ośrodka zdolnego do przenoszenia dźwięku. Jeśli już o tym mówimy, to nie było żadnego miejsca, do którego można by przenieść ten dźwięk; to kolejna dowolność, z której pozwoliłem sobie skorzystać. Co ważniejsze, Wielki Wybuch nie był jakimś rodzajem eksplozji, która zaczyna się od petardy i rozprzestrzenia się w powietrzu w miarę rozszerzania się gazów, bo...

— Bo nie było jeszcze powietrza, tak? Czy nawet przestrzeni?

— Bardzo dobrze, Robinie! Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego ten wybuch był tak odmienny od wszystkich innych wybuchów. Nie rozszerzył się jak balon albo chemiczna, czy nuklearna eksplozja. To było coś całkowicie odmiennego. Widziałeś te pływające japońskie cacka, które wkłada się do akwarium? Rozszerzają się, kiedy nasiąkają wodą. To było coś w tym rodzaju, Robinie. Wszelako to coś, co wpełzało między cząsteczki pierwotnej materii — rzeczy — czy jak tam chciałbyś to nazwać, tym czymś nie była woda. To była przestrzeń. Wszechświat nie eksplodował. Napęczniał. Bardzo szybko i bardzo daleko, i nadal to robi.

— Och — odparłem.

Albert spojrzał na mnie badawczo. Następnie westchnął, a wybuch zaczął się rozprzestrzeniać dalej.

Otoczał nas. Pomyślałem, że zaraz nas połknie. Tak się jednak nie stało, ale zalało nas morze upiornego światła. Z jego środka dochodził głos Alberta.

— Teraz cofnę nas o jakieś parę lat świetlnych — oświadczył. — Nie wiem dokładnie ile, na tyle daleko, żebyśmy mogli obserwować wszystko z odpowiedniej odległości. — Wielka kula ognia skurczyła się i oddaliła od nas, aż stała się nie większa niż Księżyc w pełni.

— Zobacz, wszechświat jest już dość stary — powiedział. — Ma jakąś setną część sekundy. Jest gorący. Ma temperaturę rzędu dziesięć do jedenastej kelwina i jest bardzo gęsty. Nie mam na myśli gęstości w takim sensie, w jakim gęsta jest materia. Nie było jeszcze materii. Był na to za gęsty. Wszechświat był masą elektronów, pozytonów, neutronów i fotonów. Jego gęstość była mniej więcej cztery razy dziesięć do dziewiętej razy większa od gęstości wody. Wiesz, co to oznacza?

— Chyba wiem, jaka gęsta jest ta gęstość, ale jak gorące jest gorąco?

Albert odezwał się z namysłem:

— Nie ma dobrego sposobu na wyrażenie tego, bo nie ma nic tak gorącego, by można było to z czymś porównać. Teraz muszę użyć jednego z określeń, których nienawidzisz. Brzmi ono: „Równowaga termiczna”.

— Albercie, proszę — zacząłem mówić.

— Nie, posłuchaj mnie — warknął. — To tylko oznacza, że te wszystkie cząstki oddziaływały na siebie i zmieniały się. Wyobraź je sobie jako miliard trylionów wyłączników światła, które cały czas losowo się włączają i wyłączają. Za każdym razem jednak, kiedy tyle samo jest włączonych co wyłączonych, ogólna równowaga jest zachowana; to jest właśnie ekwilibrium. To nie były wyłączniki światła, to oczywiste. Były to elektrony i pozytony, anihilujące się wzajemnie, z czego powstawały neutrina i fotony, i tak dalej; tyle samo jednak było zdarzeń w obu tych grupach. Ich skutkiem była równowaga. Nawet mimo tego, że wewnątrz tego stanu równowagi wszystko zderzało się ze sobą jak oszalałe.

— Chyba tak, Albercie — odparłem — ale strasznie dużo czasu zajmuje ci opowiadanie o pierwszej setnej sekundy; jak ty chcesz dotrzeć do osiemnastu miliardów lat?

— Och — rzekł — dotrzemy znacznie dalej. Nie uprzedzaj faktów, Robinie. No to jedziemy. — Odległa kula ognia rozszerzyła się. — Jedna dziesiąta sekundy. Teraz temperatura spadła już do trzy razy dziesięć do dziesiątej kelwina. Jedna sekunda, spadła o kolejne trzy rzędy wielkości. A teraz — poczekaj — przerwę na chwilę. To czternaście sekund po Wielkim Wybuchu. Ochłodził się o kolejne trzy rzędy wielkości; ma teraz temperaturę wynoszącą zaledwie trzy razy dziesięć do dziewiątej kelwina. Oznacza to, że stan równowagi zostanie na chwilę zachwiany, bo elektrony i pozytony mogą teraz anihilować szybciej, niż są odtwarzane w reakcji odwrotnej. Do tego punktu jeszcze wrócimy, gdyż właśnie tu kryje się odpowiedź na twoje pytanie, Robinie.

— Dobrze — rzekłem tak grzecznie, jak tylko potrafiłem — jeśli nie sprawi ci to różnicy, dlaczego nie odpowiesz mi teraz i nie odpuścimy sobie reszty tej zabawy?

— Sprawia mi to różnicę — odparł twardo — gdyż nie zrozumiałbyś. Trochę jednak przyspieszymy. Oto wszechświat parę minut po wybuchu. Temperatura znów spadła o dwie trzecie; wynosi zaledwie dziesięć do dziewiątej kelwina. Jest tak chłodny, że istnieją już prawdziwe protony i neutrony — a nawet zaczęły łączyć się w jądra wodoru i tlenu. Prawdziwa materia! No, prawie — są tylko jądra, nie ma całych atomów. I cała ta tak zwana materia to zaledwie malutki ułamek masy całego wszechświata. Większość z tego to światło i neutrina. Mamy trochę elektronów, ale prawie żadnych pozytonów.

— Jak to się stało — spytałem, zaskoczony. — Co się stało z tymi wszystkimi pozytonami?

— W pierwszej partii było więcej elektronów niż pozytonów. Kiedy więc zaczęły anihilować, zostało więcej elektronów.

— Dlaczego?

— Ach, Robinie — odparł poważnie — i to jest właśnie najlepsze pytanie. Podam ci odpowiedź, ale nie sądzę, byś ją zrozumiał: ponieważ elektrony i pozytony, a jeśli już o to chodzi, to wszystkie cząstki, są jedynie harmoniką zamkniętych strun, utworzone ilości są całkowicie losowe. Czy chcesz, bym zagłębił się w teorię super strun? Nie sądzę. Zapamiętaj tylko słowo „losowy” i będziemy opowiadali dalej.

— Zaczekaj, Albercie — rzekłem. — Gdzie teraz jesteśmy?

— Jakież dwieście sekund od Wielkiego Wybuchu.

— Aha — odparłem. — Albercie? Nadal mamy do pokonania miliardy lat. . .

— Więcej, Robinie. Znacznie więcej.

— Och, cudownie. I przebrnięcie przez parę minut zajęło nam tak dużo czasu, więc chyba. . .

— Robinie — odrzekł — możesz odwołać pokaz kiedy tylko zechcesz, ale jak wtedy mógłbym odpowiedzieć na te wszystkie pytania, które na pewno będziesz bez przerwy zadawał? Możemy zrobić sobie przerwę, jeśli chcesz spędzić chwilę na przyswajaniu sobie tego wszystkiego. Albo — i chyba tak będzie lepiej — trochę przyspieszę.

— Taa — odparłem, gapiąc się bez specjalnej przyjemności na mglistą, oślepiającą sferę zawierającą wszystko, co istniało.

Wcale nie chciałem zrobić sobie przerwy. Chciałem tylko, żeby to się już skończyło.

Przyznaję, że Albert zawsze wie, co jest dla mnie dobre. Ale nie rozumie tego, że „dobre” jest pojęciem abstrakcyjnym i bardzo często się zdarza, że coś dobrego dla mnie wcale nie jest tym, czego chcę. Prawie zacząłem żałować, że to wszystko wyciągnąłem, gdyż przestałem się już dobrze bawić.

Wiedziałem więc doskonale, która z trzech możliwości Alberta najbardziej mi się podoba. Najbardziej chciałbym pierwszą, bo byłem już naprawdę zmęczony tym gorącym i ciśnieniem, a przede wszystkim siedzeniem pośrodku pustki. Drugi wybór mógłby sprowadzić się do spędzenia paru chwil relaksu z Essie.

Wybrałem więc trzecią możliwość.

— To może trochę przyspieszmy, dobrze, Albercie?

— Jasne, Robinie. No to jedziemy. — Kula groźnie napęczniała. Ale nadal nie było nic poza nią. Nie było żadnych gwiazd, planet, czy nawet grudek w budyniu; była tylko nieuporządkowana masa czegoś nienazwanego, bardzo jasna. Muszę jednak przyznać, że była nieco mniej oślepiająca niż wcześniej.

— A teraz zrobiliśmy spory skok do przodu — oświadczył radośnie Albert. — Minęło jakieś pół miliona lat. Temperatura bardzo spadła. Wynosi jakieś cztery tysiące kelwinów — jest mnóstwo gwiazd, które są jeszcze bardziej gorące, ale oczywiście nie mówimy tu o wyizolowanych punktach cieplnych, ale o średniej temperaturze całego układu. Zauważyłeś, nie jest już aż tak jasny? Aż do tej

chwili, Robinie, wszechświat był zdominowany przez radiację. Oznacza, to, że dominowały w nim fotony. Teraz jest zdominowany przez materię.

— Bo nie ma już tyle fotonów, prawda?

— To nieprawda, obawiam się — rzekł Albert przepraszającym tonem. — Nadal jest mnóstwo fotonów, ale ogólna temperatura jest niższa, co oznacza, że średnia energia przypadająca na jeden foton jest niższa. Masa jest zatem mniejsza. Od tego momentu we wszechświecie dominuje masa i... oto właśnie widać...

— Kula napęczniała i pociemniała. — Teraz minęło już następne parę tysięcy lat i temperatura spadła o kolejny tysiąc stopni. Dzieje się to zgodnie z prawem Weinberga: „Czas, jaki jest potrzebny na ostudzenie wszechświata z jednej temperatury do drugiej jest proporcjonalny do różnicy odwrotności kwadratów temperatur.” Nie sądzę, byś rzeczywiście musiał to zrozumieć, Robinie — dodał melancholijnie — choć jest gotowa zgrabna demonstracja w dziesięciowymiarowej supersymetrii...

— Daj spokój, Albercie! Dlaczego to draństwo jest takie ciemne?

— Ach — rzekł zadowolony — to ciekawa uwaga. Jest tam tak dużo cząstek atomowych i przypominających elektrony, że zaczynają zaciemniać światło. Wszechświat stał się więc nieprzezroczysty. Ale to się zmieni. Aż do teraz mieliśmy elektrony i protony, ale wszechświat był tak gorący, że ten stan się utrzymywał. Mieliśmy swobodne cząstki. Nie mogły się łączyć. Czy może raczej, cały czas się łączyły, próbując utworzyć atomy, ale ciepło je odpychało. A teraz zrobimy zbliżenie... — Kula powiększyła się znowu i nagle pojaśniała — i nagle, spójrz tylko, Robinie! Mieszanina się oczyściła! Światło przez nią przechodzi! Elektrony i protony połączyły się w atomy i fotony mogą się znów swobodnie przemieszczać!

Zamilkł. Jego zwykle mroczna twarz jaśniała czystą przyjemnością.

Myślałem intensywnie przez chwilę, gapiąc się na kulę. Wyglądało na to, że coś tam widać — nie, żadna prawdziwa struktura, ale przynajmniej pewne sugestie, że może coś się dzieje w środku, jak Uran widziany z daleka.

— Albercie? — zwróciłem się do niego. — Wszystko świetnie, ale patrz, mamy nadal mnóstwo fotonów, prawda? Czemu się więc nie zderzają, co dałoby cząstki i cała kula nie stała się znów nieprzejrzysta?

— Och, Robinie — rzekł z uczuciem — czasem wydaje mi się, że koniec końców wcale nie jesteś taki głupi. Podam ci odpowiedź. Pamiętasz moje słynne e równa się em ce kwadrat? Fotony mają energię, e . Jeśli dwa z nich zderzą się i ich łączna energia równa się masie dowolnej cząstki, m , razy kwadrat prędkości światła, mogą zderzając się utworzyć tę cząstkę. Kiedy wszechświat był młody — temperatura progowa wynosi jakieś dziesięć do dziesiątej stopnia kelwina — miały mnóstwo energii i mogły tworzyć diabelnie wielkie cząstki. Ale ochłodził się i teraz nie mogą. Już nie mają takiej energii, Robinie.

— O rany — odparłem. — Wiesz co? Mam prawie złudzenie, że jestem bliski zrozumienia!

— No, nie musisz się tak deprecjonować — skarcił mnie, to znaczy, że powinienem jemu zostawić tę przyjemność. Milczał przez chwilę, po czym zaczął marudzić: — Nie powiedziałem ci jeszcze o powstaniu kwarków i hadronów. Nie powiedziałem ci jeszcze nic o przyspieszeniu, a to jest ważne. Widzisz, żeby ten model mógł działać, musimy jakoś wyjaśnić fakt, że w pewnym punkcie ekspansja wszechświata przyspieszyła. Podam ci analogię. To tak, jakbyś przez jakiś czas utrzymał tempo eksplozji, więc zamiast zwalniać, wszechświat by przyspieszał. Prawdziwe wyjaśnienie jest bardziej skomplikowane...

— Albercie! Czy ja muszę o tym wiedzieć?

— Tak naprawdę, to nie, Robinie — odparł po chwili. Mówił nieco rozzalonym tonem, ale nie nalegał.

— Czemu więc nie zrobimy kolejnego ruchu kamerą?

— Właściwie możemy.

Chyba każdy chłopczyk uwielbia bawić się kolejkami elektrycznymi. Obserwowanie, jak rośnie podany przez Alberta model wszechświata było jak bawienie się największym zestawem kolejek elektrycznych, jaki można sobie wyobrazić.

Pewnie, uruchomić ich nie mogłem. Ale już samo obserwowanie zapewniało świetną zabawę. Kula kłębiła się, wirowała i zaczęła się rozpadać. Nasza „kamera” zrobiła najazd na jedną smugę w tym roju i zobaczyłem, że również i ona zaczyna się rozpadać na mniejsze bąble. Tworzyły się skupiska i metagalaktyki, a prawdziwe galaktyki zaczęły się obracać, tworząc znajome spiralne formy. Poszczególne punkty światła zapalały się i gasły; w środku chmur gazów tworzyły się nowe.

— Mamy już prawdziwe gwiazdy, Robinie — ogłosił Albert zza moich pleców. — To pierwsza generacja. Chmury wodoru oraz helu zderzają się, kurczą i w ich wnętrzu zaczyna się fuzja nuklearna. Tam właśnie gotują się te wszystkie cięższe pierwiastki, z których składało się kiedyś twoje ciało: węgiel, azot, tlen, żelazo, wszystkie pierwiastki powyżej helu. Następnie wybuchają jako supernowe — wskazał na jedną z gwiazd, a ona posłusznie eksplodowała kaskadą światła — wszystkie te pierwiastki unosiły się swobodnie w przestrzeni, aż zaczęły skupiać się, tworząc kolejną gwiazdę i jej planety. A następnie utworzyły inne rzeczy. Na przykład ciebie, Robinie.

Wydałem z siebie okrzyk.

— Chcesz powiedzieć, że wszystkie te atomy, z których się składam, były kiedyś w jądrze gwiazdy?

— Te, z których było zbudowane twoje fizyczne ciało — poprawił mnie. — Tak, Robinie. W istocie, cała nasza Galaktyka teraz tam jest. Zobaczmy, czy potrafimy ją znaleźć.

Zatrzymał rozszerzającą się chmurę, bym mógł się rozejrzeć.

— One wszystkie wyglądają podobnie — poskarżyłem się.
— Rzeczywiście, większość z nich wygląda dość podobnie — przyznał. — Ale tu jest M-31, a tam Obłok Magellana. A ta spirala, to oczywiście my.
Wskazywał na rozjarzony wir światła, otoczony przez inne świetliste plamki w olbrzymiej, cienko rozsmarowanej ciemności.
— Nie widzę tam nigdzie ciebie ani mnie — rzekłem, próbując zażartować.
Wziął to na serio. Zakąsał.
— Obawiam się, że poleciałem trochę za daleko — rzekł przeproszającym tonem. — Cała historia ludzkości, także tworzenie się Układu Słonecznego i rozszerzanie się Słońca do stadium czerwonego olbrzyma, już przeminęły. Przegapiłeś je.
Odwróciłem się, by spojrzeć w jego mroczną twarz.
— Nie wiem, czy chcę o tym usłyszeć — odparłem i właśnie to miałem na myśli.
Popatrzył na mnie karcąco.
— Ale to tylko rzeczywistość, Robinie — powiedział. — To prawda, czy chcesz o tym wiedzieć czy nie. Wydaje mi się, że w pewnym sensie może to zachwiać twoim wyobrażeniem o tym, ile znaczymy dla całego wszechświata. . .
— No pewnie, że tak!
— Cóż — odparł — nic w tym złego. Ale nie załamuj się. Pamiętaj, że właśnie to wszystko próbuje zmienić Wróg.
— Och, wspaniale! Czy przez to mam się poczuć lepiej?
Przyglądał mi się badawczo przez chwilę.
— Nie, nie lepiej, nie o to chodzi. Raczej bliżej rzeczywistości. Pamiętaj w końcu, że ty i ja, i cała reszta zapisanych maszynowo osobowości, ma zawsze dwie opcje. Możemy pozwolić Wrogowi dalej robić to, co robi. Możemy także mu się przeciwstawić.
— A tak dokładniej, jak niby mielibyśmy to zrobić?
Spojrzał z namysłem na zastygły w bezruchu model.
— Czy mam uruchomić model?
— Zmieniasz temat!
— Wiem, że zmieniam, Robinie. Uruchomię model. Może kiedy zrozumiesz, z czym się to wiąże, zbliżymy się do rozwiązania całego problemu. A może nie. Może nie uda się go rozwiązać; w każdym razie jednak nie wydaje mi się, abyśmy my, czy ktokolwiek inny, mieli jakikolwiek wybór poza podjęciem próby; nie mając zaś odpowiedniej wiedzy nie warto nawet próbować.
— Ale ja się boję!
— Byłbyś szalony, gdybyś się nie bał, Robinie. A teraz, chcesz zobaczyć, co się stanie później, czy nie?
— Nie wiem, czy chcę!

Rzeczywiście tak było. Czułem, że zaczynam się coraz bardziej denerwować. Spojrzałem na cętkowany blask, który kiedyś zawierał mnie i Essie, Klarę, wszystkich faraonów i królów, zbawicieli i łotrów, badaczy z rasy Heechów, śpiewaków z rasy Przymulonych, dinozaury i trylobity — kiedyś wszystkie tam istniały, by zniknąć; i nie istniały już od bardzo, bardzo dawna, przeminęły tak dawno temu, jak narodziny Słońca.

Białem się, no dobrze. To wszystko mnie przerastało.

Czułem się coraz mniejszy, coraz bardziej bezradny i nierzeczywisty, bardziej, niż kiedykolwiek czułem się w życiu. W każdym moim życiu. To było coś gorszego, niż umieranie, coś gorszego niż bycie poszerzonym. To na pewno było coś przerażającego, ale kiedyś była przed tym jakaś przyszłość.

A teraz przyszłość była przeszłością. Przypominało to patrzenie na własny grób.

Albert odezwał się niecierpliwie:

— Jednak chcesz to zobaczyć. Będę kontynuował.

Galaktyka wirowała jak bąk. Wiedziałem, że taki obrót trwa jakieś ćwierć miliarda lat, ale tu wirowała szaleńczo i działa się coś jeszcze. Otaczające ją galaktyki zaczęły się oddalać.

— Rozszerzają się — wrzasnąłem.

— Tak — zgodził się ze mną Albert. — Wszechświat się rozszerza. Nie może utworzyć więcej materii ani energii, ale próbuje pozyskać więcej przestrzeni. Wszystkie elementy oddalają się od siebie.

— Ale gwiazdy Galaktyki tego nie robią.

— Jeszcze nie. Czy może raczej: niezupełnie. Popatrz tylko: zbliżamy się do setki miliardów lat w przyszłości.

Galaktyka wirowała jeszcze szybciej, tak, że nie byłem już w stanie dostrzec tego ruchu, widziałem jedynie mgłę. Widziałem, że nawet Grupa Lokalna zaczyna znikać z pola widzenia.

— Zatrzymam się tu na chwilę — rzeki Albert. — O, właśnie. Zauważyłeś, co się stało z naszą Galaktyką?

— Ktoś wyłączył całe mnóstwo gwiazd.

— Otóż to. Zgadza się, jest ciemniejsza. A gwiazdy wyłączył czas. Zestarzały się. Obumarły. Zauważ, że Galaktyka ma teraz kolor czerwony, a nie biały. Duże białe gwiazdy umierają wcześniej; czerwone powoli. Nawet małe gwiazdy typu F i G, żółte karły, nie większe niż nasze własne Słońce, spaliły już całe swoje paliwo jądrowe. Ciemne czerwone gwiazdy też zaraz zgasną. Popatrz.

Powoli, powoli... nasza Galaktyka gasła.

Nie było już widać nic poza cienistymi obrysami domniemanych ciał niebieskich i domniemaną twarzą Alberta. Przyglądającą się. Zamyśloną.

Jakie to smutne.

Jeśli o mnie chodzi, to „smutne” nie było może najlepszym słowem. Wszystko, co kiedykolwiek mi się przydarzyło, każdy bezkształtny strach, który nie pozwalał mi spać w nocy — to wszystko było niczym.

Patrzyłem na Koniec.

A przynajmniej tak czułem i myślałem, a wszystkie ludzkie troski w porównaniu z tym wydały się nieistotne; kiedy jednak spytałem:

— Czy to już koniec wszechświata? — Albert wyglądał na zdziwionego.

— Och, nie, Robinie — odparł — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Ale tam już nic nie ma!

Potrząsnął siwą głową.

— Mylisz się. Wszystko nadal tam jest. Zestarzało się, gwiazdy obumarły, zgadza się. Ale są tam. Mają nawet planety — a przynajmniej większość z nich. Planety są oczywiście martwe. Ich temperatura nie jest wiele wyższa od zera absolutnego; nie ma tam już życia, jeśli o to ci chodzi.

— Właśnie o to mi chodzi!

— Tak, Robinie — rzekł cierpliwie — ale to tylko twój antropocentryczny punkt widzenia. Wszechświat ochładzał się w miarę, jak zdobywał przestrzeń, rozszerzając się. Ale jest martwy. I będzie martwy już na zawsze... chyba że...

— Chyba, że co? — warknąłem.

Albert westchnął.

— Zróbmy sobie chwilę odpoczynku — zaproponował.

Zamrugalem i znów znalazłem się w swoim świecie.

Przerazająca ciemność przestała nas otaczać. Siedziałem na werandzie mojego domu nad Morzem Tappajskim, z nie dokończonym drinkiem w dłoni, a Albert spokojnie rozpalając fajkę i siedząc w wiklinowym fotelu.

— Mój Boże — rzekłem słabo.

Ograniczył się do pokiwania głową, głęboko zamyślony. Skończyłem drinka jednym łykiem i zażądałem następnego.

Albert odezwał się, przerywając swe rozmarzenie:

— Właśnie tak by było, gdyby powstrzymać kosmos przed rozszerzaniem się.

— To straszne!

— Tak — zgodził się ze mną — to jest straszne również dla mnie. — Potarł drewnianą kuchenną zapalniczkę o podeszwę swojego znoszonego buta i pyknął z fajki. — Powinienem cię powiadomić, że ten pokaz zajął mi trochę więcej czasu niż planowałem. Jesteśmy prawie gotowi do cumowania do satelity Wspólnej Obserwacji Asasynów. Gdybyś chciał przyjrzeć się bliżej...

— To może poczekać — warknąłem. — Pokazałeś mi tak dużo, a co z resztą? Co to wszystko ma wspólnego z Wrogiem?

— Ach, tak — rzekł z namysłem. — Wróg.

Przez chwilę robił wrażenie pogrążonego w myślach, ssał ustnik fajki i gapił się tępo w przestrzeń. Kiedy przemówił, wyglądało to, jakbyśmy rozmawiali o czymś zupełnie innym.

— Wiesz — powiedział — kiedy jeszcze byłem... żywy... toczyła się wielka kłótnia między kosmologami, o to, czy wszechświat będzie się dalej rozszerzał, tak jak ci pokazałem, czy rozszerzy się tylko do pewnego punktu, a potem cofnie, jak woda w fontannie. Rozumiesz, że tak naprawdę zależy to od gęstości wszechświata?

— Tak sędzę — odparłem, próbując nadażyć za tym, co do mnie mówi.

— Tego możesz być pewien — rzekł ostro. — To podwaliny całej tej dyskusji. Czy we wszechświecie znajduje się wystarczająca ilość energii, by jej połączona grawitacja powstrzymała rozszerzanie się, by następnie mógł się skurczyć. Jeśli nie, tak się nie stanie. Wtedy będzie rozszerzać się w nieskończoność, jak widziałeś.

— Widziałem, Albercie.

— Tak. Cóż, gęstość krytyczna — to znaczy, łączna masa wszystkiego, co jest we wszechświecie, podzielona przez łączną objętość wszechświata — jak się okazało, wynosi około pięć razy dziesięć do minus trzydziestej potęgi gramów na centymetr sześcienny. Wyrażając się bardziej przystępnie, jest to jakiś jeden atom wodoru w przestrzeni o objętości twojego ciała.

— To niewiele, prawda?

— Niestety — westchnął — to strasznie dużo. Wszechświat nie jest aż tak gęsty. Nie ma aż tylu atomów w uśrednionej przestrzeni. Ludzie poszukiwali tej masy przez bardzo długi czas, ale nikt nie był w stanie znaleźć dość gwiazd, chmur pyłu, planet, ciał fizycznych jakiegokolwiek rodzaju, czy fotonów energii, żeby złożyły się na taką masę. To byłoby przynajmniej dziesięć razy tyle, co możemy znaleźć, by zamknąć kosmos. Może sto razy tyle. Jeszcze więcej. Nie możemy znaleźć dość masy, by wytłumaczyć zaobserwowane zachowanie galaktyk wirujących wokół jądra. To słynna „brakująca masa”. Heechowie bardzo się o to martwili, podobnie jak wielu moich kolegów... Ale teraz — rzekł poważnie — chyba już znamy rozwiązanie tej zagadki, Robinie. Pomiary współczynnika spowolnienia były właściwe. Oszacowania masy są błędne. Gdyby zostawić wszechświat w spokoju, rozszerzałby się w nieskończoność, otwarty wszechświat. Ale Wróg go zamknął.

Zmagałem się z tym wszystkim, ciągle oszołomiony tą całą historią. Dombot pojawił się z kolejną margaritą dla mnie i pociągnąłem głęboki łyk, zanim zapytałem:

— Jakim cudem im się to udało?

Wzruszył ramionami z dezaprobatą.

— Nie wiem. Mogę jedynie zgadywać, że jakoś dodali masę, ale to jedynie spekulacja; w każdym razie, nie ma to znaczenia dla twojego pytania. Mam tu na myśli twoje pierwotne pytanie; pamiętasz je jeszcze?

— Oczywiście, że pamiętam! — Potem dodałem: — To znaczy, to miało z tym coś wspólnego... och, tak! Chciałem się dowiedzieć, co Wróg może zyskać na skurczeniu wszechświata, a ty, zamiast mi odpowiedzieć, zabrałeś mnie jakiś zylion lat w przyszłość.

Rzucił mi lekko przeproszające spojrzenie — przeproszające tylko nieznacznie.

— Może trochę mnie poniosło — przyznał — ale to było ciekawe, prawda? I ma z tym pewien związek. Zaraz, przyjrzyjmy się wszechświatowi w wieku jednego trylion lat...

— Pozwól mi skończyć tego cholernego drinka, do cholery!

— Oczywiście, skończ — powiedział, co mnie uspokoiło. — Tylko ci to pokażę; możesz zostać tam, gdzie jesteś, nie będę przejmował sterowania dekoracją. Start!

Wielki prostokąt ciemności rozwinął się przede mną, zasłaniając widok na Morze Tappajskie. Żeglarze i rybacy znikli, wraz ze wzgórzami na przeciwległym brzegu, zastąpieni przez obrzydliwie znajomą czarną pustkę upstrzoną bladymi, czerwonymi punkcikami.

— Przyjrzymy się, jak będzie wyglądał wszechświat za jakiś milion milionów lat — rzekł zadowolony, wskazując ustnikiem swojej fajki.

— A czym są te małe punkty przypominające pryszcze? Niech zgadnę — czerwone karły? — spytałem sprytnie. — Bo wszystkie duże już się wypaliły? Ale dlaczego znów sięgamy w przeszłość?

— Ponieważ nawet dla Wroga wszechświat ma bardzo dużą bezwładność — wyjaśnił. — Nie może się zatrzymać na małym odcinku i zawrócić. Musi się trochę porozszerzać, zanim dodatkowe obciążenie „brakującej masy”, którą oni — jakoś — dodali, zacznie ściągać go z powrotem. Ale popatrz teraz. Znajdujemy się na granicy rozszerzania, teraz więc pokażę ci, co się stanie potem. Zobaczymy, jak wszechświat się skurczy, a ja trochę przyspieszę, żebyśmy mogli powrócić do tego punktu dość szybko. Patrz, co się stanie.

Skinąłem głową, opierając się wygodnie i sącząc drinka. Być może nierzeczywisty alkohol miał wpływ na mój nierzeczywisty metabolizm, czy może zaważył tu fakt, że siedzę w wygodnym fotelu w miłym miejscu. Tak czy inaczej, teraz nie wydawało się to wcale przerażające. Wyciągnąłem nogi i zacząłem przebierać palcami tuż przed tą wielką, czarną, kurtyną, wynurzającą się z morza, która znaaczyła postęp galaktyk, które zaczęły się kurczyć. Nie wyglądały na bardzo jasne.

— Nie ma już jasnych gwiazd? — spytałem, trochę rozczarowany.

— Nie. Skąd miałyby się wziąć? Są martwe. Ale popatrz, jak trochę przyspieszę.

Czarna kurtyna zaczęła szarzeć i rozjaśniać się, choć nie odnosiło się to do samych galaktyk. Wrzasnąłem.

— Ale światła jest więcej! Co się dzieje? Czy są jakieś gwiazdy, których nie widać?

— Nie, nie. To promieniowanie, Robinie. Robi się jaśniej z powodu przesunięcia w kierunku nadfioletu. Rozumiesz? Przez ten cały czas, kiedy wszechświat się rozszerzał, promieniowanie z odległych obiektów było przesunięte w stronę podczerwieni — dobry, stary efekt Dopplera, pamiętasz? Dlatego, że się od nas oddalały. Teraz jednak zbliżają się w naszym kierunku, bo wszechświat się kurczy. Co się więc musi wydarzyć?

— Światło przesuwa się w stronę tego końca spektrum, gdzie znajduje się nadfiolet? — zaryzykowałem.

— Doskonale, Robinie! Właśnie tak. Światło przesuwa się w stronę błękitu — daleko poza zakres widzialny. Oznacza to, że fotony mają więcej energii. Temperatura przestrzeni kosmicznej — to jest średnia temperatura wszechświata — wynosi już wiele stopni powyżej zera absolutnego i gwałtownie rośnie. Widzisz te małe ciemne kropki unoszące się razem?

— Wyglądają jak rodzynki w galaretkce.

— Tak, zgadza się, tylko że to jest to, co pozostało z galaktyk. W istocie są to olbrzymie czarne dziury. Skupiają się razem, a nawet zaczynają się zlewać. Widzisz, Robinie? Pożerają się nawzajem.

— Wszystko robi się coraz jaśniejsze — powiedziałem, zasłaniając oczy. Nie widziałem już nawet żaglówek koło brzegów obrazu; jasność sprawiła, że stały się niewidoczne.

— Och, znacznie jaśniejsze. Temperaturę tła mierzy się teraz w tysiącach stopni, jest tak gorące, jak powierzchnia Słońca. Wszystkie te stare, martwe gwiazdy, dostają szansę na drugie życie, jak zombie, bo rozgrzewa je ciepło zewnętrzne. Wiele z nich po prostu wyparowało, ale inne... popatrz! — Punkt światła popędził w naszą stronę i minął nas. To była duża, stara gwiazda, na tyle duża, że zostało jej trochę materii, którą można spalić. Ciepło znów rozpaliło jej nuklearny ogień, choć odrobinę.

Uchyliłem się przed nierzeczywistym żarem.

Albert potrząsnął fajką w moją stronę, znów odgrywając rolę wykładowcy.

— To, co zostało z gwiazd i galaktyk, teraz pędzi do siebie! Czarne dziury zlewają się, częstotliwości fotonów przesunęły się w stronę nadfioletu i dalej — temperaturę mierzy się w milionach stopni — Himmelgot! — krzyknął, a ja również wrzasnąłem, jako że cała scena zaczęła się kurczyć i rozjaśniać tak, że nie dało się już patrzeć na tę nieznośną kulę światła.

I nagle wszystko znikło.

Surferzy znów pojawili się na Morzu Tappajskim. Łagodna bryza szumiała w liściach azalii. Wzrok zaczął mi powracać.

Albert przetarł oczy.

— Powiniennem był to trochę zwolnić pod koniec, jak sądzę — rzekł z namysłem — Mógłbym zrobić to jeszcze raz... nie, pewnie, że nie. Ale pojąłeś, o co chodzi.

— Pewnie, że pojąłem — rzekłem, drżąc. — I co teraz?

— Teraz zacznij się od nowa, Robinie! Wszechświat eksploduje i powstanie na nowo, nowy i inny! — Przyjrzał się z zadumą sielankowej scenie. Następnie zwrócił się do mnie. — Wiesz co — rzekł — chyba bym się chętnie czegoś napił. Może jakieś ciemne piwo, szwajcarskie czy niemieckie?

— Zawsze mnie zdumiewasz, Albercie. — Rzekłem z powagą. Klasnąłem w dłonie, co było oczywiście zupełnie zbędne i po chwili pracobot pojawił się z wysokim, ceramicznym kuflem, przez brzeg którego przelewała się złocista pianina.

— I to właśnie Wróg próbuje zrobić, stworzyć nowy wszechświat?

— Inny wszechświat — poprawił mnie Albert, ścierając pianę z ust. Spojrzał na mnie z poczuciem winy: — Robinie? Zaniedbuj swoje obowiązki. Zbliżamy się to satelity WOA. Może chcesz dołączyć do naszych przyjaciół przy ekranach?

— Tak naprawdę, to chciałbym mieć to wszystko z głowy. Skończmy z tym! Co przez to rozumiesz, „inny wszechświat”?

Przechylił głowę.

— I tu właśnie pojawia się mój stary przyjaciel Ernst Mach — wyjaśnił. — Pamiętasz, co ci opowiadałem o pozytonach i elektronach anihilujących się nawzajem? Jak zostały tylko elektrony, bo na początku było ich więcej? Dobrze, załóżmy, że wszechświat zaczął się z identyczną liczbą jednych i drugich, więc koniec końców nie zostały już żadne elektrony? Nie byłoby też protonów ani neutronów; więc co byśmy mieli? — Potrząsnąłem głową. — Wszechświat bez materii, Robinie! Czyste promieniowanie! Nic, co mogłoby zaburzyć czy zakłócić swobodny przepływ energii — czy istot złożonych z energii!

— I tego właśnie chce wróg?

— Nie wiem — odparł. — Być może, to jedna z możliwości. Jeśli jednak Mach miał rację, są inne, poważniejsze. W tym samym punkcie rozwoju wszechświata, kiedy zdarzenia losowe wyznaczały równowagę elektronów i pozytonów...

— Jakie znowu zdarzenia losowe? — naciskałem.

— Tego też nie wiem. Wszystkie cząstki są w istocie harmoniką zamkniętych strun. Wydaje mi się, że właściwości strun mogą wytworzyć dowolny rodzaj harmoniki, jaki można sobie wyobrazić. Proszę o cierpliwość, Robinie, gdyż wiadomo ci, że mam pewien problem z koncepcją nieoznaczoności, czy też zdarzeniami losowymi — zawsze miałem z tym kłopoty w moim cielesnym życiu, jak pamiętasz. — Zamrugnął.

— Nie mrugaj! Nie rób z siebie przyjemniaczka!

— Och, dobrze. Jeśli jednak Mach miał rację, takie losowe fluktuacje wyznaczyły nie tylko równowagę cząstek, lecz także wiele innych rzeczy, jak stałe fizyczne wszechświata.

— Jak to możliwe, Albercie? To są przecież prawa.

— To są prawa wynikłe z faktów, a same fakty, jak Mach głosi, były wygenerowane losowo. Nie jestem pewien, ile „fundamentalnych” faktów jest rzeczywiście fundamentalnych w skali wszechświata — czy może, powinienem powiedzieć, wielu wszechświatów. Czy kiedyś zdarzyło ci się zadać sobie pytanie dlaczego, na przykład, stała Boltzmann wynosi zero kropka zero zero zero osiem sześć jeden siedem elektronowolta na kelwin, a nie przybiera jakiejś innej wartości?

— Nigdy nie przyszła mi do głowy taka myśl — odparłem szczerze.

Westchnął.

— Ale mnie owszem, Robinie. Powinien być jakiś powód tego, że jest to właśnie taka liczba. Mach mówi, że pewnie, jest jakiś powód, a mianowicie taki, że kiedyś na jakimś wczesnym etapie wszystko wydarzyło się właśnie tak. Faktycznie więc wszystkie stałe mogą być inne, gdyby te losowe fluktuacje ukształtowały się jeszcze inaczej.

Pociągnął kolejny łyk piwa i rozmyślał.

— Ten punkt, od którego wszystko mogło się potoczyć inaczej — Heecho wie nazwali go fazą miejsca geometrycznego gdyż stanowi przemianę fazową, jak przekształcenie się wody w lód. Właśnie wtedy wszystkie losowe zdarzenia i wszystkie najważniejsze liczby zostały ustalone. Nie mam tu na myśli tych trywialnych ani wymyślonych przez ludzi, mówię o liczbach mających fundamentalne znaczenie dla znanych nam praw, ale takich, których nie możemy wyjaśnić prostszymi zasadami. Pi. Podstawa logarytmu naturalnego. Prędkość światła. Stała struktury subtelnej. Liczba Plancka — nie wiem, ile jeszcze ich jest, Robinie. Być może w odmiennym wszechświecie arytmetyka byłaby nieprzemienne i nie byłoby prawa odwrotności kwadratów. Nie twierdę, że to prawdopodobne — ale w końcu żadna z tych rzeczy nie wygląda na prawdopodobną, nie?

— I uważasz, że Wróg próbuje odtworzyć wszechświat, aż mu się uda?

— Nie wiem — odparł. — Może ma jakąś nadzieję, że uczyni go dobrym — to znaczy, dobrym dla nich. Zmienić prawa rządzące wszechświatem! Stworzyć nowe prawa! Skonstruować wszechświat, który będzie bardziej przyjazny dla życia niż ich. . .

Zamilkłem na chwilę, próbując pojąć to wszystko. Nie udało mi się.

— A jaki miałby być ten wszechświat? — spytałem.

Albert pociągnął długi łyk ze swojego kufła i ostrożnie go odstawił. Oczy miał utkwione w nieskończoności. W lewej dłoni trzymał fajkę; powoli drapał się nią po swoim pomarszczonym czole.

Zamrugłem i zmieniłem pozycję.

— Przestrzeń miałaby dziewięć wymiarów?

Brak odpowiedzi. Nic poza pustym spojrzeniem utkwionym w przestrzeni.

Zacząłem odczuwać strach. Powiedziałem:

— Albercie, zadałem ci pytanie! Jaki wszechświat chciałby utworzyć Wróg?

Spojrzał na mnie, jakby mnie nie poznając. Następnie westchnął. Sięgnął w dół, by podrapać się po gołej kostce i oświadczył z wielką powagą:

— Robinie, nie mam pojęcia.

Rozdział 11

Heimat

Opowiedziałem wam już o paru dobrych i niedobrych ludziach, a teraz nadszedł czas, bym opowiedział o kimś naprawdę złym. Nie spodoba się wam, ale powinniście go poznać. Wspomniałem o nim krótko, przy okazji terrorystów, ale nie zdołałem oddać mu sprawiedliwości. Oczywiście, chętnie oddałbym mu sprawiedliwość, zwłaszcza w postaci stryczka — ale nic takiego się nie wydarzyło. Niestety.

Nazywał się Beaupre Heimat i kiedyś był dwugwiazdkowym generałem w Podniebnym Pentagonie.

To właśnie Heimat przekonał świeżo poślubionego męża Klary, że jedynym sposobem na osiągnięcie pokoju i sprawiedliwości jest wysadzenie mnóstwa ludzi w powietrze. To była jedna z najmniejszych jego zbrodni.

Wśród innych mogę wymienić próbę zabicia mnie.

Niewykluczone, że próbował to zrobić dwa razy, bo nie wszystko wyszło na jaw podczas jego procesu. Ze mną mu się nie udało. Z paroma setkami innych — przynajmniej paroma setkami — był bardziej skuteczny. Podczas procesu Heimat nie przyznał się do popełnienia morderstw. Ponieważ był terrorystą, nazywał to sprawiedliwością rewolucyjną. Sąd, z drugiej strony, nie miał żadnego problemu z nazwaniem tego morderstwem — określając każdy z tych indywidualnych przypadków jako morderstwo — i skazał go na dożywocie za każdą z tych śmierci. A ponieważ Heimat nie był żadnym tam pokręconym świrem, ale generałem amerykańskich sił kosmicznych, zsumowano te wyroki. Łączny wyrok Heimata opiewał na 8750 lat więzienia, ale czas leci i obecnie Heimatowi pozostało do odsiedzenia jeszcze tylko 8683 lata.

Miał wszelkie podstawy by wierzyć, że odsiedzi ten wyrok w całości, gdyż nawet zbrodniarze mieli prawo do zapisania w postaci maszynowej. Odsiadka nie kończyła się automatycznie z ich śmiercią.

Tak naprawdę, to obecnie rozmawianie z generałem Beaupre Heimatem sprawia mi nawet przyjemność. Przynosi dobroczynną ulgę. Po tłamszącej duszę pre-

zientacji Alberta, z całym jej ogromem i nieskończonością, miło się myśli o jakiejś zwykłej osobie, nawet jeśli jest to osoba odrażająca.

Każdy dzień Heimata wyglądał dość podobnie.

Kiedy się obudził, łóżkobocica leżała nieruchoma i zwinięta u jego boku, ale wiedział, że nie śpi. Wiedział także, że w istocie to coś nie miało płci, ponieważ jednak stanowiło jedyne jego towarzystwo, przestał zauważać różnicę.

Gdy Heimat spuszczał nogi z łóżka, ona także zaczynała wstawać. Odepchnął ją, dość łagodnie, jeśli wziąć pod uwagę gwałt, jaki miał miejsce poprzedniej nocy. Nie całkiem jednak łagodnie, gdyż (ku jego rozczarowaniu) była bardzo silna.

Zanim zadała mu pytanie, przez chwilę patrzyła, jak się ubiera.

— Dokąd idziesz?

— No — odparł Heimat — chyba pospaceruję po plaży, przepłynę kanał i złapię samolot do Los Angeles, gdzie zaproponuję wysadzenie paru budynków. — Odczekał chwilę, ale nie otrzymał odpowiedzi. I tak się jej nie spodziewał. Nic dziwnego, ona nie miała poczucia humoru. Było to jego nieustanne rozczarowanie. Życie sprawiałoby Heimatowi znacznie większą przyjemność, gdyby udało mu się zmusić niektóre łóżkobocice do śmiechu — choć nie aż taką, jak możliwość zmuszenia ich do płaczu z bólu. Władze dały im ludzką budowę, w dotyku, zapachu i smaku przypominały ludzi, ale dlaczego nie zatroszczono się o to, by mogły czuć?

Heimatowi nie przyszło do głowy, że ani władze, ani ktokolwiek inny nie miał ochoty troszczyć się o niego.

Za drzwiami strażobot zamrugał i zaszeptał:

— No i jak, Heimat? Dobra była?

— Nie za bardzo. — Heimat nie zatrzymał się i zakończył rozmowę nie odwracając nawet głowy. — Mówiłem, że lubię blondynki. Młodziutki laseczki. Delikatne.

Strażnik krzyknął za nim:

— Zobaczmy, co się da załatwić dziś wieczorem — ale Heimat nie odpowiedział. Rozmyślał nad słowem, którego właśnie użył — „delikatne” — oraz wrażeniem, jakie wywoływało w nim to słowo. Delikatne. Drobniutka, delikatna blondynka. Żywa! Prawdziwa ludzka samica, z delikatnymi, cieniutkimi rękami i nogami, wykręconymi i połamanyymi, usta otwarte do krzyku, twarz skurczona z bólu. . .

Na tej myśli poprzestał. Nie dlatego, że na samą myśl o czymś takim doznał uczucia wstydu, gdyż Heimat nie odczuwał już wstydu od dawna. Poprzestał, ponieważ sprawiała mu ona tak olbrzymią przyjemność, z tak rozpaczliwą tęsknotą, iż zaczął się bać, że te odczucia będzie można odczytać z jego twarzy; a jedyne zwycięstwo, jakie jeszcze Heimatowi pozostało, to zachowanie niektórych tajemnic dla siebie.

Więzienna wyspa Heimata znajdowała się daleko od wszystkich kontynentów czy większych miast. Zbudowano ją, by trzymać tam trzy tysiące ośmiuset zdesperowanych skazańców i zatrzymać ich w środku, bez względu na to, co by wymyślili czy zrobili.

Teraz cała ta konstrukcja była nieco zbędna, gdyż jedynym aktywnym mieszkańcem więzienia był sam Heimat. W więzieniu nie było już trzech tysięcy ośmiuset zdesperowanych więźniów. Nie było aż tylu na całym świecie. Rekrutacja szła kiepsko, odkąd skończyły się czasy głodu i terroryzmu. Och, socjopaci pojawiali się czasem tu i tam, to jasne, ale to, co Albert określał jako „warunki wstępne oportunistycznej zbrodni” należało do rzadkości.

Wszystko wiązało się z tym, że warunki ludzkiej egzystencji znacznie się poprawiły. Już nigdzie w Galaktyce nie występowały miejsca, gdzie całe pokolenia musiałyby rabować, mordować czy niszczyć, gdyż nie miały lepszego sposobu na poprawę swego strasznego losu. Większość najgorszych więźniów odsiadujących jeszcze wyroki była weteranami z dawnych czasów terroryzmu i masowych zbrodni, a i tych nie zostało zbyt wielu. Wielu malkontentów zmuszono do zaakceptowania nieco innego rodzaju uwięzienia w koloniach o zaostrzonym rygorze. Wielu innych udało się skutecznie rehabilitować lub skutecznie wymarli. Sam Heimat był już niemłody — starszy ode mnie, miał przynajmniej sto trzydzieści lat. Oczywiście, miał Pełny Serwis Medyczny. Mógł przeżyć jeszcze jakieś pięćdziesiąt lat w cielesnej postaci, gdyż więźniów naprawiano i odbudowywano tak często, jak to tylko było konieczne; kiedy umierali, zwykle przyczyną nie był wiek, choroba czy wypadek. Prawie zawsze była to zwykła, śmiertelna nuda. Pewnego poranka, tak bardzo przypominającego wszystkie inne, budzili się, rozglądali dookoła i dochodzili do wniosku, że dość już tego dobrego. Wtedy znajdowali sposobność i zabijali się.

Ale nie Heimat.

Jedynym innym żywym, cielesnym mieszkańcem więzienia był niegdysiejszy radziecki marszałek nazwiskiem Pernecki. Podobnie jak Heimat, skutecznie krecią robotę jako terrorysta, wykorzystując swą pozycję w wojsku, by pomagać w zabijaniu i sianiu zniszczenia. Tych dwóch osobników było kolegami w podziemnej organizacji, następnie współwięźniami przez bardzo długie lata. Ale nie byli przyjaciółmi. Żaden z nich nie miał prawdziwych przyjaciół. Byli jednak na tyle bliskimi znajomymi, że Heimat był naprawdę zaskoczony, gdy pewnego dnia usłyszał, że Pernecki wyżarł sobie cały układ trawienny za pomocą środka czyszczącego.

Próba samobójstwa okazała się nieskuteczna. Strażoboty zauważyły to od razu i teraz Pernecki przebywał na oddziale intensywnej terapii więziennego szpitala.

Ponieważ każde urozmaicenie więziennego nudy to wielkie wydarzenie, Heimat zdecydował się zajrzeć do Perneckiego.

Szpital został zbudowany w takiej samej skali co cały olbrzymi kompleks więzienny. Liczył sobie sto trzydzieści łóżek, z których każde można było oddzielić przegrodami z nietłukącego szkła i stali. Pernecki był tam jedynym pacjentem.

Heimat przeciął rozgrzany słońcem, szeroki trawnik z palmami i hibiskusami, ignorując pracoboty, które ścinały kwiaty na jego stół i sprzątały opadające liście. Nie mógł jednak zignorować pielęgniarki na recepcji. Kiedy wchodził, wychyliła się i zawołała z zawodowym uśmiechem:

— Dzień dobry, generale Heimat! Wygląda pan trochę nieswojo. Może chce pan, żebym zmierzyła panu ciśnienie krwi?

— A w życiu — wyszczerzył się Heimat, ale zatrzymał się w konwersacyjnej odległości od niej. Był zawsze bardziej uprzejmy dla lekarzy, niż dla reszty więziennego personelu — miał taką teorię, której nigdy nie zdecydował się sprawdzić, że niektórzy z nich, czasami, bywali żywymi ludźmi. Miał też taki nawyk, gdyż dzięki obecności personelu medycznego mógł myśleć o sobie raczej jako o pacjencie szpitala niż więziennym ptaszku. Odgrywanie ról było dla Heimata ważne. Doskonale odegrał w życiu kolejne role: kadeta w West Point, porucznika piechoty, dowódcy kompanii, generała dywizji, dwugwiazdkowego generała — tajnego żołnierza w siłach wyzwoleniczych! I skazańca. — Nie chcę, żeby mi pani mierzyła ciśnienie krwi — rzekł — bo doskonale pani wie, ile ono wynosi i tylko chce mi pani podać jakiś środek, na który nie mam ochoty. Ale powiem pani coś. Gdyby pani była niższa o jakieś sześć centymetrów i młodsza o dziesięć lat, pozwoliłbym pani się trochę nim pobawić. Zwłaszcza, gdyby była pani blondynką. (I do tego delikatną).

Zawodowy uśmiech pielęgniarki pozostał na swoim miejscu.

— Za dużo pan ode mnie wymaga — mruknęła.

— Pani zadaniem jest zapewnienie mi wszystkiego, czego potrzebuję — rzekł. Ta rozmowa zaczęła go nudzić. Zdecydował, że ona nie jest człowiekiem i poszedł dalej.

Nikt go nie zatrzymywał. Po cóż miałby to robić? Łóżka Perneckiego też nie otaczały nietłukące przepierzenia. To miałyby jeszcze mniejszy sens, bo przeszczepy Perneckiego miały jeszcze przed sobą długą drogę do zagojenia się i był przymocowany do systemów podtrzymywania życia solidniej niż jakimkolwiek łańcuchem.

Heimat popatrzył w dół na swojego ostatniego żyjącego towarzysza, przywiązanego do łóżka pasami, z rurkami w nosie i pomrukującymi pompami.

— No i co, Piotrze — spytał — masz zamiar stąd wstać, czy twoim następnym przystankiem będzie Archiwum Zmarłych?

Rosjanin nie odpowiedział. Nie odpowiadał na żadne pytania już od tygodni. Tylko zdradliwy odczyt na monitorze w nogach łóżka, oskarżycielskie sinusoidy, które falowały, a czasem nawet eksplodowały, świadczyły o tym, że był nie tylko żywy, ale nawet świadomy.

— Prawie za tobą tęsknię — rzekł z namysłem Heimat i zapalił papierosa, całkowicie ignorując znaki, które ostrzegały o bliskości tlenu i zagrożeniu pożarem. Strażobot zbliżył się dyskretnie, ale nie interweniował.

Kiedyś był to oddział wojskowy więzienia. Za szklanymi drzwiami szafek Heimat widział stojaki z mundurami, amerykańskie błękitne i khaki, rosyjskie białe i brązowoszare, których już nikt nie miał nigdy włożyć.

— Jeśli wstaniesz — zamruczał Heimat — zdejmę te durne szpitalne ciuchy i włożę mój mundur galowy. Ty też możesz. Zabawimy się w wojnę albo coś; pamiętasz, jak bombardowałeś Nowy Jork i Waszyngton pociskami nuklearnymi, a ja wykosłem ci całą grupę pocisków?

Pacjent nie odpowiedział. To też zaczynało być nudne, zdecydował Heimat.

— No dobra — rzekł, dmuchając dymem w twarz Perneckiego — w końcu wiedzieliśmy, że zwycięzcy zawsze stawiają przegranych przed sądem. Głupio z naszej strony, że przegraliśmy.

Kiedy Heimat odwrócił się, by wyjść, głowa radzieckiego marszałka przesunęła się delikatnie, a jedno oko zamrugało.

— Ach, Piotr! — zakrzyknął Heimat. — Oszukiwałeś ich!

Wargi marszałka rozchyliły się.

— Zeszłej nocy — wyszeptał. — Transportowe poduszki. Dowiedz się czemu. — Następnie jego wargi i oczy zamknęły się, by już nigdy się nie otworzyć.

Oczywiście żaden z więzieniobotów nie odpowiedziałby na pytania Heimata. Musiał sam pójść i dowiedzieć się, o czym mówił Pernecki.

Powłóczył się po kompleksie więziennym, zajmującym całe trzy kilometry kwadratowe na zboczu góry, z zapierającym dech widokiem na morze, do którego nie mógł dotrzeć żaden więzień. Większość bloków z celami była pusta i zamknięta. Budynek gospodarczy — źródła energii, agregaty przetwórcze i pralnie — nie były puste, gdyż musiały wykonywać swoje zadania. Ale i tak dla Heimata były zamknięte.

Wszystko inne było otwarte, tylko że tego wszystkiego innego wiele już nie zostało. Więzienie miało farmę; zapewniała pracę więźniom, kiedy jeszcze byli więźniowie i miało to jakiegokolwiek znaczenie, a nawet teraz działała nadal, obsługiwana przez pracoboty, gdyż wytwarzała szereg cennych, a czasem specyficznych plonów. Ale nie było tam niczego, co nie znajdowałoby się tam już wcześniej. Ani koło basenu, ani w sali gimnastycznej, ani w wielkiej, puste sali rekreacyjnej, z jej gramami, książkami i ekranami.

Co więc miał na myśli Pernecki mówiąc o poduszkowcach?

Heimat zastanowił się, czy warto zadawać sobie trud zaglądania do Archiwum Zmarłych. Był z tym pewien kłopot, gdyż budynek znajdował się nieco na uboczu, pod górę, blisko zewnętrznej bariery więzienia, i pójście tam było swego rodza-

ju wspinaczką. Od ostatniego razu, kiedy Heimat podjął ten wysiłek, minęło już nieco czasu.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, zdecydował, że należy zrobić to natychmiast. Nieustanne sprawdzanie granic więzienia zawsze było dobrym pomysłem. Pewnego dnia, tylko na chwileczkę, ktoś się może wślizgnąć, a wtedy byłaby szansa na...

Na co?

Wspinając się otoczoną kwiatami ścieżką, prowadzącą do Archiwum Zmarłych, Heimat uśmiechnął się kwaśno do siebie. Ucieczka, oczywiście. Nawet po upływie tylu lat, przy życiu podtrzymywała go nadzieja.

„Nadzieja” było może za mocnym słowem. Heimat nie miał autentycznej nadziei na ucieczkę, albo przynajmniej na pozostanie na wolności, nawet jeśli udało by mu się wydostać z więzienia. Z tymi wszystkimi inteligentnymi i śledzącymi programami komputerowymi nie trwałoby długo, nim zdemaskowałyby jego przebranie.

Z drugiej jednak strony...

Z drugiej jednak strony, myślał Heimat, starając się nie okazywać żadnych uczuć, by jakiś pobliski pracobot ich nie spostrzegł, człowiek, który był wystarczająco odważny i pełen brawury, urodzony przywódca obdarzony charyzmą i potęgą — człowiek taki jak on — mógł łatwo odmienić bieg wypadków! Pomyślcie o powrocie Napoleona z Elby! O tych wszystkich ludziach Ignących do niego! Armjach, pojawiających się znikąd! Na wolności łatwo znalazłby zwolenników, a wtedy do licha z maszynami i szpiegami, ludzie by go ochronili. W tej kwestii Heimat nie miał wątpliwości. W głębi serca był pewien, że bez względu na to, co ludzie udawali przed samymi sobą, większość ludzkiej rasy była równie chciwa i arogancka jak on sam, i jeśli czegoś naprawdę chciała, to przywódcy, który powiedziałby im, że chciwość i arogancja są dopuszczalnym, a nawet godnym podziwu zachowaniem.

Najpierw jednak musiał uciec.

Heimat zatrzymał się przy rozwidleniu ścieżki, lekko dysząc. Dla ponad stu-letniego mężczyzny, nawet z tyłoma nowymi częściami zapasowymi, że już stracił ich rachubę, była to trudna wspinaczka, a słońce ostro przygrzewało. Z rezygnacją przyjrzał się ścianom więzienia. Nie zmieniły się. To nie były nawet ściany; była to bariera z krzewów, uroczu ozdobnych, lecz naszpikowanych czujnikami, potem odstęp i kolejna bariera, równie piękna dla oka, tym razem jednak wypełniona obwodami paraliżującymi — a żeby być absolutnie pewnym, trzecia bariera była śmiercionośna. Świętej pamięci major Adrian Winterkoop udowodnił to wszystkim, bo właśnie w ten sposób zdecydował się popełnić samobójstwo.

Także te wszystkie pracowite ogrodooboty, które nigdy nie znikwały z pola widzenia, mogły szybko zmienić się w strażoboty. Bo ty także nie znikales z pola ich widzenia.

Heimat westchnął i skręcił w lewą odnogę, w stronę Archiwum Zmarłych.

Heimat nie chadzał tam zbyt często. To nie było miejsce, którego odwiedzanie byłoby przyjemne dla żywego więźnia, gdyż każdy wiedział, iż prędzej czy później będzie martwy i tam wyląduje. Nikomu nie sprawia przyjemności patrzenie na własny grób.

Rzecz jasna, pięć czy sześć tysięcy niepoprawnych zapisanych w Archiwum Zmarłych nie było naprawdę martwych; byli oni jedynie „martwi”. Był tam nadal major Winterkoop, a przynajmniej jego zapisany maszynowo analog, gdyż strażoboty znalazły jego ciało wystarczająco wcześnie. Nie na tyle, żeby je ożywić, ale wystarczająco szybko, by procesy rozpadu nie zdążyły sprawić, że zawartość niepokornego mózgu stałaby się niemożliwa do odzyskania. Bycie martwym nie zmieniło Winterkoopa; był takim samym beztroskim dupkiem, jak za czasów, gdy był adiutantem Heimata, kiedy wspólnie wykorzystywali swoją pozycję do podkładania bomb, zabijania i niszczenia w imię nowego wspaniałego świata, jaki miał nadejść.

I oto właśnie, rozmyślał gorzko Heimat, był ten nowy wspaniały świat, i ani on, ani major Winterkoop nie mieli w tym udziału.

Kiedy tak podążał w kierunku niskiego, pastelowego budynku, który był siedzibą Archiwum Zmarłych, pomyślał przez chwilę o porozmawianiu z Winterkoopem, czy jakimś innym Zmarłym, tak dla samej pogawędki i odmiany. Ale oni wszyscy byli tak diabelnie tępi! Więzienie nie kończyło się wraz ze śmiercią. Żaden z nich nigdy nie opuścił Archiwum Zmarłych i nie zmienił się ani trochę od śmierci...

Heimat przystanął, gapiąc się na Archiwum.

Za rogiem, niewidoczna ze ścieżki, znajdowała się główna brama towarowa; nigdy nie widział, żeby z niej korzystano. Ktoś korzystał z niej teraz. Dwie wielkie ciężarówki usadowiły za nią brzuchy, z wyłączonymi wirnikami, a kilkanaście pracobotów pracowicie wносиło do środka wachlarze i spirale.

— Generale Heimat — odezwał się ogrodobot za nim — proszę nie podchodzić bliżej. To niedozwolone.

— Przyjechały zeszłej nocy, kiedy spałem! — rzekł Heimat, gapiąc się. — Co się dzieje?

— Reorganizacja — odparł przeproszającym tonem ogrodobot. — Zamyka się placówkę w Pensacola i przenosimy tu wszystkich więźniów.

Heimat przyszedł już do siebie po pierwszym szoku. Jedną z pierwszych zasad więziennej egzystencji było niedopuszczanie do tego, by którykolwiek ze strażobotów dowiedział się, co czuje albo myśli, więc tylko rzekł z miłym uśmiechem:

— Nas, wrogów społeczeństwa, nie zostało już tylu, żebyście wszyscy mieli co robić, co? Boisz się, że cię wyleją?

— Nie, generale Heimat — odparł pracobot poważnie. — Po prostu wyznaczą nam inne zadania. Ale zamykają tylko Pensacolę. I, jak pan widzi, przejmujemy ich przypadki.

— Ach tak, przypadki — odparł Heimat, uśmiechając się promiennie do pracobota i zastanawiając się, czy warto zadawać sobie trud z jego zniszczeniem. Nadano mu postać młodego polinezyjskiego mężczyzny, z dokładnością do kropel potu na bezwłosej piersi. — Więc wszystkie przypadki z Pensacola są teraz w naszym Archiwum Zmarłych?

— Nie, generale. Mamy tu jednego żywego. Według naszych danych, to pana znajomy. Cyril Basingstoke.

Spokój Heimata na chwilę się ulotnił.

— Basingstoke? — Zagapił się na pracobota. Cyril Basingstoke był jednym z głównych przywódców terrorystów, prawdopodobnie jedynym, który przewodził siatce równie dużej i śmiertelnej, jak szajka Heimata. — Ale Basingstoke został zwolniony wiele lat temu — powiedział. — Mówili o tym w wiadomościach.

— Zgadza się, generale Heimat — pracobot skinął głową. — Tylko, że on jest recydywistą. Na zwolnieniu warunkowym zabił trzydzieści pięć osób.

Mówią, że zrozumieć znaczy wybaczyć, ale ja wcale w to nie wierzę.

Myślę, że dość dobrze radzę sobie ze zrozumieniem takich ludzi, jak Heimat i Basingstoke. Jak każdy inny terrorysta, od epoki kamiennej po dzisiaj, zabijali i niszczyli dla zasady, tłumacząc, że zasada, dla której zabijali, usprawiedliwia krwawą łaźnię i zbrodnię.

Mnie tam jednak nigdy nie przekonali. Widziałem parę ich ofiar. Essie i ja o włos uniknęliśmy tego losu, kiedy bojówki uderzeniowe Heimata wysadziły pętlę Lofstroma, na której mieliśmy się znajdować. Ponieważ byliśmy świadkami tego zdarzenia, uczestniczyliśmy w procesie Heimata i słyszeliśmy wszystko o pozostałych zamachach. Przeważnie słyszałem jednak Heimata i widziałem go, wyprostowanego w wojskowy sposób na ławie oskarżonych, wyglądającego na modelowego generała majora w białym mundurze galowym, i ze zdecydowanym, pełnym przekonania o swojej racji, wyrazem twarzy. Słuchał z uprzejmą uwagą, kiedy świadkowie opisywali szczegółowo, jak to osobiście, będąc generałem majorem Sił Obrony Stanów Zjednoczonych organizował w tajemnicy bojówki, które wysadzały pętle startowe, zestrzeliwały satelity, zatruiwały ujęcia wody, a nawet raz zdołały ukraść leżankę snów, aby gnębić cały świat swoimi chorymi fantazjami. Oczywiście w końcu go złapali. Ale robił świat w balona przez prawie dziesięć lat, siedząc bez zmrużenia powieki na naradach zespołów omawiających środki, jakie należy przedsięwziąć przeciwko terrorystom, zanim tacy ludzie jak Eskladar poszli po rozum do głowy i dzięki nim udało się w końcu policji światowej powiązać Heimata z masakrami i bombardowaniami. Żadne z tych działań nie było dla niego zbrodnią. To były po prostu strategie.

Proces Heimata był dla mnie szczególnym doświadczeniem. Zmarłem na krótko przed nim, więc wtedy po raz pierwszy pojawiłem się publicznie jako hologram, zaś moja zasadnicza jaźń była zachowana w przestrzeni gigabitowej. Była to wówczas dość niezwykła sytuacja i prawnicy Heimata próbowali powstrzymać mnie od zeznań twierdząc, że nie jestem „osobą”. Oczywiście im się to nie udało. Nie miałyby to większego znaczenia, gdyby zdołali tego dokonać, bo było mnóstwo innych świadków.

Heimat oczywiście miał to gdzieś. Swoje aresztowanie i śledztwo postrzegał jako niefortunną wpadkę. Cynicznie i z zadufaniem poddał się wyrokowi historii, gdyż nie mógł mieć żadnych wątpliwości w kwestii tego, jaki ten wyrok będzie. Kiedy jednak występował przed sądem, nalegał na samodzielne przeprowadzenie badania krzyżowego świadków, choć jego prawnicy się przed tym wzdrali.

— Pan, panie Broadhead — powiedział — ośmiela się oskarżać mnie o zdradę, a sam się pan brata z wrogami ludzkiej rasy! Nie powinniśmy wdawać się w dyskusje z Heechami! Należy ich wytluc, wziąć w niewolę, otoczyć to miejsce w jądrze Galaktyki, gdzie się schowali, wystrzelać ich. . .

To było niewiarygodne przedstawienie. Kiedy sąd wreszcie je przerwał, Heimat skłonił się elegancko ławie przysięgłych, uśmiechnął i rzekł:

— Nie mam więcej pytań do tego gadżetu, który nazywa siebie Robinette'em Broadheadem — i na resztę rozprawy przybrał dumną i pewną siebie minę.

Taki był Heimat. Cyril Basingstoke był — co trudno sobie wyobrazić — jeszcze gorszy.

Spotkanie pary potworów na emeryturze cechowało się uważną obserwacją z obu stron. Znali się nawzajem.

Heimat udał się pośpiesznie do sali rekreacyjnej, gdzie znalazł Basingstoke'a, od niechcienia przeglądającego bibliotekę piezowizyjną z zamiarem sprawdzenia, jakież to rozrywki może mu zaoferować nowe miejsce. Ponuro uścisnęli sobie dłonie, następnie cofnęli się o krok, by się sobie przyjrzeć.

Cyryl Basingstoke pochodził z Curacao, jego skóra miała intensywny, ciemnoczerwony, prawie czarny kolor, był w wieku Heimata (i moim), ale nieźle podreperowali go medycy, więc wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat.

— Miło cię widzieć, Beau — rzekł głębokim, dźwięcznym głosem, o przyjaznym tonie. Basingstoke nie mówił z akcentem — no, może dało się słyszeć ślad czegoś, co brzmiało jak niemiecki akcent, ale było prawdopodobnie niderlandzkie, a pochodziło od dobrych fryzyjskich zakonników, którzy nauczyli go angielskiego w katolickiej szkole. Basingstoke wychował się na Antylach, ale w sposobie jego mówienia nie było śladu narzecza krajowców. Jeśli się go nie widziało, człowiek nie byłby w stanie poznać, jakiej jest narodowości, samogłoski były bardziej dźwięczne i zaokrąglone, intonacja wyraźniejsza niż u Amerykanina.

Basingstoke spojrział przez okno, w stronę odległej laguny.

— To nie jest złe miejsce, Beaupre — rzeki. — Kiedy mi powiedzieli, że mnie przenoszą, myślałem, że będzie znacznie gorzej. Ta planeta Afrodyta, na przykład — przez promieniowanie gwiazdy, można tam mieszkać tylko w tunelach pod powierzchnią.

Heimat skinął głową, choć tak naprawdę nie sprawiało mu już większej różnicy, gdzie jest. Przypominając sobie, że w pewnym sensie jest gospodarzem, zamówił napoje u kelnerobota.

— Niestety — uśmiechnął się — alkoholu tu nie podają.

— W Pensacola też nie — rzekł Basingstoke. — Dlatego byłem taki szczęśliwy, kiedy mnie zwolnili, choć jak pewnie pamiętasz, nigdy solidnie nie popijałem.

Heimat pokiwał głową, przyglądając mu się.

— Cyril? — zaryzykował.

— Tak, Beau?

— Byłeś na wolności. Złamałeś zasady zwolnienia warunkowego. Dlaczego zabiłeś tych wszystkich ludzi?

— Ach, cóż — odparł Basingstoke, uprzejmie odbierając swoje piwo imbirowe od kelnerobota — wkurzyli mnie, no wiesz.

— Tak właśnie sądziłem — rzekł Heimat sucho. — Ale przecież chyba wiedziałeś, że cię z powrotem wsadzą.

— Tak, ale mam swoją dumę. Czy może nawyk? To chyba kwestia nawyku.

Heimat odezwał się surowym tonem:

— Coś takiego mógłby chyba powiedzieć prokurator.

— Pewnie w jakimś sensie prokurator może mieć rację, gdy chodzi o takich ludzi jak ty czy ja, Beau. Nie musiałem zabijać tych ludzi. Widzisz, nie byłem przyzwyczajony do tłumów. Tłoczyli się i rozpychali, żeby wsiąść do autobusu. Upadłem. Wszyscy się śmiali. Był tam policjant z pistoletem automatycznym i on też się śmiał. Więc wstałem i zabrałem mu broń. . .

— I trafiłeś trzydziestu pięciu ludzi.

— Och, nie Beau. Trafiłem prawie dziewięćdziesięciu, ale zginęło tylko trzydziestu pięciu. A przynajmniej tak mi powiedzieli. — Uśmiechnął się. — Nie liczyłem ciał.

Skinął uprzejmie Heimatowi, który siedział przez chwilę milczący, pociągając drinka, zaś Basingstoke leniwie przywołał obrazy Martyniki, Curacao i Wysp Dziewiczych.

— Jakież to cudowne miejsca — westchnął. — Prawie żałuję, że zabiłem tych wszystkich ludzi.

Heimat zaśmiał się głośno, potrząsając głową.

— Och, Cyril! Czy to prawda, że masz nawyk zabijania?

Basingstoke odparł uprzejmie:

— Jeśli mówimy o dumie czy o zasadach, prawdopodobnie tak jest.

— Więc nigdy stąd nie wyjdiesz?

— Ach, Beau — odparł radośnie Basingstoke — obaj nigdy stąd nie wyjdziemy, wiesz o tym.

Heimat udał, że nie usłyszał tej uwagi.

— Ale uważasz, że to prawda, iż nie nadajemy się do resocjalizacji?

Basingstoke odezwał się z namysłem.

— Sądzę... Nie. Pozwól, pokażę ci. — Wyszeptał coś do urządzenia sterującego, obrazy piezowizyjne zamigotały i znów pojawił się obraz Curacao. — Widzisz, Beau — rzekł, rozsiadając się wygodnie na miłą, długą pogawędkę — w moim przypadku chodzi o dumę. Byliśmy bardzo biedni, kiedy byłem dzieckiem, ale zawsze miałem swoją dumę. Nic innego nie mieliśmy. Rzadko mieliśmy dość jedzenia. Otwieraliśmy bar z przekąskami dla turystów, ale wszyscy sąsiedzi też mieli bary z przekąskami, więc nigdy nie zrobiliśmy na tym pieniędzy. Mieliśmy tylko to, za co nie trzeba było płacić: piękne słońce, piasek, prześliczne kolibry, palmy. Ale nie mieliśmy butów. Wiesz, jak to jest, nie mieć butów?

— Hm, tak naprawdę...

— Nie wiesz — uśmiechnął się Basingstoke — bo byłeś bogatym Amerykaninem. Widzisz ten most?

Wskazał na piezowizyjny widoczek, ukazujący zatokę z dwoma mostami nad nią.

— Nie ten brzydki i wysoki, ten drugi. Pływający na pontonach. Z silnikami na zewnątrz, które go zamykają i otwierają, tam na końcu.

— I co z nim? — spytał Heimat, który już zaczął się zastanawiać, czy posiadanie towarzysza uwolni go od nudy, czy raczej się do niej przyczyni.

— To właśnie jest kwestia dumy bez butów, Beau. Tego nauczyłem się od mojego dziadka.

— Posłuchaj Basil — rzekł Heimat — miło mi się z tobą gada i w ogóle, ale czy naprawdę musisz...

— Cierpliwości, Beau! Jeśli jesteś dumny, musisz też być cierpliwy; właśnie tego nauczył mnie dziadek. On też był descamisado — bosonogi. Więc na tym moście, kiedy był nowy, pobierano opłatę. Dwa centy za przejście... ale tylko od bogatych, to jest od ludzi, którzy mieli buty. Ludzie, którzy byli boso, przechodzili za darmo. Więc bogaci, którzy mieli buty, nie byli głupi; zdejmowali je, chowali, przechodzili i wkładali je po drugiej stronie.

Heimat zaczynał się denerwować.

— Ale twój dziadek nie miał butów!

— Nie, ale miał swoją dumę. Jak ty, czy ja. Więc czekał przy moście, aż pojawi się ktoś w butach. Wtedy pożyczał od niego buty, żeby mógł zapłacić te dwa centy, a jego duma na tym nie ucierpiała. Rozumiesz, co mówię, Beau? Duma kosztuje. Nas obu kosztowała bardzo dużo.

* * *

Nie chciałem przestać opowiadać o dzieciach, bo to było ciekawe; z trudem też przychodzi mi przerwanie opowieści o Heimacie i Basingstoke’u, z dwóch powodów. Jeśli kiedykolwiek istniały dwie osoby, których nienawidziłem, byli to właśnie oni. Rzeczy wstrętne przyciągają.

Kiedy Cyril Basingstoke dołączył do Beaupre Heimata, dzieci na Kręgu właśnie otrzymały wiadomość, że zostaną ewakuowane. Była to sensacja. Zarówno Basingstoke, jak i Heimat zainteresowali się tym; pewnie kibicowali Wrogowi, jeśli to w ogóle możliwe, choć dla nich obu musiała to być problematyczna sytuacja. (Duma z ludzkiej rasy? Wstręt do tej jej części, która wpakowała ich do więzienia?) Mieli jednak inne problemy, sami ze sobą także. Gdyż ani Heimat, ani Basingstoke nie przejmowali się za bardzo społeczeństwem równych jednostek.

W rzeczywistości nudzili się ze sobą. Kiedy Heimat odkrył, że Basingstoke śni na jawie przed widoczkami piezowizyjnymi z Curacao, Saint Maarten czy wybrzeża Wenezueli, zwykle mówił:

— Dlaczego pozwalasz, żeby twój umysł gnuśniał? Ja wykorzystuję mój czas w więzieniu! Naucz się czegoś. Jakiegoś języka, jak ja.

Rzeczywiście tak robił, uczył się nowego języka co parę lat; dzięki całemu czasowi, jaki miał do dyspozycji, opanował biegle mandaryńską odmianę chińskiego, język Heechów, rosyjski, tamilski, starożytną grekę i osiem innych języków.

— I z kim będziesz w nich rozmawiał? — pytał wówczas Basingstoke, nie odrywając oczu od tropikalnej scenerii.

— To nie ma znaczenia! Trzeba ćwiczyć umysł!

A wtedy Basingstoke podnosił wzrok i pytał:

— Po co?

Jeśli Basingstoke był znużony narzekaniem Heimata, Heimat był znużony nie kończącymi się wspomnieniami Basingstoke’a. Za każdym razem, kiedy czarnoskóry zaczynał jakąś historię, generał wiedział, jak się ona skończy. — Kiedy byłem chłopcem — zaczynał Basingstoke, a Heimat dołączał się:

— Byłeś bardzo biedny.

— Tak, Heimat, bardzo biedny. Sprzedawaliśmy przekąski turystom. . .

— Ale nie zarabialiście na tym żadnych pieniędzy, bo wszyscy wasi sąsiedzi też mieli bary z przekąskami.

— Zgadza się. Żadnych. Więc czasem my, chłopcy, łapaliśmy iguanę i próbowaliśmy znaleźć turystę, który by ją kupił. Żaden z nich oczywiście nie chciał iguany.

— Ale raz na jakiś czas ktoś ją kupował, bo mu było was żal.

— Tak, więc potem śledziliśmy tego turystę, żeby zobaczyć, gdzie ją wypuszcza, łapaliśmy ją i znowu sprzedawaliśmy.

— A po jakimś czasie ją zjadaliście.

— No jasne, Beau. Iguana jest bardzo smaczna, przypomina kurczaka. Oповідаłem ci już tę historię?

Nie chodziło jedynie o nudę. Chodziło o to, że każdy z nich znajdował w drugim coś, co działało mu na nerwy. Dla Basingstoke'a odrażające były seksualne nawyki Heimata.

— Dlaczego musisz robić krzywdę tym rzeczom? Przecież one nie są żywe!

— Bo sprawia mi to przyjemność. Dozorcy muszą dbać o moje potrzeby; a to jest jedna z nich. I to nie twój interes, Basil. To nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, tymczasem to gówno, które jadasz, śmierdzi w całym więzieniu.

— Ale to jest jedna z moich potrzeb, Beau — odparł Basingstoke. Podał kukbotom dokładne instrukcje, a one oczywiście ich przestrzegały. Heimat musiał przyznać, że niektóre z tych rzeczy nie były złe. Był paskudnie wyglądający owoc, który cudownie smakował, a niektóre małże były wręcz boskie. Niektóre potrawy były jednak straszne. Najgorsza była jakaś taka potrawka z zielonej papryki i cebuli z dorszem konserwowanym za pomocą soli i suszenia, która smakowała i pachniała dokładnie tak, jak zawartość kubłów na śmieci koło rybnej restauracji. Nazywało się to cziki, a jeśli nie robiono tego z zepsutej ryby, używano czegoś nieznacznie mniej odrażającego, na przykład koziego mięsa.

Heimat próbował jakoś osłabić obecność Basingstoke'a przedstawiając go Perneckiemu, ale radziecki marszałek nawet nie otwierał oczu, nie mówiąc już o konwersacji z nowo przybyłym. Przed szpitalem więziennym Basingstoke zapytał:

— Ale dlaczego on tak robi, Beaupre? Przecież na pewno jest przytomny.

— Myślę, że ma jakiś pomysł na ucieczkę. Może myśli, że jeśli tak cały czas będzie udawał, zabiorą go do innego szpitala, poza więzieniem, a wtedy spróbuje.

— Nie zabiorą.

— Wiem — odparł Heimat, rozglądając się dookoła. — No i jak, Cyril? Nie chciałbyś zapoznać się z okolicą któregoś dnia?

Basingstoke spojrział w dół, w stronę błyszczącej, odległej laguny i szerokiego Pacyfiku za nią, następnie z wyrazem tęsknoty popatrzył znów na salę rekreacyjną. Heimat jednak w końcu odmówił dalszego oglądania z nim widoczków, a Heimat był w końcu jakąś publicznością.

— Och, pewnie tak — odparł. — Co to za budynki tam na dole, nad brzegiem?

— Chyba jakaś szkoła. I jest tam mały port, gdzie pogłębili lagunę, żeby mogły przyplwać małe statki.

— Tak, widzę port — rzekł Basingstoke. — Mieliśmy taki port na Curacao, daleko od tego większego. Był przeznaczony dla niewolników, Beau. Dawno te-

mu, kiedy przywozili transport niewolników, nie przepędzali ich przez miasto; wysadzali ich parę kilometrów dalej...

— W porcie dla niewolników — dokończył za niego Heimat. — Gdzie był blok aukcyjny. Tak. Przejdźmy się w stronę dziecięcej farmy.

— Nie lubię takich rzeczy! — obruszył się Basingstoke. Kiedy jednak Heimat ruszył ścieżką w dół, dodał: — Ale pójdę z tobą.

Farma dziecięca znajdowała się na zewnętrznym obrysie więzienia, tuż przy nim; była to oddzielna, ogrodzona enklawa, zielona łąka, na której pasło się kilka ładnych krów, a więźniom nie wolno było tam wchodzić.

Heimat z rozbawieniem obserwował, jak bardzo to zniesmaczyło Cyrila.

— To takie dekadencje, Beau — zamruczał starzec. — Och, jak żałuję, że przegraliśmy naszą sprawę! Zmusilibyśmy ich, żeby zapomnieli o takich rzeczach. Powinniśmy zmusić ich, żeby wrzeszczeli!

— To nam się udało — odparł Heimat.

— Powinniśmy byli się bardziej postarać. Odrzuca mnie na samą myśl, że ludzkie dziecko może znajdować się w łonie krowy. Kiedy byłem małym chłopcem...

— Być może — przerwał mu Heimat, żeby nie dopuścić do kolejnych wspomnień — gdybyś był kobietą, idea pozamaciecznego porodu nie byłaby dla ciebie zbyt odrzucająca, Cyrilu. Cięża wiąże się z cierpieniem.

— Oczywiście, cierpienie! Dlaczego nie miałyby cierpieć? My cierpieliśmy. Kiedy byłem małym chłopcem...

— Tak, wiem jak to było, kiedy byłeś małym chłopcem — powiedział Heimat, ale to nie powstrzymało Cyrila od opowiedzenia mu wszystkiego od nowa.

Heimat przestał go słuchać. Na wyspie było przyjemnie ciepło, ale od morza w stronę wzgórza wiała bryza. Czuł lekki powiew zapachu krów od strony łąki, gdzie krzątały się pasterzoboty, sprawdzające temperaturę i stan swoich podopiecznych.

Tak naprawdę, rozmyślał Heimat, zastępcze rodzicielstwo było czymś dobrym. Przede wszystkim podjęcie decyzji o posiadaniu dziecka było czymś dobrym. Jego własne przyjemności seksualne szły w nieco innym kierunku, ale dla pary, która chciała stać się rodziną, miało to sens. Dziecko poczyniło się w zwykły sposób, za pomocą zabawnych, posuwistych ruchów; Heimat miał na tyle otwarty umysł, by zaakceptować fakt, że większość ludzi coś takiego kręci. Jeśli więc znajdowali w tym przyjemność, dlaczegóż dla jednego z nich ta przyjemność miałyby zmieniać się w cierpienie? Wyjęcie zapłodnionej jajeczki było łatwe. Otrzymało ono już wszystko, co miało otrzymać od przodków. Spirale DNA już się oddaliły w tańcu i dokonały rekombinacji; dziedziczność została ustanowiona. Szef kuchni już przyrządził suflet, który miał być jego daniem głównym. Teraz wystarczyło znaleźć gorący piekarnik, w którym mógłby urosnąć, a pie-

karnik wcale nie musiał być istotą ludzką. Wystarczył dowolny kręgowiec i ssak, rozmiarów człowieka lub większy. Krowy były idealne.

Na dziecięcej farmie nie było zbyt wiele krów, gdyż na wyspie nie było dużo ludzkich rodzin, którym byłyby potrzebne. Heimat naliczył jednak dziesięć, dwanaście, piętnaście — w sumie osiemnaście zastępczych matek, spokojnie żujących trawę, podczas gdy pasterzoboty wtykały w nie termometry i zaglądały im do uszu.

— Jakie to odrażające — wysapał Cyril Basingstoke.

— A dlaczego? — zaprotestował Heimat. — Nie biorą narkotyków, nie palą, nie robią żadnej z rzeczy, jakie mogłaby zrobić kobieta, a które mogłyby zaszkodzić dziecku. Nie. Gdybyśmy wygrali, sam wprowadziłbym ten system.

— Ja nie — odparł Basingstoke uprzejmie.

Uśmiechnęli się do siebie, dwaj starzy gladiatorzy rozbawieni samą myślą o ostatecznym konflikcie, który miał nigdy nie wystąpić. Stary głupiec, myślał z przyjemnością Heimat — oczywiście, też trzeba by było się go pozbyć gdyby rewolucja zwyciężyła.

— Beau? — rzekł Basingstoke. — Patrz.

Jedna z matek muczała z niezadowoleniem. Mierzono jej temperaturę, lecz widocznie pasterzobot trzymał termometr w niewłaściwy sposób. Krowa otrząsnęła się uwalniając zadni koniec ciała, odeszła parę kroków i zaczęła znów się paść.

— Nie rusza się — rzekł Heimat, zdumiony.

Basingstoke spojrział na czterech lub pięciu pasterzy z dziecięcej farmy, po czym skierował wzrok w górę, w stronę ogrodobotów i oddalonych pracobotów na ścieżce. Wszystkie zastygły w bezruchu. Zamarł też dźwięk śmigieł poduszkowych wózków.

— Żaden z nich się nie rusza, Beau — rzekł Basingstoke. — Wszystkie padły.

Pastwisko, które stanowiło dziecięcą farmę, znajdowało się na najniższej krawędzi terenów więzienia. Zbocze w tym miejscu stawało się bardziej strome i Heimat spoglądał na nie z dezaprobatą. Kiedy jesteś starym człowiekiem, to jesteś starym człowiekiem, mimo wszystkich możliwych wymienionych narządów i uwapniania kości.

— Jeśli zejdziemy w dół zbocza — rzekł — będziemy musieli wyjść na górę.

— Jesteś pewien? — spytał miękko Basingstoke. — Popatrz.

— Och, jakaś chwilowa awaria zasilania — zamruczał Heimat. — Zaraz odżyją.

— Tak. I ten moment stanie się dla nas przeszłością.

— Ależ, Basil — rzekł rozsądnie Heimat — w porządku, założmy, że ruchome jednostki są chwilowo niesprawne, ale bariery nadal działają.

Basingstoke spojrział na niego uważnie. Nie odezwał się. Odwrócił się, podniósł drut, który utrzymywał krowy na łące i zanurkował pod nim.

Heimat patrzył za nim ze złością. Straże zaraz powrócą, to jasne. A jeśli nawet ten moment miał trwać wystarczająco długo, żeby dwaj więźniowie, powiedzmy, przeszli przez szerokie pastwisko dla krów, to, co powiedział o barierach, było prawdopodobnie nadal prawdziwe. To nie straż utrzymywały więźniów w środku, lecz skomplikowana i niepokonana elektroniczna zagroda. Cały cykl miał trzy etapy: ból, szok, śmierć. Trudno było pokonać pierwszą barierę, zaś pokonanie drugiej było prawie niemożliwe — również bezcelowe, bo istniała trzecia. Powtarzał sobie, że Basingstoke po prostu o tym nie wie, nie mając doświadczenia; gdyż Heimat rzeczywiście raz spróbował. Raz pokonał potworną linię, rozdzierającą bólem serce, by stracić przytomność na drugiej linii i obudzić się we własnym łóżku, ze strażobotem uśmiechającym się nad nim złośliwie.

Prosty fakt, że pracoboty były chwilowo pozbawione zasilania, nic nie znaczył w odniesieniu do barier, powtarzał sobie. Jakim głupcem był Basingstoke!

Kiedy tak myślał o tym wszystkim, Beaupre Heimat sam podnosił druty i biegł za drugim mężczyzną, z nadmierną ostrożnością unikając krowich placków na trawie, zatrzymując się tylko po to, by kopnąć pasterzobota upewniając się, że nadal nie reaguje.

Nie reagował.

Dołączył do Basingstoke'a, dysząc, na samym skraju kompleksu. Bariera bólu była stąd dość widoczna — dla krów, nie dla więźniów — przy rządzie pięknych hibiskusów i liliowatych kwiatów.

Ogrodobot leżał rozciągnięty w bezruchu na kępie kwiatów. Jego dłoń była uniesiona, przywarła do rydła. Heimat z namysłem napluł na niego.

— Zasilanie jest wyłączone, chłopie — rzekł miękko Basingstoke.

Heimat odpowiedział mu, przełykając głośno ślinę.

— Ty pierwszy Cyril. Wyciągnę cię, jeśli cię złapie.

Basingstoke zaśmiał się.

— Och, Beau, jakim ty jesteś bohaterem! Chodź, zrobmy to razem!

Rozdział 12

WOA

Pamiętajcie, że wszystko się kiedyś kończy — a przynajmniej tak powtarza mi Albert. Myślę, że uważa to za jakiś rodzaj pocieszenia.

Mimo wszystko, jest to prawda. Nawet długa podróż z Pomarszczonej Skały do satelity WOA wreszcie się skończyła.

WOA mieści się we wnętrzu geostacjonarnego satelity; tak naprawdę, jest to pięć satelitów krążących wokół siebie na pasożytniczych orbitach, parędziesiąt tysięcy kilometrów nad Conakry w Afryce. Kiedyś znajdowało się w innym miejscu — mniej więcej nad wyspami Galapagos — ale wtedy było wykorzystywane w innym celu. Wówczas nazywano je Podniebnym Pentagonem.

Kiedy zeszedłem z orbity patrzyłem w dół, na Ziemię, wielką i szeroką tuż pod nami. Wschód słońca przeszedł już nad Zatoką Gwinejską, ale zachodni kraniec Afryki był nadal pograżony w ciemnościach. Oddałem się przyjemności płynącej z tego widoku. Myślę, że Ziemia jest nadal najpiękniejszą z istniejących planet. Widziałem promienie słońca, opierające się na wierzchołkach gór na zachodzie, cudownie błękitny Atlantyk pod nami i czułem przypyływ uczuć do tego starego, sprawiającego tyle problemów miejsca, kiedy usłyszałem okrzyk Essie.

— Zniszczyli!

Chwilę trwało, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że nie miała na myśli planety.

— Przepraszam — powiedziałem — nie patrzyłem na ekran. — W istocie ona też nie patrzyła. Zwykle korzystamy z wizji wyłącznie z przyzwyczajenia. Kiedy chcemy się czemuś dobrze przyjrzeć, korzystamy bezpośrednio z czujników „Prawdziwej Miłości”. Przełączyłem się i ujrzałem, co zobaczyła Essie.

Na wspólnej orbicie znajdowało się znacznie więcej niż pięć obiektów, nawet nie licząc flotyli krążowników WOA, przemieszczających się niespokojnie w szyku. Mnóstwo ludzi próbowało dostać się do WOA i ich statki znajdowały się na orbitach parkingowych. Musiał tam znajdować się z tuzin wahadłowców,

ale to, o czym mówiła Essie, wyglądało jak kula zmiętej folii. Dopiero po chwili rozpoznałem ten obiekt.

Kiedyś była to główna siła napędowa międzygwiazdowego żaglowca napędzanego fotonami. Już raz go widziałem w pełnej świetności, kiedy miał na pokładzie załogę złożoną z Przymulonych w podróży badawczej do jakiejś gwiazdy.

— Czemu tak kiepsko wygląda? — zaatakowałem Julia Cassatę.

Rzucił mi rozzłoszczone spojrzenie. Był zajęty rozmową na kanałach komunikacyjnych i tym kimś, na kogo był wściekły, nie byłem ja. Był to oficer ochrony WOA i nie było większego sensu się na niego złościć, gdyż zastępował go dubler.

— Powtarzam, tu dubler generała majora Julia Cassaty, żądam natychmiastowego pozwolenia na lądowanie. Cholerne maszyny — warknął, spoglądając na Alberta nim popatrzył na mnie. Dopiero potem mi odpowiedział.

— Masz na myśli żaglowiec? Ciągnięcie go z powrotem, kiedy Słońce wypychało go z orbity? . . . tak, dziękuję — powiedział do urządzenia komunikacyjnego i skinął do Alicji Lo, by zaczęła cumowanie.

To nie było łatwe.

Tą właśnie sekcją WOA, do której podążaliśmy, była Delta, wyglądająca jak puszka z zupą ważąca czterdzieści tysięcy ton. Widać było, że to satelita dowodzenia. Dla wygody najwyższego rangą dowództwa, a przynajmniej tych jego członków, którzy występowali w cielesnej postaci, obracała się ona szybciej niż pozostałe. To zapewniało im nieco lepszą orientację góra — dół, ale dla Alicji Lo nie było wcale wygodne.

A mimo to, kursem przypominającym korkociąg, wprowadziła nas zgrabnie do doku. To było mistrzowskie wykonanie i zasłużyła na trochę lepszą publiczność niż Essie i ja. Nie obserwowaliśmy jej. Patrzyliśmy na przypominającą reki na flotę krążowników WOA, oczywiście gotowych do działania, każdego działania.

— Mam nadzieję, że nie zrobią nic głupiego — zamruczałem.

— Cokolwiek zrobią — odezwała się trzeźwo Essie — będzie to głupie. Nie ma niegłupiej rzeczy, którą udałoby się im zrobić.

I oto nagle znaleźliśmy się na pokładzie satelity WOA.

Tacy ludzie, jak Essie i ja, wchodzą na pokład statku kosmicznego czy satelity podłączając się do wewnętrznych urządzeń komunikacyjnych; w końcu możemy się udać wszędzie, gdzie sięgają kable, a nawet trochę dalej. Na Delta-WOA przenieśliśmy się do komory słuzy i tam zatrzymaliśmy się. Nie było w niej żadnych urządzeń komunikacyjnych, a przynajmniej takich, z których moglibyśmy skorzystać. Oficer ochrony, program maszynowy w formie niedoświadczonego, młodego porucznika, rzekł z wojskową uprzejmością lecz nieubłaganie.

— Generał Cassata może przejść dalej, ale pozostali muszą poczekać w pomieszczeniu służbowym.

Oczywiście nie chcieliśmy tego robić, ani trochę. Nie po to przylecieliśmy na WOA.

Gdyby Cassata zawahał się choć na chwilę, poprosiłbym go o wyjaśnienie tego wszystkiego. Ponieważ tego nie zrobił, wyjaśniłem to sam. Porucznik grzecznie mnie wysłuchał, a następnie podjął odpowiednie działania. Przekazał wszystko zwierzchnikowi.

Jego zwierzchnikem była niska, krępa kobieta nazwiskiem Mohandan Dar Havandhi. Kiedy się pojawiła, patrzyła na nas tak długo, że nagle nabrałem przekonania, że jest cielesną osobą, ale to był tylko taki sposób bycia. Kiedy otworzyła usta, wydało się od razu, że jest tak samo zapisana w postaci maszynowej, jak cała ich reszta. Niestety, otworzyła je po to, by powiedzieć:

— Nie.

— Ależ, pani komendant Havandhi — zamruczała Essie kojącym tonem — to jest pan Robinette Broadhead.

— Zdaję sobie z tego sprawę — rzekła pani komendant.

— Więc musi sobie pani także zdawać sprawę z tego, że pan Robinette Broadhead jest prezesem Fundacji Broadheada, z pełnymi uprawnieniami do wszystkich spraw pozasłonecznych.

— To prawda — odparła pani komendant — ale obowiązuje Czerwony Alarm. Uprawnienia z czasów pokoju zostały zawieszane. Oczywiście — mówiła z uśmiechem, który ujawnił złoty ząb — ależ niektórzy z nas są wierni swoim cielesnym oryginałom! — nie musicie państwo pozostawać w bezpiecznym pomieszczeniu, jeśli nie chcecie.

— Cóż — rzekłem, uśmiechając się przebacząco — w takim razie my tylko...

— Możecie także państwo wrócić na swój statek — rzekła bezlitosnym tonem.

Ach, ci wojskowi! Nie da się ich racjonalnie przekonać. Pewnie, próbowaliśmy. Wykazaliśmy, że „bezpieczeństwo” było godnym wyśmiania anachronizmem, czy to obowiązywał Czerwony Alarm czy nie, bo jedynym wrogiem, którego pewnie należało powstrzymać, były istoty znajdujące się pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od nas, w kugelblitzu. Nie zadała sobie trudu poinformowania nas, że to nie była prawda, gdyż wiadomość wysłano ze znacznie bliżej położonego miejsca. Potrząsnęła tylko głową. Próbowaliśmy grozić wzywaniem marszałków i głów państw. Odparła, że oczywiście możemy to zrobić, jasne, kiedy tylko będziemy chcieli — jak odwołają embargo na cywilne transmisje radiowe. Nie podsunęła nam żadnej sugestii co do tego, kiedy mogłoby to nastąpić. Próbowaliśmy podejść ją po przyjacielsku. Pytaliśmy, co te wszystkie statki robią koło WOA. Nie udzieliła żadnej odpowiedzi; nie, od niej nie wydobędziemy żadnych tajemnic wojskowych.

Nie trwało to tak strasznie długo, jak mogłoby się wydawać — najwyżej parę tysięcy milisekund — gdyż Julio Cassata, a przynajmniej jego dubler, w końcu wrócił. Co zaskakujące, Cassata wyglądał na dość zadowolonego.

— Mój pierwowzór jest na konferencji — powiedział nam — więc jeszcze minie trochę czasu zanim będę mógł go... hm... zobaczyć. Obdarzył nas uśmiechem — ale nie obdarował nas nim po równo, młoda kobieta zwana Alicją Lo przejęła większość tego uśmiechu. — Co chcielibyście robić, kiedy sobie poczekamy? Rozejrzeć się po WOA?

— Nie możemy — odparłem, wskazując na panią komendant.

— Oczywiście, że możecie — rzekł, pewny swojej pozycji. Zwrócił się do niej: — Pani komendant Havandhi, uwalniam panią od tych gości, osobiście oprowadzę ich po bazie.

Pięć satelitów WOA ważyło w sumie prawie dwieście tysięcy ton i było zamieszkałe przez trzydzieści tysięcy ludzi, cielesnych i zapisanych maszynowo. Dwa z satelitów służyły wyłącznie do celów związanych z komunikacją i przetwarzaniem danych. Nie było tam nic do oglądania. Gamma składa się w całości z wojskowego żelastwa; jest pełna olbrzymich bomb i zbudowanych przez Hechów maszyn do drążenia tuneli, tak przerobionych, by służyły do robienia dziur w statkach i fortecach zamiast w skale. Nie oczekiwaliśmy bynajmniej, że tam nas wpuszczą, choć Albert i tak już wiedział wszystko o każdym elemencie uzbrojenia. Alfa to kwatery załogi i miejsca służące wypoczynkowi oraz rekreacji; nie było też żadnego powodu, dla którego mielibyśmy się tam udać — nie były nam potrzebne żadne ich pomysły na temat odpoczynku i rekreacji.

Mimo to, kiedy opuszczono przed nami elektroniczne bariery, które uniemożliwiały nie uprawnionym inteligencjom maszynowym poruszanie się po WOA, fakt, że musimy ograniczyć się do Delty, nieco mnie zdenerwował. Cassata próbował załagodzić sprawę.

— Wybaczcie staruszce — rzekł ze złośliwym uśmieszkiem. — Była oficerem wymiany jeszcze wtedy, gdy to się nazywało Podniebny Pentagon i uważa, że od tego wszystko się popsuło. — Rzucił okiem na zegarek, równie nie istniejący jak mój własny. — Mamy przynajmniej dziesięć tysięcy milisekund, a jest tu mnóstwo ciekawych rzeczy, do których mogę was zaprowadzić. Przymuleni, Amoniakowcy, Świnie Voodoo. Co chcecie obejrzeć?

— Nie chcemy niczego oglądać. Nie przyjechałem tu, żeby załapać się na wycieczkę za dwa dolce. Chcę porozmawiać z ludźmi! Chcę się dowiedzieć, co się dzieje...

— A potem — rzekł Cassata — chcesz sam wkroczyć do akcji, tak?

Wzruszyłem ramionami ze złością. W pomieszczeniu służbowym spędziłem dość czasu, żeby się we mnie zagotowało, a Julio Cassata nie starał się sprawić, żeby ta para ze mnie uszła. Było mnóstwo innych rzeczy, które chciałem powiedzieć, ale ograniczyłem się do jednego słowa.

— Tak.

Cassata sam był nieco rozdrażniony. Miał trochę czasu, zanim rozprawi się z nim jego cielesny oryginał, ale nic ponadto.

— Sprawiasz kłopoty, Broadhead — oświadczył.

— Bo masz możliwości, żeby mnie wkurzyć — zgodziłem się.

Rzucił mi nienawistne spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

— To nie zależy ode mnie — powiedział. — To nie zależy nawet ode mnie. Wspólni Głównodowodzący tu rządzą. Więc jak będzie? Wycieczka za dwa dolce czy służbówka?

Essie i ja widzieliśmy już WOA, w dawnych czasach, kiedy Wspólni Głównodowodzący mieli trochę więcej szacunku dla faceta, który kontrolował Fundację Broadheada. To samo dotyczyło Alberta. Alicja Lo była znacznie bardziej zainteresowana. Dla niej było to jedno z tajemniczych miejsc, o których się słyszy, ale których się nigdy nie ogląda, jak wewnątrz Fort Knox czy świątynia mormonów w Salt Lake City.

Tak naprawdę nigdzie nie „poszliśmy”. Nie musieliśmy. Cassata wprowadził nas do systemu komunikacyjnego WOA-Delta i zobaczyliśmy to, co chciał nam pokazać. Był uprzejmym gospodarzem, więc zrobił coś ponadto; stworzył nam rodzaj kasyna oficerskiego, w którym mogliśmy siedzieć, z zapalonym kominkiem w rogu pokoju i stołem zastawionym drinkami oraz przekąskami. Na drugim końcu pomieszczenia znajdowało się to, co mieliśmy zobaczyć.

Kiedy więc Cassata nonszalancko zaproponował rzut oka na gniazdo Przymulonych, Alicja była zachwycona — oczywiście, taki też był jego zamiar.

Przymuleni byli dla ludzi historyczną „pierwszą rasą”, gdyż byli pierwszymi inteligentnymi obcymi istotami, jakie ujrziała ludzka rasa. A właściwie niedokładnie „ujrzała”. Poczwała. Audee Walthers, bawiąc się leżanką snów, wykrył ich dostojny, wielki, przemierzający kosmos żaglowiec w międzygwiazdnej przestrzeni całe dziesiątki lat temu.

Było to bardzo ważne wydarzenie, ale to, do czego doprowadziło, było jeszcze ważniejsze, gdyż Przymuleni również wykryli Audee’ego. I właśnie oni poinformowali Heechów, że ludzie włączają się po Galaktyce i właśnie to wyciągnęło Heechów z ich kryjówki w jądrze Galaktyki.

— Myślałam, że Heechowie zabrali żaglowiec Przymulonych z powrotem na ich planetę — zdziwiła się Alicja.

— Tak było — zgodził się Cassata, — ale starszek Broadhead porwał go i ściągnął z powrotem w celu zbadania. Czy może uczynił to jego instytut. Przymuleni nie mieli nic przeciwko. Chcieli spędzić na swoim statku jeszcze jakiś kolejny tysiąc lat, albo coś koło tego. Ich żaglowiec jest ciągle na orbicie wokół WOA...

— Widziałam. Wygląda na strasznie potrzaskany — rzekła ostro Essie.

— A cóż mieliśmy z nim zrobić? W formie rozciągniętej to draństwo ma czterdzieści tysięcy kilometrów długości. Tak czy inaczej, już im niepotrzebny. Chcecie ich zobaczyć czy nie?

— Och, tak — odparł Alicja Lo, przecinając kłótnię. Cassata machnął ręką i pojawili się.

Przymuleni nie są zbyt przystojni. Niektórzy ludzie twierdzą, że przypominają tropikalny kwiat. Inni uważają, że są jak te morskie żyjątka z głębin, które mają mnóstwo macek; trudno powiedzieć, co przypominają, bo nie są podobne do niczego, co istnieje na Ziemi. Samce są znacznie większe od samic, ale to nie jest dla samic jedyny problem. Samice mają same problemy, bo Przymuleni nie znają nic takiego, jak prawa kobiet. Samice Przymulonych nie martwią się tym jednak, bo nie posiadają intelektu. Ich życie to wyłącznie wydawanie na świat potomstwa. Młode pojawia się w każdym cyklu — cykl trwa niecałe cztery miesiące. Jeśli pani miała dość szczęścia, by być w odpowiednim czasie odwiedzona przez pana, młode jest płci męskiej. Jeśli nie — jest to samica. Samce Przymulonych nie są specjalnie jurne (i nie można mieć do nich o to pretensji, oglądając ich samice), więc w większości przypadków panie są seksualnie niedopieczzone.

Dlatego przez cały czas rodzi się całe mnóstwo samic Przymulonych.

Nie marnują się wszakże. Od czasu do czasu jakiś samiec wybiera szczególnie tłustą i atrakcyjną samicę. A potem ją zjada.

Można by sądzić, że samicom się to nie podoba. Żadna samica z rasy Przymulonych nigdy się jednak nie poskarżyła. Nie potrafią. Nie umieją mówić.

Samce, z drugiej strony, gadają bez przerwy — czy też śpiewają — w każdym razie przez całe swoje życie nieustannie wydają jakiś rodzaj dźwięku. Moglibyście jednak w ogóle nie zauważyć, że siedzicie koło rozwrzeszczanego Przymulonego — zakładając, że byłoby to możliwe, bo oni żyją w środowisku, które dla ludzi jest zbyt zimne i trujące. Odczuwalibyście najwyżej lekkie pulsowanie, jakby wielka ciężarówka przejeżdżała koło waszego domu. Przymuleni są powolni. To samo dotyczy ich głosu: najwyższy sopran koloraturowy u Przymulonych to jakieś dwadzieścia do dwudziestu pięciu hertzów, więc nie moglibyście usłyszeć, co śpiewają.

Było tam kilka tuzinów istot, samców i samic, unoszących się w brei wypełniającej ich statek kosmiczny. Jeden z samców przebywał sam w oddzielnym pomieszczeniu. Reszta znajdowała się we wspólnym zbiorniku, otoczona różnymi dziwnymi urządzeniami Przymulonych, które unosiły się wokół nich: jakieś urządzenia i gadżety, jak sądzę, które czyniły dom Przymulonych wygodnym, a jedynym sposobem pozwalającym na odróżnienie istot żywych od mebli było wcześniejsze obejrzenie ich zdjęć. Nie widziałem, żeby coś się poruszało. Pod innym względem też wyglądali zabawnie. Nie pamiętałem dokładnie, jakiego byli koloru, ale wyglądali, jakby pokolorował ich ktoś, kto pamiętał jeszcze gorzej niż ja.

— Jeden się rusza! — krzyknęła Essie.

Zauważenie tego faktu było dużą sztuką. Osobnik w oddzielnym pomieszczeniu zaledwie wyciągał mackę. Był to potwornie wolny ruch nawet według standardów cielesnych ludzi (że nie wspomnę o moich własnych!). Według standardów Przymulonych jednakże osobnik ten wił się w ogromnym podekscytowaniu; dało się widzieć linie fal w otaczającej go brei tam, gdzie wytwarzał ciśnienie.

— To jeden z nowych — wyjaśnił Cassata. — Skończyli odprawę pierwotnej załogi, więc ściągnęli jeszcze sześciu samców z planety Przymulonych, jakieś parę tygodni temu.

— Dlaczego on jest sam? — zainteresowała się Alicja Lo.

— Bo znajduje się w trybie wysokim, żeby dało się z nim rozmawiać. Strasznie się rzuca, wiecie? Gdyby był razem z innymi, narobiłby bałaganu w pomieszczeniach mieszkalnych.

Albert wtrącił się profesorskim tonem.

— Widzę, że nie oglądamy ich w częstotliwościach widzialnego światła.

— Zgadza się. To obraz z tomografu, gdyż w widzialnym świetle nie dałoby się ich zobaczyć w brei, w której żyją. Chcecie posłuchać tego, co śpiewa?

Nie czekał na odpowiedź, ale włączył kanał audio. Nie usłyszeliśmy jednak Przymulonego, ale maszynowego tłumacza. Deklamował co następuje:

„Wielcy oślepiający płonący okrutnicy”

„Zabijali i niszczyli nagłą zmianą ciśnienia”

„I wielu zginęło i wielu odniosło bolesne rany. . .”

— To tylko ostatnia zwrotka — wyjaśnił Cassata. — Tym razem zajęło mu to zaledwie godzinę. Musimy dać im odpocząć pomiędzy sesjami. Nie mogą pozostawać w trybie wysokim zbyt długo, a kiedy są w trybie normalnym, nic nie da się z nimi zrobić. Chcecie trochę na nich popatrzeć?

— To, czego ja chcę, generale Cassata — oświadczyłem — to porozmawiać z kimś, kto tu rządzi. Ile jeszcze czasu zajmie nam snucie się bez celu?

Ale Essie położyła mi na ustach swoją miękką, słodką dłoń.

— Generał da nam znać najszybciej, jak to będzie możliwe, prawda Julio? Nie mamy więc nic lepszego do roboty.

„. . . także samic.”

Dokończyła tłumaczenie maszyna, a ja zacząłem myśleć, czy samemu nie spowodować, żeby ktoś zginął i odniósł bolesne rany.

Widzicie, oto znów jesteśmy, schwytni w pułapkę rozbieżności między czasem gigabitowym a cielesnym.

Nie wydaje mi się, żebym był szczególnie cierpliwy, ale jakiejś cierpliwości nauczył się ten zapisany maszynowo analog mojej osoby! Zwłaszcza w postępowaniu z cielesnymi ludźmi. Nie wspominając już o tym, iż szczególnie wkurzającym i wyjątkowo nieruchawym elementem cielesnej populacji są wojskowi.

Wypunktowałem moje poglądy na ten temat dublerowi Julia Cassaty. Tylko się złośliwie uśmiechnął. Bawiło go to. Oczywiście, z jego punktu widzenia, im dłużej tam czekaliśmy, tym więcej „życia” mu pozostało. Byłem nieco zaskoczony, że nie zaproponował pięknej Alicji Lo kolejnej prywatnej wycieczki krajoznawczej — łatwo sobie mogę wyobrazić, jakie widoki miał na myśli — a być może tak by zrobił, gdyby Albert nie podsunął mu pewnego pomysłu.

Zakasłał uprzejmie i powiedział:

— Jak sądzę, generale Cassata, Przymuleni nie są jedynym obcym gatunkiem, którego okazy tutaj mamy.

Cassata uniósł brwi.

— Nie masz chyba na myśli Świń Voodoo?

— Owszem. Także Amoniakowców. Instytut dostarczył do badań kolonie obu tych gatunków. Czy moglibyśmy je zobaczyć?

Jeśli jest coś mniej interesującego do oglądania niż Amoniakowcy, to są to na pewno Świnie Voodoo, ale oczywiście człowiek o tym nie wie, dopóki tego nie sprawdzi.

— Och, Julio — zakrzyknęła Alicja Lo — czy możemy? — I rzecz jasna okazało się, że możemy.

Cassata wzruszył ramionami i zmienił scenerię. Patrzyliśmy na kamienisty basenik z szarozieloną wodą, gdzie pół tuzina istot nieco przypominających ryby wygrzewało się w bladym pomarańczowym świetle. Mieliśmy też dźwięk, więc słyszeliśmy gęganie plotkujących między sobą Amoniakowców.

Ponieważ widziałem już wszystkich Amoniakowców, jakich kiedykolwiek chciałem oglądać, podszedłem do stołu z przekąskami. Nie chodzi o to, że byłem głodny — czy nawet „głodny”. Chciałem tylko czymś zająć czas.

Przywołałem całą moją od dawna trenowaną cierpliwość. Nie podobało mi się tu, ale nie dostrzegałem żadnej alternatywy. Prawdziwy Cassata nadal był na naradzie, a jego dubler zachowywał się przy nas jak dobry gospodarz — chociaż, jak mi się wydawało, głównie dla swojej nowej dziewczyny. A niebo waliło się nam na głowy i nie była to pora na wycieczkę do zoo!

Kiedy kelnerobot w białej marynarce podał mi kanapkę z siekaną kurzą wątróbką i cebulą — wszystko to oczywiście było symulacją, podobnie jak sam kelnerobot — Albert podszedł i przyłączył się do mnie.

— Poproszę dobre niemieckie ciemne piwo — powiedział do kelnera i uśmiechnął się do mnie. — Nie masz ochoty posłuchać, o czym rozmawiają ze sobą Amoniakowcy, Rob?

— Amoniakowcy nigdy nie mają nic do powiedzenia. — Ze złością odgryzłem kęs kanapki. Była pyszna, ale nie o to mi chodziło. — Rozmawianie z nimi jest prawdopodobnie bezcelowe — zgodził się ze mną Albert, odbierając kufel ciemnego piwa. Musicie wiedzieć, że Amoniakowcy są inteligentni, w większym lub mniejszym stopniu, gdyż przynajmniej mają język. Ale nie mają rąk. Żyją

w morzu, a ich malutkie płetwy nie są bardziej przydatne niż u foki. Gdyby nie oddychali gazem, prawdopodobnie nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że istnieją, bo nie mają miast, narzędzi, czy — co najważniejsze — pisma. Dlatego też nie mają spisanej historii. Podobnie ma się sprawa w przypadku Przymulonych; ale czas ich życia jest tak długi, że ich bardowie pamiętają sagi, które są przynajmniej tak wiarygodne jak pieśni Homera. — Mam parę nowin, które mogą cię zainteresować — rzekł Albert, kiedy pociągnął pierwszy głęboki łyk piwa.

Dobry, stary Albert!

— Skończ to piwo, a postawię ci następne — krzyknąłem. — I mów!

— To nic wielkiego — powiedział — ale oczywiście nadal mam dostęp do narzędzi przechowywania danych na „Prawdziwej Miłości. Było tam trochę danych, które moim zdaniem mogą mieć związek z obecną sytuacją. Uzyskanie dostępu do nich wszystkich zajęło mi trochę czasu i w pierwszych kilku tysiącach plików było niewiele wartościowych danych. Następnie sprawdziłem zapisy imigracyjne za ostatnich kilka miesięcy.

— Znalazłeś coś — rzekłem, by go ponaglić. Nie tylko cieleśni ludzie uczyli mnie cierpliwości.

— Tak, znalazłem — odparł. — Większość dzieci, które zostały ewakuowane z Kręgu, zostało przeniesionych na Ziemię. Zgodnie z zapisami imigracyjnymi, przynajmniej siedmioro z nich przebywa obecnie na obszarze obsługiwany przez sieć komunikacyjną zachodniego Pacyfiku. Rzecz jasna, właśnie z tej sieci wydołała się transmisja do kugelblitzu.

Obdarzyłem go niedowierzającym i zszokowanym spojrzeniem.

— Dlaczego ludzkie dzieci miałyby pracować dla Asasynów? — spytałem.

— Nie sądzę, by tak było — rzekł Albert, z namysłem przyjmując drugi kufel — choć nie można wykluczyć tej możliwości. Wiemy jednak, że były one obecne na Kręgu, kiedy Obserwatorzy stwierdzili, że prawdopodobnie coś wykryli, i teraz są na Ziemi; jest co najmniej możliwe, że Asasyni dostali się tam wraz z nimi.

Poczułem zimny dreszcz.

— Musimy powiedzieć o tym WOA!

— Tak, oczywiście — skinął głową Albert. — Już to zrobiłem. Obawiam się jednak, że spowoduje to przedłużenie tej narady, w której bierze udział oryginalny generał Cassata.

— Cholera — odparłem.

— Jednakże — uśmiechnął się Albert — nie wydaje mi się, by przedłużono ją naprawdę o znaczny czas, gdyż już zebrałem dane i przedstawiłem je do przekazania na naradzie komendant Havandhi.

— Więc co ja mam teraz robić? Dalej gapić się na Amoniakowców?

— Wydaje mi się — rzekł Albert — że inni też już stracili zainteresowanie Amoniakowcami i są gotowi przejść do Świń Voodoo.

— Widziałem już Świnie Voodoo!

— I tak nie ma nic lepszego do roboty, prawda? — zawahał się i dodał: — Poza tym, chciałbym, żebyś obejrzał rzeźby Świń Voodoo. Powinniśmy poświęcić im szczególną uwagę.

Patrząc na Świnie Voodoo nie byłem w stanie powiedzieć, co w nich mogło być interesującego. Odczuwałem jedynie obrzydzenie — to znaczy, jeśli nie liczyć niecierpliwości, z którą tak ciężko walczyłem. Świnie Voodoo żyły w pomyjach. Nigdy nie byłem w stanie pojąć, dlaczego się nie utopiły we własnym brudzie, ale one się chyba tym nie przejmowały.

Świnie Voodoo nie wyglądały wieprzowato, ale było w nich coś świńskiego. Najbardziej przypominały błękitnoskóre mrówkojady; zwęzły się po obu końcach. Naprawdę jednak miały w sobie coś ze świń. Tego, w czym żyły, nie dało się nazwać klatką. To był chlew.

Żyły we własnych odchodach. Błoto składało się nie tylko z błota, ale także świńskiego gówna. Było ono gęsto przetykane malutkimi bibelotami, które można porównać do rodzynek w budyniu ze zgniłych owoców i ekskrementów, a tymi bibelotami były właśnie wspomniane przez Alberta rzeźby.

Ponieważ Albert o tym wspomniał, przyjrzałem się uważnie rzeźbom Świń Voodoo. Nie zauważyłem, co też mogło go zainteresować. Rzeźby nie były niczym nowym. Wszystkie muzea je miały. Raz nawet miałem jedną w ręce — bardzo ostrożnie, bo smród chlewu przetrwał nawet długotrwałe gotowanie i polerowanie. Były to po prostu rzeźbione kawałki drewna, zębów czy kości. Miały jakieś dziesięć czy dwanaście centymetrów długości, a jeśli były wyrzeźbione z zębów, nie były to własne zęby Świń Voodoo. Świnie nie miały żadnych zębów. Miały jedynie ścierne, bardzo twarde powierzchnie skrobiące na skórzastych końcach ich nosów — trąb, pysków, w zależności od tego, jak chcemy to opisać. Zęby pochodziły od zwierząt, którymi się żywiły, a które importowano wraz z założeniem kolonii. Fakt, że używały zębów innych zwierząt, nie świadczy o żadnej szczególnej wrażliwości z ich strony, bo kiedy wykorzystywały kości, równie dobrze mogła to być kość ich najbliższego i najukochańszego zmarłego, kiedy już zdechł i został zjedzony. „Rzeźby” też nie są właściwym słowem. Świnie żuły kawałki materiału nadając im kształt, gdyż nie miały żadnych narzędzi, którymi mogłyby coś wyrzeźbić. Języka także nie posiadały.

Tak naprawdę, nawet wszystkie razem miały łącznie IQ świstaka...

Tylko że tworzyły dzieła sztuki i obsesyjnie nie przestawały ich tworzyć.

„Sztuka” też może być tu zbyt mocnym słowem, bo miały one wyłącznie jeden temat. Rzeźby wyglądały jak laleczki. Przypominały, o ile można to coś opisać, stworzenie o sześciu kończynach, ciele lwa oraz głowie i torsie goryla, a na całej planecie, skąd pochodziły, nie było niczego choć trochę do tego podobnego.

— Cóż więc jest w nich szczególnego? — spytałem Alberta.

— A jak sądzisz, dlaczego świnie je rzeźbią? — odparował.

Reszta towarzystwa zaczęła się bawić w zgadywanki.

— Przedmioty kultu — rzekł Cassata.
— Lalki — zaproponowała Alicja Lo. — Potrzebują czegoś, co można przytulić.
— Goście — powiedziała moja droga Przenośna Essie.
Zaś Albert uśmiechnął się do niej promiennie z aprobatą.

* * *

Jak to się często dzieje z Albertem i ze mną, nie miałem pojęcia, co ma na myśli. Ciekawe byłoby śledzenie tej rozmowy aż do tego punktu, ale nagle Cassata wyprostował się gwałtownie.

— Komunikat — oświadczył. — Państwo wybaczą — i znikł.

Nie wrócił już. Nagle zniknął nam z oczu przytulny kącik, który dla nas stworzył. Słyszeliśmy tylko głos. Z początku nie był to jego głos. Najpierw usłyszeliśmy coś, co rozpoznałem jako przekaz translatora Przymulonych:

„Wielcy byli i szkodliwie gorący”

„A lud miotał się w przerażeniu.”

A wtedy rozległ się głos Cassaty, pełen podniecenia.

— Chodźcie tu! Możecie przyjść na naradę! — Następnie pojawił się sam Cassata, promieniując szczęściem żołnierza, który dostrzegł szansę na jakąś walkę. — Udało im się, ludzie! — krzyknął. — Wyśledzili źródło komunikatu dla Asasynów. Zamykają cały sektor, a my tam wkraczamy!

Rozdział 13

Porwane dzieci

Dyrektorka szkoły była nie tylko człowiekiem, ale też świetnie radziła sobie z dziećmi. Miała cztery stopnie naukowe i dziewiętnaście lat doświadczenia. Przez ten czas spotkała się z prawie wszystkimi problemami, jakie mogą sprawić dzieci, co oznaczało z grubsza jeden problem na dziecko na semestr dla wszystkich tysięcy dzieci, którymi zajmowała się przez te wszystkie lata.

Żadne z tych doświadczeń teraz jej nie pomogło. Skończyły jej się pomysły.

Kiedy pojawiła się w poczekalni sekcji doradców, brakowało jej tchu i była pełna niedowierzania.

— To jakaś fantazja, kochanie — powiedziała do szlochającej Oniko. — Tylko dlaczego, u licha... — Opadła na krzesło, marszcząc brwi na samą myśl o tym, jak to wszystko jest niewiarygodne.

— Proszę pani? — wtrącił się Apsik, a kiedy na niego spojrzała, mówił dalej. — Tu chodzi nie tylko o Oniko. Ja też prowadziłem pamiętnik, który stał się częścią tej transmisji.

Dyrektorka bezradnie potrząsnęła głową. Machnęła w stronę ściennego ekranu, który natychmiast wyświetlił prywatną plażę szkoły; pracoboty doglądające ognia przy grillu, uczniowie zaczynający się gromadzić. Przeniosła wzrok z ekranu na dzieci i znów na ekran.

— Powinam tam być — rzekła z rozdrażnieniem — mamy dziś wieczór luau, wiecie.

— Tak, proszę pani — odparł Apsik, a Harold obok niego energicznie pokiwał głową.

— Pieczone prosię — rzekł Harold. — Tańce!

Dyrektorka spojrzała na nich ponuro. Zastanowiła się przez chwilę, po czym podjęła decyzję.

— Musicie opowiedzieć wszystko doradcom — rzekła. — Cała wasza trójka.

— Ja nie prowadziłem pamiętnika! — zajęczał Harold.

— Nie — oświadczyła twardo dyrektorka. — Wszyscy opowiecie, co się stało. Maszyny będą zadawały wam pytania. Wystarczy, jak powiecie prawdę i niczego nie zataicie. Obawiam się, że nie pójdziecie na luau, ale każę kukbotom, żeby wam coś zostawiły. — Wstała, machnęła na drzwi, żeby się otworzyły i już jej nie było.

Harold patrzył z niechęcią na swoich przyjaciół.

— Wasza dwójka! — warknął potępiająco.

— Przykro mi — odparł Apsik uprzejmie.

— Przykro ci! Przez ciebie nie będę na luau! Posłuchaj — mówił Harold, próbując coś szybko wymyślić — coś wam powiem. Pójdę pierwszy. Potem może uda mi się skończyć z tym i iść na plażę, zanim zaczną się tańce. To znaczy, przynajmniej tyle możecie zrobić, prawda, po tych wszystkich kłopotach?

To jasne, że w tym punkcie żadne z dzieci jeszcze nie wiedziało, jak bardzo kłopotliwe były te wszystkie kłopoty. Były dziećmi. Nie były przyzwyczajone do pozostawiania w centrum wydarzeń, które wstrząsnęły całym wszechświatem.

Apsik uważał, że w tym, co powiedział Harold kryje się pewna doza sprawiedliwości, choć był tam drugi poziom niesprawiedliwości, a z tym nie zrobiono nic. Ani on, ani Oniko niczego nie zrobili! Nikt im nie powiedział, że nie wolno im spędzać czasu na badaniu na wszelkie sposoby panujących na Ziemi warunków. Nikt nawet nie przypuszczał, że może być coś złego w streszczaniu i organizowaniu danych w ich pamiętnikach, które — czego możemy być pewni — nie były tak naprawdę pamiętnikami w takim sensie, w jakim są nimi książeczki z połączonymi brzegami, w których zapisujemy swoje ostatnie porażki i antypatie. Dzieci po prostu bawiły się wszelkimi informacjami, jakie mogły zebrać do swoich zasobników, jak zrobiłby to każdy rozsądnie myślący Heech (lub człowiek wychowany pod wpływem Heechów).

Nie zrobiły niczego, za co można by je skarcić — tylko że te niewinne czynności jakoś zamieniły się w najbardziej zakazane z wszelkich możliwych działań, transmisję dla Wroga! Dla Apsika była to tak przerażająca myśl, że nie był w stanie sobie z nią poradzić. Oniko była w tym lepsza. Jej strachy łatwiej było opanować.

— Jest druga kabina, Oniko. Chciałabyś tam teraz wejść? — zapytał Apsik.

Potrząsnęła głową. Jej ciemne oczy były jeszcze ciemniejsze z powodu niedawno płynących łez, ale przestała szlochać.

— Idź pierwszy, Sternutatorze.

Zawahał się, po czym powiedział:

— Dobrze, ale poczekam, aż skończysz. Potem pójdziemy razem na plażę.

— Nie, proszę cię, Sternutatorze. Idź, kiedy skończysz. I tak nie jestem głodna.

Apsik zasyczał z namysłem. Nie podobała mu się myśl, że Oniko miałyby nie pójść na zabawę, ale jeszcze mniej podobała mu się wizja Oniko podążającej

samotnie i niepewnie po piasku ku plaży, z tym swoim chodzikiem. Dla Oniko nawet poruszanie się po równej powierzchni było trudne, gdyż jej mięśnie nadal nie przywykły do pełnej grawitacji Ziemi, a co dopiero po piasku.

Wówczas przyszło mu do głowy, że nie musi jej nic obiecywać; może na nią poczekać bez względu na to, czy ona go o to poprosi czy nie. — Dobrze, Oniko — zaczął mówić.

I wtedy cały problem został pozbawiony znaczenia.

Światła zgasły.

Pokój pogrążył się w ciemności, jedyna poświata docierała z okna widokowego, które wychodziło na górę; ale góra już zasłoniła zachodzące słońce.

Z kabiny doradcy, w której siedział Harold, dobiegł okrzyk przestrochu: — Co u licha! — Drzwi do pomieszczenia zatrzęsły się, po czym stopniowo przesunęły, na tyle szeroko, by Harold mógł się przez nie przecisnąć, otworzywszy je ręcznie. — Co się dzieje? — Dopytywał się patrząc na Apsika i Oniko. — Ten głupi program przerwał w pół zdania, kiedy zadawał mi pytanie!

— Moim zdaniem, to awaria zasilania — podsunął usłużnie Apsik.

— Och, Gapciu, jakim ty jesteś durniem! Nie ma czegoś takiego jak awaria zasilania!

Apsik spojrzął na ekran ścienny, teraz ciemny; na lampy w pokoju, teraz zgaszone; na drzwi, które już się nie otwierały, kiedy ktoś się zbliżał.

— A jednak, coś takiego się stało, Haroldzie — rzekł rozsądnie. — Co teraz zrobimy?

Światła nie działały, a korytarze szkoły wyglądały mrocznie i niepokojąco. Kiedy światła nie działały, nie pracowały także windy, więc jedynym sposobem na wyjście z głównych budynków i dalej na plażę, było skorzystanie z rzadko używanych schodów.

Nie był to jednak dobry wybór dla Oniko i jej niepewnych nóg.

— Musimy iść — rzekł oskarżycielskim tonem Harold, a Apsik zgodził się z nim.

— Ale lepiej będzie wyjść na zewnątrz i pójść drogą — zaproponował.

Harold wyrzwał przez okno wychodzące na górę, po czym przez mniejsze, które pozwalało im zobaczyć plażę. Choć szkoła była jak wymarła, nie dotyczyło to jej uczniów. Prawie wszyscy tam byli, malutcy z tej odległości, snując się po plaży. Wyglądało to dość zachęcająco i Harold westchnął.

— Och, dobry Boże, zgoda, musimy iść drogą, żeby zaopiekować się Oniko. Dobrze, ruszajmy już. — Nie wspomniał, że kiedy mechanizmy szkoły nie działały, pewną alternatywą było zjechać w dół po zboczu, co byłoby jednak znacznie łatwiejsze dla niego niż dla dziewczynki. Podszedł do drzwi. Ponieważ nie miał dużego doświadczenia z drzwiami, które nie otwierały się na życzenie, o mało nie wpadł na nie nosem, ale zatrzymał się w ostatniej chwili i zaczął się z nimi mocować.

Było już prawie zupełnie ciemno; latarnie uliczne też nie działały. To nie miało większego znaczenia. Niedługo wszędzie księżyc, a wystarczyłoby nawet światło gwiazd nad Pacyfikiem, żeby coś widzieć. Bardziej niż awarię zasilania Apsik martwił się Oniko. Rzadko płakała na Kręgu, nawet wtedy, gdy dokuczały jej starsze dzieci. Teraz wyglądała, jakby jeszcze długo nie miała przestać. Łzy znów zaczęły jej płynąć, krople powoli zbierały się jej w kącikach oczu; kiedy tylko jedna spłynęła po brodzie, kolejna była gotowa podążyć w jej ślady.

— Proszę cię, Oniko — błagał Apsik. — To tylko jakiś problem z elektrycznością. To nic poważnego.

— Tu nie chodzi o elektryczność — pociągnęła nosem. — To mój pamiętnik.

— Ależ z ciebie głuptas — rzekł Apsik ponuro, w nadziei, że przekona chociaż samego siebie, jeśli nie uda mu się to z Oniko. — To musi być zbieg okoliczności. Czy ty naprawdę myślisz, że Wróg zawracałby sobie głowę dziecinnymi wypracowaniami?

Zmieniła pozycję, opierając się na kulach, by na niego spojrzeć.

— Ale tak się stało! — jęknęła. — To były dokładnie moje słowa, no i twoje.

— Tak, Gapciu — wtrącił się brutalnie Harold. — Nie próbuj się z tego wykręcać. To wszystko twoja wina — i jej, chciałem powiedzieć.

— Awaria zasilania też? — spytał Apsik. Ale riposta nie przyniosła mu satysfakcji. W pewnym sensie — przyznał sam przed sobą — była to ich wina. Okoliczności sugerujące, że to nie przypadek, były przerażające. Heechowie nie znali analogii z czterdziestoma milionami małych wystukujących komplet dzieł Williama Szekspira, ale ta analogia nie była Apsikowi potrzebna, by go przekonać. Taki zbieg okoliczności, mając na uwadze wszelkie cele i zamiary, był niemożliwy. . .

Równie niemożliwy, jak jedyna alternatywa, jaką dostrzegął — Wróg jakoś siedział mu na ramieniu i zaglądał do notatek.

Postawiony przed dwoma równie absurdalnymi rozwiązaniami, Apsik zrobił to, co zrobiłoby każde rozsądne dziecko, Heech czy człowiek. Przestał o nich myśleć.

Wskazał na wijący się wzdłuż drogi podjazd używany przez ciężarowe poduszki.

— Chodźmy na plażę tędy — zaproponował.

— Ale to całe kilometry — zajęczał Harold.

— Świetnie — odparł Apsik — jeśli chcesz, możesz iść na skróty. Oniko i ja pójdziemy drogą.

— Och, Boże — westchnął Harold, dodając kolejny zarzut do oskarżenia przeciwko Apsikowi i Oniko. — To już chyba lepiej chodźmy razem. Ale to będzie trwało całą noc.

Odwrócił się i poszedł przodem, a Apsik i Oniko ruszyli za nim. Dziewczynka miała przerażony wyraz twarzy i milczała, idąc niepewnie i odmawiając przyjęcia

pomocy od Apsika. Po kilkudziesięciu metrach Harold obejrzał się i zmarszczył gniewnie brwi. Był już daleko z przodu.

— Nie możecie iść szybciej? — zawołał.

— Możesz pójść sam — powiedział Apsik, w duchu mając jednak nadzieję, że tak się nie stanie. Z powodów, których nie był w stanie określić, Apsik był niespokojny. Kiedy Harold z niechęcią wrócił i z przesadną cierpliwością zaczął iść koło nich, Apsik ucieszył się z towarzystwa.

Czy rzeczywiście było się czego bać?

Apsikowi nie przychodziło na myśl nic rzeczywistego. Istotnie, było ciemno i mógłby ich łatwo przejechać jakiś pędzący drogą pojazd, lecz prawdą było także, iż na drodze nie było żadnych pojazdów: ich zasilanie także nie działało.

A mimo to, był bliski paniki.

Apsik w czasie pobytu na wyspie nie odczuwał dotąd strachu. Pewnie, było to miejsce odległe i całkowicie obce dla dziecka z rasy Heechów, ale nigdy nie odniósł wrażenia, że jest się czego bać. Na pewno nie tych paru polinezyjskich krajowców, którzy tu pozostali. Prawie w całości byli to starsi ludzie, przywiązani do swoich domów — większość młodych wyjechała do ciekawszych miejsc niż Moorea. Nawet budynki więzienia nie budziły w nim strachu, gdyż objaśniono dzieciom, że prawie nie było tam już żywych skazańców. W każdym razie, choć ludzie, którzy tam zostali, zrobili kiedyś coś strasznego, byli nie tylko skutecznie odizolowani, ale również starzy. Absolutnie nie było się czego obawiać, przekonywał sam siebie Apsik. Poza tym, że spóźnią się na luau.

Ponieważ był racjonalnie myślącym Heechem, ta logika go przekonała.

Dlatego też zareagował zaskoczeniem, nie strachem, gdy usłyszał krzyk Harolda i zobaczył dwóch niemłodych mężczyzn schodzących ze ścieżki prowadzącej w górę i stających naprzeciwko dzieci.

— Jesteś Heechem — powiedział niższy z tej pary, z zadowolonym uśmiechem towarzyszącym rozpoznaniu.

— Oczywiście, że on jest Heechem — wykrzyknął Harold. — A kim, u diabła, są panowie? — Staruszek uśmiechnął się do niego i sięgnął ręką do jego ramienia. Wyglądało to jak uspokajający gest, ale mężczyzna już nie puścił Harolda.

— Jestem generał Beaupre Heimat — rzekł — a to mój kolega, Cyril Basingstoke. Co za przyjemna niespodzianka, takie spotkanie. Pewnie jesteście uczniami tej szkoły?

— Tak — odparł Apsik. — Nazywam się Sternutator, ale przeważnie mówią na mnie Apsik. — Kiedy przedstawiał swoich towarzyszy, zgodnie ze starannie wyuczonym na Ziemi protokołem, próbował wybadać wyraz twarzy mężczyzn. Generał był wysokim mężczyzną, choć nie tak wysokim jak jego towarzysz i miał szeroką twarz, na której malował się niezbyt uspokajający uśmiešek. Apsik nie był szczególnie przyzwyczajony do subtelnych różnic etnicznych, które pozwalały na odróżnienie ras ludzkich, lecz zauważył od razu, że skóra drugiego ze star-

szych mężczyzn była wyraźnie ciemniejsza. Nie wydawali się szczególnie groźni, choć wyraz twarzy czarnego mężczyzny był zastanawiający. Kiedy generał zbliżył się do Oniko, Basingstoke rzekł z troską:

— Chłopie, mieliśmy takie szczęście, że się wydostaliśmy, proszę, nie narób nam kłopotów.

Heimat wzruszył ramionami. — Jakich kłopotów? Chciałem tylko powiedzieć tej ślicznej młodej pani, jak bardzo cieszę się z jej poznania.

— Prędzej czy później przywrócą zasilanie!

— Cyril — rzekł Heimat łagodnie — odpieprz się. — W spojrzeniu, jakim obdarzył swojego towarzysza, nie było wyczuwalnej groźby, ale oczy czarnego mężczyzny zwęziły się. Następnie zwrócił się do Apsika i ujął go pod ramię. Uścisk był mocny; pod warstwą tłuszczu i wysuszonej, mocnej skóry kryła się prawdziwa siła. — Jesteś pierwszym Heechem, którego osobiście poznałem — oświadczył, zmieniając temat. — Czy twoi rodzice też tu są?

Harold skorzystał z okazji, by się wtrącić.

— Jego rodzice są ważnymi Obserwatorami na Kręgu — pochwalił się. — Moi też, Oniko tak samo, a poza tym są bardzo bogaci. Lepiej nie próbujcie z nami żadnych sztuczek!

— No pewnie — rzekł Heimat świętoszkowato, ale nie puścił ręki Harolda. Namyślał się przez chwilę. — Nie potrzeba ci bogatych rodziców, żeby być atrakcyjną, moja śliczna — zwrócił się do Oniko — ale nie zaprzeczę, jest to olbrzymi plus. Jestem oczarowany, że cię poznałem. Idziemy w dół, na plażę. Może pójdziemy razem?

— Nie ma mowy! — warknął Harold. — Nie potrzebujemy ... au! — Nie zwalniając uchwytu, starszy mężczyzna uderzył go w twarz wierzchem dłoni.

— Liczy się tylko to, czego my potrzebujemy — oświadczył tonem ucinającym wszelkie dyskusje i wydawało się, że to załatwia sprawę. Heimat rozejrzał się, próbując ustalić punkty orientacyjne. — W tamtym kierunku, nie sądzisz, Cyril? — spytał. — Pamiętam, że tam jest droga prowadząca na plantację drzew chlebowych. Chodźmy, a kiedy będziemy sobie tak szli, moja śliczna Oniko opowie nam coś o swoich majątnych rodzicach?

Apsik ocenił siłę starszego mężczyzny i uznał, że wyrwanie się i zwianie nie jest niemożliwe.

Rozważał tę możliwość uważnie, podczas gdy Oniko niechętnie odpowiadała na wścibskie pytania starego generała. Doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. Choć Basingstoke był stary, wydawał się szybki i Apsik sądził, że jego reakcja na próbę ucieczki może być raczej nieprzyjemna.

A poza tym, zakładając, że wyrwie się prześladowcy, jak miałby uwolnić Oniko?

Choć cała grupa podążała drogą w ciemności dość wolno, dziewczynka z trudem nadążała. W jej przypadku bieganie było zwyczajnie niemożliwe. Nie było

też szczególnie prawdopodobne, że udałoby się to Haroldowi, gdyż chłopiec wydawał się całkiem zdruzgotany po ciosie w twarz. Szedł pochylony, nie unosząc twarzy, ale ze sposobu, w jaki poruszały się jego ramiona Apsik wywnioskował, że Harold płacze.

Kiedy skręcili z okrężnej drogi na szlak prowadzący w dół, Apsik zobaczył lu-au na plaży. Uczniowie wbili zaimprovizowane pochodnie w piasek i choć znajdowali się prawie o kilometr od nich, Harold słyszał, jak śpiewają. Strasznie im zazdrościł. Żałował, że nie przestają śpiewać, bo wtedy on lub ktoś inny z ich grupy mógłby zacząć wzywać pomocy i może zostałby usłyszany, ale realistycznie rzecz oceniając nie wydawało mu się, by którekolwiek z nich spróbowało.

Za nimi centralna góra wyspy zasłaniała światło gwiazd, ale konstelacje ponad ich głowami świeciły jasno. Nie ułatwiło to marszu. Nieoczekiwanie Oniko potknęła się na ścieżce, zaplątała w swoim chodziku i prawie upadła jak długa. Ocaliła ją dłoń Basingstoke'a, która wystrzeliła jak atakujący wąż. Postawił ją na nogi, a generał Heimat odwrócił się, by popatrzeć.

— Ach, nasza ślicznotka ma kłopoty — rzekł ze współczuciem. — Wiesz co, Cyrilu, gdybyś zatroszczył się o Harolda, mógłbym ją ponieść.

Basingstoke nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi. Szybkim ruchem podniósł Oniko i przełożył ją sobie przez ramię, ani na sekundę nie puszczając Apsika.

— Ty weźmiesz jej kule, chłopcze — zarządził.

Generał odwrócił się, a Apsik zasyczał, gdy opadło go złe przeczucie. Coś na ludzki sposób obrzydliwego unosiło się wokół nich w ciepłym tropikalnym powietrzu. Bez wątplenia Oniko też to zauważyła, gdyż powiedziała, podejmując nieśmiałą próbę rozpoczęcia neutralnej rozmowy.

— Popatrzcie na ocean! Widać światła Papeete!

Rzeczywiście tak było: po drugiej stronie cieśniny świecił na złoto rozciągnięty pas światel stolicy, Papeete. To, co miało się wydarzyć pomiędzy dwoma mężczyznami, zostało przynajmniej odsunięte w czasie.

— U nich zasilanie działa — rzekł Basingstoke z namysłem, a Heimat dołączył się do rozmowy. — Moglibyśmy tam pojechać!

— Tak, moglibyśmy, gdybyśmy mieli samolot albo łódź. Tylko co byśmy tam robili?

— Cyrilu, tam jest lotnisko. Samoloty latają do Auckland, Honolulu, Los Angeles...

— Na pewno, chłopie — odparł Basingstoke — dla ludzi, którzy mają pieniądze, żeby zapłacić za bilet. Masz przy sobie kartę kredytową?

— Ależ, Cyrilu — odrzekł Heimat karcącym tonem — ty chyba nie słuchałeś. Te dzieci mają kredyty. A zwłaszcza — uśmiechnął się — nasza malutka Oniko jest bardzo bogata. Jestem pewien, że zrobi coś dobrego dla staruszka, jak nie to, to co innego.

Basingstoke stał przez chwilę w milczeniu. Apsik czuł napięcie w uścisku starszego mężczyzny i zastanawiał się, jakie to ziemskie niuanse właśnie mu umykają. Wreszcie mężczyzna przemówił.

— Beaupre, to co robisz dla własnej przyjemności, to nie mój interes. Jeśli jednak może to przeszkodzić mi w wydostaniu się z tej wyspy, staje się moim osobistym problemem. W takiej sytuacji cię zabiję. — Zamilkł, pozwalając, by te słowa przebrzmiały. Po czym rzekł: — Dalej, zobaczmy, czy jest tam jakaś łódka.

Były tam łódki. Był tam przynajmniej tuzin łodzi wyciągniętych na plażę, gdzie szkoła trzymała swoją małą flotę. Leżały tam cztery kajaki i sześć desek surfingowych, ale tylko jedna żaglówka, a żaden z nich nie potrafił się nią posługiwać.

— Nie możecie tego zrobić — rzekł Harold, gdy wróciła mu odwaga. — Po prostu nas puście! Nikomu nie powiemy. . .

Heimat spojrział na niego w milczeniu. Następnie zwrócił się do Cyrila Basingstoke'a. — Muszą mieć coś większego, z czego moglibyśmy skorzystać — rzekł. Każde z dzieci próbowało przybrać możliwie obojętny i nieświadomy wyraz twarzy, gdyż oczywiście szkoła miała coś takiego.

— Tam jest pirs — rzekł miękko Basingstoke wskazując na jakiś punkt w przestrzeni i cała trójka westchnęła z rezygnacją. Kiedy powlekli się po pełnym muszelek piasku w kierunku szkolnego doku, Apsik miał irracjonalną nadzieję, że całą flotyllę zabrano do remontu, albo odplynęła na morze, albo zatoneła. A kiedy dotarli do doku i Heimat wydał okrzyk wściekłości, jego nadzieja znów rozkwitła.

— Nie ma zasilania! — warknął. — Żadna nie działa!

Basingstoke jednak uniósł podbródek, jakby węszył coś pod wiatr.

— Posłuchaj, chłopie — zarządził. Przez szum bryzy wiejącej od strony góry przebiło się łagodne, uporczywe brzęczenie. Skoczył na koniec doku, gdzie wyciągnięto szkolną łódkę ze szklanym dnem, by się naładowała. — Napęd z kołem zamachowym — zapiał. — Musiał się nakręcać przez całą noc. Wsiadać!

Nie dało się nic zrobić. Podstarzali terroryści wpakowali do łodzi najpierw chłopców, potem Basingstoke podał Oniko Heimatowi, który obiecująco pogładził ją po głowie, zanim ją posadził na ławce. Basingstoke znalazł się przy sterach, Heimat odrzucił liny i mała łódka wypłynęła na gładką jak lustro lagunę.

Apsik i Oniko, trzymając się za ręce na ławce nad oszklonym dnem, patrzyli ze smutkiem na piętrzącą się nad wyspą górę i ciemne budynki szkoły. Nie, nie całkiem ciemne, zauważył Apsik z nadzieją; zgasła ona szybko, gdy ujrzał, że tylko w paru oknach tli się niewyraźna poświata. Ktoś na nowo odkrył świece. Większość uczniów nadal bawiła się na plaży; Apsik widział ich kształty poruszające się w świetle pochodni. Kiedy łódka ze szklanym dnem ruszyła w stronę przesmyku w rafie, utrzymywali stałą odległość od plaży.

I wtedy, właśnie w chwili, gdy potrzebował całej przytomności umysłu i siły, jaką tylko mógł z siebie wykrzesać, Apsik poczuł, jak jego powieki stają się cięż-

kie. Jakie to dziwne, pomyślał, otrząsając się, by się obudzić. To nie był dobry moment na zasypianie — i nie było ku temu powodów! Podjął wielki wysiłek, by nie zasnąć i zebrać myśli.

Pierwsze pytanie brzmiało: jakie środki miał do dyspozycji?

Zacznijmy od tego, rozmyślał, że łódka znajduje się ciągle zaledwie paręset metrów od plaży. Przepłynięcie tego dystansu, w ciepłej, płytkiej lagunie, byłoby dziecinną zabawą dla każdego dziecka — prawie każdego dziecka, myślał z żalem, ale nie dla Oniko, czy dla niego. Ona była za słaba, on nie unosił się na wodzie. Jaka szkoda. Pewnie gdyby potrafili pływać, ci mężczyźni raczej nie poszliby w ich ślady, oni chcieli przede wszystkim uciec. . .

Syknął cicho do siebie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że co najmniej jeden z nich chciał czegoś jeszcze, przynajmniej od Oniko.

Oswojenie się z tą myślą nie przyszło Apsikowi łatwo. Pojęcie gwałtu było dla Heechów czymś obcym, a zwłaszcza gwałtu na młodej, niedojrzałej samicy. Przodkowie, to przecież było niemożliwe! Nie wspominając o tym, że to coś strasznie obrzydliwego. Słyszał kiedyś dyskusje teoretyczne o takich rzeczach — wszystkie odnoszące się do ludzkich zachowań, co do tego nie ma wątpliwości. Nie wierzył żadnej z nich. Nawet jak na ludzi, takie okropne zboczenia nie mogły być przecież realne.

Tylko że nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji.

Nie, powiedział sobie, ryzyko jest zbyt duże. Coś takiego może w końcu okazać się prawdą! Muszą jakoś uciec. Czy byłoby możliwe, żeby Harold uciekł i sprowadził pomoc? Przynajmniej on nie miałby problemów z dopłynięciem do brzegu. . .

Harold siedział jednak upchany ciasno koło czarnego mężczyzny przy sterach. Apsik nie uważał za prawdopodobne, by Basingstoke kiedykolwiek zszedł z posterunku. Znużenie i załamanie znów wzięły górę i oczy Apsika zaczęły się zamykać.

Stary czarny mężczyzna mruczał coś do siebie, gdy sprawnie prowadził łódź w stronę przejścia w rafie.

— Wiesz, Beaupre — krzyknął w stronę drugiego z mężczyzn — wydaje mi się, że chyba nam się udało! Niestety, nie wiem, jak długo ładowały się akumulatory koła. Niewykluczone, że wyczerpią się zanim dopłyniemy do Tahiti.

— W takim wypadku — rzekł Heimat — przywiążemy te dzieciaki za burtą jako zewnętrzne silniki i dopchają nas do brzegu — a przynajmniej dwoje z nich — dodał, głaszcząc zwieszoną głowę Oniko.

Basingstoke zachichotał. Możliwość wyczerpania się napędu nie martwiła go za bardzo, nie wydawał się też, jak zauważył Apsik, być szczególnie przejęty planami Heimata względem Oniko — a przynajmniej za bardzo. Apsik poczuł, jak jego mięśnie brzuszne kurczą się ze strachu. Gdyby tylko nie był tak dziwnie zmęczony! Czuł się, jakby oddychał powietrzem o małej zawartości tlenu albo wziął

jakiś środek usypiający. W istocie przypominało to niedostatek, jakiego żaden Heech dobrowolnie by sobie nie zapewnił, jakby nierozważnie zostawił gdzieś swój zasobnik i teraz odczuwał brak życiodajnego promieniowania, jakie mu zapewniał...

Apsik zasyczał głośno, zaalarmowany.

Heimat odwrócił się, przerywając pełne aprobaty gapienie się na Oniko i warknął.

— Co się z tobą dzieje?

Apsik nie odpowiedział jednak. Było to coś zbyt przerażającego, by o tym mówić.

Jego zasobnik niczego nie emitował.

Heechowie mogli przeżyć wiele dni, a nawet tygodni, bez nieustannego poddawania się działaniu promieniowania z ich zasobników. Na ich ojczystej planecie nigdy nie było to problemem, gdyż w środowisku, w którym wyewoluowali, strumień mikrofal był stale obecny, dlatego też wykształciło się u nich to zapotrzebowanie, tak jak ludziom potrzebne jest światło słoneczne, a rybom woda. Przeżycie jednak to nie wszystko. Po jakiejś godzinie czy dwóch bez kontaktu z mikrofalami brak zaczynał być odczuwalny. Teraz zaś upłynęło już znacznie więcej czasu od chwili, gdy nastąpiła awaria zasilania i zasobnik przestał promieniować. Apsik już zaczął odczuwać skutki. Było to takie uczucie — do czego można je porównać według ludzkich kryteriów? Pragnienia? Wyczerpania? Odczucie potrzeby, podobnie jak u osobnika ludzkiego przebywającego na pustyni — po pewnym czasie zaczyna odczuwać niezaspokojoną potrzebę. Może jeszcze sobie radzić przez jakiś czas bez wody...

Ale nie może tak w nieskończoność.

Płytką łódź przepłynęła przez lukę w rafie i uderzyła w fale cieśniny.

Nie były to wielkie fale, ale łódka znajdowała się na otwartym morzu. Choć ocean nie był wzburzony, fale unoszące teraz łódkę w górę i w dół narodziły się jako malutkie fale pięć tysięcy kilometrów stąd, a przemieszczając się stale rosły.

Oniko złapała gwałtownie oddech i chwyciła się burty; ogarnęły ją mdłości. Po krótkiej, niełatwej wewnętrznej walce Apsik dołączył do niej. Nie odczuwał choroby morskiej w taki sam sposób, jak człowiek — wewnętrzne ucho Heechów miało całkowicie odmienną budowę — ale ruch, stres, a przede wszystkim utrata energii związana z zanikiem promieniowania zasobnika zrobiły swoje i czuł się chory.

Z dziobu kołyszącej się łodzi Heimat zaśmiał się pobłaźliwie.

— Biedne dzieci! Obiecuję, że jak tylko dostaniemy się na brzeg, dostaniecie coś, dzięki czemu od razu o tym zapomnicie.

— Ona jest tylko wystraszona, Beau — zagrzmiał Basingstoke. — Wyrzuć to z siebie, Oniko; nic ci nie będzie. — Starszy mężczyzna wydawał się całkiem rozluźniony, gdy sterował pomykającą po falach łodzią. — Kiedy byłem małym

chłopcem — powiedział, zaczynając opowieść podróżnika, dzięki której czas miał szybciej płynąć — nad naszą wyspą przetaczały się takie burze, że w życiu byście nie uwierzyli, dzieciaki. Ale musieliśmy wypływać w czasie burzy na połów, bo byliśmy bardzo biedni. Mój ojciec bardzo się postarzał — nie z powodu wieku, ale od wdychania węglowodorów z powietrza. Petrochemikalia. Rzygać nam się od nich chciało, a kiedy wypływaliśmy w łodziach rybackich. . .

Wyrzuciwszy ze swojego układu pokarmowego wszystko, co tylko mogło przejść przez usta, Apsik osunął się na dno łodzi, prawie nie słuchając. Przycisnął twarz do szklanego dna, chłodnego od wody pod nim i poczuł, jak Oniko kładzie się obok niego. Apatycznie sięgnął po jej rękę. Wiedział, że musi myśleć i planować, ale to było takie trudne!

— . . . a w wodzie — mówił dalej Basingstoke — były wielkie rekiny, prawie tak wielkie i drapieżne, jak te tutaj na Pacyfiku. . .

Mimo zmęczenia, dłoń Apsika zacisnęła się konwulsyjnie na rękę Oniko. Rekiny? Było to kolejne paskudne zjawisko tej ludzkiej planety, które znał tylko ze słyszenia. Wyteżył swoje wielkie oczy, by spojrzeć w czarna, wodę, ale oczywiście niczego nie zobaczył. Wiele razy patrzył przez to szklane dno na lśniące ławice malutkich rybek, miotające się tu i tam w doskonałej harmonii, na pełzające skorupiaki na piaszczystym dnie. Te wszystkie stworzenia były trochę straszne, ale był to przyjemny strach, jak dziecko wyskakujące z ukrycia, żeby kogoś przstraszyć.

Ale rekiny!

Apsik z całą mocą próbował przestać myśleć o rekinach. Zamiast tego zaczął słuchać starszego czarnego mężczyzny, który pograżył się w nie kończących się wspomnieniach.

— . . . przez pięćdziesiąt lat wyeksploatowali szyby naftowe do czysta, zatrzuwając świeże, słodkie powietrze naszej wyspy. Mówili, że potrzebują tego do hodowli białka, żeby nikt nie musiał głodować, wiecie. I właśnie to pchnęło mnie do walki, nie było innej drogi do sprawiedliwości. . .

Sprawiedliwość, pomyślał mgliście Apsik. Jakie to dziwne, że ten terrorysta, morderca, porywacz, mówi o sprawiedliwości. Jakie to ludzkie.

Kiedy zbliżyli się do drugiego brzegu cieśniny po stronie Tahiti, Apsik zmusił się do tego, by usiąść.

Przed nimi na wodzie znajdował się wielki, czarny kształt, zakotwiczony i oświetlony, rozmiarów boiska piłkarskiego. Choć Apsik wiedział, co tam jest, rozpoznanie Fabryki Pożywienia zajęło mu chwilę. Dzień i noc pobierała ona tlen i azot z powietrza, wodór z morskiej wody, a węgiel z mających mniej szczęścia stworzeń zamieszkujących cieśninę, wszystko po to, by karmić mieszkańców Tahiti i sąsiednich wysp. Zastanawiał się, dlaczego stary Basingstoke ośmielił się przepłynąć tak blisko, aż sobie uświadomił, że jest ona w pełni zautomatyzowa-

na; nie było w niej żadnego człowieka, a było mało prawdopodobne, by pracoboty zwróciły uwagę na przepływającą w pobliżu małą łódkę.

I wtedy do Apsika dotarły dwie rzeczy.

Po pierwsze, zdał sobie sprawę z tego, że Fabryka Pożywienia była oświetlona. Miała zasilanie! Po drugie, od jego łędźwi w górę napływało ciepłe, łagodne falowanie.

Opuścili strefę awarii zasilania, a jego zasobnik znów działał.

Gdy tak płynęli wzdłuż brzegu, fale stały się bardziej postrzępione. Nie było tam laguny, żadna rafa nie oddzielała ich od Pacyfiku i łódka ze szklanym dnem podskakiwała niespokojnie na falach.

— Nie utop nas, stary durniu — warknął Heimat do swojego współnika, a Harold zapiszczał ze strachu, gdy woda przelała się przez burłę. Apsik rozumiał ludzkie lęki. Kiedy przejaśniło mu się w głowie, również zaczął je przejawiać. Mała łódka była ustawiona do fal burłą i ryzyko wywrotki było znaczne. Ale to zmartwienie nie popsło mu nastroju. Promieniowanie z zasobnika było równie odświeżające, jak zimny napój w gorący dzień — nie, było czymś znacznie lepszym! Tak odświeżające, jak gorący napój z rumem po wydostaniu się z zamieci; ciepłe, przyjemne, po tym jak otępiające uczucie odebrało mu całą wolę działania. Senne otępienie trwało jednak tylko chwilę, aż jego ciało nasyciło się mikrofalami do woli. Gdy jednak trwało, był po prostu zbyt odprężony, żeby się zmartwić.

Siedział więc bezwładnie, a Cyril Basingstoke wypatrywał brzegu, na którym mogliby wylądować. Słuchał, nie przejmując się tym specjalnie, jak dwóch niemłodych mężczyzn wyklóca się o różne opcje. Posłusznie próbował wybierać wodę z dna łódki swymi skórzastymi, gołymi rękami Heecha, tak kiepsko się nadającymi do tego celu — aż zdecydowali się przybić do domu na plaży, posiadającego własne pływające molo — i Basingstoke nakierował nań łódkę.

Wysiedli z łódki, poszli w stronę domu, zebrali się przy zamkniętej żaluzjami werandzie — było kilkanaście okazji, z których mógł skorzystać Apsik, by się uwolnić i uciec. Starzy mężczyźni byli zmęczeni, gdyż była już późna noc, a oni sporo przeszli. Apsik jednak nie wykorzystał żadnej z tych okazji. Nie zrobił też tego Harold, choć chłopiec miał pewnie mniejsze szanse; generał Heimat ani na chwilę nie puścił jego ramienia. Zaś Oniko oczywiście w ogóle nie miała szans na ucieczkę, więc Apsik posłusznie pomagał Oniko i czekał cierpliwie, aż mężczyźni przestaną się kłócić.

— Tam będzie jakiś alarm, chłopie — ostrzegł Basingstoke.

Heimat uśmiechnął się i powiedział tylko:

— Weź chłopca za rękę — i zabrał się do pracy. Jego umiejętności, tyle razy sprawdzone na wielopoziomowych programach strażniczych więzienia, były nie do pokonania dla zwykłego domowego alarmu.

Po dwóch minutach byli w środku. Drzwi za nimi zostały zamknięte. Szanse ucieczki zmalały do zera i wówczas Apsik z goryczą uświadomił sobie, ile okazji przepuścił.

— Kłąć się na brzuchu, złotka — zarządził radośnie Heimat — położyć ręce na karku. Jeśli się ruszycie, jesteście martwi — oczywiście, to ciebie nie dotyczy, słodka Oniko.

Dzieci posłusznie położyły się na podłodze i Apsik słyszał, jak dwaj mężczyźni przeszukują dom, mrużąc coś do siebie. Przyjemne otępienie już znikło, teraz było już za późno, lecz Apsik uświadomił sobie coś jeszcze. Prawie nie słyszał, co porywacze robią czy mówią. Chciał czegoś... Potrzebował czegoś...

Nie powziąwszy wcześniej takiego zamiaru, wstał i podszedł do znajdującego się w bungalowie piezowizyjnego zestawu komunikacyjnego.

Przypadkiem pierwszy ujrzał go Basingstoke, co prawdopodobnie ocaliło Apsikowi życie. Mężczyzna znalazł się przy nim i odepchnął go.

— Chłopcze, chłopcze — zagrzmiał staruszek karcąco — co ty u licha wyprawiasz?

— Muszę gdzieś zadzwonić — wyjaśnił Apsik, wstając. Nic nie zostało uszkodzone. Znow ruszył w stronę urzędu. Basingstoke złapał go.

— Musisz robić tylko to — skarcił go — co ja ci każę, chłopcze, i nic ponadto. Będziesz siedział spokojnie, albo... Heimat! Pilnuj dziewczynki!

Oniko także stanęła niepewnie na nogach i uparcie przesuwiała się w kierunku zestawu komunikacyjnego z zaciętym wyrazem twarzy.

Heimat błyskawicznie otoczył ją ramieniem.

— Co się z wami dzieje? — warknął. — Nie dociera do was, że my nie żartujemy? Chyba powinniśmy zabić tego smarkacza Heecha, żeby was przekonać.

— Wystarczy, jak ich zwiążemy, Beaupre — poprawił go Basingstoke. Następnie, obserwując wyraz twarzy Heimata trzymającego dziewczynkę westchnął. — Och, daj sobie spokój, chłopie! Będziesz miał na to mnóstwo czasu później!

Dom na plaży był darem losu dla pary starych terrorystów. Było tam jedzenie, zasilanie, znaleźli nawet coś w rodzaju broni — sprężynowy pistolet na rekiny dla nurków i płaski, kiepsko wyglądający pistolet do głuszenia ryb, używany wtedy, gdy wędkarz wyciągnął na pokład wystarczająco dużą i energiczną rybę, by jej podrygi były niebezpieczne dla stabilności łódki. Otępienie Apsika już się ulotniło i przyglądał się pistoletom ze zdumieniem i przerażeniem. To była broń! Można było kogoś tym zabić! Jakież to typowo ludzkie wynalazki!

Gdy znaleźli jedzenie, mężczyźni zjedli pierwsi, mrużąc coś do siebie przy stole, ale kiedy skończyli, rozwiązali Oniko i pozwolili jej nakarmić pozostałą dwójkę. Musiała karmić ich łyżką, wlewając im zupę do ust, jakby byli niemowlętami. Raz udało się jej podnieść nieporadnie i ruszyć w kierunku zestawu piezowizyjnego, ale Heimat był szybszy. Więcej już nie próbowała. Nieopanowana chęć, by zrobić to samo, opuściła już Apsika; chłopiec zaczął się zastanawiać,

co takiego właściwie chciał pilnie zrobić. Zadzwoić do kogoś, to jasne. Ale do kogo? Na policję? Tak, to byłoby logiczne; ale chyba jednak nie to miał na myśli.

Kiedy wszyscy zostali nakarmieni, a dzieciom pozwolono kolejno udać się pod nadzorem do toalety, Heimat podszedł i przyjaźnie otoczył Oniko ramieniem. Dziewczynka zadrżała nawet na niego nie patrząc.

— Heimat, chłopie — odezwał się Cyril Basingstoke ostrzegawczym tonem. Generał wyglądał na zaskoczonego.

— A co ja takiego zrobiłem? — spytał, bawiąc się od niechcenia przyszyronymi czarnymi włosami dziewczynki. — Pojedliśmy sobie. Jesteśmy w przyjemnym, bezpiecznym miejscu. Chyba zasłużyliśmy sobie na chwilę odpoczynku i zabawy.

— Chłopie, jesteśmy ciągle na wyspie pośrodku Oceanu Spokojnego — tłumaczył cierpliwie Basingstoke. — Nie będziemy bezpieczni, dopóki się z niej nie wydostaniemy. Wcześniej czy później pojawią się tu właściciele bungalowu, albo ktoś z sąsiadów zobaczy światło i złoży nam wizytę, i co wtedy?

Heimat westchnął, co miało wyrażać tolerancję, wstał i zaczął spacerować po pokoju.

— Ale mamy przed sobą całą noc, a do rana nie będzie żadnych lotów — przypomniał.

— Do rana nie jest daleko — zaproponował Basingstoke. — I jest tu też ta łódka z napędem zamachowym. Jeśli ją tak zostawimy, sprowadzi na nas pościg. Myślę, że ty i ja, Beau, powinniśmy pójść tam i spuścić ją na wodę zanim zrobi się jasno.

— Och? — odparł Heimat. — Ale dlaczego tylko ty i ja, Cyril? Usiadł przy biurku w rogu pokoju, obserwując współnika, a kiedy żaden z nich nie zmienił wyrazu twarzy, Apsik nagle zdał sobie sprawę z panującego w pokoju napięcia.

Heimat mówił dalej z namysłem.

— Sprawdźmy, czy umiem czytać w twoich myślach, stary druhu. Myślisz, że łatwiej będzie kupić bilet dla jednej osoby niż dla dwóch. Myślisz także, iż gdybyśmy — ja i ci mili młodzi ludzie — zeszli z tego świata, nasze ciała mogłyby leżeć w tym domku dość długo.

— Och, Beaupre, jaką ty masz wyobraźnię — rzekł łagodnie Basingstoke.

— Tak — zgodził się Heimat. — Wyobrażam sobie, że dokonałeś kalkulacji, drogi Cyrilu, zastanawiając się, czy bardziej przyda ci się moja pomoc czy moje zwłoki. Sądzę nawet, że opracowałeś jakiś plan, w którym ciała naszej czwórki zostaną znalezione w jakimś korzystnym dla ciebie miejscu. Na przykład na dryfującej łodzi, żeby ludzie pomyśleli, iż się utopiłeś podczas pokonywania cieśniny. Udało mi się trafić w sedno?

Basingstoke obdarzył swojego partnera tolerancyjnym uśmiechem.

— Och, w ogólnych zarysach — przyznał. — Człowiek ma czasem takie luźne myśli. Ale to była tylko myśl, chłopie.

— To pomyśl teraz o tym — uśmiechnął się Heimat, unosząc nad biurko dłoń, w której trzymał płaski, prymitywny pistolet do głuszenia ryb.

Oniko pisnęła i osunęła się obok Apsika. Żałował, że nie może jej pogłaskać uspokajającym gestem, ale nie pozwalały mu na to więzy; w ramach kompromisu potarł swoim skórzastym policzkiem czubek jej głowy. Basingstoke przez chwilę patrzył na dzieci, po czym otwarcie zwrócił się znów do Heimata.

— Beaupre — powiedział — myślę tylko o tym, o czym ty na pewno też myślałeś; jedynym rozsądnym rozwiązaniem dla nas obu jest rozpatrzenie różnych alternatyw. Ale nie chciałbym, żeby ktoś znalazł poza wyspą twoje ciało. O ile wszystkim wiadomo, jesteśmy dalej na Moorea. Mam nadzieję, że nikt sobie nic innego nie pomyśli, zanim nie będzie za późno. Więc nie bądź durniem, chłopie. Pozbądźmy się jakoś tej łódki. Potem załatwimy sobie stąd jakiś transport.

Heimat przyglądał mu się uważnie, drapiąc się po brodzie kciukiem. Nie odzywał się.

— Poza tym — powiedział Basingstoke — jest jeszcze coś nad czym trzeba się zastanowić. Nikt rozsądny nie zostawia naładowanego pistoletu w szufladzie, kiedy wyjeżdża. Naprawdę sądzisz, że właściciele tego bungalowu byli aż tak beztroscy? Jesteś tego pewien? Nie sprawdziłeś go, czy jest pusty, bo bym to zauważył.

Heimat skinął mu głową z szacunkiem. Na moment położył ręce na kolanach, przyglądając się pistoletowi. To, co zobaczył, nie było widoczne dla pozostałych osób przy biurku; rozległo się tylko trzaśnięcie metalu, kiedy go otwierał, i stuknięcie, kiedy zamykał. Wyraz twarzy Heimata nie zmienił się, gdy uniósł wzrok.

— Teraz ja wiem, czy jest naładowany, czy nie — zauważył. — Ale ty nie.

— Jest naładowany? — spytał uprzejmie Basingstoke. Nie czekał na odpowiedź. — W każdym razie, dajmy sobie spokój z tą bezsensowną dyskusją. Teraz obaj pójdziemy i pozbędziemy się łódki; dzieci będą tu bezpieczne. Następnie wrócimy i znajdziemy jakiś sposób wydostania się z tej wyspy. A potem, Beaupre, kiedy będziemy czekali na samolot, możesz się zabawiać, jak tylko chcesz.

To generał Beaupre Heimat związał ich i Apsik musiał przyznać, że starsuszek wiedział, co robi. Po paru minutach mężczyźni wyszli z domku, a Apsik rozpaczliwie napiął więzy. Nie pomogło mu specjalnie jęczenie od strony Harolda.

— Co z tobą, Gapciu, do licha? Jesteś taki chudy, że powinno ci się udać wyślizgnąć z tych sznurów! Potem rozwiązałbyś nas i wtedy...

Harold zamilkł, gdyż nie potrafił wyobrazić sobie, co byłoby „wtedy”. Tak czy inaczej, terroryści wrócili bardzo szybko i podeszli do zestawu piezowizyjnego.

Połączyli się natychmiast z pracownikiem zajmującym się rezerwacjami na lotnisku Faa-Faa-Faa. Była to — a przynajmniej tak wyglądała — śliczna Polinezyjka w sarongu, z kwiatami we włosach. Kiedy tak patrzyła na nich z ekranu piezowizyjnego, wyglądała przyjacielsko i prawdziwie. Przez chwilę Apsik chciał

wołać o pomoc, ale nadzieja nie uzasadniała ryzyka. Była to niewątpliwie jedynie symulacja i na pewno bardzo podstawowa.

— Proszę wyświetlić wszystkie loty bez przesiadki do miejsc oddalonych o ponad dwa tysiące kilometrów, od teraz do południa — zarządził Heimat.

— Oui, m'sieur — dziewczyna uśmiechnęła się i znikła. Piezowizor wyświetlił listę:

UA 495 Honolulu 06:40

JA 350 Tokio 08:00

AF 781 Los Angeles 9:40

NZ 263 Auckland 11:10

QU 819 Sydney 11:40

UT 311 San Francisco 12:00

— Ja chcę lot do Los Angeles — Heimat odezwał się od razu.

Basingstoke westchnął.

— Tak sądziłem, Beaupre. Tylko, że ja też.

Heimat wyglądał na niezadowolonego.

— Możesz lecieć do San Francisco — zaproponował. — To tylko parę godzin później i lepiej, żebyśmy nie lecieli razem jednym lotem, nie? Możesz też lecieć do Honolulu, albo Tokio. . .

— Nie chcę znaleźć się na kolejnej wyspie ani w kraju, którego języka nie znam, i nie chcę czekać paru godzin. Kupuję bilet do Los Angeles.

Heimat westchnął i poddał się.

— Świetnie. Możemy się tam wreszcie rozstać. Rezerwacja!

Znów pojawiła się dziewczyna, uprzejmie się do niego zwracając:

— M'sieur?

— Chcemy zarezerwować dwa miejsca w samolocie Air France 781, na rano.

Pan J. Smith i pan R. Jones — zaimprovizował Heimat.

— Klasa turystyczna czy biznes, proszę pana?

— Och, zdecydowanie klasa biznes — uśmiechnął się Heimat. — Nasza kochana mała siostrzeniczka zabrała nas na małe wakacje i jest bardzo hojna. Chwileczkę — powiedział, dając znaki Basingstoke'owi, żeby przyprowadził dziewczynkę. Poza zasięgiem piezowizora czarny mężczyzna szybko rozwiązał ręce dziewczynki. Następnie skinął głową Heimatowi i przytrzymał ją przy piezowizorze.

— Oniko, kochanie — mówił dalej Heimat — bądź tak dobra i podaj temu sympatycznemu programowi twój identyfikator kredytowy.

Apsik wstrzymał oddech. Czy Oniko spróbuje wezwać pomoc? Nie zrobiła tego. Wyraźnym głosem podała programowi swoje dane kredytowe i przyłożyła kciuk w celu weryfikacji. Przez chwilę Apsik odczuwał rozczarowanie. Gdzież

była ta osławiona ludzka odwaga, gdy była naprawdę potrzebna? I od razu się zawstydził; niewątpliwie gdyby Oniko powiedziała coś nie tak, stałoby się coś niemiłego — jak tylko znalazłaby się poza zasięgiem piezowizora.

I to było już wszystko. Nie było dalszych pytań. Program o wyglądzie Polinezyjki sprawdził stan konta w ciągu sekundy i oznajmił:

— Potwierdzam rezerwację dwóch miejsc, pan J. Smith i pan R. Jones, lot bez przesiadek z Faa-Faa-Faa, odlot o dziewiątej trzydzieści, do Los Angeles Intercontinental. Czy stamtąd będą jakieś dalsze lub powrotne loty?

— Na razie nie — rzekł Basingstoke i wyłączył piezowizor.

— Czekaj chwilę — zaprotestował Heimat. — Po co ten pośpiech? Będziemy chcieli lecieć gdzieś dalej z Los Angeles, przecież wiesz!

— Ale nie z wykorzystaniem jej kredytu, chłopie. To za duże ryzyko. Musisz znaleźć jakiś inny sposób na wydostanie się stamtąd.

Oczy Heimata niebezpiecznie się zwężyły.

— Dużo na siebie bierzesz, Cyril — powiedział miękko. — Zapomniałeś już, że nadal mam pistolet? — I nagle rozwrzeszczał się. — Co ona robi? Zatrzymaj ją, Cyril!

Oniko, mimo trzymającej ją nadal ręki Basingstoke'a, ruszyła odruchowo w kierunku piezowizora.

Basingstoke odepchnął ją.

— Zaraz, zaraz — rzekł karcącym tonem. — To się robi zbyt męczące, mała! — Oniko nie zareagowała. Tylko patrzyła na piezowizor, pozostający teraz poza jej zasięgiem.

— Zwiąż ją — zarządził Heimat.

Apsik patrzył z niepokojem, co robi Basingstoke, układając ją przy rządku pozostałych porwanych leżących wzdłuż ściany. Kiedy tylko Oniko była związana, zdołała się nieco odprężyć, zwłaszcza, że jej ciało opierało się dla wygody o Apsika.

— Musiałam — szepnęła do niego, a on syknął potakująco. Musiała, tak samo jak on, próbować dosięgnąć piezowizora, gdy tylko znaleźli się w domku. Apsik zastanowił się przez chwilę nad tą odruchową próbą; nie pamiętał tylko, dlaczego wydawało mu się to takie ważne, przypomniał sobie jedynie, że tak było. To było dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy chciał odnaleźć i zapisać w pamiętniku każdą informację, jaką tylko mógł znaleźć, na temat historii Heechów i ich działań. Wydało mu się, że te dwa impulsy były jakoś ze sobą powiązane, ale ich nie rozumiał.

— Oni niedługo odjadą — wyszeptał do Oniko, dając jej jedyną pociechę, jaką potrafił znaleźć.

Spojrzała na niego w milczeniu. Nie musiała nic mówić; gdyby coś powiedziała, pewnie byłoby to tylko:

— Nie tak niedługo.

Starsi mężczyźni robili to, co zawsze. Kłócili się.

Ależ dziwni byli ci ludzie, musieli rozstrzygać najprostsze kwestie za pomocą zaostzonych dysput. Tym razem kłótnia dotyczyła tego, czy należy iść spać czy nie, a jeśli tak, który z nich ma to zrobić pierwszy. Heimat mówił:

— Możemy trochę odpocząć, Cyrilu. Jakaś godzinka czy dwie, żebyśmy byli przytomni, kiedy trzeba będzie jechać na lotnisko. Czemu się trochę nie prześpisz? Ja tymczasem posiedzę i zabawię naszych młodych gości.

— Jeśli zabawisz tę małą, tak jak chciałbyś — warknął Basingstoke — to ona prawdopodobnie tego nie przeżyje.

Heimat potrząsnął głową ze smutkiem.

— Starość daje ci się we znaki. A któż dba o to, co się stanie z małą ślicznotką?

— Starość całkiem cię ogłupiła! Tam czeka na ciebie cały świat pełen małych dziewczynek. Kiedy już wydostaniemy się z tej wyspy, możesz robić z nimi, co tylko chcesz i nic mnie to nie obchodzi, ale ta ma pieniądze, z których możemy skorzystać. Zapłaci nasze rachunki, jeśli będzie martwa?

— Jakie rachunki? Mamy już bilety na samolot.

— A jak się dostaniemy na lotnisko? — spytał Basingstoke. — Pójdziemy piechotą?

Heimat przez chwilę wyglądał na zamyślonego, potem na zasmuconego.

— Chyba tym razem masz rację — przyznał ponuro. Potem się ożywił. — Zamówimy więc teraz limuzynę, a potem będziemy mieli czas na inne rzeczy, które na nas czekają!

Apsik nie był w stanie stwierdzić, ile z tego rozumiała Oniko. Leżała rozluźniona, oparta o niego. Oczy miała zamknięte, ale po policzkach płynęły jej powoli łzy, jedna za drugą — chyba miała ich niewyczerpane zapasy.

Apsik zamknął oczy. Nie było to tyle znużenie, choć tego także mu nie brakowało, co skutek wysiłku spowodowanego koncentracją. Czy była jakaś sposobność ucieczki? Założmy, że powie im, iż musi znów iść do toalety. Założmy, że go wtedy rozwiążą; czy mógłby się uwolnić, podnieść Oniko i wybiec z domku? Czy Harold mógłby mu pomóc? Czy była jakaś szansa na to, że taki plan może się powieść?

Czy może wtedy porywacze rozwiązaliby problem Apsika i Harolda, którzy nie mieli pieniędzy i nie nadawali się na ofiary gwałtu, zabijając ich przy pierwszej niedogodności?

Po raz pierwszy w życiu Apsik dopuszczał realną możliwość, że jego żywot zakończy się w ciągu najbliższych kilku godzin. Dla młodego Heecha było to coś przerażającego. To nie była jedynie kwestia śmierci — śmierć przychodziła wcześniej czy później do każdego. Ale śmierć w tych okolicznościach mogła być śmiercią totalną, gdyż w pobliżu nie było nikogo, kto zabrałby mózg martwego Apsika i zapisał jego zawartość; chłopiec nie bał się śmierci, lecz możliwości, że

jego mózg rozłoży się nieodwracalnie zanim zostanie przekształcony w Prodka... .

Dotarło do niego, że porywacze znów się kłóca, tym razem jeszcze gwałtowniej.

— Co się dzieje z tym draństwem! — wrzasnął Basingstoke zdenerwowany, a Heimat dołączył się: — Zrobiłeś coś nie tak, stary durniu. Poczekaj! Niech ja spróbuję.

— Próbuj sobie ile chcesz — mruzczał Basingstoke. — To się po prostu nie chce włączyć — cofnął się i patrzył z niechęcią, jak poblady mężczyzna pochyła się nad piezowizorem. Następnie Heimat wyprostował się, a jego spojrzenie było zupełnie puste.

— Co zrobiłeś? — dopytywał się. — Nic! Po prostu go wyłączyłem. Potem próbowałem go włączyć i nie działa!

Przez krótką chwilę Apsik poczuł napływ nadziei. Jeśli piezowizor komunikacyjny rzeczywiście był zepsuty, może porywacze będą musieli zmienić plany. Może będą musieli iść piechotą na lotnisko! Apsik nie miał pojęcia, jaka to odległość, ale oni też nie mieli. Pewnie więc nie pozwolą sobie na stratę czasu. Będą musieli wyruszyć natychmiast, gdyż na zewnątrz słońce zaraz miało wzejść, niebo za oknem zaczęło się rozjaśniać.

A gdyby wyruszyli od razu i z jakiegoś powodu nie zabili wszystkich świadków, jacy pozostali? A gdyby nie zdecydowali się zabrać dzieci ze sobą, a gdyby... . Za dużo było tych „gdyby”.

Lecz nagle, te wszystkie gdybania przestały mieć znaczenie. Apsik zobaczył, jak piezowizor się rozjaśnia. To samo można było powiedzieć o Basingstoke’u, który wrzasnął:

— Nie musimy się obrzucać oskarżeniami, Beau! Zobacz, wreszcie się uruchomił.

Tak też było, ale twarz, która pojawiła się na ekranie, nie była twarzą uśmiechniętej Polinezyjki z kwiatem hibiskusa we włosach. Była to twarz mężczyzny. Mężczyzny w nieokreślonym wieku, dość przystojnego (a przynajmniej chcącego się za takiego uważać), uśmiechającego się do nich przyjaźnie. Apsik nie rozpoznał go. Dla każdego Heecha wszyscy ludzie byli do siebie podobni, z wyjątkiem tych paru nielicznych, z którymi spędził dłuższy czas.

Cyril Basingstoke i Beaupre Heimat jednak rozpoznali tę twarz od razu.

— Robinette Broadhead! — wrzasnął Basingstoke, a Heimat zawył. — Co u diabła ten skurwiol tutaj robi?

* * *

Obserwując całe zdarzenie w gigabitowej przestrzeni Essie nerwowo zachichotała.

— Jesteś sławny, Robinie — powiedziała. — Nawet ci przekłęci emerytowani terroryści rozpoznają cię natychmiast.

— To nic dziwnego, pani Broadhead. — Odezwał się Albert. — Generał Heimat próbował zabić Robinette'a przynajmniej dwa razy. Pewnie każdy terrorysta na Ziemi by tak zrobił, gdyby miał okazję.

— Więc teraz nie pozwól im zrobić nic paskudnego, Robinie — prosiła Essie. — No, dalej. Zrób coś. Tylko bądź ostrożny, kochany! Przekłęci terroryści to nic w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakiemu teraz stawisz czoła!

Rozdział 14

Pasażerowie na gapę

Czas opowiedzieć wam, co działo się wtedy w WOA.

Kiedy informacja o transmisji dotarła do nich, chłopcy wzięli się do roboty. Programy i ludzie w gigabitowej przestrzeni zabrały się do śledzenia miejsca nadania wiadomości i ustaliły, że to wyspa o nazwie Moorea na Oceanie Spokojnym. Udało im się to zrobić na tyle szybko, że zadowoliło nawet mnie.

Następnie wszystko zostało wstrzymane, gdyż decyzję musieli podjąć ludzie z krwi i kości. Zrobili to najszybciej, jak tylko było to możliwe, muszę im przyznać, ale przejście do następnego etapu zajęło im wiele, wiele milisekund, a jeszcze więcej czasu minęło, zanim zaczęto wprowadzać decyzję w czyn. Wyizolowano Moorea z sieci zasilania. Odcięto wszelkie źródła energii elektromagnetycznej, które znajdowały się na wyspie. Moorea znalazła się pod kwarantanną. Żadna transmisja nie mogła się stamtąd wydostać.

To była właściwa decyzja i tu musiałem się z nimi zgodzić. Ale zajęło im to tyle czasu! A podjęcie kolejnej decyzji trwało jeszcze dłużej. Nie wiedzieli, co należało zrobić, choć Albert, Essie i ja wymyśliliśmy błyskawicznie, ale przekonanie cieleśniaków, że to prawda, trwało straszliwie długo, a co dopiero zmuszenie ich, żeby podjęli działanie.

Od początku było jasne, że Wróg dotarł na Ziemię. Albert i ja dyskutowaliśmy o tym przez tysiące milisekund i po prostu nie było innego wyjaśnienia. Te „fałszywe alarmy” na Kręgu wcale nie były fałszywe. Udało nam się to wytłumaczyć, milisekunda po milisekundzie, cielesnym ludziom. Żeby ich pokręciło — jeszcze się wykłócali.

— Nie wiecie tego z całą pewnością — protestował generał Halverssen, a ja wydarłem się na niego: — Oczywiście, że wiemy! — zaś Albert wtrącił się rozsądnie: — To prawda, panie generale, nie wiemy tego na pewno. Ale nauka nie opiera się na pewności; jest to wyłącznie kwestia prawdopodobieństwa, a prawdopodobieństwo, że jest to rzeczywisty obraz stanu faktycznego, jest znaczne. Tak naprawdę nie mamy bardziej przekonującej hipotezy.

Potraficie sobie wyobrazić, ile to zajęło czasu?

A potem trzeba było ich przekonać do następnego punktu: że jacyś ludzie pracują dla Wroga. Wtedy zaczęła się długa kłótnia, bo generałowie WOA zaczęli się zastanawiać, czy jakikolwiek człowiek, czy to zły, czy szalony, mógłby współpracować z wrogami życia organicznego. Całe wieki zajęło nam wytłumaczenie, że nie mieliśmy na myśli świadomej współpracy. Transmisja miała miejsce w języku angielskim i choć bardzo przyspieszona, była niekwestionowanym dowodem na to, że jakiś człowiek był w to zamieszany. Treść przekazu również stanowiła dowód na to, że została wygenerowana przez Wroga i dla niego przeznaczona.

— Gdybyście byli zwiadowcami Wroga na Ziemi — dopytywał się uprzejmie Albert — co byście zrobili? Wasza pierwsza misja polegałaby na dowiedzeniu się wszystkiego o ludziach i Heechach; o tym, z jakich technologii korzystają i gdzie się znajdują; o wszystkim, co może być użyteczne w przypadku konfliktu. A dokładnie takie informacje zawierał przekaz, panowie generałowie. Nie ma żadnych wątpliwości.

Kłótnie nie trwały przez milisekundy. Trwały całe minuty, a minuty rozciągały się w godziny, gdyż cieleśni generałowie nie spędzali całego czasu na rozmowach z nami. Zajmowali się jeszcze innymi rzeczami. Grali. Wyspa Moorea była odizolowana, więc wiadomości nie mogły być przesyłane w żadnym kierunku; jedynym więc sposobem na ustanowienie kontroli było wysłanie tam żołnierzy z poleceniem opanowania.

— Opanowania czego? — pytaliśmy na próżno.

— Wyspy, oczywiście — otrzymaliśmy wreszcie odpowiedź.

Zatem na Nandu i Oahu załadowano samolot dalekiego zasięgu, wpakowano do niego spadochroniarzy i wysłano go nad Moorea. W samolocie byli dzielni mężczyźni i kobiety — znacznie dzielniejsi, niż ja bym był w takiej sytuacji, gdyż ich status „żołnierzy” był czysto honorowy, przynajmniej tak długo, jak większość z nich pozostawała przy życiu. Przelecieli nad wyspą i wylądowali w ciemnościach; na zboczach wielkiej, centralnej góry, niektórzy w wodach laguny, paru szczęściarzy na plantacjach taro i na plaży. Ich misja miała polegać na aresztowaniu wszystkich, których znajdą, a kiedy ta operacja miała się zakończyć, wysłaniu sygnału za pomocą luster do satelity, aby wyspę Moorea można było znów włączyć do sieci zasilania i żeby mogła tam wylądować prawdziwa ekipa dochodzeniowa.

Wyobrażacie sobie, ile im to zajęło czasu? A ile z tym było zachodu? Zrzucenie dwustu spadochroniarzy na Moorea, z czego siedemdziesięciu połamało sobie ręce i nogi. To cud, że nikt z nich nie zginął.

Kiedy to wszystko się działo, najszybsi z nas, jak Albert i ja, odrabiali zadanie domowe, które mogłoby zaoszczędzić tych wszystkich trudów. Zajęło nam to więcej czasu niż powinno, ponieważ nie mogliśmy się dostać do zapisów na Moorea, z powodu braku zasilania. Musieliśmy odtworzyć te informacje z innych

źródeł. Tak też zrobiliśmy. Uzyskaliśmy dostęp do wszystkich danych na temat osób przybywających na wyspę i wyjeżdżających z niej. Przebadaliśmy oficjalne akta wszystkich, którzy tam mieszkali. Szukaliśmy jakiegoś punktu zaczepienia, jakiegoś związku z Wrogiem. . .

I w plikach pojawiły się imiona Oniko, Apsika i Harolda.

Kiedy tylko dowiedzieliśmy się, kim są i gdzie byli, wiedzieliśmy, że to jest odpowiedź. Kto jeszcze był na Kręgu Obserwacyjnym podczas ostatniego „fałszywego alarmu”?

Kiedy objaśniliśmy to wszystko cieleśniakom, zgodzili się z nami, że to ważna informacja. Także bezużyteczna, gdyż nie było żadnego dobrego sposobu komunikowania się z oddziałami spadochroniarzy, nawet kiedy już snuli się po wyspie, aby im powiedzieć, na czym mają skoncentrować swoje wysiłki. Ale potem zrobili jeszcze jedną dobrą rzecz. Udostępnili nam obrazy z satelity, a kiedy odtworzyliśmy te zapisy, zobaczyliśmy małą łódkę ze szklanym dnem, wymykającą się z laguny na wody cieśniny.

Niestety, kiedy to zobaczyliśmy, ucieczka przeszła już do historii. Ale byli tam. Trójka dzieci, gramoląca się na pływające moło domku na plaży należącego do pana Henri Becquerela i jego małżonki, obecnie przebywających u wnuków na planecie Peggy. Potem podjęliśmy następny krok, monitoring wszelkich transmisji z domku na plaży i nie mieliśmy żadnego problemu z identyfikacją dwóch starych świrów, którzy byli z dziećmi na łódce.

Następnie zachowaliśmy obrazy i przemyśleliśmy je.

— Aha — rzekł mądrze Albert, pykając z fajeczki. — Patrz na dzieci.

— Dwoje z nich ma zasobniki — ogłosił Julio Cassata, nieznacznie mnie ubiegając.

— Właśnie. A jakie może być lepsze miejsce na kryjówkę dla istoty zbudowanej z energii, jak Wróg?

— Ale czy to możliwe? — spytałem. — To znaczy, jak mogliby to zrobić?

Pyk, pyk.

— To mogło być dla nich trudne, Robinie, zgadza się — rzekł Albert z namysłem, bo na pewno systemy przechowywania danych są inne od tych, do których przywykli. Ale systemy zapisu Przodków u Heechów i nasza gigabitowa sieć też nie były na początku kompatybilne. Musieliśmy wymyślić jakieś sposoby na zapisywanie z jednego systemu do drugiego. — Myślisz, że Wróg jest głupszy od nas, Robinie? — A zanim odpowiedziałem, dodał: — W każdym razie, nie ma lepszej hipotezy. Nie ośmieliłbym się zakładać nic innego. Wróg jest w zasobnikach.

— A zasobniki są na dzieciach — rzekła Essie — a dzieci są więźniami pary znanych morderców. Robin! Cokolwiek byśmy zrobili, trzeba się upewnić, że dzieciom nic się nie stanie!

— Oczywiście, moja droga — odparłem, zastanawiając się, jak to zrobić. Pliki danych, dotyczące Heimata i Basingstoke’a, nie dostarczały uspokajających

informacji, nawet jeśli zapomnieć o znanej obsesji Heimata na punkcie małych, bezbronych dziewczynek. Podjąłem wysiłek. — Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić — rzekłem — jest przekonanie WOA, żeby odizolowała ten domek. Nie chcemy, żeby Wróg przedostał się do gigabitowej sieci i włączył się po niej.

— Mieli już mnóstwo czasu, żeby to zrobić — zauważył Albert.

— Ale może nie zrobili. Może nie mogą opuszczać zasobników, albo nie sądzą, że powinni? — potrząsnąłem głową. — Problem z tobą, Albercie, polega na tym, że jesteś maszynowym konstruktem. Nie wiesz, jak zachowują się istoty naturalne. Gdybym był Wrogiem, przebywającym w jakimś dziwnym, zatrważającym miejscu, znalazłbym sobie spokojną dziurę i czekał, aż byłbym całkiem pewien, że na zewnątrz jest bezpiecznie.

Albert westchnął i przewrócił oczami.

— Nigdy nie byłeś istotą naturalną składającą się z energii, więc nie wiesz nic o ich zachowaniu — przypomniał mi.

— Ale jeśli się myślę, nic straconego, prawda? Odetnijmy ich.

— Och — odparł — już to zasugerowałem organicznym przywódcom WOA. Dom zostanie całkowicie odcięty za parę tysięcy milisekund. Co wtedy?

— Och — rzekłem radośnie — wtedy złożymy im wizytę.

W istocie zajęło to wiele milisekund. Musiałem nie tylko przekonać cieleśniaków z WOA, że byłem najlepszą osobą do negocjacji, musiałem także — to samo dotyczy Alberta — przekonać ich, że potrafię tak negocjować, by nie dać ani zbrodniarzom, ani Wrogowi szansy ucieczki.

— Dobrze — rzekł z mocą dubler Cassaty — zgadzam. się. — Zebrałem się w sobie, by przystąpić do następnej części. Pojawiła się sama. — Ktoś musi to zrobić, ale nie ty. Jesteś cywilem.

Zacząłem krzyczeć.

— Posłuchaj durniu...! — ale Albert podniósł rękę.

— Generale Cassata — rzekł cierpliwie — sytuacja w tym domku jest niestabilna. Nie możemy czekać, aż jakaś cielesna osoba uda się tam i zacznie negocjować.

— Oczywiście, że nie — odparł kwaśno — ale to nie znaczy, że tą osobą ma być Broadhead!

— Och? — zdziwił się Albert. — Kto zatem? To musi być ktoś z nas, prawda? Ktoś, kto orientuje się w tym, co się dzieje? Tak naprawdę, to ktoś z obecnych tutaj, prawda?

— Niekoniecznie — rzekł Cassata, grając na zwłokę, ale Albert mu na to nie pozwolił.

— Myślę, że tak być musi — rzekł łagodnie — bo podstawowe znaczenie ma tu czas, a jedynym problemem jest, kto to ma być. Nie sądzę, bym miał to być ja; jestem w końcu sztuczny, nie?

— I na pewno nie ja! — wtrąciła się Essie.

— A pan, panie generale — rzekł Albert uprzejmie — po prostu nie jest wystarczająco dobry do tej roboty. Zostaje więc, obawiam się, tylko Robinette.

Obawiał się!

Cassata poddał się.

— Ale nie we własnej osobie — zarządził. — To ma być dubler i to moje ostatnie słowo.

Zatem nie byłem to dokładnie ja, który uśmiechał się z ekranu piezowizora do dwóch potworów i schwytych przez nich dzieci. Był to mój dubler, gdyż na to zezwalał Albert i ludzie z WOA, pozwalano mi jednakże kontaktować się z dublerem za pomocą ograniczonego kanału. W tej kwestii nie mieli wyboru, gdyż w przeciwnym razie nikt nie wiedziałby, co się dzieje w małym domku na plaży na wyspie Tahiti.

Patrzyłem więc z PV na parę starych zbrodniarzy. Powiedziałem od razu:

— Generale Heimat, panie Basingstoke, zostaliście znów pojmani. Nie róbcie niczego dziwnego. Pozwolimy wam odejść wolno, pod pewnymi warunkami, jeśli tylko będziecie współpracować. Zaczniście od uwolnienia dzieci. — W tym samym czasie drugi ja, bezpieczny tysiące kilometrów od tego miejsca, na pokładzie „Prawdziwej Miłości”, narzekałem gorzko: — To trwa tak strasznie długo!

— Nic na to nie poradzimy, drogi Robinie — powiedziała Essie, zaś Albert odchrząknął i podsunął:

— Bądź ostrożny. Generał Heimat podejmie jakieś gwałtowne kroki, co do tego nie ma wątpliwości, ale Basingstoke jest bardziej subtelny. Proszę, obserwuj go uważnie.

— A mam jakiś wybór? — mruknąłem. Nie miałem. To byli cieleśni ludzie, a ja to ja. Kiedy mój dubler wygłaszał tę niekończącą się, długą przemowę — zajęła sześć tysięcy milisekund! — obserwowałem i wyświetlałem każdą osobę, mebel, dekorację na ścianie, okno, ziarnko piasku, pyłek kurzu, jakie znajdowały się w tym małym, przyjemnym pokoju. Uruchomienie mojego wizerunku i wypowiedzenie słów powitania zajęło mi całą wieczność, zaś na odpowiedź Heimata musiałem czekać nieskończoność.

Widzicie, nie miałem tych bajeranckich perceptorów i czujników, jakie stanowią część prawdziwego mnie, tutaj na „Prawdziwej Miłości”. To był prosty zestaw piezowizyjny, taki, jakie ludzie wstawiają do salonów. Są zaprojektowane dla cieleśniaków, zatem są równie wolne. System skanowania zestawu komunikacyjnego przygląda się wszystkiemu po kolei, punkt po punkcie. Bada kolejno każdy z tych punktów i rejestruje jego właściwości — tyle i tyle luminancji, taka i taka długość fali — a następnie, również punkt po punkcie, zapisuje je w pamięci w celu dokonania transmisji.

Oczywiście nie mieliśmy zamiaru dopuścić, żeby piezowizor cokolwiek transmitował. Jedyna transmisja, jaka miała miejsce, odbywała się między moim dublerem a mną, znajdującym się 100 000 kilometrów od planety.

Skanery zestawu były dość szybkie do tego celu, według standardów cielesnej osoby. Przyglądały się każdemu punktowi dwadzieścia cztery razy na sekundę, a właściwości ludzkiego mózgu pozwalały wypełnić luki. Ludzie oglądali iluzje w czasie rzeczywistym.

Ze mną tak nie było. To, co widział mój dubler i ja, było mozolnym budowaniem obrazów, punkt po punkcie. Pracowaliśmy w czasie gigabitowej przestrzeni, o rzędy wielkości szybciej. Widzieliśmy, jak pojawia się każdy z pojedynczych punktów danych. Wyglądało to tak, jakby ktoś wypełniał płótno, na którym maluje się według numerków, co jedną dwudziestą czwartą sekundy, tu kropka czerwonego, obok trochę ciemniejszy szkarłat, i tak dalej, mozolnie, punkt po punkcie, aż zobaczyliśmy jedną linię z czerwonej spódniczki Oniko. Potem tysiąc punktów na następną linię, i następną, a ja i dubler siedzieliśmy metaforycznie obgryzając metaforyczne palce, czekając, aż pokaże się cały obraz.

Nie lepiej było z dźwiękiem. Średnia częstotliwość ludzkiej mowy, powiedzmy, środkowe A, wynosi 440 hertzów. Zatem to, co „słyszałem” (postrzegane w rzeczywistości jako skoki ciśnienia) brzmiało jak: tut. . . tut.. tut, a każde z kolejnych tut pojawiało się parę milisekund po ostatnim. Mogłem zapisywać amplitudę każdego impulsu i przewidywany czas między nimi, mniej lub bardziej, kiedy ton był wzniesiony lub obniżony, następnie określać częstotliwości, wykreślać spektrogramy, przekładać je na sylaby, a wreszcie — na słowa. Och, i mogłem je interpretować, w porządku. Ale, mój Boże, to było takie denerwujące.

I frustrujące na wszelkie możliwe sposoby, gdyż było ważne.

Tym ważnym czynnikiem był niewątpliwie Wróg, ale miałem jeszcze inne powody. Na przykład ciekawość. Stuknięty staruszek nazwiskiem Heimat, jak świetnie wiedziałem, próbował zabić mnie i moją żonę. Naprawdę chętnie bym z nim o tym pogadał. Dalej: były tam dzieci. Była to naprawdę dramatyczna sytuacja, gdyż miałem jednoznaczny obraz tego, co przeszły i jak bardzo były przerażone, wyczerpane i załamane. Chciałem je stamtąd wyciągnąć w ciągu milisekund, nie miałem czasu na targowanie się i dobijanie targu ze starymi zbrodniarzami; i nie potrafiłem.

Nie mogłem także czekać, więc kiedy Heimat i Basingstoke otwierali usta do odpowiedzi, ze zdumionym wyrazem na twarzach, wciąłem się i rzuciłem bezpośrednio do dzieci.

— Oniko, Apsiku, Haroldzie: jesteście bezpieczni. Ci dwaj ludzie nic wam nie zrobią.

Kiedy tak siedzieliśmy w sterowni „Prawdziwej Miłości”, Albert gryzł z namysłem fajkę, aż rzekł.

— Nie obwiniam cię za to, Robinie, ale proszę, pamiętaj, że Wróg ma pierwszeństwo w tym całym przedsięwzięciu.

Nie miałem szans, by odpowiedzieć. Essie zrobiła to za mnie, krzycząc z niezadowolaniem:

— Albercie! Czyli jednak jesteś maszyną! Te biedne dzieci umierają ze strachu!

— On ma jednak rację — zaproponował Cassata. — Dzieciom nic nie będzie. Policja z Papeete jest już w drodze...

— A kiedy tam dojedzie? — dopytywała się Essie. Było to pytanie retoryczne; oboje znaliśmy odpowiedź. Podała ją. — Za jakiś milion milisekund, prawda? Co się może stać przez ten czas, nawet w życiu cielesnej osoby?

Mój dubler właśnie kończył mówić: — ...ście bezpieczni... — więc mieliśmy mnóstwo czasu na debaty. Zwróciłem się do Alberta.

— Jak sądzisz, co robi Heimat?

— On ma pistolet — zawyrokował Albert. — Pewnie spróbuje użyć Oniko jako zakładnika.

— Temu możemy zaradzić — oświadczył ponuro Cassata.

— Niby jak, Julio? — spytałem. — Oszalałeś? Jeśli wpadniecie do tego małutkiego pokoju strzelając z broni promieniowej, komuś może się coś stać.

— Tylko temu, w kogo wycelujemy!

Albert zakaszła lekceważąco.

— Precyzja pańskiej broni jest niepodważalna, generale. Pozostaje jednak kwestia integralności klatki Faradaya. Odizolowaliśmy tę przestrzeń całkowicie, z wyjątkiem pojedynczego kanału między panem Broadheadem i jego dublerem. Jeśli ją przebijecie, co się stanie z pasażerami na gapę?

Cassata zawahał się. Wszyscy się zawahaliśmy, gdyż to był nasz podstawowy problem. Pasażerowie na gapę. Wróg!

Patrząc na trójkę niewinnych dzieci przetrzymywanych w charakterze zakładników przez parę starych zbrodniarzy prawie zapomnieliśmy, gdzie czai się prawdziwa groza. Heimat i Basingstoke byli amatorami! Ta dwójka wymordowała może jakieś parędziesiąt tysięcy niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, spowodowała straty rzędu miliardów dolarów, zrujnowała życie dziesiątkom milionów ludzi... a jednak, jakże byli trywialni, jeśli porównało się ich z rasą, która przesuwiała gwiazdy, unicestwiała całe planety, ośmieliła się igrać z całym wszechświatem! Terror? Wszyscy terroryści byli jedynie denerwującymi główniarzami bez znaczenia, w porównaniu z Wrogiem — i ci dwaj, i Hitler, i Dżyngis Chan, i Stalin.

A w tamtym pokoju przebywał Wróg i ja zaproponowałem, że stawię mu czoła...

Mój dubler wreszcie skończył uspokajającą gadkę do dzieci. Cyril Basingstoke otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Za pośrednictwem mojego dublera widziałem wyraz jego twarzy. Oczy miał utkwione we mnie, z ciekawością i czymś w rodzaju szacunku. Był to taki szacunek, jakim może obdarzyć jeden gladiator drugiego, kiedy spotkają się na arenie — gladiator, który rozpoznał już różnicę między bronią przeciwnika a własną, ale ciągle jeszcze ma nadzieję, że jego trójzab pokona sieć tego drugiego.

Nie był to wyraz twarzy, jakiego można by oczekiwać po kimś gotowym do poddania się.

Gdyby mierzyć wolnymi tyknięciami zegarów osób cielesnych, to co stało się później, musiało się wydawać bardzo szybkie. Dwóch podstarzałych wyjętych spod prawa ludzi już dawno zapomniało o swoich najlepszych latach, ale wstawiono im mnóstwo nowych części i mięśni, zaś złowrogie mózgi były nadal sprawne.

— Beaupre! — warknął Basingstoke. — Zastoń dziewczynkę! — A sam skoczył w kierunku stołu, gdzie trzymał naładowany pistolet sprężynowy.

— Nie róbcie niczego! Możemy dobić targu! — Z ekranu krzyknąłem z niepokojem.

Heimat, z jedną ręką trzymającą Oniko za włosy a drugą przyciskającą jej do czoła pistolet do głuszenia ryb, zawył triumfalnie:

— Psiakrew, pewnie, że tak! Chcesz usłyszeć warunki? Wolność! Całkowita wolność, transport na wybraną przez nas planetę i milion dolarów dla każdego!

— I więcej broni, chłopie — dodał praktycznie Basingstoke. Z ich obu on był zawsze bardziej przytomny, pomyślałem z czymś w rodzaju podziwu. Doceniałem również szybkie myślenie i precyzyjne działanie obu zbrodniarzy. Pomyślcie tylko! Musieli być dość zaskoczeni moim nagłym pojawieniem się na ekranie piezowizora; udzielenie odpowiedzi, obmyślenie planu i wykonanie go zajęło im nie więcej niż dziesięć sekund, więc teraz mieli dzieci w garści i określone żądania.

Dziesięć sekund to jednak dziesięć tysięcy milisekund.

Zwróciłem się do nich z ekranu.

— Wolność możemy wam zapewnić — wam obu. To znaczy, możecie zostać zwolnieni z więzienia i przetransportowani na jakąś inną planetę — nie będzie to ani Ziemia, ani Peggy, ale będzie przyjemna. Jedyne problemy będą polegały na tym, że będziecie tam sami. — Była to korzystna i uczciwa oferta. Miałem nawet na myśli jedną konkretną planetę, gdyż Albert znalazł taką. To prawda, znajdowała się w jądrze Galaktyki, była to jedna z tych dodatkowych, które Heechowie rozsądnie przeznaczali do ekspansji, ale niewątpliwie dało się tam żyć. Mogli tam robić, co chcieli — zwłaszcza, że w jądrze Galaktyki robiliby to czterdzieści tysięcy razy wolniej niż na Ziemi.

— A do cholery z czymś takim! — warknął Heimat. — My wybierzemy planetę i nie zapomnij o forsie!

— Przekażę wam pieniądze — rzekłem uprzejmie. — Milion dla każdego; możecie użyć tych pieniędzy, żeby sobie kupić programy do towarzystwa. Przemyslcie to, chłopcy. Wiecie, że nie możemy wam już pozwolić na niszczenie miast. — A kiedy oczy Heimata zwęziły się, gdy usłyszał odgłosy dochodzące z drugiego pokoju, dodałem szybko: — Nie macie dużego wyboru, bo w przeciwnym razie zaraz obaj będziecie martwi. Zobaczcie, co dla was mamy — zachęciłem i wyświetliłem na ekranie orbitalną broń cząsteczkowo-promieniową Nasha.

Spojrzeni. Wystarczyła im sekunda albo dwie, żeby załapać, co jest na ekranie, ale było za późno. Albert znalazł bowiem coś dla mnie pośród wyposażenia domu. Pracobot, którego zlokalizował, a nad którym ja przejąłem kontrolę, właśnie przechodził przez drzwi, z uniesionymi węzami czyszczącymi. Pracobot nie jest bronią. Kiedy zostanie zaprojektowany jako chłopiec do pomocy, może zamiatać, czyścić i naprawiać, może nawet myć okna i wynosić śmieci, ale nie zabija. Ma jednak dodatkowe dysze służące do spryskiwania detergentem oraz pompy, które zapewniają tym dyszom dodatkową moc; kiedy się więc je napompuje na maksimum i wsunie noże do przycinania do dysz, jak ja poleciłem zrobić temu pracobotowi, kiedy prowadziłem rozmowę, może wyrzucać noże z olbrzymią siłą i przyzwoitą precyzją.

Nie zabiłem starych zbrodniarzy — a przynajmniej nie w sposób trwały. Zanim zdążyli się obejrzeć, Heimat miał nóż w gardle, a Basingstoke w sercu, więc nie stanowili już problemu dla dzieci, a jedynie dla techników, którzy mieli przepompować to, co zostało z ich umysłów do zbiorów Archiwum Zmarłych.

— Zastanawiam się — powiedziałem, obserwując, jak drugi nóż zagłębia się stopniowo w piersi Basingstoke'a — czy nie powinniśmy byli zrobić tak od razu, Albercie. Jako maszynowo zapisane inteligencje będą sprawiać znacznie mniej kłopotu, prawda?

— A niby dlaczego? — uśmiechnął się Albert. — Wiesz, w twoim przypadku tak nie jest. Ale teraz proszę cię, zajmij się dziećmi.

— Dzieci! — wrzasnął Cassata. — Mamy tam Wroga! Nim trzeba się teraz zająć!

— Ale w tym wypadku — rzekł uprzejmie Albert — to jest to samo.

Nie musiał mi o tym przypominać. Byłem już wystarczająco przestraszony.

Pracobot nie jest lepszy w rozwiązywaniu węzłów niż w walce ze zbrodniarzami, ale ma urządzenia ścierające i przecinające; po prostu rozciął więzy. Najpierw uwolnił Oniko, potem Apsika i Harolda, a ja mówiłem do nich, kiedy przeprowadzał całą operację.

— Wszystko już dobrze, dzieci — powiedziałem uspokajającym tonem — z wyjątkiem jednej ważnej rzeczy. Chcę, żebyście zdjęli swoje zasobniki, bez żadnej dyskusji, gdyż jest to bardzo ważne. I macie to zrobić natychmiast.

To były grzeczne dzieci. Nie było to dla nich łatwe. Nic nie było dla nich łatwe po tym, co przeszły, zwłaszcza dla Oniko, która była tak wyczerpana i przerażona, a jeszcze trudniejsze dla Apsika, gdyż Heechowie nigdy nie chodzą bez swoich zasobników po ukończeniu trzech lat. Dzieci jednak wykonały polecenie, bez słowa protestu. Och, zajęło im to wiele milisekund, podczas których ja czekałem ze zniecierpliwieniem na następny krok. Właśnie ten, którego się bałem!

Ale nie miałem wyboru.

A teraz — rzekłem — chciałbym, żeby wasza dwójka zaniósła zasobniki do piezowizora i podłączyła je do receptorów danych.

To nie było łatwe; końcówki zasobników nie były przeznaczone do takiego celu, ale Albert wymyślił już jakieś metody i sposoby. Apsik przyjrzał się więc, jaka przejściówka mogłaby pasować, a Harold wygrzebał z szuflad z różnościami jakiś przedmiot, który się do tego nadawał i z pomocą pracobota nadali mu odpowiedni kształt, obchodząc ostrożnie dwa przedmioty na podłodze...

Przez cały ten czas, milisekunda po milisekundzie, obserwowałem, jak robią coś, co umożliwi mi wykonanie zadania, którego bałem się bardziej niż czegokolwiek innego, a zarazem najbardziej pragnąłem. Stanać twarzą w twarz — przynajmniej metaforycznie, bo ja nie miałem prawdziwej twarzy i nie sądziłem, by Wróg jakąś posiadał — z istotami, które zakłóciły spokój naszego wszechświata.

A potem Oniko połączyła końcówki jej zasobnika z końcówkami piezowizora i oto pojawili się.

* * *

Nie potrafię wam powiedzieć, jak naprawdę wyglądał Wróg. Jak można opisać fizyczne atrybuty kogoś, kto ich nie posiada?

Nie umiałem powiedzieć, jak duży jest Wróg, ani jakiego jest koloru czy kształtu; nie miał żadnej z tych rzeczy. Jeśli miał jakąś płęć, nie byłem jej świadom. Nie byłem nawet pewien, czy było ich dwóch. Więcej niż jeden, owszem. Mniej niż wielu, jak sądziłem. Moje założenie głosiło, że było ich tam dwóch, ponieważ po pewnym czasie (dość długim, według moich i ich standardów) po tym, jak Oniko podłączyła swój zasobnik do końcówki piezowizora, miałem wrażenie, że przestrzeń gigabitową dzieli ze mną jedna istota, a kiedy tę samą operację wykonał Apsik, odebrałem jakby kolejną obecność.

Próbowałem do nich przemówić.

Nie było to łatwe.

Najpierw spróbowałem zadać pytanie:

Kim jesteście?

Nie było to dokładnie to, co powiedziałem, gdyż nie używałem słów. Było to raczej coś przypominającego potężne, bezdźwięczne Hmmm?

Odpowiedź nie nadeszła.

Spróbowałem ponownie, tym razem korzystając z obrazów. Przywołałem obraz kugelblitzu, tuzin plam w kolorze gówna obracających się niezmordowanie wokół własnej osi.

Nic nie nadeszło z powrotem.

Przywołałem obraz Kręgu i umieściłem go w jednej ramce z kugelblitzem. Starłem to, po czym pokazałem Apsika i Oniko oraz ich zasobniki.

Po czym spróbowałem kolejnego Hmmm?

Brak odpowiedzi. Nic. Tylko wrażenie, że ktoś, jakoś, dzieli tę przestrzeń ze mną.

Nie! Była jakaś odpowiedź! Na moim obrazie pokazałem zasobniki jako nieprzejrzyste, pękate, obłe metalowe przedmioty; a teraz na moim własnym obrazie świeciły. Promieniowały.

Choć moja uwaga była skoncentrowana na dublerze, było także drugie moje ja, pół sekundy od niego, na pokładzie „Prawdziwej Miłości” z Essie, Albertem i generałem Cassatą. Byłem świadom tego, co się tam działo, nawet pytań i komentarzy; ale moje „prawdziwe” ja było zawsze parę sekund za dublerem, a kiedy Albert krzyknął ostro:

— Mówią nam, że są w zasobnikach! — już mi to powiedziano.

Była to w końcu jakaś odpowiedź. Komunikacja się zaczęła.

Spróbowałem pokazać im niełatwy obrazek. Próbowałem pokazać im cały wszechświat — z zewnątrz; z miejsca, które nigdy nie istniało, ponieważ nie istniało żadne „zewnątrz” dla czegoś, co było z definicji wszędzie. Obraz był wielkim, rozjarzonym, bezpostaciowym bąblem; nie byłem w stanie stwierdzić, czy oznacza cokolwiek dla Wroga, ale było to najlepsze przybliżenie tego, co Albert pokazał mi w głębinach czasu. Potem, w sposób w jaki zrobił to Albert, wykonałem zbliżenie. Bąbel przybliżył się, rozwinął i ukazał jedną z części wszechświata, parę tysięcy galaktyk, zderzających się ze sobą oraz pojedynczych, rozpościerających ramiona złożone z gwiazd i gazu.

Czy tak miało być? Coś mnie dręczyło, podpowiadając, że robię coś złe.

Dobrze, pomyślałem; faktycznie tak było. Poczyłem założenie, którego nie miałem prawa poczynić. Pokazywałem kosmos taki, jaki jawił się ludzkim oczom, w optycznych częstotliwościach światła. Błędne założenie! Nie miałem żadnych podstaw by przypuszczać, że Wróg miał oczy. Nawet jeśli tak było, w jakimś sensie, jakież miałem prawo przypuszczać, że widział dobrze nam znaną ludzką tęczę częstotliwości od fioletu do czerwieni?

Dodałem więc do obrazu aureole i chmury gazów, które były widoczne wyłącznie w podczerwieni lub w mikrofalach, nawet chmury cząstek, które — jak przypuszczaliśmy — były wkładem własnym Wroga w kosmos, w którym żyliśmy.

W istocie, muszę to powiedzieć, pokazywałem mojej niewidzialnej (i jak się tego obawiałem, zupełnie obojętnej) publiczności obrazy, które Albert pokazał mi w głębinach czasu. Zatrzymałem obraz na chwilę, po czym wprawiłem go w ruch.

Tylko wstecz. Tak, jak pokazał mi to Albert.

Skurczyłem obraz. Galaktyki zbliżyły się do siebie. Kiedy się zbliżały, rozwijały się, więc pokazywałem w mniejszym stopniu strukturę i to, jak są coraz bardziej upchane.

Skurczyłem go jeszcze bardziej. Katastroficznie. Zmiażdżyłem kosmos, sprowadzając go do jednego, straszego punktu światła.

Następnie ponownie odegrałem Wielki Wybuch i zatrzymałem całą scenę w momencie, w którym wszystkie opcje były jeszcze możliwe. A wtedy spróbowałem zadać kolejne pytanie bez słów: Hmmm?

I wtedy otrzymałem odpowiedź.

Rzecz jasna, nie była ujęta w słowach.

Niespecjalnie też przypominała odpowiedź. Nie spodziewałem się, że będzie. Niczego się nie spodziewałem, a przynajmniej nie miałem żadnego pomysłu, czego można się spodziewać.

Miałem do dyspozycji obraz i ze wszystkich możliwych odpowiedzi, jakie mogłem otrzymać, ta była najmniej prawdopodobna. Na obrazie byłem ja. Uśmiechający się do mojego alter ego. Moja własna twarz, kanciasta, brzydka, ale dająca się rozpoznać. Być może tak wyglądałem w piezowizorze, gdy patrzyłem na Oniko i Apsika.

Nie wydawała się właściwą odpowiedzią na nurtujące nas pytanie, które zadałem.

Prawdopodobnie przyczyna leżała w tym, że nie zadałem właściwego pytania. Być może mojemu obrazowi tego, co próbował zrobić Wróg — a przynajmniej, jak sądziliśmy, co próbuje zrobić — brakowało jakichś podstawowych cech. Nie wiedziałem, jak temu zaradzić. Wszystkie nasze założenia opierały się na hipotezie, że jako istoty złożone z czystej energii stwierdzili, że obecny wszechświat nie jest dla nich przyjazny, więc uciekli się do stworzenia wystarczającej ilości „brakującej masy”, by skurczył się znów do pierwotnego atomu... który znów mógłby eksplodować w drugim, trzecim czy n-tym Wielkim Wybuchu, tworząc wszechświat bardziej odpowiadający ich gustom. Przekształcenie wszechświata. „Wrogoformowanie”, jak można by powiedzieć, w taki sam sposób, jak Heechowie i my terraformowaliśmy planety.

Właśnie ten sens chciałem im przekazać, ale nie wiedziałem, jak to pokazać, by zrozumieli.

Tylko że wyglądało na to, że mi się udało.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, gapiąc się na karykaturę mojej własnej twarzy i zastanawiając się, co robić dalej.

Ale trwało to długo. Nawet według rzeczywistych standardów, gdyż stałem się świadom przypominających ruchy lodowca przemieszczeń ludzi w pokoju, i rzeczywiście były to zmiany. Było tam teraz więcej ludzi. Byli tam inni ludzie i mnóstwo maszyn. Kiedy pozwoliłem sobie zadać pytanie Albertowi i Essie, za pośrednictwem mojego alter ego na „Prawdziwej Miłości”, Albert odpowiedział mi uspokajająco:

— To policja, Robinie, a także fizycy, którzy chcą się upewnić, że izolacja nadal działa oraz zespół techników od zapisywania, którzy przyszli po Basingstoke’a i Heimata; nie martw się; świetnie sobie radzisz.

Świetnie?

Tak, pewnie tak było. Bo obraz zmienił się.

Na początku nie wiedziałem, na co patrzę. Dziwaczna kula paskudnie wyglądającego ognia, która rozwarła się, ukazując gwiazdy i planety stłoczone razem, po czym nastąpiło zbliżenie na jedną z planet, ukazując patykowate postacie, snujące się tu i tam, które zapewne miały być Heechami. Kryjówka w jądrze Galaktyki? Jasne.

Kiedy tylko rozpoznałem ten obraz, pojawił się następny. Przypominało to film dokumentalny, albo reportaż: Życie pośród Heechów. Widziałem statki kosmiczne Heechów blisko granicy Schwarzschilda i miasta Heechów pod szklanymi kopułami; widziałem fabryki Heechów produkujące towary i samych Heechów pracujących, pobierających się, rodzących dzieci; wchłonałem więcej informacji na temat Heechów, wyświetlanych w czasie gigabitowym, niż poznałem przez całe moje długie życie.

Ujmę to delikatnie: byłem zaskoczony i straszliwie zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, co oglądam i co widziałem; i wtedy obraz znów się zmienił.

Był to kolejny film. Ale nie opowiadał o Heechach. Opowiadał o nas.

Nie jestem pewien, ale chyba na tym wieczystym streszczeniu zobaczyłem wszystkie istoty ludzkie, jakie kiedykolwiek istniały. Niektóre z nich rozpoznałem. Zobaczyłem narodziny Oniko na artefakcie Heechów i śmierć jej dziadków. Widziałem, jak ją stamtąd ratują wraz z całą małą kolonią i widziałem jej przyjazd na Krąg Obserwacyjny. Widziałem ludzką rasę, może całe sto miliardów jej członków, na wszystkich dwudziestu zamieszkałych planetach i na statkach między nimi. Widziałem nawet całą jej historię. Widziałem armie, marynarkę kosmiczną, testy nowych broni i wystrzelenie statków, które były wyposażone w broń zdolną zniszczyć cały świat, jeśli załoga miałaby na to ochotę. Widziałem bombardowane i ścierane z powierzchni ziemi miasta. Widziałem poszukiwacza z Gateway w Piątce, podstępnie podcinającego gardła swoich czterech towarzyszy. Widziałem moją ukochaną żonę, Essie, z rurkami w gardle i w nosie, podłączoną do szumiących wokół niej systemów podtrzymywania życia — ten obraz pamiętałem, gdyż kiedyś była właśnie taka.

Widziałem Basingstoke’a w kombinezonie i w masce, pływającego w ciepłych tropikalnych wodach, by przyczepić bombę, przypominającą żyjącego na skałach skorupiaka, do kadłuba krążownika. Widziałem generała Beaupre Heimata przyciskającego guzik, co spowodowało wybuch statku kosmicznego i zobaczyłem go znów robiącego... och, robiącego potworne rzeczy małej dziewczynce — mojemu skreconemu żołądkowi niewielką ulgę przyniósł fakt, że ta „dziewczynka” była tylko robotem.

Strumień obrazów wydawał się nieskończony.

I nagle wszystko się urwało.

Nic nie widziałem. Nie widziałem nawet pokoju, ani Oniko, ani innych dzieci, ani przybyszy, którzy wykonywali tam swoje obowiązki. W ogóle nic nie widziałem; moje zmysły zostały wyłączone.

I nagle zdałem sobie sprawę z tego, że oto uzyskałem odpowiedzi na moje pytania, tylko że to nie były pytania, które zadałem. Nie powiedziano mi „co”. Powiedziano mi jedynie „dlaczego”.

Moje drugie „ja”, znajdujące się na pokładzie „Prawdziwej Miłości”, obserwowało to wszystko, ale ja go nie widziałem. W ogóle nic nie widziałem.

I nagle zobaczyłem wszystko naraz. Wszystkie obrazy, które przedtem widziałem, unoszące się przede mną jak chmura confetti. Tańczyły dookoła mnie i zlewały się: Heechowie stawali się w połowie ludźmi, ludzie zaczynali wyglądać jak Heechowie, w wszyscy razem zmieniali się w komputerowe konstrukty, Przymulonych, Świnie Voodoo i inne rzeczy, które w ogóle nie przypominały niczego, co istniało we wszechświecie. . . aż nagle zaczęły się rozpuszczać w kaskadę wielobarwnych iskier, wszystko, co tam było.

Nawet ja.

Poczułem, jak się rozpuszczam. Poczułem, jak moja własna osoba rozpuszcza się i rozpryskuje w nicość. Dość długą chwilę zajęło mi zrozumienie, co się dzieje.

— Umieram, na litość boską! — wrzasnąłem w pustej, gigabitowej przestrzeni.

I umarłem.

* * *

— Umarłem! — krzychałem z przerażenia do Alberta i mojej drogiej Przenośnej Essie oraz oficerów WOA, zgromadzonych w trosce dookoła mnie na pokładzie „Prawdziwej Miłości”.

Poczułem ciepłe (nie szkodzi, że wirtualne) ramię Essie dookoła mnie.

— Och, cicho, cicho, Robin, kochany — uspokajała mnie. — Już wszystko dobrze. Już nie jesteś martwy, nie tutaj.

Cassata krzyknął z triumfem.

— Ale udało ci się, Robinie! Rozmawiałeś z nimi! Teraz możemy polecieć na Krąg Obserwacyjny i . . .

— Panie generale — rzekł uprzejmie Albert — czy mógłby pan się zamknąć? Jak się czujesz, Robinie? To prawda, że w pewnym sensie umarłeś. A przynajmniej ulotniła się twoja kopia, a Wróg pewnie wraz z nią; chyba cię unicestwili,

Robinie, nawet za cenę własnego istnienia. Przykro mi, że to było dla ciebie takie wstrząsające.

— Przykro ci?! Czy ty wiesz, co to znaczy umrzeć? Wiedzieć, że znikasz i że już nigdy więcej nigdzie cię nie będzie?

Essie objęła mnie mocniej, mrużąc mi do ucha uspokajająco.

— Ale to ciągle ty, Robinie. Jesteś tu ze mną. Tam, w izolowanej gigabitowej przestrzeni wraz z Wrogiem była tylko twoja kopia, pamiętasz?

Uwolniłem się z jej objęć i spojrzałem na moich najdroższych i najbliższych; nie docierała do mnie nawet obecność oficerów WOA.

— Dobrze ci mówić — rzekłem gorzko. — Nie musiałaś tego przeżywać. Umarłem. A przypominam ci, to nie był mój pierwszy raz. Już to raz kiedyś przeżyłem i jestem strasznie zmęczony umieraniem. Jeśli jest na świecie coś, co chciałbym zrobić jeszcze raz, to właśnie to!

Zamilkłem gdyż spojrzeli na mnie nieco dziwnie.

— Och — rzekłem, próbując się uśmiechnąć — chciałem powiedzieć, że nie chciałbym zrobić tego jeszcze raz. Ale dla mnie samego nie było do końca jasne, co właściwie chciałem powiedzieć.

Rozdział 15

Przerażone szczury biegają wkoło

Kiedy osoba przechowywana w gigabitowej przestrzeni przeżyje ciężki szok, nie wręcza się jej mocnego drinka i nie każe się położyć, ale czasem fajnie jest udawać, że się to robi.

— Powinieneś przez chwilę odpocząć, Robinie — rzekł Albert.

— Pozwól, ułożę cię wygodnie, gołąbeczku — zamruczała Essie i po chwili rzeczywiście było mi wygodnie. Essie się o to postarała. Leżałem sobie w (metaforycznym) hamaku na (nierealnej) werandzie przy moim (zapisanym w postaci danych) domu z widokiem na Morze Tappajskie, z moją kochaną Przenośną Essie krążącą wokół mnie i wciskającą mi do ręki (nie istniejącego) drinka. Była to lodowata margarita z odrobiną soli na brzeżku szklanki i smakowała tak dobrze, jakby była prawdziwa.

Znajdowałem się w centrum uwagi.

Essie siedziała koło mojego hamaka, głaszcząc mnie po włosach; wyglądała na zmartwioną. Albert usadowił się na brzegu szezlonga, drapiąc się z namysłem w ucho ustnikiem swojej fajki i obserwował moją twarz. To wszystko było dość przytulne i znajome, ale byli tam jeszcze inni ludzie. Nie byłem zaskoczony widokiem Julia Cassaty, który przechadzał się tam i z powrotem po trawie koło schodów, ale po każdym obrocie zatrzymywał się i patrzył uważnie w moim kierunku. Nawet Alicja Lo, siedząca w milczeniu na bujanym fotelu na skraju werandy, nie była niczym dziwnym; ale był tam ktoś jeszcze.

Ten ktoś był Heechem.

Nie byłem gotowy na niespodzianki. Usiadłem i zapytałem.

— Co u licha? — Nie wypowiedziałem tego pokornym tonem; co najwyżej proszącym.

Essie od razu pojęła o co mi chodzi.

— Nie wiem, czy pamiętasz Podwójne Wiązanie — rzekła. Miała rację. Nie pamiętałem. — Był reprezentantem Heechów w WOA — dodała Essie, i wtedy coś sobie niejasno przypomniałem. Był tam jeden Heech czy dwóch, a tak, jeden

z nich był Czcigodnym Przodkiem, jak ten tutaj i miał gęste owłosienie na głowie oraz głęboko osadzone oczy zdradzające wiek.

— Miło mi cię znów widzieć — rzekłem. Połknąłem ostatnie krople tequili i rozejrzałem się dookoła. Następnie znów się odezwałem: — Co u licha? — Tym razem jednak wypowiedziałem to zupełnie innym tonem, gdyż spojrzałem poza symulowane, przyjemne otoczenie Morza Tappajskiego. Sądziłem, że zobaczę, jak znajdujemy się na pokładzie „Prawdziwej Miłości” i rzeczywiście tak było.

Ale ekran pokazywał jedynie skłębioną szarość. Gdy spojrzałem przez sensory „Prawdziwej Miłości”, zobaczyłem, że poruszamy się z prędkością szybszą niż światło. Kiedy zajrzałem do zapisów, zobaczyłem, jak satelita WOA oddala się od nas. WOA wyglądała dla mnie jakoś inaczej. Nie byłem pewien, dlaczego i nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Bardziej ważne było to, co robiła „Prawdziwa Miłość”. Byliśmy w drodze dokądś, a tego się wcale nie spodziewałem.

— Dokąd lecimy? — wrzasnąłem.

Albert zakasłał.

— Kiedy pracowałeś za pośrednictwem dublera, wydarzyło się parę rzeczy — powiedział.

— Nie ośmieliliśmy się zakłócać ci wypoczynku — rzekła zasmuconym głosem Essie. — Przepraszam. Ale już wszystko dobrze, naprawdę, najdroższy Robinie, jesteś cały i zdrowy na pokładzie „Prawdziwej Miłości”...

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie!

Położyła na moim policzku rękę, którą głaskała mnie po włosach. Była ciepła i zatroskana.

— Lecimy do źródła — odparła poważnie. — Do kugelblitzu, tak szybko, jak tylko się da.

* * *

Pozwoliłem sobie powrócić do przyjemnego otoczenia nad Morzem Tappajskim; czułem się jednak dezorientowany. Essie przygotowała mi kolejną margarytę i odruchowo po nią sięgnąłem. Trzymałem ją w dłoni, próbując wykoncypować, co się dzieje. Opuściliśmy WOA...

I nagle sobie przypomniałem, dlaczego WOA wyglądało jakoś inaczej, kiedy odlatywaliśmy.

— Flota odleciała!

— Zgadza się — rzekł Albert. — Lecimy za nimi.

— Wbrew rozkazom — dodał Julio Cassata.

— Oni nie mogą wydawać nam rozkazów! — warknęła Essie.

— Ale mogą wydawać rozkazy mnie — rzekł Cassata — a my postąpiliśmy wbrew nim. Ruchy floty to w końcu operacja wojskowa.

— Wojskowa! — Gapiłem się na tego faceta, zastanawiając się, czy to było w ogóle możliwe, żeby miał na myśli to, co mi się wydawało, że ma. Wzruszył ramionami. Przetłumaczyłem ten gest dość łatwo; tak, rzeczywiście miał to na myśli.

— To szaleństwo! — krzyknąłem.

Znów wzruszył ramionami.

— Ale — zacząłem. — Ale... ja nie jestem gotowy na wyruszenie w taką długą podróż!

Essie pochyliła się i pocałowała mnie.

— Kochany Robinie — oświadczyła — nie mieliśmy wyboru. Prawda? Flocie WOA nie można ufać. Kto wie, jaką głupotę wymyśla?

— Ale tam, na Pomarszczonej Skale...

— Na Gateway nie ma już nic dla ciebie, Robinie — powiedziała z uczuciem.

— Pożegnania zostały wypowiedziane. Przyjęcie się skończyło.

Rozdział 16

Długa podróż

Cały ten czas, kiedy zajmowałem się sprawą dzieci i ich porywaczy na Tahiti, był czasem rzeczywistym. Trwało to wystarczająco długo, żeby cieleśniacy coś zrobili. No i zrobili.

Ludzie, którzy zarządzają, WOA zdecydowali, że zagrożenie na Ziemi nie jest niczym, co wymagałoby obecności floty, więc wysłali krążowniki do Kręgu Obserwacyjnego. Ciellesny Cassata nie zadawał sobie trudu, żeby skasować zdublowanego Cassatę, którego zbiór danych nadal znajdował się na „Prawdziwej Miłości”, wraz ze zbiorem Alicji Lo. Albert był jedynym, który nalegał na zabranie ze sobą „wachlarza modlitewnego”, który był zapisem Czcigodnego Przodka, Heecha, imieniem Podwójne Wiązanie. Nie był to jedyny zbiór, który został umieszczony na pokładzie; kiedy uświadomiłem sobie, jakie były pozostałe, mogłem tylko wyrazić aprobatę.

Oczywiście, zdublowany Cassata również był bardzo zadowolony. Nie został skasowany! Co więcej, nie mógł zostać skasowany, dopóki przebywał na pokładzie „Prawdziwej Miłości” podczas lotu, gdyż nie było tu nikogo, kto mógłby go skasować. Dla Cassaty nie było to jedynie odroczenie wyroku, była to praktycznie nieskończoność — całe tygodnie podróży — dla niego był to odpowiednik dziesiątków lat podarowanego życia!

Właśnie czymś takim to było dla Julia Cassaty.

Ale dla mnie było czymś całkowicie innym.

Pierwszą rzeczą, jakiej musiałem dokonać, było pokonanie straszliwego szoku, jakiego doznałem wskutek zlania się mojego umysłu z umysłem Wroga i wdarcie się Wroga do mojego umysłu, jak również pokonanie szoku związanego z ponownym przeżyciem własnej śmierci.

Jedną z zalet bycia zapisaną inteligencją jest fakt, że możesz edytować zbiory, jak tylko chcesz. Jeśli coś cię rani, po prostu to bierzesz, pakujesz, zaklejasz i odstawiasz na półkę z napisem „Uwaga! Nie otwierać, chyba że w razie wyższej konieczności” i dalej robisz, co do ciebie należy, już bez tego bólu.

Jak to bywa z wieloma zaletami, często jest w nich ukryty haczyk.

Wiem o tym, bo już raz próbowałem. Dawno, dawno temu — och, jakieś dziesięć do jedenastej milisekund temu — byłem naprawdę dość poplątany. Niedawno zmarłem, tylko że wtedy zmarło moje ciało i Albert z Essie przenieśli mnie do maszynowych zbiorów danych. To już był niezły szok. Ale były jeszcze inne. Właśnie spotkałem Klarę, kobietę, którą kochałem zanim pokochałem inną, która została moją żoną — Essie. W moim życiu obie były ważne; tym bardziej, że wcześniej byłem przekonany, że zamordowałem Gelle-Klarę Moynlin. Po raz pierwszy też spotkałem żywego Heecha.

Gdyby zebrać to wszystko razem, było to diabelnie wstrząsające.

Żeby mi pomóc w pokonaniu szoku, Albert i Essie przerobili program, który stanowił wszystko, co ze mnie zostało. Wyizolowali zbiory danych, które miały coś wspólnego z Klarą i potwornym poczuciem winy, którego złagodzenie wymagało wielu lat psychoanalizy, i zamknęli je w pliku przeznaczonym tylko do odczytu, po czym zwrócili go mnie, z pieczęcią, którą mogłem otworzyć dopiero wtedy, gdy będę gotowy.

Nie sądzę, żebym kiedykolwiek był gotowy, ale po jakimś czasie i tak go otworzyłem.

Widzicie, ludzie pamiętają rzeczy w sposób powiązany. Niektóre z tych powiązań mi umknęły. Pamiętałem, że coś innego miałem na myśli, ale nie pamiętałem co. Mogłem powiedzieć coś takiego: — Rany, wtedy byłem naprawdę wstrząśnięty, bo... I nie pamiętałem, co miało być po tym „bo”.

A to, zdecydowałem w końcu, było znacznie gorsze niż posiadanie całej wiedzy podanej na talerzu, bo skoro miałem się już zamartwiać i niepokoić, to wolałem wiedzieć, czym się martwię.

Aby pokazać wam, jak się czułem po mojej małej przygodzie z Wrogiem na Moorea, powiem wam, że poważnie rozważałem pomysł, by Essie tę historię też zagrzebała dla mnie w kulkach na mole.

Ale nie potrafiłem.

Musiałem jej sprostac i żyć z nią, a była ona, mój Boże, tak przerażająca.

Przeżywałem ciągle na nowo to długie, pozbawione słów spotkanie umysłów i im więcej o tym myślałem, tym wydawało mi się większe i bardziej przerażające. Ja, mały Robinette Broadhead, przebywałem w obecności tego czegoś — stworzeń, potworów, może ktoś mógłby nawet powiedzieć „ludzi” — którzy zajmowali się przewracaniem całego kosmosu do góry nogami dla własnej przyjemności.

A cóż takiego ja, niekompetentny, wrażliwy, mały chłopiec, robiłem w tej samej lidze, co supergwiazdy?

Muszę spróbować spojrzeć na to z perspektywy.

Nie będzie to łatwe. Nawet nie będzie chyba możliwe, gdyż perspektywa jest zbyt odległa — Albert powiedziałby prawdopodobnie „niemierzalna”, mając na myśli to, że nie da się zmierzyć związanych z tym rzeczy w tej samej skali. To

jest trochę jak... jakbyśmy rozmawiali z jakimś wczesnym australopitekiem jakieś pół miliona lat temu. Prawdopodobnie znaleźlibyście jakiś sposób, żeby mu wytłumaczyć, że miejsce, skąd pochodzicie jest straszliwie odległe od miejsca, gdzie się urodził. Może nawet byłibyście w stanie mu wyjaśnić, że Alaska i Australia są położone jeszcze dalej. Przynajmniej tyle potrafiłby zrozumieć.

Czy można jednak wymyślić jakiś sposób, za pomocą którego dałoby się mu wytłumaczyć, jak daleko znajduje się jądro Galaktyki czy Obłok Magellana? Nie-możliwe! Od pewnego punktu — dla australopiteka, nowoczesnego człowieka, czy zapisanej maszynowo inteligencji — coś dużego jest po prostu czymś bardzo dużym.

Z tego powodu nie wiem też, jak mógłbym opisać, ile czasu zajęło mi odbycie tej długiej, męczącej, odbytej z prędkością większą niż światło, podróży z WOA na Krąg Obserwacyjny.

Trwało to całe wieki. Mogę wstawić tu parę liczb. Gdyby mierzyć czasem przestrzeni gigabitowej, było to dobrze ponad dziesięć do dziewiętej milisekundy, co jest mniej więcej równe całemu mojemu życiu w cielesnej postaci — zanim mnie poszerzono.

To jednak nie oddaje powolnego, ślimaczego tempa przepływu czasu. Podczas „długiej” podróży z Pomarszczonej Skały na WOA kazałem Albertowi pokazać mi całą historię wszechświata.

A teraz rozpoczęła się podróż, która miała trwać dobre tysiąc razy dłużej, a co takiego mógł on zrobić na bis?

Potrzebowałem mnóstwa rzeczy, żeby się czymś zająć. Nie miałem problemu ze znalezieniem pierwszej z nich.

Albert namówił generała Cassatę, by ten skłonił WOA do udzielenia nam dostępu do wszelkich możliwych danych związanych z Wrogiem. Było tego diabelnie dużo. Problem polegał na tym, że — jeśli chodzi o to, co się działo teraz — w całości były to dane negatywne. Nie udzielały odpowiedzi na żadne z pytań, na które odpowiedź naprawdę chcieliśmy poznać, a były to głównie pytania, w przypadku których brak nam było dodatkowej wiedzy, by je zadać.

Staruszek Albert, optymista, zaprzeczył temu.

— Dużo się dowiedzieliśmy, Robinie. — rozpoczął wykład z kredą w dłoni, przy tablicy. — Na przykład, wiemy, że Galaktyka jest koniem, pies nie zaszczekał, a kot jest między gołębiami.

— Albert — rzekła słabo Essie. Mówiła do niego, ale patrzyła na mnie. Chyba wyglądałem na zdezorientowanego nieoczekiwanym rozochoceniem Alberta, ale nie było w tym nic dziwnego. Byłem zdezorientowany, nie wspominając o tym, że byłem także zestresowany, zmartwiony i ogólnie nieszczęśliwy.

Albert przybrał uparty wyraz twarzy.

— Tak, pani Broadhead?

— Od jakiegoś czasu wydaje mi się, że wymagasz rutynowego przeglądu. Czy to jest konieczne?

— Nie sędzę — rzekł z niepewną miną.

— Kapryśne usposobienie — oświadczyła — jest nawet pożądane w programie Alberta Einsteina, jeśli Robin sobie tego życzy. Jednakże...

Przerwał jej niepewnie.

— Rozumiem, co ma pani na myśli, pani Broadhead. Chce pani otrzymać prosty i przejrzysty raport prognostyczny. Doskonale. Dane są następujące. Po pierwsze, nie mamy dowodów, że jakiegokolwiek inne elementy, kawałki, pseudozasobniki czy wtřęty Wroga, inne niż te, które Robin wykrył na Tahiti, znajdują się gdziekolwiek w Galaktyce. Po drugie, nie mamy żadnych dowodów, że wspomniane wyżej jeszcze gdzieś istnieją. Po trzecie, jeśli chodzi o same jednostki, nie mamy dowodów na to, jakoby miały one być w jakiś znaczący sposób odmienne od nas samych, to jest uszeregowanych, zorganizowanych i zachowanych ładunków elektromagnetycznych na jakimś odpowiednim podłożu, w tym przypadku konkretnie w zasobnikach Oniko i Apsika. — Spojrzał prosto na mnie: — Nadażasz za mną, Robinie?

— Nie za bardzo — odparłem, podejmując ten wysiłek. — Masz na myśli, że to są po prostu elektrony, jak ty czy ja? Jak inni Zmarli? Może jakieś cząstki subatomowe?

Albert zamrugał.

— Robinie — poskarżył się. — Wiem, że wiesz o wiele więcej. Nie tylko o fizyce cząstek, ale także o gramatyce.

— Wiesz, co chciałem powiedzieć — odpaliłem, próbując nie wyteżać się za bardzo przez podjęcie nadmiernego wysiłku.

Albert westchnął.

— Rzeczywiście, wiem. Dobrze, wypowiem to. Za pomocą całego naszego instrumentarium, jakiego używaliśmy, a które prawdopodobnie zawierało wszelkie możliwe przyrządy, nie byliśmy w stanie wykryć żadnego pola, promieniowania, emisji energii, czy innego efektu fizycznego związanego z Wrogiem, który nie byłby zgodny z założeniem, że są oni, owszem, złożeni z energii elektromagnetycznej, jak ty czy ja.

— Nawet bez promieniowania gamma?

— Zdecydowanie, żadnych promieni gamma — rzekł, wyglądając na rozłoszczony. — Także żadnych promieni Roentgena, promieniowania kosmicznego, przepływu kwarków czy neutrin; z innej kategorii: także żadnych poltergeistów, promieni N, aury psychicznej, elfów w ogrodowej trawie ani sił rodem z pseudonauki.

— Albert! — krzyknęła Essie.

— Traktujesz mnie z góry, Albercie — poskarżyłem się.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Potem wstał. Włosy miał skołtunione, a jego cera pociemniała. Ze słomianym kapeluszem (nie przypominam sobie, że bym go kiedyś widział w tym kapeluszu), zatańczył kilka kroków charlestona, gwizdząc przy tym do rytmu.

— Do cholery, Albercie! — krzyknąłem.

Powrócił do normalnego wyglądu.

— Nie masz już za grosz poczucia humoru, Robinie — poskarżył się.

Essie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Potem znów je zamknęła, patrząc na mnie pytająco. Następnie potrząsnęła głową i ku mojemu zdumieniu powiedziała tylko:

— Mów dalej, Albercie.

— Dziękuję — odparł, jakby to było właśnie to, czego się spodziewał, mimo wcześniejszych gróźb. — Ujmując rzecz bardziej prozaicznie, ponieważ okazałeś się być facetem, który potrafi popsuć każdą zabawę, powróćmy do poprzedniego punktu, który, jeśli pamiętasz, ująłem w częściowo humorystycznej prośbie, by uczynić go bardziej strawnym oraz jako technikę mnemoniczną. „Galaktyka jest koniem”. Tak. Koniem trojańskim. Jej zewnętrzny wygląd sugeruje, że jest dokładnie taka jaka była przez całe nasze życie, podejrzewam jednak, że jest pełna nieprzyjacielskich wojsk. Czy też, prościej rzecz ujmując, jest tam całe mnóstwo emisariuszy wroga, tylko nie potrafimy ich wykryć.

— Ale nie mamy na to dowodów — krzyknąłem, a gdy na mnie spojrział, rzekłem: — Dobrze, świetnie, rozumiem, co mówisz. Jeśli ich nie widzimy, to dlatego, że się ukrywają. Dobrze. Rozumiem. Ale skąd wiesz, że się ukrywają? Była jak dotąd tylko jedną transmisją, którą możemy przypisać Wrogowi — więc jak?

Potrząsnął głową.

— Nie, Robinie. Wykryliśmy tylko jedną. Jedyny powód, dla którego ją wykryliśmy jest taki, że Wróg użył standardowych ziemskich urządzeń komunikacyjnych, i ta akurat transmisja błyskawiczna, którą zainicjowały dzieci na Moorea, pojawiła się w zapisach jako anomalia. Ale nie śledzimy wszystkiego, Robinie. Gdyby Wróg dostał się, powiedzmy, na planetę Peggy, gdzie ochrona jest znacznie mniej rygorystyczna, czy ktokolwiek dostrzegłby jedną transmisję więcej? Albo ze statku kosmicznego? Albo, jak już o tym mówimy, z samego Kręgu Obserwacyjnego, powiedzmy parę miesięcy temu, kiedy uściślono procedury? Nie sędzę, Robinie. Myślę, iż musimy założyć, że wszystkie te „fałszywe alarmy” na Kręgu wcale nie były fałszywe; że Wróg przeniknął tam już jakiś czas temu; że przedostawał się, gdzie tylko chciał w poznanej przez nas przestrzeni i widział wszystko, co chciał widzieć. Niewątpliwie też meldował o tym w kugelblitzu. Właśnie to — rzekł, radośnie się uśmiechając — chciałem wyrazić mówiąc, że „kot jest między gołębiami”. Ba — dokończył, rozglądając się wokół z łagodną ciekawością

— wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby paru z nich znalazło się tu z nami na pokładzie „Prawdziwej Miłości”.

Podskoczyłem.

Nie mogłem się powstrzymać. Byłem nadal poraniony i wstrząśnięty po tym strasznym, bolesnym doświadczeniu. Rozejrzałem się dookoła dziko, ale Albert mnie napomniął.

— Och, nie zobaczyłybyś ich, Robinie.

— Nie spodziewam się ich zobaczyć — odwarknąłem. — Ale gdzie mogliby się schować?

Wzruszył ramionami.

— Gdybym miał spekulować — rzekł — spróbowałbym postawić się na ich miejscu. Gdzie mógłbym się schować, gdybym chciał załapać się jako pasażer na gapę na pokład „Prawdziwej Miłości”? To nie byłoby trudne. Mamy tu całe mnóstwo zachowanych danych. Są tysiące plików, których dotąd nie otwieraliśmy. W każdym z nich może być paru pasażerów na gapę — czy nawet całe tysiące. To znaczy, jeśli założymy, że koncepcja liczby oznacza cokolwiek w przypadku czegoś, co może równie dobrze być zbiorową inteligencją. Robinie — rzekł poważnie — nie sądzę, że istoty, które są w stanie odwrócić rozszerzanie się wszechświata, można tak lekko potraktować. Jeśli mnie przychodzi na myśl jedna z kryjówek — na przykład programy do penetracji czarnych dziur, albo niektóre z podprogramów służących, powiedzmy, do tłumaczenia z polskiego na język Heechów — wiercie mi, na pewno będą w stanie wymyślić ich tysiące. Nie zakładałbym nawet, że na Tahiti zostali zniszczeni, bo ty... — zamilkł i odchrząknął, spoglądając na mnie przepraszająco.

— No, dalej — mruknąłem — nie musisz się martwić przypominaniem mi, że umarłem. Nie zapomniałem.

Wzruszył ramionami.

— W każdym razie — dokończył — nie mamy żadnych dowodów na to, czy nas teraz obserwują, czy nie.

— Przeszukajmy więc statek — krzyknął generał Cassata, który przez dłuższą chwilę przysłuchiwał się dyskusji w milczeniu. — Pani Broadhead, większość z tych programów pani napisała, prawda? Świetnie! Proszę nam powiedzieć, co mamy robić, a my...

Patrzyła na Alberta, kiedy powiedziała:

— Chwileczkę, generale. Ten dziwaczny zwariowany program jeszcze nie skończył swojego pokręconego raportu.

— Dziękuję, pani Broadhead — rozpromienił się Albert. — Być może zapomnieliście o drugim głównym haśle mojego krótkiego, synoptycznego raportu. „Pies nie zaszczekał”.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

— Och, u licha, Albercie — rzekłem — kiedyś chyba umrę przez te twoje głupie odwołania literackie. Co to jest, Sherlock Holmes? Masz na myśli to, że ważną rzeczą okazał się fakt, że coś się nie stało?

— Hm, fakt, że nadal tu jesteśmy, Robinie — rzekł, uśmiechając się z aprobatą na widok mojego sprytu.

Przestałem się śmiać. Nie sądziłem, że rzeczywiście zrozumiałem, o co mu chodzi, ale po chwili się wystraszyłem, że jednak tak.

— Chciałem powiedzieć — rzekł, z zadowoleniem obgryzając fajkę — że choć musimy założyć, iż Wróg jest w stanie włóczyć się, w mniejszym lub większym stopniu, po całej Galaktyce już od jakiegoś czasu i choć niewątpliwie posiada zdolność niszczenia całych cywilizacji kiedy przyjdzie mu na to ochota, gdyż robił to już w przeszłości, a choć nie mamy żadnego skutecznego, znanego mi sposobu zapobiegania takim zdarzeniom, gdyby ochota mu przyszła — nie zostaliśmy jeszcze unicestwieni.

W tej chwili siedziałem już sztywno i śmiech wywietrzył mi z głowy.

— No dalej! — warknąłem.

Wyglądał na lekko zaskoczzonego.

— Ależ, Robinie — rzekł pojednawczo — wydaje mi się, że wniosek z tego wszystkiego jest oczywisty.

— Może jeszcze nie doszli do tego — rzekłem, czy raczej, jęknąłem, gdyż — prawdę mówiąc — nie czułem się już nawet tak dobrze, jak na początku tej dyskusji.

— Tak, to możliwe — odparł ponuro, znów obgryzając fajkę.

— Więc, na litość boską — zawyłem — czemu u licha musisz wyglądać tak radośnie?

Odpowiedział mi łagodnie.

— Robinie, wiem, że to dla ciebie niepokojące, ale spróbuj pomyśleć logicznie. Gdyby mieli zamiar nas unicestwić, a my nie mamy żadnego sposobu, żeby się temu przeciwstawić, cóż takiego moglibyśmy zrobić? Nic, zupełnie nic; jest to nieprzydatna hipoteza, gdyż nie prowadzi do podjęcia żadnych użytecznych działań. Wolę odmienne założenie.

— To znaczy jakie?

— Takie, że wstrzymują się z podjęciem decyzji — odparł. — Kiedyś, w przyszłości, może będziemy w stanie podjąć jakieś działania, przeciwko nim. Ale do tego czasu możemy po prostu usiąść wygodnie i odprężyć się, prawda, pani Brothead?

— Poczekaj chwilę, do jasnej cholery — wrzasnąłem. — O jakich działaniach w przyszłości mówisz? A tak w ogóle, to po co lecimy w stronę kugelblitzu? Chyba nie przyszło ci do głowy, że ktoś z nas spróbuje dostać się do kugelblitzu i porozmawiać z tymi. . .

Zamilkłem. Wszyscy patrzyli na mnie z dobrze mi znanym wyrazem na twarzach.

Widziałem go już dawno, dawno temu, na asteroidzie Gateway. Był to taki rodzaj spojrzenia, jakim obdarzano poszukiwaczy, którzy już zgłosili się na misję, która mogła uczynić ich bogatymi, ale także — co bardziej prawdopodobne — pozbawić ich życia. Ale teraz nie pamiętałem, żebym się zgłosił na ochotnika.

W tym momencie, jak mi się wydawało, byliśmy w drodze od jakiejś godziny, czy coś koło tego, rzeczywistego czasu; to już była długa, długa podróż.

Widzicie, i choć to było cholernie uciążliwe, w ludzkiej historii nie było to niczym dziwnym.

Ludzie stracili już nawyk odbywania długich podróży. Musimy się o nich uczyć wszystkiego od nowa.

Nasi przodkowie przed paroma wiekami nie mieliby tego problemu. Wiedzieli wszystko o związkach między czasem a przestrzenią, na długo przed Albertem Einsteinem. Jedziesz daleko, pamiętaj, że to będzie długo trwało. Dopiero kiedy wprowadzono odrzutowce, ludzie zaczęli o tym zapominać. (I musieli sobie znów o tym przypomnieć, kiedy wyruszyli w kosmos). Pomyślcie o admirale Nelsonie, rozgrywającym ostatnią partię kręgli przez wyruszeniem na spotkanie hiszpańskiej armady. Napoleonie najeżdżającym Rosję jak na wycieczce z biurem podróży, z obiadem, balem i programem rozrywkowym przed każdym zatrzymaniem się na nocleg — to był dopiero sposób rozgrywania wojen! Stare metody były najlepsze. Kiedy Aleksander Wielki wyruszył z Macedonii na podbój świata, nie rozgrywał wojny błyskawicznej. Nie śpieszył się. Zatrzymał się tu, by przeczekać zimę, tam znów powołał marionetkowy rząd, w innym miejscu zrobił dziecko jakiejś uroczej damie — często nawet kręcił się w pobliżu, aż dziecko się urodziło. Jeśli brałeś udział w bitwie, a potem czekałeś, aż pojawi się transport i zabierze twoje wojska na miejsce następnej potyczki, między nimi przeżywałeś dziwny, nieprawdziwy czas.

Dokładnie rzecz ujmując, nie rozgrywaliśmy wojny. A przynajmniej taką mieliśmy nadzieję. Byliśmy jednak w drodze do czegoś równie decydującego i niebezpiecznego, i och! Mieliśmy tyle czasu! Czy wy wiecie, ile to jest pięćdziesiąt długich dni? To jakieś cztery miliardy milisekund i spędziliśmy je tak jak nasi szacowni poprzednicy. Pokonywaliśmy drogę przez Galaktykę spędzając czas na balangach, żarciu i pieprzeniu.

Robiliśmy to z zachowaniem całego stylu, w jakim robiłby to Napoleon czy Aleksander, gdyż możliwości Alberta były olbrzymie. Dostarczał nam najpiękniejszych dekoracji, jakie kiedykolwiek widziałem. Całymi godzinami Essie i ja ukrywaliśmy się przed naszymi towarzyszami podróży opalając się i nurkując na Wielkiej Rafie Koralowej. Wyłaziliśmy z ciepłych, słonych płyczn na ćwierć hektara piaszczystej wyspy, gdzie kochaliśmy się w jedwabnym namiocie z uniesio-

nymi ścianami, by można było poczuć bryzę od morza. Był tam bar, stół piknikowy oraz wanna z gorącą wodą z bąbelkami, i tak spędziliśmy pierwszy „dzień”.

Potem mogliśmy stawić czoła naszym towarzyszom podróży i rzeczywistości — przez chwilę. A kiedy to zaczęło wydawać nam się nudne, Albert wyczarował winnicę w oazie na Wielkiej Piaszczystej Pustyni planety Peggy. Znajdowała się ona na zboczu stromego uskoku tektonicznego. Po skale spływały lodowate strumienie wody. Białe, czarne i czerwone winogrona, śliwki i jagody, melony i brzoskwinie, rosły wszędzie dookoła. Leżeliśmy, rozmawiając i pieszcząc się w cieniu liści winorośli, Essie i ja, i tak minął nam kolejny wspaniały „dzień”.

Prawie nie myśleliśmy o tym, co robimy. . . no chyba, że raz na jakiś czas.

Niezmierzona inwencja Alberta dostarczała nam wspaniałych dekoracji. Dom na drzewie w afrykańskim lesie, z lwami i słoniami przemykającymi się w nocnej ciszy pod nami. Dom na łodzi na indyjskim jeziorze, ze sługami w turbanach przynoszącymi nam świeże jak kwiecie sorbety i pikantne przekąski z baraniny i ciasta, pośród lilii wodnych. Apartament wznoszący się setki pięt nad Chicago, z widokiem na chmury burzowe chłostające błyskawicami szerokie jezioro. Noc w Rio w czasie karnawału, i kolejna, w Nowym Orleanie podczas Mardi Gras. Poduszkowiec niestrudzenie wibrujący nad brzegiem krateru Piekielnej Góry na planecie Persefona, z fontannami wrzącej lawy dolatującymi prawie tam, gdzie siedzieliśmy. Albert miał ich jakiś milion, a wszystkie były dobre.

Tylko że ja nie byłem w nastroju.

Dysząc i patrząc na mnie krytycznym wzrokiem, Essie podciągnęła się ostatnie pół metra na półkę skalną z widokiem na Wielki Kanion i zapytała.

— Robinie, czy wszystko w porządku?

— Wszystko jest w całkowitym porządku — odparłem, głosem równie pewnym co fałszywym.

— Ach — rzekła, kiwając głową. — Ha — dodała, studiując mnie uważnie. — Chyba mam już dość wycieczek krajoznawczych. Tylko zabawa, żadnej pracy, ależ ten Robin gnuśny. Albert! Gdzie jesteś?

— Jestem tutaj, pani Broadhead — rzekł Albert, wychylając się znad brzegu kanionu i patrząc na nas.

Essie spojrzała w górę mrużąc oczy, na jego przyjazną twarz odcinającą się od jasnego, symulowanego nieba Arizony.

— Czy sądzisz — spytała — że mógłbyś znaleźć nam coś mniej. . . hermafrodytycznego i . . . hm. . . bardziej dla sybaryty, dla mojego kochanego męża, który nie może już robić nic poza nicnierobieniem?

— Oczywiście, że mogę — odparł Albert. — Właśnie chciałem zaproponować, żebyśmy na chwilę zrezygnowali z symulowanych dekoracji. Sądzę, że ciekawe może być spędzenie chwili z naszymi gośćmi na pokładzie „Prawdziwej Miłości”. Obawiam się, że w końcu zaczęli się nudzić.

W ciągu tych wszystkich milionów milisekund, jakie przeżyłem, spędzałem czas z mnóstwem ludzi, a nawet z paroma Heechami. Przekonałem się, że Podwójne Wiązanie był kimś szczególnym.

Czas ten był szczególny, gdyż było go dużo. Ukojony tymi wszystkimi dniami spędzonymi na leżeniu na plaży (i wspinaniu się po górach, nurkowaniu, a nawet ściganiu się rozlatującymi się samochodami) z Essie, byłem gotów zająć się czymś poważnym.

Był więc Podwójne Wiązanie.

— Mam nadzieję — rzekł uprzejmie, a mięśnie na grzbietach jego skórzastych dłoni marszczyły się przepraszająco — że wybaczysz mi zakradnięcie się na twój statek, Robinette Broadhead. To była sugestia Termokliny. On jest bardzo rozsądny.

— W to nie wątpię — odparłem, odpłacając uprzejmością na uprzejmość — ale kim jest właściwie Termoklina?

— To drugi z przedstawicieli Heechów w radzie Wspólnej Obserwacji Asasy-nów — odparł Podwójne Wiązanie, a Julio Cassata wtrącił się:

— I niezły wrzód na dupie. — Uśmiechał się, kiedy to mówił, a ja spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Powiedzenie czegoś takiego było w stylu Cassaty, ale on tego nie powiedział w swój zwykły sposób. Było coś jeszcze: on się nawet nie zachowywał w taki sposób, jak Cassata. Siedział koło Alicji Lo i trzymali się za ręce.

Podwójne Wiązanie przyjął tę uwagę pogodnie.

— Były między nami pewne różnice, owszem. Podobnie jak w przypadku pana, generale, czy raczej pana cielesnego oryginału.

— Stary Krwiożerczy Cassata — rzekła jego kopia, uśmiechając się złośliwie. — Wy, Heechowie, nie lubicie, kiedy mówi się o rozwaleniu kugelblitzu.

Rzeczywiście, nie lubili. Ściągną na szyi Podwójnego Wiązania napięły się; był to odpowiednik ludzkich dreszczy. Albert odchrząknął i rzekł pojednawczo.

— Podwójne Wiązanie, jest coś, co chodzi mi po głowie już od jakiegoś czasu. Może ty pomożesz mi to wyjaśnić.

— Z ogromną przyjemnością — odparł Heech.

— Kiedy jeszcze występowałeś w cielesnej postaci, byłeś jednym z wielkich autorytetów w dziedzinie planety Przymulonych. Tak sobie myślę. Pamiętasz to na tyle dobrze, żeby pokazać nam jakieś wizualne materiały o Przymulonych?

— Nie, nie pamiętam — odparł Podwójne Wiązanie z uśmiechem (to był uśmiech Heechów, mięśnie policzków napierające na wielkie różowe gałki oczne). — Ale włączyłem do waszych systemów przechowywania danych trochę naszych wachlarzy i mam na podorzędziu kilka materiałów.

— Tak właśnie myślałem — rzekł Albert, mając oczywiście na myśli to, że przez cały czas o tym wiedział. — Pozwólcie, pokażę wam coś najpierw. Kiedy

przebywaliśmy na satelicie WOA, odwiedziliśmy świnię Voodoo. Pani Broadhead i ja mieliśmy podobne skojarzenie. Pamiętacie? — spytał, patrząc na mnie.

— Pewnie — odparłem, gdyż Albert wyświetlił przed nami Świnię Voodoo w ich gnoju, wszystko oprócz zapachu. Jedna ze świń pracowicie przeżuwała swoją laleczkę voodoo, czy co to tam było, a na pierwszym planie było widać jedną z tych małych figurek, umytą do czysta z błota i gnoju. — Essie powiedziała coś zabawnego. Alicja Lo oświadczyła, że to są lalki, takie do zabawy, a wtedy ty powiedziałaś — pamiętasz, co powiedziałaś, Essie?

— Goście — odparła.

Powiedziała to tonem po części kłótliwym, jakby myślała, że ktoś chce wyzwać ją na pojedynek, a po części przestraszonym. Albert pokiwał głową.

— Zgadza się, pani Broadhead. Goście. Obcy na tej planecie. Była to logiczna dedukcja, gdyż wszystkie figurki były takie same i dość szczegółowe, zaś na tej planecie nie było nic, co mogłoby posłużyć jako model.

— A może te istoty wymarły — rzekłem buńczucznie. — Może Świnię Voodoo zeżarły je wszystkie.

Albert rzucił mi jedno ze swoich tolerancyjnych, ojcowskich spojrzeń.

— Sądząc z ich wyglądu, byłoby bardziej prawdopodobne, gdyby te istoty zjadły Świnię Voodoo. Istotnie, sądzą, że tak mogłoby być, ale nie do tego zmierzam. Uwierz mi, Robinie, te istoty nie pochodziły z planety Świń Voodoo. Sądzą, że Podwójne Wiązanie zgodzi się ze mną.

— To prawda — rzekł Podwójne Wiązanie uprzejmie. — Przeprowadziliśmy szeroko zakrojone badania paleontologiczne. To nie są tubylcy.

— A zatem... — zaczął Albert.

— A zatem miałam rację! — dokończyła Essie. — Goście! Istoty z innej planety zrobiły na świniach takie wrażenie, że od tego czasu rzeźbią laleczki Voodoo, żeby je utrzymać z daleka.

— Tak — potwierdził Albert, kiwając głową — coś w tym rodzaju, jak sądzą. A teraz, Podwójne Wiązanie...

Ale Heech już go wyprzedził.

— Jak sądzą, teraz chciałbyś zobaczyć istoty, które zaatakowały Przymulonych. — Odczekał uprzejmie, aż Albert wyłączy własny konstrukt, po czym podał nowy. Był to habitat Przymulonych, który właśnie był niszczone. Istoty rozmiarów waleni błękitnych, ale z ośmiornicowatymi mackami, w których dzierżyły broń, systematycznie go niszczyły.

— Symulacja jest jedynie dużym przybliżeniem — rzekł ze smutkiem Podwójne Wiązanie — ale jeśli chodzi o cechy ogólne, prawdopodobnie jest poprawna. Broń została dość dobrze udokumentowana. Brak odnóży, innych niż macki, jest wysoce prawdopodobny; Przymuleni nie mogli nie zauważyć rąk czy nóg, gdyż ich własna anatomia też takowych nie przewiduje.

— A rozmiar? — spytał Albert.

— Och, tak — rzekł Podwójne Wiązanie, potrząsając twierdząco nadgarstkami — jest dość dobrze ustalony. Porównanie rozmiarów względnych Asasynów i Przymulonych zostało dość dobrze określone.

— Ale oni są znacznie więksi niż Świnie Voodoo — rzekł Albert. — Jeśli założymy, że lalki są portretami istot o takich samych rozmiarach, jak Świnie Voodoo, nie mogłyby to być te same stworzenia.

Alicja Lo poruszyła się.

— Ale myślałam. . . — zawahała się. — Myślałam, że Asasyni to jedyna rasa podróżująca przez kosmos.

— Tak — rzekł Albert, kiwając głową.

Spojrzałem na niego w oczekiwaniu. Milczał.

— No dalej, Albercie! — zachęciłem go.

— Tak naprawdę, to nie wiem, Robinie — odparł. — Powiem ci jednak, co mi się wydaje. Mianowicie to, że istoty, które prawie zniszczyły Przymulonych i stworzenia, które uporczywie portretują Świnie Voodoo, nie były tak naprawdę rasami podróżującymi w kosmosie. Sądzę, że zostały tam przywiezione.

Zawtórował mu Podwójne Wiązanie.

— Również tak uważam, Albercie. Sądzę, że Asasyni nie są tak naprawdę Asasynami. To znaczy, oni fizycznie nie atakują innych ras, choć mogą zapewniać transport istotom, które to robią. Z tego powodu lepiej będzie, jeśli nazwiemy ich Wrogiem. To bardziej precyzyjne określenie, jak sądzą — rzekł, patrząc na Alberta.

Ale Albert nie odpowiedział.

* * *

Goście nie są wcale kłopotliwi, kiedy nie trzeba ich karmić i zmieniać im pościeli. Odkryłem, ku mojemu zdumieniu, że naprawdę lubię przebywanie w towarzystwie Alicji Lo, mimo że przebywała tu w towarzystwie faceta, z którego miałem niewiele pożytku. Co było jeszcze bardziej zdumiewające, to fakt, że sam Cassata robił się prawie znośny. Przede wszystkim rzadko kiedy chodził w mundurze. To znaczy, nie zauważyłem, żeby chodził. Przez większość czasu nie miałem pojęcia, co miał na sobie, wątpiłem w to, aby miał na sobie zbyt dużo, gdyż on i Alicja przebywali w jakichś prywatnych dekoracjach. Kiedy jednak przebywaliśmy razem, miał na sobie coś nieformalnego, szorty, koszulkę bez rękawów, garnitur w stylu safari, a raz wystąpił w eleganckim fraku. (Alicja wówczas miała na sobie lśniąca, wyszywaną cekinami sukienkę, więc pomyślałem, że to jakiś ich prywatny żart — ale, wiecie, to było nieco zaskakujące, gdyż nigdy bym nie

wziął Cassaty za faceta, który jest w stanie zawracać sobie głowę sympatycznymi, osobistymi żartami).

Jednakże, jak powiedziała by Albert, równowaga cieplna została zachowana. Ponieważ Julio Cassata robił się bardziej znośny, ja stawałem się... nieznośny, rozdrażniony, nieznównoważony i... tak, głupi.

Próbowałem to ukrywać. Strata czasu; cóż się może ukryć przed moją drogą przenośną Essie? Wreszcie zaczęła dążyć do konfrontacji.

— Chcesz o tym porozmawiać? — nalegała. Próbowałem obdarzyć ją promiennym uśmiechem, ale zmienił się on w ponury grymas. — Nie ze mną, do diabła. Z Albertem.

— Ach, złotko — zaprotestowałem. — Ale o czym?

— Ja nie wiem, o czym. Może Albert będzie wiedział? Nie masz nic do stracenia.

— Rzeczywiście, nic — odparłem, chcąc wyrazić zgodę. Miał to wszelako być pewien rodzaj sardonicznej zgody, coś jak skrzywienie brwi; ale spojrzenie, którym mi odpowiedziała, zniechęciło mnie. Powiedziałem szybko: — Zrobij to. Albert!

Kiedy się pojawił, siedziałem i patrzyłem na niego.

Cierpliwie oddał mi spojrzenie, pykając z fajki, czekając, aż się odezwę. Essie dyskretnie się oddaliła — chciałem sadzić, że to dyskrecja, a nie potępienie czy nuda. Posiedzieliśmy więc sobie przez chwilę, aż dotarło do mnie, że faktycznie chciałym o czymś porozmawiać.

— Albercie — rzekłem, zadowolony ze znalezienia tematu do rozmowy — jak to jest?

— Jak co jest, Robinie?

— Być tam, gdzie byłeś, zanim byłeś tutaj — rzekłem. — Jak to jest, tak się rozplęwać? Kiedy ci mówię, żebyś sobie poszedł na chwilę. Kiedy nic nie robisz. Kiedy znów stajesz się częścią zbioru gigabitowego danych. Kiedy przestajesz istnieć, to znaczy, ty przestajesz, zostaje tylko kupa rozproszonych części unoszących się w wielkim, elektronicznym kubelku z klockami.

Albert nie jęknął. Tylko wyglądał, jakby miał na to ochotę. Kiedy przemówił, aż ociekał cierpliwością.

— Mówiłem ci już, że kiedy nie jestem aktywnie zaprogramowany na bycie twoim programem do wyszukiwania danych, różne elementy pamięci, które wykorzystuje program „Albert Einstein” istnieją we wspólnym zbiorze. Oczywiście, wspólny zbiór na pokładzie „Prawdziwej Miłości” jest znacznie mniejszy niż w światowej sieci gigabitowej, ale mimo to dość duży i wykonujący wiele funkcji. Czy o tym mówisz?

— Właśnie o tym, Albercie. Jak to jest?

Wyciągnął fajkę, co było oznaką namysłu.

— Nie wydaje mi się, że bym mógł ci to wytłumaczyć, Robinie.

— Dlaczego nie?

— Bo pytanie jest źle postawione. Zakładasz, że jest jakieś „ja”, które potrafi „czuć”. Nie ma żadnego „ja”, kiedy moje elementy są oddelegowane do innych zadań. Skoro już o tym mówimy, nie ma teraz żadnego „mnie”.

— Ale ja cię widzę — zauważyłem.

— Och, Robinie — westchnął — tyle razy już o tym dyskutowaliśmy, prawda? Po prostu krążysz wokół jakiegoś rzeczywistego problemu, który cię trapi. Gdybym był twoim programem psychoanalitycznym, poprosiłbym cię, żebyś...

— Nie jesteś — rzekłem, uśmiechając się, ale czując, jak ten uśmiech tężeje — więc nie proś. Zróbmy to jeszcze raz. Tym razem spróbuję dotrzymać ci kroku. Cofnijmy się do miejsca, gdzie mówię „Ale ja cię widzę”, a ty znów opowiesz o wodospadzie Niagara.

Rzucił mi spojrzenie, które po części wyrażało irytację, a po części troskę. I to, i to, doskonale rozumiałem. Wiem, że Albert często jest na mnie zirytowany, ale wiem jeszcze lepiej, że bardzo się o mnie troszczy.

— Bardzo dobrze, zagramy znów w twoją grę. Postrzegasz „mnie” w takim sensie, w jakim postrzegasz wodospad. Gdybyś dziś popatrzył na wodospad Niagara, a następnie wrócił tam tydzień później i znów na niego spojrział, wydawałoby ci się, że widzisz ciągle ten sam wodospad. A w rzeczywistości ani jeden atom tego wodospadu nie byłby taki sam. Wodospad istnieje tylko dlatego, że zmuszają go do tego prawa hydrauliki, napięcie powierzchniowe i prawa Newtona, opierając się na fakcie, że jedna masa wody znajduje się wyżej niż druga. Postrzegasz mnie tylko dlatego, że zmuszają mnie do tego zasady programu „Albert Einstein”, napisanego przez twoją żonę, S. Ja. Laworowną-Broadhead. Molekuły wody to nie wodospad Niagara. To wodospad Niagara jest z nich zbudowany. Bity i bajty, które pozwalają mi funkcjonować, kiedy mój program działa, nie są mną. Zrozumiałeś to? Jeśli tak, to widzisz, że bezsens jest pytać mnie, jak się czuję, kiedy nie jestem „mną”, bo kiedy nie ma żadnego „mnie”, nic nie czuję. A teraz — rzekł, pochylając się do przodu w szczerym geście — załóżmy, że ty mi opowiesz, co takiego czujesz, że zaczęliśmy tę dyskusję, Robinie.

Zastanowiłem się. Słuchanie, jak przemawia, z tym miękkim, słodkim akcentem, było tak kojące, że przypomnienie sobie, gdzie tkwi odpowiedź, zajęło mi trochę czasu. Wreszcie sobie przypomniałem i całe ukojenie znikło. Powiedziałem:

— Boję się.

Ściągnął wargi, gdy mi się przyglądał.

— Boisz się. Rozumiem. Robinie, czy potrafisz mi powiedzieć, co cię tak przeraża?

— Cóż, które z czterystu czy pięciuset...

— Nie, nie, Robinie. Te najważniejsze.

— Ja też jestem programem — oświadczyłem.

— Ach — odparł. — Rozumiem. — Opróżnił fajkę, patrząc na mnie uważnie. — Chyba rozumiem — uściślił. — Ponieważ jesteś zapisaną inteligencją, sądzisz, że to, co dzieje się ze mną, może się stać także z tobą.

— Albo gorzej.

— Och, Robinie — powiedział, potrząsając głową. — Martwisz się o tyle rzeczy. Boisz się, tak mi się wydaje, że kiedyś coś zapomnisz i wyłączysz się. O to chodzi? A potem nigdy już nie pozbierasz się do kupy? Ależ Robinie, nic takiego nie może się stać.

— Nie wierzę ci — powiedziałem.

To go powstrzymało, przynajmniej na chwilę.

Powoli, metodycznie, Albert ponownie napełnił fajkę, zapalił zapałkę pocierając ją o podeszwę buta, dotknął nią tytoniu i zaczął pykać metodycznie, nie spuszczać ze mnie oka. Nie odpowiedział.

Potem wzruszył ramionami.

Albert prawie nigdy mnie nie opuszcza dopóki mu nie pozwolę odejść, ale wyglądał, jakby miał na to ochotę.

— Nie odchodź — powiedziałem.

— Dobrze, Robinie — rzekł, a wyglądał na zaskoczonego.

— Porozmawiaj ze mną jeszcze. To taka długa podróż, a ja się chyba robię nerwowy.

— Och, naprawdę? — spytał, unosząc brwi; było to tak bliskie wydawania wyroków, jak to zwykle bywa u Alberta. Potem powiedział: — Wiesz, Robinie, nie musisz być świadomy przez cały czas. Czy chciałbyś się wyłączyć, aż tam dotrzemy?

— Nie!

— Ależ Robinie, naprawdę nie ma się czym przejmować. Kiedy zostajesz w trybie gotowości, to tak, jakby czas wcale nie płynął. Spytaj swoją żonę.

— Nie! — powtórzyłem. Nie chciałem o tym dyskutować; tryb gotowości brzmiał za bardzo podobnie do stanu określanego jako „martwy”. — Nie, chcę tylko chwilę pogadać. Uważam — naprawdę tak uważam — że nadszedł dobry moment, byś opowiedział mi o dziewięciowymiarowej przestrzeni.

Po raz drugi w ciągu paru milisekund Albert obdarzył mnie takim spojrzeniem — nie, nie zaskoczonym, ale przynajmniej sceptycznym.

— Chcesz, żebym ci objaśnił, na czym polega dziewięciowymiarowa przestrzeń — powtórzył.

— No właśnie, Albercie.

Przyjrzał mi się uważnie poprzez chmurę fajkowego dymu.

— Dobrze — oświadczył. — Rozumiem, że ta koncepcja trochę cię rozrusza. Pewnie sądzisz, że jakąś przyjemność sprawi ci nabijanie się ze mnie. . .

— Kto, ja, Albercie? — wyszczerzyłem się.

— Och, nie mam nic przeciwko temu. Próbuję tylko zrozumieć, jakie będą reguły gry.

— Reguły gry — rzekłem — są takie, że ty mi o tym opowiadasz. Kiedy mnie to znuży, powiem ci. Zaczynaj więc, proszę. „Dziewięciowymiarowa przestrzeń to...”, a ty wypełnisz puste miejsca.

Wyglądał na zadowolonego, nawet jeśli był nieco sceptycznie nastawiony.

— Powinniśmy częściej odbywać takie podróże — skomentował. — Tak czy inaczej, to nie jest dobry pomysł na początek. Początek będzie taki: najpierw rozpatrujemy normalną, trójwymiarową przestrzeń, taką, w której się wychowałeś, czy myślałeś, że się wychowujesz, kiedy jeszcze miałeś cielesną postać... co, już?

Podniosłem rękę i oświadczyłem:

— Zawsze myślałem, że jest czterowymiarowa. Co się stało z wymiarem czasu?

— To czterowymiarowa czasoprzestrzeń, Robinie. Próbuję to dla ciebie uprościć, więc trzymajmy się może najpierw trzech wymiarów. Dam ci przykład. Wyobraźmy sobie, że kiedy byłeś młodym człowiekiem, siedzącym przez piezowizorem i oglądającym ze swoją dziewczyną jakiś show. Nagle zdarzyło ci się otoczyć ją ramieniem. Pierwszą rzeczą, którą zrobisz, jest wyciągnięcie ramienia na oparcie kanapy — to pierwszy wymiar, nazwijmy go szerokością. Potem zaginasz łokieć pod kątem prostym, żeby twoje przedramię wskazywało do przodu i oparło się na jej ramieniu — to drugi wymiar i nazwiemy go długością. Następnie opuszczasz dłoń na jej biust. I to jest głębokość. Trzeci wymiar.

— To głębokość, zgoda, bo do tego momentu pewnie już głęboko wpadnę. — Uśmiechnąłem się złośliwie.

Westchnął i zignorował tę uwagę.

— Pojmujesz ten obraz. Jak dotąd przedstawiliśmy trójwymiarową przestrzeń. Jest również, jak podpowiedziałeś, wymiar czasu: pięć minut temu twojej ręki tam nie było, teraz jest, za chwilę będzie jeszcze gdzieś indziej. Jeśli więc chcesz podać współrzędne dowolnego znanego ci układu, musisz dodać także ten wymiar. Trójwymiarowe „gdzie” i czterowymiarowe „kiedy”: czasoprzestrzeń.

— Czekam, aż dojdiesz do tego miejsca — rzekłem cierpliwie — gdzie mi pokażesz, że wszystko, co dotąd wiedziałem, jest błędne.

— Dojdę do tego, Robinie, ale zanim dotrę do tej trudnej części, muszę się upewnić, że łatwa część jest pod kontrolą. Teraz przechodzimy do tej trudnej. Mamy tu supersymetrię.

— Och, dobrze. Czy oczy już zaczynają zachodzić mi mgłą?

Spojrzał z uwagą w moją twarz, tak autentycznie, jakbym rzeczywiście miał jakieś oczy, a on miał coś, czym mógłby w nie zajrzeć. Albert jest dobrym kumplem, naprawdę.

— Jeszcze nie — powiedział zadowolony. — Postaram się, żeby tego nie spowodować. „Supersymetria” brzmi okropnie, wiem, ale to tylko nazwa nadana modelowi matematycznemu, który dość zadowalająco opisuje główne cechy wszechświata. Obejmuje on, lub jest związany, z takimi pojęciami, jak „supergrawitacja”, „teoria strun” i „archokosmologia”. — Znow na mnie spojrzal. — Oczy nadal przejrzyste? Dobrze. Teraz spróbujemy zrozumieć implikacje tych słów. Implikacje są łatwiejsze, niż same słowa. Są to dobre obszary badań. Razem wzięte objaśniają zachowanie zarówno materii, jak i energii, we wszelkich ich przejawach. A nawet więcej. One nie tylko je objaśniają. Prawa supersymetrii i inne rzeczywiście rządzą zachowaniem wszystkiego. Chcę przez to powiedzieć, że na podstawie tych praw zaobserwowane zachowanie wszystkiego, co składa się na kosmos, logicznie wynika. A nawet w sposób nieunikniony.

— Ale...

Rozpędził się już na całego; machnął na mnie lekceważąco ręką.

— Zostańmy przy tym — rozkazał. — To są podstawy. Gdyby starożytni Grecy rozumieli supersymetrię i związane z nią zagadnienia, mogliby wydedukować prawa Newtona dotyczące ruchu i prawo powszechnego ciężenia, oraz zasady kwantowe Plancka i Heisenberga, a nawet... — zamrugął — ... mają własną teorię względności, zarówno szczególną, jak i ogólną. Nie musieliby eksperymentować i obserwować. Wiedzieliby, że to wszystko jest prawdziwe, ponieważ wynika jedno z drugiego, jak Euklides wiedział, że jego geometria musi być prawdziwa, bo wynika z praw ogólnych.

— Ale tak nie jest! — krzyknąłem zaskoczony. — Prawda? Przecież opowiadałeś mi o geometrii nieeuklidesowej...

Zatrzymał się na moment; wyglądał na zamyślonego.

— I na tym cały dowcip polega — przyznał. Spojrzal na swoją fajkę i zauważył, że zgasła, więc zaczął ją metodycznie opróżniać, stukając; cały czas mówił. — Geometria euklidesowa nie jest nieprawdziwa, jest po prostu prawdziwa wyłącznie w szczególnym przypadku płaskiej, dwuwymiarowej przestrzeni. W rzeczywistym świecie takich nie ma. W supersymetrii też tkwi pewien trik. Polega on na tym, że jest nieprawdziwa w świecie rzeczywistym — a przynajmniej w trójwymiarowej przestrzeni, którą postrzegamy. Aby supersymetria mogła działać, konieczne jest dziewięć wymiarów, choć postrzegamy jedynie trzy. Co się dzieje z pozostałymi sześcioma?

— Nie mam najbledszego pojęcia — oświadczyłem z przyjemnością — ale wychodzi ci to lepiej niż zwykle. Jeszcze się nie pogubiłem.

— Dużo ćwiczyłem — odparł sucho. — Mam również dla ciebie dobre nowiny. Mogłbym matematycznie udowodnić ci, że dziewięć wymiarów jest niezbędne...

— Och, nie.

— Oczywiście, że nie — zgodził się. — Dobra nowina brzmi: nie muszę tego robić, byś mógł mnie dalej zrozumieć.

— Jestem wdzięczny.

— Nie wątpię. — Znów zapalił fajkę. — A teraz, co do brakujących sześciu wymiarów. . . — Popykał przez chwilę z namysłem. — Jeśli dziewięciowymiarowa przestrzeń musi istnieć, żeby powstał wszechświat, dlaczego my potrafimy się doszukać jedynie trzech?

— Czy to ma coś wspólnego z entropią? — zaryzykowałem.

Albert spojrzał na mnie zdegustowany.

— Z entropią? Oczywiście, że nie. Jakże miałyby?

— No to z hipotezą Macha? Albo jakimiś innymi rzeczami, o których mi opowiadałeś przedtem?

Skarcił mnie.

— Nie zgaduj, Robinie. Utrudniasz. Co się stało z innymi wymiarami? Po prostu znikły.

Albert gapił się na mnie z zadowoleniem, pykając z fajki, jakby objaśnił mi coś strasznie ważnego.

Poczekalem, aż będzie kontynuował. A kiedy tego nie zrobił, poczułem się zirytowany.

— Albercie — oświadczyłem — wiem, że uwielbiasz się ze mną drażnić, żeby podtrzymać moje zainteresowanie, ale cóż, u licha, ma oznaczać to „po prostu znikły”?

Zachichotał. Widziałem, że świetnie się bawi. Rzekł:

— A przynajmniej znikły z naszej percepcji. Nie oznacza to, że wyginęły. Prawdopodobnie znaczy to jedynie, że są bardzo małe. Skurczyły się do takich rozmiarów, że nie są już widoczne.

Spojrzałem na niego z wściekłością.

— Możesz mi wyjaśnić, jak mogły się po prostu skurczyć?

Uśmiechnął się do mnie.

— Na szczęście nie — rzekł. — Mówię „na szczęście”, bo gdybym nawet potrafił, byłoby to bardzo matematyczne, a wtedy odpadłbyś w przedbiegach. Jednakże mogę rzucić odrobinę światła na to, co się wtedy prawdopodobnie stało. Przez skurczenie się rozumiem, że nie są już rejestrowane. Pozwól, że dam ci przykład. Pomyśl o jakimś punkcie — założmy, końcu twojego nosa. . .

— Och, daj spokój, Albercie! Już przerobiliśmy trójwymiarową przestrzeń!

— Czubek twojego nosa — powtórzył. — Odnieś ten punkt do jakiegokolwiek innego punktu, powiedzmy, twojego jabłka Adama. Twój nos sterczy o tyle milimetrów w górę, wystaje o tyle milimetrów w przód, i rozciąga się o tyle milimetrów w bok — oznacza to, że podaliśmy lokalizację względem osi „x”, „y” i „z”. Kiedy mówimy o dziewięciowymiarowej przestrzeni zamiast o trójwymiarowej, możemy także powiedzieć, że jest to specyficzny punkt na osiach „p”, „d”,

„q”, „r”, „w” i „k” — czy jakich tam liter użyjesz, żeby je nazwać, ale... — Wziął głęboki oddech. — Ale nie musisz podawać tych współrzędnych w żadnym normalnym celu, bo odległości są tak małe, że nie mają znaczenia. Właśnie o to chodzi. Nadażasz?

— Prawie wydaje mi się, że tak — odparłem radośnie.

— Dobrze — rzekł — bo to jest już prawie prawda. To nie jest aż takie proste. Te brakujące sześć wymiarów — one są nie tylko małe, one są zakrzywione. Są jak małe kółeczka. Jak zwinięte spirale. Nie prowadzą nigdzie. Tak sobie idą dookoła.

Zatrzymał się, ssąc fajkę i patrząc na mnie z aprobatą.

Znów zaczął mrugać. Było coś w spojrzeniu tych uczciwych oczu, co kazało mi spytać:

— Albercie, jedno pytanie. Czy to wszystko, co mi mówisz, to prawda?

Zawahał się. Po czym wzruszył ramionami.

— Prawda — rzekł poważnie — to ciężkie słowo. Nie jestem przygotowany na to, żeby rozmawiać jak w rzeczywistości, a właśnie to rozumiesz przez słowo „prawda”. To jest model, który bardzo, bardzo dobrze wszystko objaśnia. Równie dobrze może być uznany za „prawdę”, przynajmniej do momentu, kiedy zostanie znaleziony lepszy model. Niestety jednak, jeśli pamiętasz — rzekł, ożywiając się, jak zawsze, kiedy ma okazję zacytować samego siebie — jak to powiedział dawno temu mój cielesny oryginał, matematyka jest najbardziej „prawdziwa”, kiedy jest najmniej „rzeczywista” i na odwrót. Jest wiele elementów, których tu nie scharakteryzowałem. Nie rozpatrywaliśmy jeszcze implikacji teorii strun czy zasady nieoznaczoności Heisenberga, czy...

— Proszę cię, daj sobie spokój — błagałem.

— Z przyjemnością, Robinie, gdyż świetnie sobie radzisz. Doceniam to, że mnie wysłuchałeś. Teraz mam nadzieję, że będziesz w stanie zrozumieć, o co chodzi z Wrogiem, oraz — co ważniejsze — podstawową strukturą wszechświata.

— Co ważniejsze! — powtórzyłem.

Uśmiechnął się.

— W sensie obiektywnym, tak, Robinie. Znacznie lepiej jest wiedzieć, niż robić i nie ma większego znaczenia, kto jest tym, co wie.

Wstałem i przeszedłem się. Wydawało mi się, że rozmawiamy już bardzo długo i wtedy pojąłem, że to dobrze, bo dokładnie o to mi chodziło. Odezwałem się:

— Albercie? Ile trwał ten twój wykład?

— Masz na myśli czas galaktyczny? Zobaczmy, tak, trochę poniżej czterech minut. — A kiedy spojrzał na moją twarz, dodał szybko. — Ale pokonaliśmy już prawie jedną trzecią drogi, Robinie! Jeszcze parę tygodni i będziemy na Kręgu Obserwacyjnym!

— Parę tygodni.

Spojrzał na mnie z troską.

— Nadal mamy do dyspozycji opcję wyłączenia... Nie, oczywiście, że nie — dodał, obserwując moją twarz. Przez chwilę miał niepewny wyraz twarzy, po czym podjął decyzję. Odezwał się nieco innym tonem. — Robinie? Kiedy rozmawialiśmy o tym, jak „ja” się czuję, kiedy nie pracuję jako twój program, powiedziałeś, że mi nie wierzysz. Obawiam się, że miałeś ku temu powody. Nie byłem z tobą całkowicie szczery.

Nic nigdy mnie bardziej nie zaszokowało.

— Albert! — wrzasnąłem. — Chyba mnie nie okłamałeś! Nie możesz!

Rzekł przeproszającym tonem.

— To prawda, Robinie, nigdy cię nie okłamałem. Są jednak pewne prawdy, których ci nie wyjawiałem.

— Chcesz przez to powiedzieć, że coś czujesz, kiedy jesteś wyłączony?

— Nie. Już ci powiedziałem. Nie ma żadnego „mnie”, który mógłby coś odczuwać.

— Więc co, na litość boską?

— Są rzeczy, które robię — których doświadczam — jakich ty nigdy nie doznałeś, Robinie. Kiedy zostaje włączony do innego programu, jestem tym programem. Czy nim. Czy nią. — Zamrugał. — Czy nimi.

— Ale nie jesteś już tym samym, czym byłeś?

— Właśnie. Nie tym samym. Ale może lepszym.

Rozdział 17

Przed tronem

Czas mijał, a nie kończąca się podróż trwała.

Zrobiłem wszystko, co tylko było do zrobienia.

Potem zrobiłem to po raz kolejny. I jeszcze raz. Wreszcie na poważnie zacząłem rozważać pomysł Alberta ze spędzeniem paru dni w stanie uśpienia, co przeraziło mnie tak, że nawet Essie to zauważyła.

Zareagowała od razu.

— Zróbmy przyjęcie — ogłosiła.

Nie byłem w imprezowym nastroju. Jeszcze nie

wydobrzałem po szoku spowodowanym moją „śmiercią” w domku na Tahiti. Nie zbierałem sił, choć czekała mnie perspektywa spotkania jednej z tych strasznych istot, Asasyna — albo milionów Asasynów — na ich własnym gruncie. Diabli, ja nawet nie doszedłem do siebie po wszystkich innych rzeczach, które wydarzyły się w moim życiu, począwszy od paskudnego załamania nerwowego, kiedy byłem dzieckiem, przez śmierć mojej matki i porzucenie Klary w czarnej dziurze, aż do chwili obecnej. Życie każdego z nas jest pełne tragedii, katastrof i niemiłych rozstań. Od czasu do czasu wynagradzają nam to lepsze okresy, a przynajmniej mamy nadzieję, że tak będzie, ale mój Boże, przez ileż nieszczęść musimy przejść! A kiedy się żyje znacznie dłużej, nie tylko dłużej, ale w moim przypadku szybciej, złe rzeczy po prostu się mnoży.

— Co za ponurak — śmiała się Essie, składając gorący pocałunek na moich ustach — rozchmurz się, obudź się, baw się, co ci zależy, przecież jutro umrzemy? Albo i nie, sam wiesz.

Cała Essie. Ta rzeczywiśta, która kiedyś była modelką i ta przenośna, z którą dzielę życie, i nie zaczynamy zawiłych debat na temat, co rozumiem przez „życie”.

Podjąłem więc wielki wysiłek, by się uśmiechnąć i ku mojemu zdumieniu udało mi się to. A następnie rozejrzałem się dookoła.

Bez względu na to, co powiedziała Essie Albertowi o luksusowych dekoracjach, którymi nas otaczał, nie pozwoliła, by jakieś ograniczenia zakłóciły jej własny styl. Jej pomysły na przyjęcia znacznie się zmieniły od czasu, gdy zostaliśmy zapisani w postaci maszynowej. Dawniej mogliśmy urządzić wszystko tak jak chcieliśmy, bo byliśmy obrzydliwie bogaci. A teraz było jeszcze lepiej. Nie ma teraz niczego, z rzeczy sprawiających nam przyjemność, czego byśmy nie mogli zrobić. To, co chcemy robić, od razu wprowadzamy w życie i nie musimy się nawet martwić o kaca, szkodenie innym czy tycie.

Na początek Essie zrobiła salę balową.

Nic było to nic oszałamiającego. Mogliśmy to mieć nawet jako cieleśniacy, za jakiś milion dolarów. Essie i ja nie posiadaliśmy nigdy chatki narciarskiej, ale w paru bywaliśmy i podobało mi się połączenie wysokiego pod sufit kominka z trofeami z niedźwiedzi i łośi na ścianie, tuzinem podzielonych na małe szybki okien z widokiem na ośnieżone góry lśniące w słońcu, i wygodne fotele, kanapy i stoły, i świeże kwiaty, i... I, jak zdałem sobie sprawę, z tuzinem innych rzeczy, których nigdy nie widzieliśmy w żadnym domku narciarskim. Na stole przy oknie stała fontanna z szampanem. Obok niej umieszczono długi bufet, przy którym stali odziani na biało kelnerzy, gotowi napełnić nasze talerze. Dostrzegłem między innymi pokrojonego indyka i szynkę, wydrążone ananasy wypełnione kiwi i czerśniami. Spojrzałem na to wszystko, a potem na Essie.

— Wędzone ostrygi? — zaryzykowałem.

— Na Boga, Robinie — odparła z obrzydzeniem — oczywiście, że są wędzone ostrygi! Nie wspominając o kawiorze dla mnie i Alberta, żeberkach dla staruszka Julio i dim sum dla jego dziewczyny i całym wiadrze tego paskudztwa, które tak uwielbiasz, czyli sałatki z tuńczyka. — Klasnęła w dłonie. Lider małej orkiestry na podeście w drugim końcu pokoju skinął głową i zaczęli grać te łagodne nostalgiczne kawałki, za którymi szaleli nasi dziadkowie. — Najpierw jemy czy tańczymy? — spytała Essie?

Podjąłem ten wysiłek. Spróbowałem zrobić na niej wrażenie.

— A co byś wołała? — spytałem najbardziej seksownym i najbardziej wibrującym głosem gwiazdy filmowej, patrząc jej głęboko w oczy, z dłonią dotykającą zdecydowanym gestem jej nagiego ramienia, gdyż w tej chwili miała już na sobie mocno wydekoltowaną wieczorową sukienkę.

— Chyba zjeść, Robinie — westchnęła — ale nie zapominaj, że będziemy zaraz tańczyć, i to długo!

No i wicie, okazało się, że to wcale nie jest taki straszny wysiłek. Były tam całe masy sałatki z tuńczyka, więcej, niż mógłbym zjeść w życiu, a kelner ułożył grubą warstwę na kromce żytniego chleba, nakrył drugą i zgniółł je na płasko, dokładnie tak, jak lubiłem. Szampan był doskonale schłodzony, a bąbelki przyjemnie drażniły mój nos. Kiedy jedliśmy, Albert dziarsko pomachał orkiestrze, że ma przestać grać, wyjął skrzypce i zabawiał nas Bachem granym bez akompania-

mentu, małym solo z Kreislera, a kiedy orkiestra dołączyła do niego, zakończył paroma kwartetami smyczkowymi z Bethovena.

Kiedy Essie i ja sennie krążyliśmy po parkiecie, jej głowa spoczywała na moim ramieniu, a moje palce delikatnie pieściły jej miękkie, słodkie plecy, czułem, że jestem naprawdę gotowy na wszystko.

Sprowadziłem ją więc z parkietu, w stronę, gdzie przygotowała sypialnię. Albert podniósł wzrok, by pomachać nam na pożegnanie. On i generał Cassata plotkowali sobie przy kominku i usłyszałem, jak Albert mówi:

— Ta malutka improwizacja, generale, jaką pozwoliłem sobie zaprezentować, miała na celu jedynie rozchmurzyć Robina, wie pan. Mam nadzieję, że nie poczuł się pan urażony.

Cassata wyglądał na zaskoczonego. Podrapał się po kości policzkowej koloru czekolady, zaraz przy starannie przyciętych, wełnistych bokobrodach i powiedział:

— Nie wiem, o czym mówisz, Albercie. Dlaczego miałbym poczuć się urażony?

Nie muszę mieć prawdziwego ciała, czy prawdziwego jedzenia, żeby jeść, nie muszę mieć prawdziwego krzesła, żeby siedzieć. Nie muszę mieć nic, co zazwyczaj jest konieczne, by uprawiać seks, a przecież zrobiliśmy to z finezją, zaangażowaniem i całym mnóstwem zabawy. A że symulowany? Co z tego? Czułem się równie wspaniale, co zwykle, czyli cudownie, a kiedy skończyliśmy, moje symulowane serce biło nieco szybciej, a oddech stanowił symulowane dyszenie; otoczyłem moją ukochaną ramieniem i przyciągnąłem ją do siebie, żeby zatopić się w jej symulowanym zapachu, dotyku i ciepłe.

— Tak się cieszę — powiedziało sennie moje symulowane kochanie — że uczyniłam moje programy interaktywnymi. Połaskotała moje ucho oddechem. Odwróciłem głowę, żeby i ją połaskotać. — Moja najdroższa Essie — wyszeptalem — napisałaś genialny program.

— Bez ciebie bym tego nie zrobiła — rzekła i ziewnęła sennie w satynową poduszkę.

Byłem trochę senny, gdyż było to częścią całego podprogramu. Wiedziałem jednak, że mogę się w każdej chwili z tego otrząsnąć, gdyż to także należało do podprogramu.

I dokonałem wyboru. Ale tylko na chwilę, czy przynajmniej tak mi się wydawało, bo przychodziły mi do głowy inne rzeczy.

— Poznaję to łóżko, złotko — powiedziałem.

Zachichotała.

— Fajne łóżko — zauważyła. Nie zaprzeczyła temu, o czym wiedziałem, że była to dokładna, może nieco ulepszona, wersja łóżka anizokinetycznego, z którego korzystaliśmy w Rotterdamie całe wieki temu.

Ale nie było to dokładnie to, o czym chciałem rozmawiać, więc spróbowałem ponownie.

— Złotko? Jak sądzisz, czy tam było tylko dwóch Wrogów? Znaczy, w tym pokoju na Tahiti?

Essie leżała przez chwilę w milczeniu. Potem delikatnie uwolniła się od mojego ramienia i oparła się na łokciu, spoglądając na mnie z góry. Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu, a potem powiedziała:

— Nie ma żadnego sposobu, żeby to sprawdzić, prawda? Albert mówi, że to może być zbiorowa inteligencja; więc to, co widziałeś na Tahiti może być tylko małymi, odłączonymi pakietami Wroga, a liczby w tym wypadku są bez znaczenia.

— Uhm.

Essie westchnęła i obróciła się na drugi bok. Przez zamknięte drzwi słyszeliśmy muzykę z drugiego pokoju; teraz grali staroświeckiego rocka, pewnie specjalnie dla generała Cassaty. Essie usiadła na łóżku, naga, jak wtedy, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy i strzeliła palcami, by zapaliło się światło. Światło pojawiło się, łagodna, bursztynowa poświata z lamp ukrytych w suficie, gdyż Essie nie przegapiła niczego przy urządzeniu naszej małej przystani.

— Dalej jesteś zmartwiony, Robinie, kochany — skomentowała neutralnym tonem.

Przemyślałem to.

— Chyba tak — odparłem, co było pierwszym przybliżeniem znacznie bardziej emfaticznego opisu, gdybym zdecydował się taki przedstawić.

— Chcesz pogadać?

— Chcę — odparłem, nagle całkowicie obudzony — być szczęśliwy. Dlaczego, do cholery, to wszystko musi być tak diabelnie ciężkie?

Essie pochyliła się i dotknęła mojego czoła wargami.

— Rozumiem — odparła i zamilkła.

— To znaczy, chcę przez to powiedzieć — mówiłem dalej przez chwilę — że nie wiem, co się stanie.

— Nigdy nie było wiadomo, prawda?

— I może dlatego — powiedziałem, znacznie głośniej i znacznie bardziej nie-miłym tonem, niż zamierzałem — nigdy nie byłem szczęśliwy.

Odpowiedziało mi milczenie. Kiedy rozmawia się na megabodowych częstotliwościach, nawet dwudziesta część sekundy jest długą pauzą, a ta trwała jeszcze dłużej. Potem Essie wstała, podniosła leżący koło łóżka szlafrok i włożyła go.

— Kochany Robinie — rzekła, siadając na brzegu łóżka i patrząc na mnie — może ta długa podróż źle na ciebie działa. Masz za dużo czasu, żeby się głupio zachowywać.

— Ale nigdy nie mieliśmy wyboru, prawda? A to jest po części przyczyna mojego złego samopoczucia!

— Ach — rzekła, kiwając głową. — Dotarliśmy do sedna problemu. Świetnie. Otwórz się. Powiedz, co cię dręczy.

Nie odpowiedziałem. Wydałem z siebie elektroniczny odpowiednik odgłosu oznaczającego irytację. Pewnie, nie zasłużyła na to. Przekroczyła wszelkie granice w miłości i oddaniu, i nie miałem żadnego powodu, żeby zachowywać się wobec niej nieprzyjemnie.

Ale czułem się nieprzyjemnie.

— Powiedz mi, do cholery! — warknęła.

— Och, do diabła! — odszczeknąłem. — Zadajesz głupie pytania, wiesz? To znaczy, jesteś najprawdziwszą z prawdziwych miłości i uwielbiam cię, ale... ale, Jezu, Essie, jak możesz zadawać takie pytania? O co ci chodzi? Chcesz przez to powiedzieć, że poza tym, że cały wszechświat jest w niebezpieczeństwie, ja dopiero co znowu umarłem i jest dość prawdopodobne, że stanie się to ponownie, tylko że tym razem nieodwracalnie, bo muszę stawić czoła jakimś istotom, o których wolę nawet nie myśleć, w dodatku mam dwie żony i tak naprawdę nie istnieje — chcesz powiedzieć, jak się pani podobała sztuka, pani Lincoln?

— Och, Robin — westchnęła ponuro — ty nawet nie potrafisz dodawać!

Zaskoczyła mnie tym.

— Że co?

— Po pierwsze — rzekła tonem błyskotliwej kobiety interesu — nie masz dwóch żon, chyba że policzymy oddzielnie mój cielesny oryginał i oddzielnie mnie, która właśnie z dużą przyjemnością się z tobą kochała.

— To znaczy...

— Wiem bardzo dobrze, co to znaczy, Robinie — rzekła stanowczo. — To znaczy, że kochasz mnie i kochasz Gelle-Klarę Moynlin, która pojawia się ciągle tu i tam, żeby ci o tym przypomnieć. Już o tym kiedyś rozmawialiśmy. Nie ma problemu. Masz dokładnie jedną żonę, która się liczy, panie Broadhead, a mianowicie mnie, Przenośną Essie, S. Ja. Laworowną-Broadhead, która nie jest ani trochę zazdrosna o twoje uczucia do pani Moynlin.

— To nie jest prawdziwy... — zacząłem, ale machnęła ręką, żebym się zamknął.

— Po drugie — oświadczyła twardo — przyjmując kolejność odwrotną, nie, przyjmując tak naprawdę pierwszy punkt jako drugi w obecnej dyskusji...

— Essie! Tracisz mnie.

— Nie — odparła — nigdy cię nie stracę, ani ty mnie; to podzbiór pierwszego punktu, z którym rozprawimy się jak z trzecim. Słuchaj uważnie! Jeśli chodzi o zagrożenie dla całego naszego gwiazdzonego wszechświata, tak, przyznaję, takie istnieje. To duży problem. Jest to jednak problem, który rozwiążemy najlepiej, jak będziemy umieli. A teraz zostaje nam tylko jeden punkt, może piąty czy szósty z pierwotnego przedstawienia, już zapomniałam...

Zacząłem łapać ten rytm.

— Chcesz powiedzieć, fakt, że nie istnieję — podsunąłem usłudnie.
— Zgadza się. Dobrze, że trzymasz się na nogach, Robinie. Nie jesteś martwy, sam wiesz; tego się trzymajmy. Nie masz już ciała z krwi i kości, ale jesteś całkiem żywy. Właśnie to wykazaliśmy, u licha!

Rzekłem taktownie:

— To cudowne i wiem, że to co mówisz, jest prawdą. . .

— Nie! Nie wiesz!

— Hm, pojmuję do logicznie. Cogito ergo sum, prawda?

— Dokładnie tak!

— Trudność polega na tym — rzekłem żałośnie — że tego nie internalizowałem, tak?

— Ach! — krzyknęła. — Och! Rozumiem! „Internalizować”, o to chodzi? Na pewno, internalizować. Najpierw Kartezjusz, teraz psychoanalityczna gadanina. To gęsty dym, Robinie, zasłona dymna, za którą ukrywają się prawdziwe troski.

— Ale ty nie rozumiesz. . .

Nie dokończyłem, bo położyła mi dłoń na ustach, żeby mnie uciszyć. Następnie wstała i podeszła do drzwi.

— Robinie, najdroższy mój, daję ci słowo, że rozumiem. — Podniosła szlafrok z krzesła przy drzwiach i mięła go w rękach. — Widzisz, to nie ze mną powinieneś teraz rozmawiać, ale z nim.

— Z nim? Jakim nim?

— Z tym psychoanalitykiem, Robinie. Dalej. Włóż to.

Rzuciła mi szlafrok, a kiedy zszokowany robiłem, co mi kazała, wyszła, zostawiając otwarte drzwi, a chwilę później wszedł nimi sympatyczny, smutno wyglądający starszy człowiek.

— Witaj, Robinie. Dawno się nie widzieliśmy — powiedział mój lekarz duszy, Sigfrid von Psych.

— Sigfridzie — oświadczyłem — nie zapraszałem cię.

Skinął głową, uśmiechając się i zaczął krążyć po pokoju. Zaciągał rolety, gasił światła, czyniąc sypialnię w mniejszym stopniu jaskinią rozpusty, a bardziej zmieniając ją w swój stary gabinet.

— Ja nie chcę z tobą rozmawiać! — wrzasnąłem. — A poza tym, ten pokój podobał mi się taki, jaki był.

Usiadł na krześle przy łóżku, spoglądając na mnie. Łóżko nie służyło już do igraszek; było to łoże boleści, na którym spędziłem wiele wypełnionych cierpieniem godzin. Sigfrid oświadczył wreszcie z zadowoleniem:

— Ponieważ potrzebna ci pomoc w pozbyciu się tego napięcia, Robbie, sądzę, że lepiej będzie, jeśli zredukuję rzeczy rozpraszające twoją uwagę. To nie jest istotne. Mogę przywrócić mu poprzedni wygląd, jeśli chcesz — uwierz mi jednak, Rób, że lepszy skutek będzie miało, jeśli opowiesz mi o swoich uczuciach niepokoju czy zmartwienia, zamiast dyskutować ze mną o wyglądzie pokoju.

Zaśmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać. Śmiałem się głośno aż do rozpuku i długo nie mogłem przestać, kiedy przestałem, otarłem załzawione oczy i powiedziałem:

— Zastrześliłeś mnie, Sigfridzie. Wiesz co? Nie zmieniłeś się ani odrobinę.

Uśmiechnął się i powiedział:

— A ty tak. Zmieniłeś się bardzo. Z tego niepewnego, zadreęczającego się poczuciem winy, pełnego wątpliwości młodego człowieka, który próbował manipulować naszymi sesjami, jakby to były salonowe rozgrywki. Pokonałeś daleką drogę, Robinie. Jestem z ciebie bardzo zadowolony.

— O, do licha — odparłem, niepewnie się uśmiechając.

— Z drugiej strony — mówił dalej — pod wieloma względami nie zmieniłeś się ani trochę. Czy chcesz tracić czas na próżne gadanie i salonowe rozgrywki? Czy chciałbyś powiedzieć, co cię trapi?

— Rozgrywki! Sam się w nie bawisz. Wiesz wszystko, co dotąd powiedziałem. Pewnie wiesz nawet, co pomyślałem!

Odpowiedział mi z powagą.

— To, co wiem, lub czego nie wiem, nie ma znaczenia. Wiesz o tym. Ważne jest to, co ty wiesz, w szczególności to, do czego nie chcesz się przyznać sam przed sobą. Musisz to wyciągnąć na światło dzienne. Zaczynaj od opowiedzenia mi, czemu się martwisz.

— Bo jestem słabeuszem — odparłem.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Nie wierzysz w to tak naprawdę, nie?

— Przecież nie jestem bohaterem!

— Skąd o tym wiesz, Robinie? — zapytał.

— Nie drażnij się ze mną! Bohaterowie nie siedzą i nie uzalają się nad sobą! Bohaterowie nie pozwalają się pogrążyć w poczuciu winy, zmartwieniach i bzdurach, czy tak nie jest?

— To prawda, że bohaterowie nie robią żadnej z tych rzeczy — przyznał Sigfrid — ale zapomniałeś, że bohaterowie nie istnieją. Naprawdę sądzisz, że ci wszyscy ludzie, których nazywasz bohaterami, są w jakikolwiek sposób lepsi od ciebie?

— Nie wiem, czy w to wierzę. Na pewno taką mam nadzieję.

— Ależ, Robinie — rzekł rozsądnie — chyba nie poszło ci aż tak kiepsko, prawda? Dokonałeś tego, czego nie dokonał przedtem nikt, nawet Heech. Rozmawiałeś z dwoma Wrogami.

— Spieprzyłem to — odparłem gorzko.

— Naprawdę tak sądzisz? — westchnął Sigfrid. — Robbie, czasem przejawiasz zupełnie sprzeczne opinie o samym sobie. Ale jak tylko masz wybór, po dłuższym czasie przyjmujesz tę mniej pochlebną. Dlaczego tak się dzieje? Pa-

miętasz, że przez wiele sesji, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ciągle mi powtarzałeś, jakim jesteś tchórzem?

— Ależ tak było! Boże, Sigfrid, snułem się po Gateway przez wieki zanim znalazłem dość odwagi, żeby wsiąść na statek!

— To można uznać za tchórzostwo, owszem — przyznał Sigfrid. — To prawda, że takie było twoje zachowanie. Zdarzały się jednak sytuacje, w których zachowywałeś się w sposób, który można określić jedynie jako niezmiernie odważny. Kiedy wskoczyłeś do statku i wyruszyłeś do Nieba Heechów, stanąłeś w obliczu poważnego zagrożenia. Zaryzykowałeś życiem, a tak naprawdę, to prawie je straciłeś.

— W tym były wielkie pieniądze. Zostałem przez to bogaty.

— Już byłeś bogaty, Rob — potrząsnął głową. Następnie rzekł z namysłem: — To ciekawe, że kiedy robisz coś godnego pochwały, przypisujesz sobie niskie pobudki, ale kiedy robisz coś, co wygląda na niegodne, zgadzasz się od razu, że to wrażenie jest prawdziwe. Kiedy wygrywasz, Robin?

Nie odpowiedziałem. Nie znalazłem odpowiedzi. Może nie chciałem jej szukać. Sigfrid westchnął i poprawił się na krześle.

— Dobrze — rzekł. — Wróćmy do rzeczy podstawowych. Powiedz mi, czym się martwisz.

— Czym się martwię? — krzyknąłem. — Nie wydaje ci się, że mam mnóstwo rzeczy, którymi mogę się martwić? Czy nie sądzisz, że cała ta sytuacja na skalę wszechświatową nie jest czymś, co powinno martwić każdą, istotę o zdrowych zmysłach, bo jeśli tak, to chyba nie jesteś na bieżąco!

Odpowiedział mi z wyraźną cierpliwością:

— Wróg jest na pewno wystarczającym powodem do zmartwień, tak, ale...

— Ale jakby tego jeszcze było mało, zastanów się nad moją osobistą sytuacją! Jestem zakochany w dwóch kobietach — a tak naprawdę, to chciałem powiedzieć, że w trzech — poprawiłem się, przypomniawszy sobie arytmetykę przedstawioną mi przez Essie.

Ściągnął wargi.

— Czy jest się czym martwić, Robbie? To znaczy w sensie praktycznym? Na przykład — czy konieczne musisz coś w tej kwestii zrobić — dokonać spośród nich wyboru, albo coś? Chyba nie. Nie ma więc powodów do konfliktu.

I wtedy wybuchnąłem.

— Nie, masz pieprzoną rację, a wiesz, dlaczego nie ma powodów do konfliktu? Bo ja nie istnieje! Jestem tylko chrzanionym zbiorem danym w gigabitowej przestrzeni, nie jestem bardziej rzeczywisty niż ty!

— Czy naprawdę sądzisz, że ja nie istnieje? — zapytał łagodnie.

— No jasne, że nie! Jakiś programista cię zrobił!

Sigfrid obejrzał z uwagą paznokcie swojego kciuka. Była to kolejna, długa, trwająca wiele multimikrosekund przerwa, a następnie rzekł:

— Powiedz mi, Robinette, co rozumiesz przez słowo „istnieć”?

— Wiesz dobrze, co to znaczy „istnieć”! To oznacza, że jest się rzeczywistym!

— Rozumiem. Czy Wróg jest rzeczywisty?

— Oczywiście, że tak — rzekłem z obrzydzeniem. — I nigdy nie było inaczej. To nie są kopie czegoś, co kiedyś było rzeczywiste.

— Ach. Dobrze. Czy prawo odwrotności kwadratów jest rzeczywiste, Robbie?

— Mów do mnie Robinette, do cholery! — zaperzyłem się. Uniósł brwi, ale pokiwał głową. A ja siedziałem, czekając na odpowiedź. Zebrałem myśli. — Prawo odwrotności kwadratów, tak, jest prawdziwe. Nie w sensie materialnym, ale jako możliwość opisanego zdarzenia materialnych. Można przewidzieć, jak działa. Można zobaczyć skutki.

— Ale ja widzę tylko twoje skutki, Robin — Robinette — poprawił się pośpiesznie.

— Jedno złudzenie postrzega drugie złudzenie! — uśmiechnąłem się złośliwie.

— Tak — przyznał — można tak powiedzieć. Czy generał Beaupre był złudzeniem? Ale między wami dwoma zaszła pewna interakcja i temu nawet on nie może zaprzeczyć. Czy twoje banki są złudzeniem? Przechowują twoje pieniądze. Ludzie, którzy pracują w twoich firmach, korporacje, które płacą ci dywidendy — są dość rzeczywiste, prawda?

Dał mi trochę czasu na zebranie myśli. Uśmiechnąłem się.

— Wydaje mi się, Sigfridzie, że teraz ty rozgrywasz ze mną jakąś grę. Czy może coś ci umknęło. Widzisz, problem z tobą polega na tym — rzekłem protekcyjnym tonem — że ty nigdy nie byłeś prawdziwy, więc nie widzisz różnicy. Prawdziwi ludzie mają prawdziwe problemy. Fizyczne problemy, stąd wiedzą, że są prawdziwi. Ja nie wiem! Przez te wszystkie lata, kiedy byłem pozbawiony ciała, nigdy nie musiałem jęczeć i męczyć się, siedząc na kiblu z powodu zatwardzenia. Nigdy nie miałem kaca, ani kataru, ani poparzenia słonecznego, ani żadnego ze schorzeń, które nawiedzają ciało.

Odrzekł z irytacją:

— Nigdy nie chorujesz? I tym się tak dręczysz?

Spojrzałem na niego zszokowany.

— Sigfridzie, dawniej nigdy tak do mnie nie mówiłeś.

— Dawniej nigdy nie byłeś tak zdrowy jak teraz! Robinette, naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy ta rozmowa ma jakiś sens dla kogośkolwiek z nas. Chyba nie ze mną powinieneś rozmawiać.

— Cóż — odparłem, a prawie zacząłem się dobrze bawić — przynajmniej usłyszałem, jak mówisz . . . Jezu, co to było? — urwałem, gdyż nie mówiłem już do Sigfrida von Psycha. — Co ty tu do cholery robisz?

Albert Einstein bawił się fajką, pochylił się, by podrapać się po gołej kostce i rzekł:

— Widzisz, Robinie, być może twój problem nie jest natury psychoanalitycznej. Może ja bardziej się tu przydam.

Padłem z powrotem na łóżko i zamknąłem oczy.

Dawno, dawno temu, kiedy Sigfrid i ja spotykaliśmy się w każde środowe popołudnie o czwartej, czasem przychodziło mi do głowy, że zdobywam jakieś punkty w grze, w którą graliśmy, ale nigdy nie zdarzyło się, żeby Sigfrid po prostu się poddał. To było prawdziwe zwycięstwo, z gatunku takich, jakich się nie spodziewałem — i z gatunku takich, które sprawiały, że czułem się jeszcze gorzej. Ciągle czułem się okropnie. Jeśli mój problem nie był natury psychoanalitycznej, oznaczało to, że był prawdziwy; a „prawdziwy”, myślałem, oznaczało „nierozwiązywalny”.

Otworzyłem oczy.

Albert był zajęty. Nie znajdowaliśmy się już w pokoju wynajmowanym na godziny, byliśmy w prostym, starym gabinecie Alberta w Princeton, z butelką Skripa na biurku i tablicą zapisaną matematycznym szyfrem za nim.

— Ładnie tu — powiedziałem kwaśno — jeśli mamy znów wrócić do rozgrywek...

— Rozgrywki są rzeczywiste, Robinie — powiedział szczerze. — Mam nadzieję, że nie wzięłeś mi za złe tego, że wkroczyłem. Gdybyście mieli tylko rozmawiać o łzach i traumach, doktor von Psych rzeczywiście byłby najlepszym programem, ale metafizyka to raczej moja działka.

— Metafizyka!

— Przecież właśnie o tym rozmawialiście, Robinie — rzekł zaskoczony. — Nie wiedziałeś o tym? Natura rzeczywistości? Sens życia? Takie rzeczy nie należą do mojej głównej dziedziny, a przynajmniej nie z ich powodu zdobyłem sławę, ale sądzę, że potrafię ci pomóc, jeśli nie masz nic przeciwko.

— A jeśli będę miał?

— Cóż, to wtedy możesz mnie odprawić, kiedy tylko będziesz chciał — rzekł łagodnie. — Spróbujmy przynajmniej.

Wstałem z łóżka — zamieniło się ono niezauważenie w zniszczoną, skórzaną kozetkę, z pakułami sterczącymi z jednej poduszki — i zacząłem chodzić dookoła gabinetu, wzruszając ramionami, co miało znaczyć: a właściwie czemu nie.

— Widzisz — zaczął — możesz być tak prawdziwy, jak tylko tego chcesz, Robinie.

Podniosłem z krzesła przy jego biurku stertę biuletynów i usiadłem, patrząc mu w oczy.

— Może chcesz przez to powiedzieć, że mogę być tak dobrą imitacją, jak tylko zechcę?

— Doszliśmy do testu Turinga, prawda? Jeśli jesteś tak dobrą imitacją, że możesz oszukać nawet sam siebie, to jest to chyba jakiś rodzaj rzeczywistości, prawda? Gdybyś na przykład chciał mieć zatwardzenie i grypę, to przecież nic

prostsze. Doktor Laworowna i ja możemy łatwo dopisać do twojego programu wszystkie drobne bolączki i zafundować ci małą ruletkę, żeby pojawiały się losowo: dziś hemoroidy, a jutro pryszcz na nosie. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chciałbyś coś takiego przeżyć.

— Ale to ciągle byłyby złudzenia!

Albert rozpatrzył ten problem i przyznał mi rację.

— W pewnym sensie tak, chyba rzeczywiście by tak było. Pamiętaj jednak o teście Turinga. Wybacz moją impertynencję, ale czy jak ty i doktor Laworowna jesteście razem, to czy uprawiacie seks?

— Doskonale wiesz, że tak! Właśnie to robiliśmy!

— Czy jest to choć odrobinę mniej przyjemne dlatego, że jest to złudzenie?

— Jest niezmiernie przyjemne. Może właśnie dlatego jest z tym coś nie tak. Bo, do licha, Essie nie może zająć w ciążę.

— Ach — powiedział, takim tonem jak Essie. — Czy naprawdę tego chcesz? Zastanowiłem się przez chwilę, żeby mieć absolutną pewność.

— Tak naprawdę to nie wiem. Czasem pojawia się takie pragnienie, ale tylko czasem.

— Ale tu nie ma niczego niemożliwego, Robinie, wiesz o tym. Zaprogramowanie czegoś takiego wcale nie byłoby trudne. Doktor Laworowna, gdyby sobie tego życzyła, mogłaby na pewno napisać program, w którym doświadczyłaby wszystkich fizycznych aspektów ciąży, a nawet porodu. Z prawdziwym dzieckiem, Robinie — prawdziwym w tym sensie, w jakim ty sam jesteś prawdziwy — dodał pośpiesznie. — Ale w taki sam sposób byłoby to twoje i jej dziecko. Gotowe, z całym zestawem losowo wybranych cech dziedzicznych, z osobowością, którą kształtowalibyście wychowując je — produkt, jak wszystkie inne istoty natury.

— Ale gdyby osiągnęło nasz wiek, my nadal bylibyśmy w tym samym wieku!

— Ach — pokiwał głową Albert, zadowolony. — Doszliśmy teraz do problemu starzenia się. Czy właśnie tego chcesz? Bo muszę ci powiedzieć — kontynuował poważnie — że zestarzejesz się, Robinie. Nie dlatego, że ktoś to zaprogramuje, ale dlatego, że będziesz musiał. Pojawiają się błędy w transkrypcji. Będziesz się zmieniał, prawdopodobnie zaczniesz się psuć. Och, w twoich zapisach jest znaczny stopień nadmiarowości, więc błędy nie zaczną się szybko kumulować, przynajmniej nie tak, żeby miało to znaczenie. Ale w nieskończonej skali czasu — och, tak, Robinie. Robinette Broadhead za dziesięć do dwudziestej milisekundy, licząc od chwili obecnej, nie będzie już tym samym Robinette'm Broadheadem, co dziś.

— Och, cudownie — zakrzyknąłem. — Nie mogę umrzeć, ale mogę się zestarzeć, pochorować i zgłupieć?

— Czy chcesz umrzeć?

— Ja... nie wiem.

— Rozumiem — odparł z namysłem Albert.

Zakryłem twarz rękami; już od dawna nie byłem tak bliski płaczu. Atakowały mnie ze wszystkich stron strachy, depresje, smutki i wątpliwości, a przez te głupie rozmowy wcale mi się nie poprawiało!

— Rozumiem — rzekł znowu głos, ale tym razem to nie był głos Alberta Einsteina. Był głębszy i potężniejszy i zanim podniosłem oczy, wiedziałem, do Kogo należy ten głos.

— O Boże — wyszeptałem.

— No właśnie. — Bóg uśmiechnął się.

Skoro nigdy nie stanęliście przed Tronem podczas Sądu Ostatecznego, pewnie nie wiecie, jak to jest.

Ja nie wiedziałem. Miałem tylko słabe pojęcie o majestacie, ale majestat przede mną był znacznie bardziej majestatyczny, niż mogło mi się to kiedykolwiek przyśnić. Doświadczyłem czegoś — och, sam nie wiem — zachwycającego? Wspaniałego? Może nawet przerażającego?

Przerażające to może nie było, ale wszystkie pozostałe cechy przejawiało. Tron był złoty. Nie mam tu na myśli tego pospolitego złota w kiepskim guście. Był z lśniącego, ciepłego, prawie przezroczystego złota; to nie był poszarzały metal, ale wcielona esencja złocistości. Potężny tron unosił się nade mną, otoczony draperiami z perlitego marmuru, które wyglądały tak, jakby Fidiasz i Praksyteles połączyli siły, by je wyrzeźbić. Krzesło, na którym siedziałem, było zrobione z ciepłej, rzeźbionej kości słoniowej, a ja miałem na sobie białą koszulę skazańca; siedziałem na wprost wielkich, widzących wszystko oczu Najwyższego.

Jak już wspominałem, nie było to przerażające. Wstałem i przeciagnałem się.

— Fajne złudzenie — pochwaliłem. — Powiedz mi, Boże, którym Jedynym jesteś? Jahwe? Allachem? Thorem? Czyim jesteś Bogiem?

— Twoim, Robinie — zagrzmał dostoyny głos.

Uśmiechnąłem się do Niego.

— Ale ja żadnego nie posiadam. Zawsze byłem ateistą. Idea boga jest dziecinna, jak mawiał mój przyjaciel — niewątpliwie także i twój, Albert Einstein.

— To nie ma znaczenia, Robinie. Jestem bogiem wystarczającym nawet dla ateisty. Widzisz, ja osądzam. Mam wszelkie boskie atrybuty. Jestem tym, który stwarza i rozgrzesza. Nie jestem jedynie bogiem. Jestem standardem, według którego mierzy się boskość.

— Osądzasz mnie?

— A nie po to są bogowie?

Bez żadnej wyraźnej przyczyny zacząłem się czuć nieswojo.

— Cóż, dobrze, ale... Co ja właściwie mam robić? Wyznać moje grzechy, przeanalizować każdy moment mojego życia?

— Och, nie, Robinie — rzekł uprzejmie Bóg. — Przecież wyznawałeś swoje grzechy i analizowałeś swoje życie przez jakieś ostatnie sto lat. Nie ma potrzeby robienia tego jeszcze raz.

— A jeśli nie będę chciał zostać osądzony?

— Widzisz, to nie ma znaczenia, i tak to zrobię. To mój sąd.

Pochylił się, patrząc na mnie tymi pełnymi troski, łagodnymi, majestatycznymi, kochającymi oczami. Nie wytrzymałem. Zacząłem się więc.

— Stwierdzam, Robinette Broadheadzie — rzekł On — że jesteś uparty, przepełniony poczuciem winy, próżny, niezrealizowany, a często głupi i jestem z ciebie bardzo zadowolony. Nie chciałem, żebyś był inny. Możesz z wdziękiem przegrać z Wrogiem, bo często to robisz. Ale wiem, że zrobisz to, co zawsze.

— Ale — wyjąkałem — co to takiego?

— No jak to, zrobisz wszystko najlepiej, jak będziesz umiał, a o cóż więcej mógłbym prosić? Podążaj więc dalej, Robinie, a z tobą niech będzie Moje błogosławieństwo. — Uniósł Swoje dłonie w geście łaski, po czym wyraz Jego twarzy zmienił się, gdy na mnie spojrział. Nie można powiedzieć, że Bóg jest „rozzłoszczony”, ale na zadowolonego nie wyglądał. — A teraz o co chodzi? — zapytał.

— Ciągłe jestem nieszczęśliwy — powiedziałem uparcie.

— Oczywiście, że jesteś nieszczęśliwy — zagrzemiał Bóg. — Uczyniłem cię nieszczęśliwym, bo gdybyś nie był nieszczęśliwy, czy zadałbyś sobie trud, żeby stać się lepszym?

— Lepszym od kogo? — zapytałem, drżąc.

— Lepszym ode Mnie — krzyknął Bóg.

Rozdział 18

Koniec podróży

Nawet najdłuższa rzeka wpada kiedyś do morza, więc w końcu Albert pojawił się na pokładzie symulacji statku wycieczkowego, gdzie Essie i ja zabawialiśmy się rzucając krążkami do celu i wyjął fajkę z ust, by oznajmić:

— Za minutę dolatujemy do celu. Pomyślałem, że pewnie chcielibyście o tym wiedzieć.

Rzeczywiście chcieliśmy.

— Przyjrzyjmy się temu od razu! — krzyknęła Essie i znikła. Mnie to zajęło dłuższą chwilę, gdyż przyglądałem się Albertowi. Miał na sobie marynarkę z mosiężnymi guzikami i marynarską czapkę; uśmiechał się do mnie.

— Ciągle mam masę pytań, wiesz — oznajmiłem.

— Niestety, nie mam aż tylu odpowiedzi, Robinie — rzekł uprzejmie. — To jednak dobrze.

— Co dobrze?

— Dobrze jest mieć dużo pytań. Dopóki wiesz, że masz pytania, zawsze jest jakaś nadzieja na odpowiedzi. — Pokiwał głową z aprobatą, w sposób, który na pewno doprowadziłby mnie do rozpaczyny gdyby nie sprawił, że poczułem się lepiej. Zamilkł na moment, czekając, czy znów nie zaczniemy nurzać się w metafizyce, po czym dodał: — Czy dołączymy do pani Broadhead, generała, jego damy i pozostałych?

— Przecież mamy mnóstwo czasu!

— Co do tego nie ma wątpliwości, Robinie. Rzeczywiście, mamy mnóstwo czasu. — Uśmiechnął się; wzruszyłem ramionami przyzwalająco, a fiordy Alaski znikły. Byliśmy z powrotem w sterowni „Prawdziwej Miłości”. Elegancka czapka Alberta wyparowała, wraz ze schludną błękitną marynarką. Jego dotąd przyлизane włosy sterczały we wszystkie strony, miał na sobie sweter i workowate spodnie, i byliśmy sami.

— Gdzie są pozostali? — spytałem i sam sobie odpowiedziałem: — Nie mogli poczekać? Obserwują przez instrumenty statku? Ale przecież jeszcze nic nie widać.

Wzruszył ramionami twierdząco i obserwował mnie pykając fajkę.

Albert wie, że nie lubię patrzeć bezpośrednio przez sensory statku. Zwykle wystarcza mi poczciwy stary ekran w sterowni. Kiedy wślizgujesz się do instrumentów „Prawdziwej Miłości” i patrzysz naraz we wszystkich kierunkach, jest to dezorientujące doświadczenie, zwłaszcza dla ludzi przywiązanych do swoich cielesnych nawyków, na przykład dla mnie. Więc nie robię tego za często. Albert mówi, że to jeden z moich starych kompleksów. To prawda. Wychowałem się jako człowiek z krwi i kości, a tacy potrafią patrzeć w jedną stronę, no chyba, że są zezowaci. Albert powinien sobie z tym poradzić, ale ja przeważnie nie chcę.

Tym razem jednak to zrobiłem, ale nie od razu. Minuta to w końcu bardzo długo w czasie gigabitowym. . . a ciągle było coś, o co chciałem zapytać.

Albert opowiedział mi kiedyś pewną historię, o jednym z jego starych kumpli, matematyku nazwiskiem Bertrand Russell, który przez całe życie był ateistą — jak sam Albert.

Rzecz jasna, mój Albert to nie prawdziwy Einstein, więc tak naprawdę nie byli kumplami, ale Albert często mówił, jakby tak było. Opowiedział, jak pewnego razu jakiś religijny maniak osaczył Russella na przyjęciu i zapytał: „Profesorze Russell, czy pan nie zdaje sobie sprawy z tego, że naraża, pan swoją nieśmiertelną duszę na potępienie? A jeśli nie ma pan racji? Co pan robi, jeśli w końcu pan umrze, stanie przed Bogiem, a On pana osądzi? Kiedy stawi się pan na Sądzie Ostatecznym, a On spojrzy na pana i zapyta, dlaczego pan w niego nie wierzył? Co pan odpowie?”

Według Alberta, Russell nawet nie mrugnął. Odparł po prostu: „Boże, trzeba było dostarczyć mi lepszych dowodów”.

Kiedy więc zwróciłem się do Alberta, spytałem:

— Jak sądzisz, czy dałeś mi wystarczające dowody? — on zwyczajnie skinął głową, chwytając aluzję, pochylił się, by podrapać się w kostkę i rzekł:

— Sądziłem, że do tego wrócisz, Robinie. Nie. Nie dałem ci żadnych dowodów. Jedynym dowodem, tak czy inaczej, jest sam wszechświat.

— Więc nie jesteś Bogiem? — wybuchłem, wreszcie się na to odważywszy.

— Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz — odparł ponuro.

— A ja się zastanawiam, kiedy ty mi odpowiesz!

— Ależ, w tej chwili, Robinie — rzekł cierpliwie. — Jeśli pytasz o to, czy ten obraz, z którym wszedłeś w interakcję, pochodził z tych samych zbiorów danych, z których zwykle korzystam, odpowiem, że tak. W pewnym sensie. Jeśli jednak zadasz mi bardziej ogólne pytanie, to będzie trudniej. Czym jest Bóg? A dokładniej, czym jest twój Bóg, Robinie?

— Nie — zawarczałem — to ja tu zadaję pytania.

— Muszę więc podjąć próbę odpowiedzi, prawda? Świetnie. — Wskazał na mnie ustnikiem fajki. — Powiedziałbym, że Bóg w twoim znaczeniu jest sumą wektorową wszystkich cech, jakie uważasz za „sprawiedliwe”, „moralne” i „pełne miłości”. Wydaje mi się, że wśród wszystkich czujących istot, ludzi, Heechów, zapisanych maszynowo inteligencji i innych, istnieje pewna zgoda co do tego, jakie są te cnotliwe rzeczy, a wspólnie uzgodniony „Bóg” byłby sumą tych wszystkich wektorów. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

— Ani trochę!

Znów się uśmiechnął, patrząc na ekran. Pokazywał on jedynie kamieniście szarą nicość widzianą ze statku lecącego szybciej od światła.

— Nie sądzę, żeby tak było, Robinie. Mnie też nie zadowala, bo wszechświat zasadniczo nie zajmuje się uszczęśliwianiem nas. Czekaj.

Otworzyłem usta, żeby zadać mu następne pytanie, ale sformułowanie go zajęło mi trochę czasu i zdążył mnie wyprzedzić.

— Za pozwoleniem, Robinie — rzekł — znajdujemy się już w normalnej przestrzeni i pewien jestem, że chciałbyś rzucić na nią okiem.

Nie czekał na pozwolenie. Znikł; ale najpierw obdarzył mnie jednym z tych słodkich, pełnych współczucia uśmiechów, które — jak wiele innych rzeczy u mojego drogiego przyjaciela Alberta Einsteina — doprowadzały mnie do furii.

Tylko że oczywiście miał rację.

Pokazałem mu jednak, kto tu rządzi. Nie udałem się zaraz za nim. Odczekałem jakieś osiem czy dziewięć milisekund, żeby zrobić coś, co Essie pewnie nazwałaby głupim zachowaniem, ale ja raczej zastanawiałem się nad tym, co powiedział.

Nie było się nad czym zastanawiać. Wkurzał mnie stary Albert! Skoro już chciał zabawić się w Boga — czy jedynie w imitację Boga — mógł być bardziej precyzyjny. To znaczy, tego wymagały zasady! Kiedy Jahwe przemówił do Mojżesza z gorejącego krzaka, kiedy anioł Moroni podał Josephowi Smithowi tabliczki — mówili, czego się po nich spodziewają.

Z irytacją pomyślałem, że mam prawo do konkretów od mojego własnego źródła mądrości.

Oczywiście jednak żadnych nie uzyskałem, więc ponuro powlokłem się za Albertem. . . w samą porę.

Kamieniście szara nicość zaczęła się pokrywać plamami i skupiać, kiedy przeniknąłem do sensorów statku, a po dalszej milisekundzie czy dwóch plamy, zastrygły w wyraźne szczegóły.

Czułem, jak Essie bierze mnie za rękę, kiedy patrzyliśmy we wszystkich kierunkach naraz. Poczulem znajomy zawrót głowy, ale przetrzymałem.

Było aż za dużo do oglądania. Było to bardziej widowiskowe niż fiordy Alaski, bardziej zachwycające niż wszystko, co dotąd widziałem.

Znaleźliśmy się już daleko za naszą starą Galaktyką, nie tylko poza galaktycznym dyskiem przypominającym jajo sadzone, z perłową grudką żółtka w środku,

ale nawet poza niewyraźną aureolą. „Poniżej” nas leżała cienka chmura gwiazd, jak rzadkie bąbelki wyskakujące z galaktycznego wina. „Powyżej” rozciągał się czarny aksamit, na który ktoś narzucił malutkie, blade kłaczki świecącej farby. Bliżej nas było widać jasne światła Kręgu Obserwacyjnego, a obok -jakiś tuzin siarczyście żółtych kłębków kugelblitzu.

Nie wyglądały na niebezpieczne. Wyglądały tylko paskudnie, jak kupa łajna na podłodze salonu, którą ktoś powinien posprzątać.

Żałowałem, że nie wiem, jak to zrobić.

Essie krzyknęła z triumfem.

— Patrz, Robin, kochany! Nie ma jeszcze statków WOA na Krąg! Byliśmy od nich szybsi!

Kiedy spojrzałem na Krąg, wydawało się, że ma rację. Krąg obracał się powoli w samotności, a w dokach nie było ani jednego statku, żadnego krążownika WOA. Albert westchnął jednak.

— Niestety, nie ma pani racji.

— O czym ty mówisz? — zapytał Cassata. Nie widziałem go — nikt z nas nie zwracał sobie głowy symulacjami optycznymi — ale czułem, że się złości.

— Tylko o tym, że ich nie przegoniliśmy po drodze, generale Cassata — odparł Albert. — To nie było możliwe. „Prawdziwa Miłość” to wspaniały statek, ale nie rozwija takiej prędkości, co okręty WOA. Skoro ich tu nie ma, to wcale nie znaczy, że jeszcze nie dotarli; po prostu były już i odleciały.

— Dokąd? — warknąłem.

Milczał przez chwilę. Następnie krajobraz przed nami zaczął się nadymać. Albert regulował sensory statku. „Poniżej” stało się szare. „Powyżej” — tam, gdzie znajdował się kugelblitz — zbliżyło się.

— Powiedzcie mi — spytał Albert z namysłem — czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jak to będzie wyglądało, kiedy Wróg wynurzy się z kugelblitzu? Nie mam tu na myśli żadnych racjonalnych pomysłów, raczej jakiś rodzaj półsennej fantazji, którą można przeżyć, wyobrażając sobie ten moment.

— Albert!

Nie zwrócił na mnie uwagi.

— Sądzę — rzekł — że w każdym tkwi gdzieś głęboko taka wizja, że mogą nagle wychynąć z kugelblitzu z flotą potężnych, niezniszczalnych statków bojowych, podbijających wszystko, co przed nimi. Niepokonani. Rozbłyśki promieni. Grad pocisków.

— Szlag by cię, Albert! — wrzasnąłem.

— Ależ, Robinie — odparł ponuro. — Sam zobacz.

A kiedy pojawiło się powiększenie... zobaczyliśmy.

Rozdział 19

Ostatnia bitwa w kosmosie

Bywa, że nawet jeśli widzisz coś na własne oczy, nie zawsze w to wierzysz. Ja nie uwierzyłem. To była jakaś paranoja.

Statki WOA, pędzące z prędkością podświetlną w stronę kugelblitzu; a z kugelblitzu wylatywało w ich stronę mnóstwo czegoś, co wystrzeliwało z wirujących obłoczków koloru musztardy. Te małe przedmioty nie wyglądały wcale na rozmazane. Lśniły jak metal.

Bardzo przypominały statki kosmiczne.

Co do tego nie mogło być wątpliwości. Znajdowaliśmy się w bardzo dużej odległości od tych obiektów, ale „Prawdziwa Miłość” miała doskonale instrumenty. To, co widzieliśmy na częstotliwościach światła widzialnego, w podczerwieni i w promieniach Roentgena oraz na wszystkich innych częstotliwościach fotonowych, to, co „widzieliśmy” za pośrednictwem magnetometrów i detektorów grawitacyjnych potwierdzało jednoznacznie straszliwy fakt: kugelblitz wystrzelił armadę.

Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego. To znaczy: do czego właściwie Wrogowi były potrzebne statki? Na to pytanie nie znałem odpowiedzi, ale statki niewątpliwie tam były. Olbrzymie! Uzbrojone! Było ich z tysiąc, wszystkie wyglądały podobnie, ustawiały się w stożkowatym szyku, który kierował się prosto na zwierzyńę, malutki, zdominowany liczebnie zbitek krążowników WOA.

— Ależ skopią im tyłki! — wrzasnął generał Julio Cassata, a ja zacząłem wrzeszczeć razem z nim.

Nie mogłem się powstrzymać. To była walka, a ja kibicowałem swoim. Nie było wątpliwości, że zaczęła się bitwa. W kosmosie nie widać promieni, nawet przerobionych maszyn Heechów używanych kiedyś do drążenia tuneli, które były głównym uzbrojeniem floty WOA, ale pojawiły się chemiczne eksplozje i jeszcze gorsze, zaskakująco widoczne, kiedy statki WOA wypuściły pociski nuklearne.

Miriady statków Wroga leciały dalej. Były nietknięte.

Gdyby rozpatrywać to wyłącznie jako spektakl, sprawiało nieziemskie wrażenie. Choć zarazem przerażające. Nawet mimo tego, że nie bardzo wiedziałem, co się dzieje.

To była moja pierwsza bitwa w kosmosie. Jak już o tym mówimy, to dla każdego była pierwsza, bo ostatnia potyczka między statkami w kosmosie rozegrała się między Brazylijczykami, a statkami Chińskiej Republiki Ludowej, prawie sto lat wcześniej, podczas ostatniej krwawej i nie rozstrzygniętej wojny, która doprowadziła do powstania międzynarodowej korporacji Gateway. Nie byłem więc ekspertem w kwestii tego, co mogło się potem wydarzyć, ale tego, co się działo, również się nie spodziewałem. Statki powinny były eksplodować. Kawałki wraków powinny były unosić się w przestrzeni.

Nic takiego się nie stało.

Stożek złożony ze statków Wroga otworzył się i otoczył walczące jednostki WOA. Zamknęły je w kuli... a potem... cóż... one po prostu znikły.

Po prostu znikły, zostawiając zbite w grupkę krążowniki WOA.

A potem krążowniki też znikły.

Krąg Obserwacyjny, tuż pod nami, zamigotał i znikł.

Kosmos wokół nas był pusty. Nie było nic widać, z wyjątkiem perlistego wiru Galaktyki pod nami, odległych galaktyk zewnętrznych, wyglądających jak świetliki i przydymionych żółtych kłaczków kugelblitzu.

Przybraliśmy widzialną postać; gdybyśmy tego nie zrobili, czulibyśmy się strasznie samotni. Spojrzeliśmy po sobie, nic nie rozumiejąc.

— Zastanawiałem się, czy coś takiego może się stać — rzekł Albert Einstein, ponuro obgryzając fajkę.

Cassata rozwrzeszczał się.

— A żeby cię jasna cholera! Jeśli wiesz, co się tu dzieje, to powiedz!

Albert wzruszył ramionami.

— Chyba zaraz sami zobaczycie — rzekł — bo sądzę, że zaraz będzie nasza kolej.

I tak się stało. Spojrzeliśmy na siebie, a po chwili nie było już nic. Nic na zewnątrz statku. Nic poza kamienistą szarością, jaka towarzyszy przemieszczaniu się z prędkością nadświetlną. Przypominało to patrzenie przez okno samolotu na gęstą mgłę.

Nagle coś się wydarzyło.

Mgła znikła. Sensory statku przekazywały wyraźny obraz.

Nieoczekiwanie zobaczyliśmy przyzwoite, znajome czarne niebo i gwiazdy... a nawet planetę i księżyc... och, tak, wiedziałem, gdzie jesteśmy. Planeta i księżyc były te same, na które ludzkie oczy patrzyły od pół miliona lat.

Znajdowaliśmy się na orbicie okołoziemskiej; a wraz z nami była tam cała masa różnych artefaktów, w których rozpoznałem krążowniki WOA, a nawet samolotami Krąg Obserwacyjny.

Było to więcej niż mógłbym znieść.

Sądziłem jednak, że wiem, co z tym zrobić, ponieważ kiedy dzieje się coś, czego już nie mogę znieść, jest tylko jeden sposób wezwania pomocy. Skorzystałem z niego.

— Albert! — krzyknąłem.

Ale Albert tylko gapił się na Ziemię, Księżyc i inne obiekty na zewnątrz „Prawdziwej Miłości”, palił fajkę i milczał.

Rozdział 20

Powrót do domu

Albert Einstein nie był jedynym urządzeniem, które prawdopodobnie nie działało. Statki WOA też miały z tym problemy. Żadne systemy sterowania ich bronią nie działały. Po prostu się ugotowały.

Pozostałe urządzenia działały znakomicie. Systemy komunikacyjne były w pełni sprawne i pracowały pełną parą, bo wszyscy pytali, co się stało. Tylko rzeczy zdolne do siania destrukcji zostały uszkodzone. Światła na Kręgu nadal działały, podobnie jak systemy wymiany powietrza. Pracoboty przygotowywały posiłki i czyściły korytarze. Koje w kabinie komandora na statku flagowym WOA ścierały się same, a kosze na śmieci opróżniały się samoczynnie do zbiorników przetwarzania odpadów.

„Prawdziwa Miłość”, na pokładzie której nigdy nie było żadnej broni, była jak nowa. Mogłem ją uruchomić i odlecieć, gdzie oczy poniosą.

Ale gdzie miałbym lecieć?

Alicja Lo przejęła sterowanie i utrzymywała nas na bezpiecznej orbicie, ale to było wszystko. Nie przejmowałem się. Skoncentrowałem się całkowicie na moim wiernym systemie do wyszukiwania danych i drogim przyjacielu. Rzekłem z rozpaczą:

— Albercie, proszę cię.

Wyjął fajkę z ust i spojrzał na mnie z roztargnieniem.

— Robinie — rzekł — muszę prosić cię o cierpliwość.

— Ależ Albercie! Błagam! Co się dalej stanie? — Obdarzył mnie nieprzeniknionym spojrzeniem, przynajmniej takim, którego nie byłem w stanie przeniknąć. — Proszę cię! Czy znajdujemy się w niebezpieczeństwie? Czy Wróg pojawi się tu, żeby nas pozabijać?

Wyglądał na zaskoczonego.

— Pozabijać? Cóż za pomysł, Robinie! Po tym, jak już poznali mnie, panią Broadhead, pannę Lo i generała Cassatę? Nie, oczywiście, że nie, Robinie, ale muszę cię na chwilę przeprosić; jestem teraz dość zajęty.

I nic już więcej nie powiedział.

A po chwili zaczęły przybywać wahadłowce z pętli startowych; nasze zbiory danych zabrano z powrotem na Ziemię i próbowaliśmy dojść ze wszystkim do ładu.

Rozdział 21

Zakończenia...

Nie wiedziałem, jak zacząć tę opowieść, a teraz widzę, że nie będę też wiedział, jak skończyć.

Widzicie, to był już koniec. Nie mam już nic więcej do powiedzenia — z wyjątkiem tego, co się stało.

Wiem, że dla liniowych uszu śmiertelników musi to brzmieć trochę dziwnie (żeby nie powiedzieć: obrzydliwie atrakcyjnie), ale już wiele innych rzeczy, o których opowiedziałem, brzmiało dziwnie. Dziwaczności nie da się opowiedzieć inaczej, a ja muszę wam opowiedzieć, jak to jest. To, co się potem stało, nie miało większego znaczenia, bo działało się już wcześniej.

Oczywiście, nawet poszerzeni faceci, jak ja, są trochę liniowi... więc stwierdzenie, co się stało, zajęło nam trochę czasu.

Essie i ja najbardziej ze wszystkiego marzyliśmy o tym, żeby znaleźć jakieś spokojnie miejsce, gdzie można by odpocząć; spróbować zorientować się, co się stało; a przede wszystkim pozbić nasze poplątane myśli. Kazaliśmy przenieść nasze fizyczne nośniki danych do starego domu nad Morzem Tappajskim i zrobiliśmy to po raz pierwszy od wielu, wielu lat, a następnie rozsiedliśmy się wygodnie, żeby to wszystko uporządkować.

Nośnik danych Alberta był z nami.

Sam Albert był kolejnym problemem. Nie odpowiadał na moje wezwania. Jeśli sam Albert nadal przebywał w tym zbiorze danych, nie ujawniał się.

Essie nie była zaś skora, by przyznać się do porażki z jednym ze swoich własnych programów. Pierwszą rzeczą, jaką się zajęła, były testy programu i procedury usuwania błędów. Aż się poddała.

— Nie potrafię stwierdzić, co jest nie tak z tym programem — oznajmiła — z jednym wyjątkiem: nie działa. — Spojrzała ze złością na wachlarz, na którym znajdował się Albert. — To tylko zwłoki! — oświadczyła rozdrażniona. — To ciało, z którego uszło życie, wiesz?

— Co możemy zrobić? — zapytałem. Było to pytanie retoryczne. Nie byłem przyzwyczajony do tego, że moje maszyny zawodzą.

Essie wzruszyła ramionami. Zaproponowała mi nagrodę pocieszenia.

— Mogę dla ciebie napisać nowy program — rzekła. Potrząsnąłem głową. Nie chciałem nowego programu. Chciałem Alberta. — No to — rzekła praktycznie — możemy odpoczywać i uprawiać ogródek. Może trochę popływamy, a potem zjemy pyszny, wielki, tuczający lunch?

— A kto mógłby teraz jeść? Essie, pomóż mi! Ja chcę wiedzieć — poskarżyłem się. — Chcę wiedzieć, o czym on do licha mówił, kiedy powiedział nam, żebyśmy się nie martwili — co ty, Cassata i Alicja Lo macie z tym wspólnego? Co wasza trójka ma ze sobą wspólnego?

Ściągnęła usta. Następnie rozpromieniła się.

— A może ich zapytamy?

— O co ich zapytamy?

— O nich samych. Zaprośmy ich tutaj i możemy zjeść razem pyszny lunch!

Nie stało się to tak szybko.

Przede wszystkim, żadne z nich nie znajdowało się fizycznie na Ziemi (to znaczy, nie było tu ich nośników danych). Oboje byli nadal na orbicie. Nie chciałem się zgodzić na dublerów, bo nie chciałem doświadczać ani ćwierćsekundowego, wkurzającego opóźnienia w konwersacji, więc musieli zostać wysłani nad Morze Tappajskie, a to trochę trwało. A nawet dłużej, niż trochę, bo z pewnego powodu Cassata nie mógł od razu wyruszyć.

Nie marnowałem czasu.

Życie bez Alberta było trudniejsze. Nie chodzi o to, żeby stało się naprawdę trudne, bo nie było wielu rzeczy, które robił Albert, a których nie mógłbym zrobić sam. A teraz musiałem. Więc to ja, a nie Albert, przeszukiwałem świat, żeby się dowiedzieć, co się działo.

A działo się dużo, choć niewiele z tych rzeczy wydawało się przydatne dla mnie.

Na początek, przez świat przetoczyła się fala paniki. WOA podało alarmujące, enigmatyczne biuletyny o stratach, jakie poniosła jego flota, a następnie jeszcze bardziej alarmujące, pilne żądania budowy nowej floty, większej i lepszej niż dotąd, wychodząc najwyraźniej z założenia, że jeśli spróbujesz coś zrobić i nie działa, powinno się próbować w nieskończoność.

Samo w sobie miało to jednak uspokajający wydźwięk. Ludzkość po pierwszym szoku zdała sobie w końcu sprawę, że jednak nikt nie zginął. Statki kosmiczne Wroga nie pojawiły się nad San Francisco i Pekinem, żeby zgnieść je na proch. Nasza planeta nie została ciśnięta prosto w Słońce.

Wydawało się, że nic się nie dzieje, z wyjątkiem tego, że panika powoli wygasła. Ludzie wracali do swoich zajęć, jak wieśniacy na zboczu wulkanu. Góra

wybuchła; nikomu nic się nie stało. Pewnie kiedyś znów wybuchnie, ale może jeszcze trochę wytrzyma, daj Boże.

Instytut ogłosił setkę nowych hipotez dotyczących wydarzeń na Kręgu Obserwacyjnym. Połowa z nich była całkowicie poświęcona analizom bitwy między statkami Wroga a WOA. Było wiele do zbadania. Wiedzieliśmy tylko to, co zobaczyliśmy. Nic innego. W żadnym zapisie sensorów nie dało się znaleźć nic, co mogłoby zaprzeczyć temu, co zobaczyliśmy na własne oczy. Statki Wroga pojawiły się i unieszkodliwiły nasze krążowniki; potem Wróg delikatnie podniósł nas i wsadził z powrotem do piaskownicy, w której powinniśmy siedzieć. To wszystko.

Badania na temat samego Wroga były pełne kłótni i dyskusji, ale niczego nowego nie wносиły. Szacowni naukowcy doszli do zgodnego wniosku, że powinni iść drogą, którą dotąd podążali: Wróg powstał krótko po Wielkim Wybuchu. Stwierdził, że klimat jest korzystny. Kiedy pogoda się pogorszyła — czyli kiedy do jego przyjemnej zupki z przestrzeni i energii wdarła się materia — postanowił to zmienić. Wprowadził zmianę w ruchu, wrócił do kugelblitzu i czekał cierpliwie na ładniejszy dzień.

A jeśli chodzi o krótkie zamieszanie wokół Kręgu Obserwacyjnego — cóż, jeśli obudzisz niedźwiedzia ze snu, prawdopodobnie będzie wkurzony. Ale potem idzie z powrotem spać.

Było też mnóstwo spekulacji — Boże, same spekulacje. Ale nie fakty. Nie było nawet żadnych wiarygodnych teorii, a przynajmniej takich, które oferowałyby jakieś korzystne perspektywy na eksperymenty, które pozwalałyby na sprawdzenie ich albo zasugerowanie jakichś korzystnych kroków, jakie należałoby podjąć. Wszyscy zgodzili się, że plan WOA zmierzający do zbudowania jeszcze większej i bardziej morderczej floty był prawdopodobnie głupim pomysłem, ale że nikt nie miał lepszego, wyglądało na to, że uda się wcielić go w życie.

Tuż przed przybyciem Cassaty i Alicji Lo udałem się do naszych zbiorów danych i położyłem rękę na nośniku Alberta.

— Proszę cię, Albercie, zrób to dla mnie; powiedz mi, co się dzieje?

Nie odpowiedział.

Kiedy jednak udałem się do salonu, by przywitać naszych drogich gości, na moim ulubionym fotelu znalazłem kawałek papieru. Napisano na nim:

Robinie, strasznie mi przykro, ale nie mogę oderwać się od tego, co teraz robię. Radzisz sobie najlepiej, jak możesz, prawda? Tylko tak dalej. Pozdrowienia, Albert.

Julio Cassata znów wystąpił bez munduru — koszula, szorty, sandały — wyglądało na to, że cieszy się z naszego spotkania. Kiedy go o to spytałem, odparł:

— Och, nie chodzi tylko o ciebie Broadhead — nie zmienił się tak do końca — tylko o tego drania, który miał mnie zlikwidować. Mój pierwowzór, cieleśniaka. On nie lubi, jak się gdzieś włóczą jego kopie. Już dawno miał to zrobić, ale był

zajęty przy programie odbudowy. Nie chciał mi pozwolić na przyjazd tutaj, bo bał się, że Instytut uzna mnie za ważny dowód, albo coś takiego.

Rozpoznam aluzję, kiedy ją usłyszę, więc powiedziałem, z pewnymi oporami.

— Tak, instytut rzeczywiście ogłosi coś takiego. — W końcu instytut mógł zawsze później zmienić zdanie, gdyby zechciał... ale kiedy wypowiedziałem te słowa, Cassata zaczął wyglądać jeszcze bardziej ludzko.

— Dzięki — odparł, a Essie powiedziała: — Chodźmy na werandę, jest tam naprawdę ładnie, a ja zaproponowałem: — Czego się napijecie? — i w końcu zrobiła się z tego sympatyczna impreza, a nie poważne zebranie na temat sytuacji we wszechświecie.

Wreszcie przystąpiłem do rzeczy.

— Zdaniem Alberta Einsteina powodem, dla którego Wróg nie zabił nas, jest spotkanie waszej trójki, oraz mnie i Alberta. Nie jakiejś innej zapisanej maszynowo osobowości, ale właśnie was trojga. — Cassata i Lo wyglądali na zaskoczonych; potem uśmiechnęli się, jakby im to nieco schlebiało. — Macie jakiś pomysł, dlaczego? — spytałem. Spojrzeli na mnie wzrokiem bez wyrazu.

Pierwsza zaczęła Essie.

— Myślałam o tym wszystkim — ogłosiła. — Problem jest następujący: co nasza trójka ma ze sobą wspólnego? Przede wszystkim, jesteśmy zapisani maszynowo, ale jak już mówił Robin, jest cała masa innych, o których nie wspomniano. Po drugie, ja jestem kopią maszynową żyjącej osoby. Tak samo Julio.

— A ja nie — rzekła Alicja Lo.

— Owszem — powiedziała z żalem Essie — wiem o tym. Była to pierwsza rzecz, jaką sprawdziłam. Twoje ciało zmarło na zapalenie otrzewnej osiem lat temu, więc to nie o to chodzi. Po trzecie, wszyscy jesteśmy dość inteligentni, jeśli mierzyć powszechnymi standardami: mamy wszelkie umiejętności, pilotaż, nawigacja, i tym podobne, ale także i takich osób jest wiele. Dawno już wykluczyłam wszystkie oczywiste powiązania, więc to musi być coś głębszego. Na przykład, ja jestem z pochodzenia Rosjanką.

— A ja czarnym Latynoamerykaninem — rzekł Cassata, potrząsając głową — Alicja Chinką; to bez sensu. I ja jestem mężczyzną, a wy dwie kobietami.

— Julio i ja kiedyś graliśmy trochę w piłkę ręczną — podsunęła Alicja Lo, ale tym razem Essie potrząsnęła głową.

— Nie graliśmy w takie rzeczy w Leningradzie. Nie sądzę zresztą, żeby Wroga interesowały talenty sportowe.

— Problem polega na tym, że my nie wiemy, co może ich zainteresować.

— Tak często masz rację, Robinie — westchnęła Essie. — Do licha. Poczekaj. Wicie co, zrobmy to w jakiś ciekawszy sposób.

— Nigdzie się nie śpieszę — rzekł szybko Cassata, myśląc o tym, co się stanie, kiedy przestanie być uznawany za cenny materiał dowodowy.

— Nie powiedziałam, że szybciej, tylko ciekawiej. Wiecie co? Napijcie się jeszcze trochę, albo popływajmy na desce? Wprowadzę wam szybko program do wszystkich trzech zbiorów danych, z dopasowanymi podprogramami. To jest dość łatwe i nie będzie kolidowało z innymi czynnościami. — Uśmiechnęła się złośliwie. — Trochę się pobawię — dodała i znikła w swoim gabinecie, gdzie zajmowała się programowaniem.

A ja zostałem, by pełnić obowiązki gospodarza.

To dla mnie dość przyjemne zajęcie. Przygotowałem im drinki. Zapropo-
nowałem korzystanie z różnych udogodnień rozrywkowych w domu, ich zestaw był imponujący — także prywatną sypialnię, ale chyba akurat nie byli zainteresowani. Woleli siedzieć i rozmawiać. Przyjemnie było siedzieć z nimi na werandzie z widokiem na szerokie morze i na wzgórze na drugim brzegu, i właśnie coś takiego robiliśmy.

Dokonałem weryfikacji faktu, że Essie raz udało się uzyskać przenikliwą analizę charakterologiczną. Zdublowany Cassata był o wiele bardziej znośny, niż jego cielesny oryginał, a ja zauważyłem, że z zainteresowaniem przysłuchuję się jego anegdotom i śmieję się z jego dowcipów. Alicja Lo była jak laleczka. Nie umknęło mojej uwadze, że była śliczna, smukła, malutka i miała z natury bardzo przyjemną osobowość. Odkryłem także, że była bardzo dobrze poinformowana. Jako jedna z ostatnich poszukiwaczy z Gateway zdała się na los szczęścia w czterech niebezpiecznych misjach naukowych, a kiedy ją poszerzono, wędrowała po całej Galaktyce. Widziała miejsca, które poznałem tylko z relacji innych i wiele, o których nawet nie słyszałem. Zaczynałem się domyślać, co takiego dostrzega w Juliu Cassacie, ale nie sprawiało mi trudu wymyślenie, dlaczego on jest nią zafascynowany.

Zaczął nawet odczuwać zazdrość. Kiedy opowiadała o niektórych swoich towarzyszach, z którymi wyruszyła z Gateway, zwrócił szczególną uwagę na to, co mówiła o mężczyznach.

— Na pewno miałaś wielkie powodzenie — rzekł ponuro.

Alicja zaśmiała się.

— Ależ skąd!

To mnie zaskoczyło.

— Byli homo czy ślepi?

Odparła, dziękując mi nieśmiało za ten płytki komplement:

— Nie wiesz, jak wtedy wyglądałam. Zanim rozlał mi się wyrostek, byłam wysoka i niezgrabna i... hm, nazywali mnie nawet „ludzkim Heechem”. Nie urodziłam się taka, jaką mnie pan teraz widzi, panie Broadhead — powiedziała to do mnie, ale patrzyła na Cassatę, by zobaczyć jego reakcję.

Zniósł to dzielnie.

— Wyglądasz cudownie — rzekł. — Jak to się stało, że zmarłaś na wyrostek? Nie było w pobliżu lekarza?

— Miałam Pełny Serwis Medyczny i oczywiście chcieli mnie trochę podreperować. Chcieli też przeprowadzić trochę prac kosmetycznych — skrócić kości w kręgosłupie i kończynach, pozmieniać twarz — ale nie chciałam, Julio. Chciałam być naprawdę ładna, a nie być, choćby nawet najlepszym przybliżeniem ideału. Był tylko jeden sposób. Mieli urządzenia do zapisu maszynowego. Zdecydowałam się.

W kącie werandy pojawiła się jakaś postać; wyprostowała się po tym, jak wachała należące do Essie kwiaty i pomachała do nas.

— Teraz już wiecie, dlaczego — oświadczyła.

— Essie! — wrzasnąłem. — Chodź tu szybko! — Gdyż postacią tą był Albert Einstein.

* * *

— Mój Boże, Albercie — spytałem — gdzieś ty był?!

— Robinie — rzekł uprzejmie — znów przechodzimy do metafizyki?

— Nie celowo. — Rozsiadłem się wygodnie i patrzyłem na niego. Nie zmienił się. Fajka nadal nie była zapalona, skarpetki miał pozwijane przy kostkach, skołunione włosy sterczały na wszystkie strony.

Jego sposób bycia był dalej mało bezpośredni. Podeszedł i spokojnie usiadł w bujanym fotelu naprzeciwko nas.

— Ale widzisz, Robinie, to pytanie ma metafizyczną odpowiedź. Nie byłem w żadnym „gdzieś”. I nie tylko „ja” tutaj jestem.

— Chyba nie rozumiem — rzekłem. To nie była tak do końca prawda. Miałem nadzieję, że nie rozumiem.

Odparł cierpliwie:

— Skontaktowałem się z Wrogiem, Robinie, a dokładniej, to oni skontaktowali się ze mną. A jeszcze dokładniej — rzekł przeproszającym tonem — ten „ja”, który do ciebie przemawia, to nie jest twój program do wyszukiwania danych, Albert Einstein.

— Kim więc jesteś? — spytałem.

Uśmiechnął się, a po tym uśmiechu poznałem, że jednak zrozumiałem go doskonale.

Rozdział 22

Zakończenia — początki...

Kiedy miałem trzy lata i byłem małym chłopcem w Wyoming, nie mówiono mi, że Święty Mikołaj nie istnieje. Moja matka nigdy nie twierdziła, że Święty Mikołaj jest prawdziwy, ale też nie mówiła mi, jakoby było odwrotnie.

Od tego czasu, przez całe moje życie, nie było pytania, na które bardziej chciałbym poznać odpowiedź. Roztrząsałem ten problem starannie, tym intensywniej, im bliżej było drugiej połowy grudnia. Aż się paliłem, żeby się dowiedzieć. Nie mogłem się doczekać, aż dorosnę — a przynajmniej zostanę nastolatkiem — bo kiedy jest się tak dużym, to jest się wystarczająco mądrym, żeby z całą pewnością odpowiedzieć na to pytanie.

Kiedy byłem chorym nastolatkiem w szpitalu Kopalni Pożywienia, lekarze mówili mi, że kiedyś wyzdrowieję, będę w stanie stawić czoła moim strachom i niepokojom i że będę pewny siebie — a przynajmniej na tyle, że poradzę sobie w jakiejś pracy i będę mógł sam przechodzić przez ulicę. Tego też nie mogłem się doczekać.

Kiedy byłem śmiertelnie przerażonym poszukiwaczem na Gateway, sparaliżowanym ze strachu jedynym ocalałym uczestnikiem misji do czarnej dziury, — kiedy byłem szlochającą kupą galarety na kozetce w gabinecie Sigfrida von Psychy — obiecałem sobie, że prędzej czy później, przyjdzie taki czas, kiedy będę mądrzejszy i bardziej pewny siebie. W wieku lat trzydziestu myślałem, że to nastąpi, kiedy będę miał pięćdziesiąt lat. Kiedy osiągnąłem pięćdziesiątkę, zacząłem myśleć, że stanie się to w okolicach sześćdziesięciu pięciu lat. Jak dobiłem do siedemdziesiątki, nabrałem przekonania, że kiedy wreszcie umrę, nastąpi ostateczne rozstrzygnięcie wszystkich moich zmartwień, niepewności i wątpliwości.

A potem, kiedy osiągnąłem taki wiek, że nigdy bym nie pomyślał, że to możliwe, mając dostęp do wszystkich danych świata nadal miałem zmartwienia i wątpliwości.

A teraz Albert wrócił z siedliska Wroga, z całą wiedzą, jaką mu przekazano i zaproponował, że się ze mną podzieli; a ja chcę tylko wiedzieć, jak długo jeszcze

będę musiał się starzeć, by poczuć się wreszcie dorosłym? Ile jeszcze będę musiał się nauczyć zanim osiągnę mądrość?

Galaktyka to taka nasza Pomarszczona Skała, a spotkanie starych przyjaciół trwa tam wiecznie. Są zmiany, są przerwy, kiedy przez chwilę robimy coś innego, a ta może być nawet bardzo długa. Rozmowy też się kończą, ale każdy koniec jest początkiem nowej, a początki będą zawsze, bo właśnie to oznacza słowo „wieczność”.

Mogę wam opowiedzieć o paru zakończeniach (które były zarazem początkami), jak na przykład rozmowa Alberta z Essie. — Przepraszam, pani Broadhead — rzekł — to musiało być dla pani kłopotliwe, tak zauważyć, że napisany przez nas program nie reaguje.

— Do licha, to prawda — rzekła ze złością.

— Ale widzi pani, ja już nie jestem pani programem. Pewną część mnie wykonali inni.

— Inni?

— Istoty, które nazywacie Wrogiem — wyjaśnił. — Zaś Heechowie nazwali ich Asasynami. Oczywiście nie są Asasynami, a przynajmniej...

— Och? — przerwała mu Essie. — Potrafisz przekonać do tego Przymulonych? Albo inne unicestwione rasy?

— Pani Broadhead — odparł łagodnie — chciałem właśnie powiedzieć, że oni nie byli Asasynami celowo. Przymuleni składali się z materii. Nasze — tych Innych — doświadczenie nie sugerowało, że powiązane ze sobą protony i elektrony mogą zaowocować powstaniem inteligencji. Proszę chwilę o tym pomyśleć. A jakby pani dziadek odkrył pewnego razu, że jeden z jego prymitywnych komputerów robi coś, co może potencjalnie zagrozić jego planom w przyszłości? Co by zrobił?

— Rozwaliłby go — zgodziła się Essie. — Dziadek miał wybuchowy temperament.

— Jestem pewien — uśmiechnął się Albert — że nie zastanawiałby się nad tym, że jakakolwiek maszynowa inteligencja może mieć — jakby to nazwać? Duszę? Wszystko jedno, co tam mają maszynowe inteligencje. Zatem „Inni” rozwalili je, jak to pani ujęła. Nie był to dla nich problem; zauważyli, że większości istot materialnych destrukcja sprawia przyjemność, więc po prostu zachęcali jednych, żeby rozwalali drugich.

— Czy chcesz powiedzieć — wtrąciłem — że Asasyni nas teraz kochają?

— Tak by tego nie określili — odparł Albert uprzejmie. — A tak naprawdę, to wy — obawiam się, że dotyczy to również mnie — jesteście dość prymitywnymi istotami, w porównaniu z nimi. Kiedy jednak podczas rutynowego badania odkryto, że na Kręgu Obserwacyjnym znajdują się zapisane maszynowo inteligencje, zarządzono śledztwo. — Znów się uśmiechnął. — Przeszliście test. Więc nie chcą, żebyście traktowali ich jak Wroga, chcą tylko, żebyście nie przeska-

dzali we wcieleniu w życie ich planu oraz — dodał z powagą — nalegam, abys ty, Robinie, zrobił, co tylko w twojej mocy, żeby tak się stało.

— Masz na myśli ich plan zwinięcia wszechświata do postaci praatomu?

— Plan budowy lepszego wszechświata — poprawił mnie Albert.

— Ha — rzekła Essie, potrząsając głową. — Lepszego dla nich, chciałeś powiedzieć.

— Chciałem powiedzieć, że lepszego dla nas wszystkich — oznajmił z uśmiechem Albert. — Ponieważ kiedy wszechświat skończy się rozszerzać i zacznie się kurczyć, wszyscy będziemy tacy jak oni. Wiecie, już prawie jesteśmy — a przynajmniej ci z nas, którzy są maszynowo zapisani. Dlatego właśnie byli w stanie dogadać się ze mną.

— Słodki Jezu — wyszeptała moja kochana żona Essie.

Mogę wam też opowiedzieć o rozmowie Alberta z Julio Cassata:

— Oczywiście wiecie — rzekł do niego Albert konwersacyjnym tonem — że broń nie jest w stanie poczynić żadnych szkód Innym.

— Wrogowi, panie Einstein!

Albert ze smutkiem pociągnął z fajki, a następnie potrząsnął głową.

— Jeszcze pan nie wie, dlaczego musicie przegrać? Cały czas macie nadzieję na znalezienie jakiegoś sposobu na zniszczenie kugelblitzu, którego miał strzec Krąg Obserwacyjny. Proszę mi powiedzieć, generale Cassata, czy ma pan jakiegokolwiek podstawy, by przypuszczać, że nasza Galaktyka jest czymś szczególnym?

— My w niej jesteśmy! — warknął Cassata.

— Tak — zgodził się Albert — ma tę unikalną cechę, że my tam jesteśmy. Ale co czyni nas unikalnym dla Wroga? Rzeczywiście pan sądzi, że nasza Galaktyka jest czymś szczególnym?

— O Jezu, Albercie — zaczął Cassata — jeśli rzeczywiście próbujesz mi powiedzieć to, co chcesz powiedzieć. . .

— Właśnie próbuję panu powiedzieć, generale, że Inni nie przejmowali się pojedynczą galaktyką. Oni chcą odbudować cały wszechświat. Wszechświat z setkami miliardów galaktyk, o których przeważnie nic nie wiemy.

— Tak, oczywiście — rzekł desperacko — ale wiemy, że tam są, gdyż wiemy, że interweniowali w tej galaktyce.

— W ten sposób — odparł ponuro Albert — możemy być co najwyżej pewni, że tu ich nie ma. Nie można być przekonanym, że inteligentne życie może się rozwinąć tylko w naszej Galaktyce. Być może istnieje w każdej! Może nawet w każdej gazowej chmurze w przestrzeni między galaktycznej! Gdyby Inni mieli zamiar powstrzymać organiczne życie od wtrącania się do ich przedsięwzięcia, na pewno byliby dość mądrzy, żeby zabezpieczyć wszystkie możliwości.

— Więc nawet gdybyśmy byli w stanie zlikwidować kugelblitz. . .

— Nie możecie. Ale gdybyście mogli — rzekł Albert — to byłoby jak zabicie jednej muchy tse-tse i myślenie, że na zawsze wytępiono słońowaczną.

Znów przez chwile palił fajkę w milczeniu, patrząc na Julia Cassatę. Potem się uśmiechnął.

— To była zła nowina — oświadczył. — A dobra nowina jest taka, że jest pan bez pracy.

— Bez...?

— Tak, bezrobotny. — Albert pokiwał głową. — Oczywiście nie ma już potrzeby utrzymywania Wspólnej Obserwacji Asasynów. Co oznacza, że już nie może wydawać rozkazów. Co oznacza, że nie musi pan wracać, by tam pana zlikwidowano. A co za tym idzie, jest pan wolny, może pan pozostać w obecnym stanie już na zawsze, jak pozostali z nas.

Oczy Cassaty stały się wielkie.

— O rany — powiedział patrząc na Alicję Lo.

* * *

Mogę wam też opowiedzieć o rozmowie Alberta z Alicją Lo:

— Przepraszam, że byłem taki tajemniczy, pani Lo — zaczął — ale kiedy Inni przestudowali panią podczas naszego lotu do Kręgu Obserwacyjnego...

— Doktorze Einstein! Nie wiedziałam, że podczas tego lotu byli z nami Wr... Inni!

Uśmiechnął się.

— Wtedy ja też nie wiedziałem, choć oczywiście przypuszczałem, że tak być może. Byli tam. Są tu teraz, w moim programie; są wszędzie, gdzie tylko chcą być, pani Lo i sądzę, że pozostaną na długi czas, gdyż jesteśmy dla nich bardzo interesujący. Pani bardziej od pozostałych.

— Dlaczego ja?

— Bo była pani ochotniczką — wyjaśnił Albert. — Ja nie miałem wyboru; stworzono mnie jako program komputerowy i zawsze występowałem w tej postaci. Robinette umarł. Zapis maszynowy był dla niego jedynym rozwiązaniem. Zarówno generał Cassata, jak i pani Broadhead byli dublerami żyjących osób — ale pani wybrała zapis maszynowy! Porzuciła pani swoje materialne ciało celowo.

— Ale tylko dlatego, że moje materialne ciało było chore i dość brzydkie, i...

— Dlatego, że pani zdaniem zapis maszynowy jest lepszy — rzekł Albert kiwając głową. — A Inni uznali, że to dość przekonujące, bo rzeczywiście jest lepszy, więc nie mają wątpliwości, że na długo zanim stanie się to palącym problemem, cała reszta ludzkiej rasy i Heechów podąży za naszym przykładem.

Alicja Lo spojrzała na Julia Cassatę. Powiedziała to samo, co on.

— O rany!

* * *

Mogę wam też opowiedzieć o rozmowie Alberta ze mną — a przynajmniej o jej części. Było to zakończenie, które było zarazem początkiem, gdyż Albert miał coś i dla mnie.

— Naprawdę żałuję, że nie mogłem wtedy odpowiedzieć na twoje pytania, Robinie — rzekł — ale to nie było możliwe, bo się uczyłem.

Odparłem tonem pełnym przebaczenia:

— Pewnie musiało to strasznie długo trwać, nauczenie się wszystkiego, co oni wiedzą.

— Wszystkiego! Robinie, ja się prawie niczego nie nauczyłem. Czy ty masz pojęcie, jacy oni są wiekowi? I ile wiedzą? Nie — rzekł, potrząsając głową — nie poznałem historii ich rasy, ani nie dowiedziałem się, jak się zabrać do zwijania wszechświata. Tak naprawdę nie nauczyłem się żadnej praktycznej rzeczy.

— Do diabła — rzekłem — dlaczego nie?

— Nie prosiłem o to — odpowiedział po prostu.

Przemyślałem sobie to wszystko.

— Cóż, prawdopodobnie, kiedy nadejdzie właściwy moment, będą nam mieli dużo do powiedzenia. . .

— W to raczej wątpię — rzekł Albert. — Dlaczego mieliby to zrobić? A ty próbowałbyś uczyć nawigacji kota? Może pewnego dnia, kiedy wszyscy osiągną już następny etap ewolucji. . .

— Czyli staną się tym, co ty?

— Czyli staną się tym, co my — rzekł łagodnie. — Kiedy wszyscy żyjący ludzie i Heechowie zdecydują się być, jak my — wtedy może pojawi się szansa na jakiś prawdziwy dialog. . . Ale jeszcze przez najbliższe parę milionów lat pewnie zostawią nas w spokoju — jeśli tylko zostawimy w spokoju ich.

Zadrzałem.

— To niewątpliwie zrobię z przyjemnością — oświadczyłem.

— Miło mi to słyszeć — odparł Albert.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że odwróciłem się i spojrzałem na niego. To nie był już głos Alberta. Był to jakiś inny głos, głos, który już kiedyś słyszałem. I to nie Albert już ze mną rozmawiał.

Był to Ktoś zupełnie inny.

— W końcu — dodał On z uśmiechem — Inni też są Moimi dziećmi.

Pewnie więc nigdy nie osiągnę tego cudownego wieku mądrości i dojrzałości, kiedy będę znał odpowiedź na wszystkie pytania, jakie mnie trapią.

Ale może wystarczy samo ich zadawanie.

KONIEC